

1886 II 19,96

SPÓŁECZNOŚĆ
WARSZAWY

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA.

(1800 — 1890).

PRZEZ

K. WŁ. WÓJCICKIEGO.

—

WYDANIE REDAKCYI BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ.

—
e/c

45/5

WARSZAWA.

—
1877.

SPÓŁECZNOŚĆ WARSZAWY.

II 1296 „V”

SPÓŁECZNOŚĆ
WARSZAWY

W POZĄTKACH NASZEGO STULECIA.

(1800—1890).

PRZEZ

K. WŁ. WÓJCICKIEGO.

WYDANIE REDAKCYI BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ.

WARSZAWA.
GEBETHNER I WOLFF.

1877.

39(438 Warszawa) : 346 354.56 . 0642(438)
001 (4387)



№ 396

Дозволено Цензурою.

Варшава 27 Ноября, 1876 года.



II. 1296
"Y"

W drukarni Józefa Bergera, Warszawa, Elektoralna Nr. 14.

~~u. 232/46.~~

BZOBRPK/014-12

I.

Charakterystyka mieszkańców Warszawy.—Ludzie z ostatnich lat XVII wieku.—Niewiasty polskie.—Dawna tradycja.—Gawęda.—Poezya ówczesna.—Wymowa.—Warstwa społeczna z epoki Stanisława Augusta.—Literaci z tegoż okresu.



Warszawa w zewnętrznej postaci, w rozkładzie swoim i zabytkach starożytnych murów i kamienic, przez dwadzieścia kilka lat z górą, zachowywała cechy średniowiecznego grodu i do dziś dnia ich nie straciła, tak w *Starém-Mieście* jak pobocznych ulicach i dawnych świątyniach Pańskich.

Inną kolój losu przeszła jój społeczność.

W pierwszych latach tego okresu, od 1800 do 1830 r., uderzała na pierwszy rzut oka rozmaitość mieszkańców Warszawy i snujących się postaci po ulicach, po ogrodach, albo na uroczystościach religijnych w czasie processyi *Bożego Ciała*, obchodu *Grobów* w Wielki tydzień świąt *wielkanocnych*; lub też po za miastem na odpustach, tak w *Czerniakowie*, jak na *Bielanach*.

Społeczność ówczesna kilka miała wydatnych odcieni. Pierwsze miejsce zajmowało owe stare już pokolenie, pamiętające jeszcze czasy Augusta III, króla Leszczyńskiego, a między temi znajdował się i takich, którzy znali Karola XII, bo wiek sędziwy, długoletność, nie były taką osobliwością jak teraz. Stóletni starcowie gęsto się przewijali, nietylko po dworach wiejskich, ale i w murach samej Warszawy ¹⁾.

Pokolenie to odznaczało się wybitnie, tak postacią jak mową i wyobrażeniami. Według pojęcia tych sędziwców, nauka i książka

¹⁾ W młodych latach u Orłowskiego, handlującego drzewem a mieszkającego pod zamkiem warszawskim widziałem akwarellę, arkuszowego formatu, w której był przedstawiony cesarz Napoleon I, w orszaku marszałków, jak rozmawia ze starcem po polsku ubranym i podaje mu rękę. Był to *Nowakowski* przedstawiony cesarzowi jako towarzysz chorągwi królewicza Jakóba Sobieskiego, która była na wyprawie wiedeńskiej pod buławą króla Jana III. Oswobodzenie Wiednia nastąpiło we wrześniu 1683 r. a przedstawionym został Napoleonowi w końcu 1806. Uplłynęło więc 123 lat: gdyby jako towarzysz husarski miał tylko lat 15, dożyłby przeto 138. Cesarz wyznaczył mu pensją 3,000 franków i Nowakowski pobierał ją jeszcze przez lat dwa, bo w początkach 1809 r. umarł. Matka ojca mojego a babka moja, żyła lat 106 i sześć miesięcy. Pomiędzy Kurpiami był bartnik pszczoł dzikich, który podług pewnych dat w całej czerstwości ciała i umysłu w 120 roku umarł i pochowany został na cmentarzu w Myszeńcu.

przystawała jedynie księdzu jezucie; dla szlachcica dosyć tego, czego się w szkołach wyuczył, a po dworach panów doświadczeniem i otarciem douczył. Literaturę ich całą składał *kalendarz*, *Nowe Ateny*, kilka kronik polskich, *Herbarz Paprockiego* lub *Niesieckiego* i *Volumina Legum*.

Zastęp ten składał się z szanownych starców, zasłużonych w kole obywatelskiem: byli pomiędzy niemi sławni rębacze, którzy zdobyli sobie imię w zapasach sejmikowych, niemało między niemi liczyłeś palestrantów z trybunałów piotrkowskiego i lubelskiego. Uprzejmie i serdecznie gościnni w domach i dworach swoich, w surowym rygorze chowali dźwiatwę własną; często sami stanowili małżeństwo, synów i córek niepytając o ich uczucia bynajmniej, posłuszeństwo też bez granic dzieci ku rodzicom, ułatwiało wielce te ugody familijne, przez które przyjacielskie rodziny łączyły się w ściśle pokrewieństwa ogniwa. W tém poważném pokoleniu, które już śmierć dziesiątkowała w moich oczach, nie zasłyszałeś o żadnej sprawie rozwodowej; święta zgoda, miłość i braterstwo wiązało je silnemi ogniwami. Rodziny, krewniacy, trzymali się za ręce pod hasłem: „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.“ Nieść pomoc w nieszczęściu, w niedoli podeprzeć, chudego pachotka zapomódz, to przez ożenienie z dobrém wianem, to chudobę zasilić na nowe gospodarstwo, były to rzeczy powszechne, codzienne. Sędziwe matrony odznaczały się pobożnością bez dewocyi, prawdziwą wiarą Bożą, miłością bez granic w przywiązaniu do męża i dzieci. Wiele zachowywało zwyczaj starodawny, nazywania małżonków swoich *panami*, jak ci nawzajem swoje żony *panienkami* albo *dzieweczkami*.

Święte to były niewiasty! Ile razy myślą zabłąkam się w tamte czasy, zaraz stają przed oczyma postacie owych niewiast, pełnych słodyczy i miłości chrześcijańskiej. Zaprawdę, mógł je każdy uważać za rzeczywistych aniołów-stróżów przy domowych ogniskach. Oneto wpajały w serca dźwiatwy swojej, najszlachetniejsze uczucia, czy stałą wiarę, on drogi skarbiec a niewyczerpany na ciąg całego żywota, potrzebę poświęcenia i dźwignania z pokorą krzyża po światowym gościńcu. Jako matki, łagodziły surowe obejście i groźne ojców, tuliły dźwiatwę strapioną, a na ostodzenie ich cierpień gdy które Bóg dotknął, miały łzy do podziału i słowo Boże na pocieszenie w strapieniu, boleści, czy żalu. Jako żony, były dla mężów nieposzlakowanej wierności i poświęcenia, towarzyszki ich prac i trudów życia, ciche, łagodne, a łzawe, krzątały się przy porządku domowym, a w wolnej chwili słały gorącą modlitwę za tych, którzy się im przez serce przypominali! Naukę pisma obracały jéno dla napisania listu do *pana małżonka* i dźwiatwy, a czytały tylko Pismo Święte, modlitwy, albo księgę gospodarczą, pełną przepisów doświadczonych kucharskiej sztuki, *sekretów* gospodarstwa niewieściego i przypraw lekarskich do *apteczki* domowej. Życie ich pełne zajęcia, bez próżniaczéj chwili, upływało z dnia na dzień w pracy, modlitwie i poświęceniu dla swéj

rodziny. Takie niewiasty musiały częś obudzać i szacunek w mę-
zach, miłość serdeczną w dziatwie, bo one wśród trudów codziennego
żywota, nie przygaszały wzniosłych a szlachetnych uczuć serca, ani
myśli wyższj, bo jedne i drugie same rozumiały i wielbiły z zachwy-
tem.

Ta szlachta, a dziatwa ostatnich lat XVII stólecia, zahartowana
wychowaniem surowém w młodych leciech, nie troszczyła głowy nau-
kami, nie wszystka nawet pokończyła szkoły, a jeżeli ich kobiety nie
odznaczały się kaligraficzném pismem, to i sami zgrubiała ręką od
szabli, strzelby, a często siekiery, nie bieglejsi byli w piśmie. Skoro
wydostał się ze szkolnej ławy i porzucił *Alcara*, nie wracał do ksiąg
jak dopiéro w sędziwój starości, kiedy nogi wymówiły posłuszeństwo;
wtedy złamany wiekiem, brał znowu do rąk te same księgi kronik
starych i herbarzy, które w dziecinnych latach tak ochoczo przeglą-
dał dla samych jedynie drzeworytów. Szlachta téj generacyi, oprócz
czasem zasłyszanej jakiejś *Satyry Krasiekiego*, pieśni nabożnych Kar-
pińskiego i narodowych Kniaznina, nie znała, nie pojmowała nawet li-
teratury tak zwanych *Stanisławowskich* czasów, ale zato miała swoją,
żywego słowa literaturę, w której się skupiły wszystkie jój żywioły.
Było nią owe złote pasmo narodowej *tradycyi*, z ust do ust przecho-
dzącej niepokalanie, coraz bogacąc się i urozmaicając w idące lata
po sobie. Miałes w niej na czele podania historyczne, pełne życia
i ognia wiersze, chociaż brakło im zewnętrznej formy arty-
stycznej.

Tradycyi osnową była opowieść jakiego czynu, a czyn sam
w sobie wzięty obwijał się w jedną poetyczną tkankę, jak jedwabnik
we własną przędzę. W gwarnym, bojowym żywocie téj szlachty oj-
ców i ich samych, nie brakło osnowy do *gawędy*, nie brakło i pieśni
i wzorów wymowy. To téż, byle zjazd na uroczystość domową, ro-
dzinną, albo ochoczym dla zabawy *kuligiem*, niebyło mowy między
niemi o literaturze obecnej ich czasom, ale zasiadłszy grono starców
i dojrzałych na uboczu, gdy młódz ochoczo hasała, radośnie, przy kie-
liszku wytrawnego węgryna rozpoczynało *gawędę* o przeszłych,
ubiegłych latach. W onczas wychodziły na czoło, opowieści wypad-
ków krajowych, a zaraz o ile który miał w nich udział, tu następo-
wała wierna spowiedź przygód żywota, to w obozie, to na dworach
panów, to na łowach, sejmikach, w domowych progach, albo na zja-
zdach w sąsiedztwie. Gdyby kto je umiał wiernie i dokładnie spisać,
byłyby to drogocenne obrazy z zapadłej już dla nas przeszłości,
obrazy, które same prostotą swego wątku i treści, obudzałyby zajęcie
i wywołały podziw; bo tak już wtenczas odskoczyliśmy od tego świa-
ta, w którym ci starcy żyli pełném życiem, że powszednie ich czyny
olbrzymiały w naszych czasach i poetycznej nabierały barwy.

Kiedy to piszę, wyobraźnia stawia mnie w te grona siwych star-
ców, co zawodzą głośnym serdecznym śmiechem, lub głośnym łka-
niem. Miły Boże! ileżto chwil rozkosznych w śród nich spędziłem,

przytrzymywany jakimś urokiem, czarami opowieści, że i huczna kapela nie wabiła do tańca, choć nogi się rwały, i sen po nocach całych oczu nie sklejał!

Znaczenie poezyi zupełnie po swojemu starcy ci pojmowali. Kobiety miały ją w ludowych i nabożnych pieśniach a psalmach Dawida przekładu Jana Kochanowskiego, bo tylko to tłumaczenie przeszło w usta narodu; miały ją i w światowych piosneczkach co je panny śpiewywały. Treścią tych ostatnich była miłość, to oświadczyły zalotnika, to *rekuza damy*; szlachta, prócz takich światowych, śpiewała w podeszłym wieku codziennie nabożne pieśni w domu, drodze, młodsi w obozie: miała i historyczne, w których wspomnienia mieszały się z rzewną modlitwą do Boga. Pieśni te wiernie odbijały charakter tych rycerzy chrześcijańskich a rolników. Śpiewali i pieśni zwane *palestranckie*, naszpikowane gęsto łaciną, które i w innych nie zabrakło nigdy. Wiersz byle rymowy, aby jasno myśl malował, był już poezją: co przemówiło do ich serca, to wdrażało się dobrze w pamięć. I tak być musiało w czasach ich młodości, kiedy życie samo ich było dla nich poezją, a za ledwie miano czas, jakiś wypadek, jakie uczucie ująć w rymy proste, a dobrze rzecz oddające. Daleko wyżej stała u nich *wymowa*, bo ona więcej się spłotała z ich życiem.

W domowych progach chrzciny, zaręczyny, wesela i pogrzeby, jak w publiczném życiu sejmiki i sejmy, narady wszelkie w kole szlachty, w kościele czy obozie, wszędzie zgoła wymowa rej wiodła.

Nie mieli u nich poeci wielkiego miru, bo prawdziwych wieszczów nie było, a rymotwórstwo uważali, i słusznie za rozrywkę jeno próżniaczą. Mówca za to odbierał cześć i szacunek: jedna mowa wypowiedziana okrągłemi słowy, a trafniemi do serca i myśli, utrwalała sławę mówcy, w *ziemstwie*, powiecie, ba nawet wcałém województwie. W wymowie tylko spoczywała owa potęga duchowa *słowa*, pod którą miękły i tajały twarde nawet serca, co mogła wycisnąć łzę rzewną, na mężkie surowe oblicze, i pobudzić do serdecznego śmiechu. Mowa potoczna téż onych starców, była potężnym zasobem do wymowy wyższej. Bogata, pełna zwrotów poetycznych, dosadnych wyrażen, malowniczych przysłów i przypowieści, posługiwała dzielnie, aby z ręcznie użyta do owej *wymowy* wyższej, a serdecznej, dziarskiej i dosadnie rzecz oddającej, na podziw słuchaczy, a ku chwale mówcy!

Z tego zastępu starców szczytki jeno dotrwały w 1818—1820, mniej daleko niewiast. Zamożni chowali się po dworach swoich, ubożsi, dawniejsi dworzanie wielkich panów liczniej przytulali się w murach Warszawy, niemając własnego gniazda: najliczniejszy zastęp u krewnych i przyjaciół dogorywał zwolna po dworach ziemiańskich pod nazwą *rezydentów*, patrząc na wielkie zmiany w około z modlitwą na ustach. Znikły téż niebawem i te resztki, pokładwszy się w mogiły obok ojców swoich.

Duch czasu i na to najstarsze pokolenie silnie oddziaływał. Jeżeli zatwierdzał uszanowanie dla rodziców i starców, stanął oporem co do samowolnego rozrządzania sercem i ręką dzieci. Chorągiew swobody rozwijał u progu domu, przy ognisku rodzinném. Coraz téż rzadsze tego przymusu bywały przykłady. Kiedy sędzia *Plichta*, rębacz hetmana Branickiego, zmusił córkę lubo kochała innego, do poślubienia jego wybrańca, ogół opinii przeciw takiemu nadużyciu władzy ojcowskiej, głośno się oświadczył. Był to o ile pomnę jedy-ny i zaprawdę ostatni podobnej samowoli przykład.

Drugą warstwę społeczności tak Warszawy jak i w kraju całym składali wychowañcy z okresu *Stanisława Augusta*, zwolennicy literatury francuzkiej, co chciwie filozofiją *Woltera* i *Encyklopedystów*, brali za pewnik ostatni rozum i szczyt najwyższej nauki.

Potężny to był zastęp, co przeważał w dawniej Rzeczypospolitej. Głównym rysem tego zastępu była *niewiara*, zaprzeczenie istnieniu Boga i nieśmiertelności duszy człowieka, a obok tego pogarda dla własnej narodowości, szyderstwo ze wszystkiego, co ich ojcowie szanowali i czcili. Stary obyczaj krajowy nazwali *barbarzyństwem*, ochoczo zrzucali jak strój ojców, tak znieńwidzili macierzysty język. Wkradła się w domy polskie lekkomyślność nieznana, zbytek wyuzdany, zepsucie obyczajów. Kanclerz *Młodziejowski* w *liście pasterskim* karciał rozwody, niesłychane w dawniej Rzeczypospolitej: w téj warstwie społeczności naszej, teraz rozwody przestały być osobliwością. Zerwali pasmo narodowych tradycyi, które wiązało terażniejszość z przeszłością. Pomimo tych stron ujemnych zachowali staropolską gościnność w domu, jak odwagę w potrzebie.

Rozpowszechniony język francuzki w kraju spowodował ruch więkzsy handlu księgarskiego, a przytém rozwijał się i ruch książek polskich. Literaturę *Stanisławowskiego okresu*, co tak wybornie odbijała czasy swoje, umiano na pamięć: młodzież szczególniej połykała owe poemata, zagadki i wiersze *Węgierskiego* i *Trembeckiego*, wraz z rubasznymi utworami *Naruszewicza*, których się druk rumienił upowszechniać, tyle jeszcze pocziwego zachowano wstydu: pokolenie to było ostatniem ogniwem, co przechodziło z czasów panegiryków, w naśladownictwo literatury francuzkiej.

Dużo pisano, rozwodzono żale na ten popęd do Zachodu; dziś gdy przeminął, widzimy że ruch taki był koniecznym, abyśmy po długim naśladownictwie obczyzny, prędzej trafili do pojęć literatury oryginalnej, narodowej. Nie my sami naśladowali francuzów, przez to naśladownictwo przeszły i inne narody.

Warstwa ta jak mówiliśmy wzięła przewagę w stariej Rzeczypospolitej: wszyscy pisarze okresu *Stanisława Augusta* bili czołem temu naśladownictwu, lubo każdy po swojemu wedle sił i talentu; byli i tacy co daleko zostawili za sobą wzory, jak *Krasicki*, w satyrach, bajkach i listach, *Trembecki* w opisowych poematach, a głównie w komedyi *Syn marnotrawny* z *Woltera*; *Zabłocki* w komedjach; ale obok

nich, co do liczby była większość po miejskich dworach i *zasciankach* ukryta, owój szlachty, co żyła dawném życiem, w starym obyczaju, szanując tradycję narodową, wraz z ubiorem, językiem, wiarą a pobożnością ojców. Ci przypominali pokolenie z czasów Saskich z tą różnicą, że zapoznawali się z utworami literatury krajowej. Kiedy wielu z nich na bruku Warszawskim osiadło, znalazło tu życzliwe u mieszczan starych przyjęcie, bo łączyła ich jedna miłość do tego, co u lekkomyślnych ludzi szło w pogardę.

I na polkach dostrzegamy téż wydatną różnicę, w dwóch po sobie idących pokoleniach: pierwsze, przyjąwszy strój i obyczaj francuzki, wraz z lekkomyślnością i swobodą w obyczajach, tak daleką od owój powagi i godności dawnych niewiast, utonęły sercem i myślą w literaturze francuzkiej; drugie, przestawały na literaturze krajowej i garnęły się do dzieł dobrańszych polskich, które ochotnie czytywały.

Pomiędzy temi dwiema warstwami społeczności gasnącej, a ostatnią dorastającą, stanowili pośrednie ogniwa konfederaci barscy, wojacy z kampanii 1792 i 1794 roku, jak z Legii włoskich. Typowe to były postacie, które znikwały powoli i do roku 1830 wygasły prawie do szczętu.

Trzecią a najmłodszą warstwę społeczności Warszawy, stanowiliśmy sami jako wychowawcy szkół pijarskich, Liceum warszawskiego, a następnie Uniwersytetu.

Zagasała w tym okresie świetna plejada literatów i towarzysów *uczonych czwartkowych obiadów* na zamku króla Stanisława Augusta. Ozdoby tego stołu: Krasicki, Naruszewicz, Trębecki, Węgierski, Zabłocki, Wyrwicz, już nie żyli. Karpiński skruszył pióro i zamienił je na pług i siekiere rolniczą. Kniaźnin, w spokojném obłędaniu zgasł na łonie swego przyjaciela Zabłockiego, sławnego komedyo pisarza, którego dotąd nikt jeszcze należycie nie ocenił. Powstały prawda nowe imiona, nowe talenta, na ozdobę tych pierwszych lat trzydziestu, które przyrosły do naszego okresu. Społeczność Warszawy, gdy miasto roszerzało swój obręb, zyskiwała coraz więcej narodowego żywiołu, przez napływ i stałe osiedliny szlachty wiejskiej ze wszystkich jej warstw, zaczawszy od najzamożniejszych, do mających skromne mienie, albo téż w chudobie ostatniej szukającej poprzedniego chleba w jego murach; przez ten nabytek, Warszawa przybierała coraz wyraźniejsze oblicze odzwierciedlające charakter całego narodu. Ztąd wierne malowidło społeczności Warszawy łączy się ściśle ze współczesnością ogólną, krajową.

Typowe postacie z kilku pokoleń zgromadziło w grono swoje *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk*: należy więc nam przede wszystkim, bliżej się przypatrzeć temu zgromadzeniu w ciągu jego trzydziestoletniego istnienia.

II.

Warszawa w pierwszym roku naszego stulecia. Stanisław Sołtyk. Pierwsze u niego zebrania Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Pierwszy tego zgromadzenia prezes Jan Albertrandi biskup Zenopolitański. Tadeusz Mostowski, jego zakład drukarski i wydawnictwo: „Wyboru pisarzy polskich.” Patent króla pruskiego Fryderyka Wilhelma dany Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Pierwsze lata tegoż Towarzystwa. Dar Staszica. Prace członków. Wojna. Zmiany. Księstwo warszawskie. Dekret króla saskiego. Biblioteka i gabinet mineralogiczny, muzeum starożytności i zabytków przeszłości. Rok 1809. Posiedzenie Towarzystwa d. 22 grudnia 1809 r., konkursu uwieńczone. Wyprawa 1812 roku. Pogrom i klęski.

Gród nasz jak kraj cały w ostatnich latach XVIII wieku, doznał niespodzianych ciosów.

Warszawa przestała być stolicą i przeszła pod panowanie pruskie, pomimo to do niej jako miasta prowincjonalnego ciągnęły nawałem czeready niemców, już brykami w konie zaprzężonemi, już wózkami przez psy ciągnionemi, na których wieźli cały swój dobytek i majątek. Gwar tak rozgłośny niedawno w zamku królewskim i po ulicach, dorazu zamienił się na grobową ciszę, gdy Stanisław August wyjechał na zawsze, a gdy dwór się rozbiegł na cztery strony świata. Cała arystokracja polska straciła swoje znaczenie i powagę: wszystkie urzędy od najwyższych stopni do ostatniego strażnika przy rogatkach miasta i stróża pałacu rządowego, sami Niemcy obsiedli. Prusy sypali *swemi* jakby z worka plew, i w zapasie trzymali mnóstwo jeszcze kandydatów, na każde skinienie. Pałace opustoszałe szły w ruinę, podwórza ich zarastały trawą. Cała społeczność Warszawy chroniła się za progi domowe, żyła wspomnieniem ciepłej jeszcze przeszłości, napozór tak świetnej, nie przeczuwając że pod jej błyszczącą oponą, już się roztworzyła mogiła, w którą dwór królewski wraz ze swym panem, biegną ochoczo, hulaszczco, jakby na ucztę wystawną.

Pierwszy rok naszego stolecia już pokazuje Warszawę miastem na sposób pruski urządzoném, bez handlu i przemysłu. Kupiectwo pozbawione napływu z całego kraju obywatelstwa, zubażało, nie jeden upadłość swą, bez własnej winy, ogłosić zagniony; pozostali musieli ograniczyć swoją działalność do skromnych rozmiarów. Tych ratowali jeszcze ziemianie chwilowo przyjeżdżający do naszego miasta, u których grosza nie brakło, bo wysokie ceny zboża zamożność ich podniosły.

Z publicznych instytucyi został tylko *teatr narodowy* z twórcą swoim *Wojciechem Bogusławskim*, ale i przeciw niemu uderżyło stronnictwo zfraucuziałych polaków, które idąc za nierozważnym postępem z poprzedniego okresu, wszelkimi siłami pragnęło scenę francuską podnieść, wyszydając własną.

Na szczęście znaleźli się ludzie z rozumem i sercem, którzy te szalone wybryki poskramiać umieli. Na czele tych stał *Stanisław Soltyk*, który w domu swoim zgromadzał towarzystwo czysto polskie,

przeciwnie dążności eleganckiego świata pod wpływem francuzczyzny, którego głównym gniazdem i siedzibą był pałac *pod blachą*.

Sołtyk nie tylko dla sceny narodowej położył wielkie zasługi, ale podał myśl założenia *Towarzystwa Przyjaciół Nauk*, którą goszczący u niego literaci i zacni obywatele ochotnie a gorliwie podparli.

W dniu 16 lutego 1800 roku, odbyło się w domu Sołtyka pierwsze zgromadzenie, na którym ułożono listę osób, jako pierwszych założycieli tego Towarzystwa. Lista ta obejmuje nie tylko mężów znanych z prac ogłoszonych drukiem, ale takich, którzy stanowiskiem swoim i znaną prawością charakteru, dawali rękojmię zyczliwego popierania głównego celu, a tym celem wyłącznym było: „zachęcać ludzi naukom i piśmiennictwu oddanych do krzewienia i upowszechniania wiadomości użytecznych w języku narodowym, język ten udoskonalać i chronić go od zagłady.“

Wrzędzie pierwszych założycieli widzimy: *Czackiego Tadeusza, Chreptowicza, księcia Czartoryskiego, Ignacego Krasickiego, Matuzewicza, Mostowskiego, Józefa Ossolińskiego, Ignacego i Stanisława Potockich, Aleksandra księcia Sapiełę, Walentego Sobolewskiego, Stanisława Sołtyka, Stanisława Staszica, Jana Woronicza i Stanisława Trembeckiego*, szambelana Stanisława Augusta i rozgłośnego imienia poetę. Następnie powołani zostali: biskup *Albertrandi, Franciszek Dmochowski* (tłumacz *Iliady* i *Enejdy*), *ks. Kamiński pijar, Franciszek Karpiński, S. B. Linde, ks. Józef Osieński, ks. Poczobut, Piramowicz i Jan Sniadecki*.

Kiedy zamknięto tymczasową listę i przyjęto ogólne zasady i przepisy postępowania, odbyło się pierwsze posiedzenie już związanez Towarzystwa w dniu 23 listopada 1800 roku w bibliotece księży Pijarów (na ulicy *Długiej*). Zasiadło tu grono czterestu członków i ci wybrali na prezesa *Albertrandego* biskupa zenopolińskiego, znanego polihistora, sławnego erudyta. Ten w mowie swjej którą zagaikł to posiedzenie, główną zwrócił uwagę na cel najważniejszy obok uprawy nauki: pilne strzeżenie macierzystego języka, który w pierwszym okresie rozwijającej się literatury narodowej, tak udoskonalaony już w całym się swém bogactwie okazuje.

„Godna jest rzecz uwagi, mówił, że dzisiejszy Francuz piszący językiem *Marota*, a nawet *Amiota*, podałby się w pośmiewisko, albo przynajmniej w podejrzenie, iż nie dla dzisiejszego pokolenia pracuje: Polak zaś w pismach swoich jak najbliższemu do Budnych, Górnickich, Kochanowskich i innych za pierwszych Zygmunatów żyjących autorów przystępujący, tém większej dostąpiłby chwały, imby się im w pisaniu stał podobniejszy.“

Obok tego podniósł myśl potrzeby odszukania i wydania dawnych zabytków piśmiennictwa polskiego, w części zapomnianych, a w części ukrytych po różnych księgozbiorach w kraju i zagranicą, a zarazem ogłosił pięć zadań konkursowych w przedmiotach: nauk

wyzwolonych, wymowy, historii, matematyki i historii naturalnej, wszystkie zastosowane do podań i potrzeb krajowych. Jednym z nich było:

„Oddając hołd winnej pochwały Mikołajowi Kopernikowi, pokazać jak wiele winne mu były nauki matematyczne, mianowicie astronomia, w wieku w którym żył; z których poprzedników, jak wiele i jakim sposobem korzystał, i jak wiele mu są winne w czasie teraźniejszym.“

Na zadanie to odpowiedział Jan Śniadecki znakomitą rozprawą o *Koperniku*.

W gronie pierwszych założycieli zasiadał Tadeusz hr. *Mostowski*, który dał się już świetnie poznać w poprzednim wieku jako mąż prawdziwej nauki i wysokich zdolności. Syn wojewody mazowieckiego, nakładca i redaktor *Gazety narodowej i obcej*, pojął naglącą potrzebę, wśród ówczesnych okoliczności wprowadzenia jak najprędzej w życie, myśli w łonie *Towarzystwa Przyjaciół Nauk* podjętej, ratowania ojczyźnej mowy. Celem ku temu najdzielniejszym było rozpowszechnienie dzieł pisarzy tak ze złotego wieku literatury z doby Jagiellonów, jak i zakresu tylko co zgasłego.

Postanowił przeto rozpocząć wydawnictwo utworów najcenniejszych pisarzy polskich, i potemu założył wielką drukarnię we własnym pałacu przy ulicy *Przejazd* i *Nowolipie*, (późniejszym gmachu ministerstwa *spraw wewnętrznych i policji*). Ogromny nakład na to poświęcił, bez myśli zwrotu. Sprowadził najlepszych zecerów i presserów z zagranicy, jak i najpiękniejsze czcionki z Paryża i Lipska i w tak kosztownej drukarni rozpoczął pomnikowe wydawnictwo p. n. *Wybór pisarzy polskich*, które ukazało się już w roku 1803, w XI-tu przepysznych tomach.

Druk, papier, odbicie, odznaczały się szczególną starannością jako też i korektą. Wizerunki pisarzy, których dzieła ogłaszał Mostowski, były rytowane na stali przez biegłego w Warszawie rytownika J. Ligbera.

Na czele tego wydawnictwa położył, i słusznie, dwa tomy poezji Jana Kochanowskiego. W przedmowie swój, rzuciwszy pogląd na smutne położenie kraju, po zapowiedzi że w tej publikacji zamierza objąć utwory z dwóch tak odległych okresów, zamyka rzecz swoją temi słowy:

„Gdy porównaniu historycznemu podlegać mają dowcipu polskiego płody, z dwoistej, a bardzo różnej epoki; należy zatem dzieła jednego i drugiego czasu wydawać takie, jakie były, bez odmiany, wiernie, z wdziękami i wadami swemi. Wprawdzie możnaby, jak niektórzy chcieli, poprawiając błędy, skracając pisma, odświeżając wyrazy pisarzy dawniejszych, dać im dla teraźniejszych czytelników zabawniejszą postać: ale tym sposobem zatarta cecha wieku Zygmun-tów, jużby nie okazała ani różnicy czasów, ani odmian istotnie w języku naszym zaszły. Z uszanowaniem więc, zostawiam szaty właści-

we Janowi Kochanowskiemu i innym dawniejszym pisarzom; zachowana jest ich ortografia, objaśniane tylko ile możności, słowa zaniedbane i mniej zrozumiałe, wyrazami teraz używanymi.“

Widzimy z tego jak dobrze Mostowski pojmował obowiązki wydawcy tak pożytecznej publikacji; co do jej zewnętrznej strony, z całą skromnością na końcu swój przedmowy mówi:

„Nie oszczędzałem starania, ażeby wykonanie niniejszego przedsięwzięcia, co do poprawności dzieł, piękności sztychów, liter i papieru, godne było pisarzy których wydaję i celu który sobie zamierzylem, a ten jest, aby ta praca tak współczesnym jak potomnym, pożyteczną i miłą być mogła.“

W tym pierwszym roku wydawnictwa, wyszły z pod prassy, „w drukarni N. 646 na Nowolipiu:“ dzieła: Jana Kochanowskiego tomów 2. J. U. Niemcewicz tomów 2. A. Naruszewicza, *Historii polskiej* tomów 5. Tacyta kronika w przekładzie Kazimierza Kojałowicza tom 1. Dzieła Józefa Szymanowskiego i Kajetana Węgierskiego tom 1. Dwa lata następne 1804 i 1805 Mostowski prowadził tę publikację i wydał: Tom ostatni *Historii Polskiej* Naruszewicza; dwa tomy jego wierszy, oraz *Dyaryusz* i *Taurykę*: tłumaczenie Tacyta w czterech tomach i znakomicie skreślony przez tego wielkiego badacza: *życiorys Jana Karola Chodkiewicza*. Obok tego *Sielanki Polskie, Kroniki St. Orzechowskiego* i *Dzieje Łukasza Górnickiego*; na ostatku *Życie Sławnych Polaków* w trzech tomach i na 26 tomie zamknął swoje wydawnictwo.

Pomimo jego okazałości, ceny nadzwyczaj umiarkowanej, potrzeba było lat blisko czterdziestu, do wyczerpania tej edycji: dziś ona stała się rzadkością bibliograficzną i ozdobą każdej biblioteki ¹⁾.

W roku 1802 Fryderyk Wilhelm król pruski, odwiedził Warszawę, wcieloną do swego państwa, a gdy mu przedstawiono prośbę o udzielenie najwyższego pozwolenia, do zajmowania się *Towarzystwa* naukowemi pracami, w odpowiedzi, otrzymano urzędowy *patent* w następujących słowach:

„Król *Imć* pruski, bardzo mile przyjął dysertacye i mowy, które *Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie*, złożyło mu przez swego prezesa Albertrandego biskupa Zenopolitańskiego pod datą 25 z. m.

¹⁾ Tadeusz Antoni hrabia Mostowski, urodził się w Warszawie 1766 r. Wysoko wykształcony w młodych latach, już w zawodzie prawnym się odznaczył za Stanisława Augusta. Miał majątności we Francji, które administrował rozumnie. Od 1802 r. zamieszkał w Warszawie. Po utworzeniu Księstwa warszawskiego 1812 r. mianowany ministrem spraw wewnętrznych okazał tak wysokie zdolności, że i po ogłoszeniu Królestwa 1815 r. pozostał w tych obowiązkach. Jemu należy wielka zasługa, że przy rozwoju przemysłu i fabryk, wiele miast wzrosło, lub powstało. Działalność jego wykazuje szczególnie F. M. Sobieszczański w dokładnym życiorysie drukowanym w *Encyklopedyi Powszechnej* S. Orgelbranda tom XVIII.



Daję więc poznać wspomnianemu Towarzystwu, swoje zupełne potwierdzenie, a będąc przeświadczony, iż nie ustanie w chęci zasługiwania się na jego protekcję, z ukontentowaniem zapewnia je o niej i przytem prosi Boga, aby je miał w swój świętej i godnej opiece.

W Poznaniu 1 lipca 1802 roku.

Fryderyk Wilhelm.“

Dzieje tego Towarzystwa podzielić potrzeba na trzy wydatne okresy: *pierwszy* od 1800 do końca 1806; drugi obejmuje czas istnienia Księstwa warszawskiego od 1807 do 1815; trzeci i ostatni od 1815 do 1831. *W pierwszym*, miejscem zebrań publicznych była Biblioteka księży Pijarów, *w drugim*, otrzymało w darze od Stanisława Staszica dom jego na *Kanoniach*, położony obok bramy zamku królewskiego, *w trzecim*, już się przeniosło do wspaniałego gmachu na Krakowskiem Przedmieściu, które tenże Staszic, w miejscu po zburzonym kościele i klasztorze księży *Dominikańów Obserwantów*, własnym kosztem zbudował i pomienionemu Towarzystwu ofiarował.

Czynność wydatną rozwinęło Towarzystwo zaraz w pierwszych latach swego istnienia. Oprócz wydawnictwa Tadeusza Mostowskiego, powstał *Pamiętnik Warszawski* pod redakcją *Franciszka Dmochowskiego*, męża wielkich zasług tak dla spraw krajowych, jak i na niwie literackiej.

Prace podjęte przez pojedynczych członków, wykończyły się chętniej i śpieszniej, ażeby w obec Towarzystwa znajdowały właściwą ocenę. To też prezes Albertrandi, na posiedzeniu publicznem 1802 r. już miał się z czém pochłubić, gdy przywodził obecnym na pamięć: z natchnienia Towarzystwa o napisanej: *Nauce obyczajowej dla ludu* przez księdza *Piramowicza*; o dziele księcia Aleksandra Sapiehy: *O miarach i wagach polskich. O gramatyce polskiej* księdza *Kamińskiego*, o *Słowniku języka polskiego* *S. B. Lindego*; o *Obserwacjach astronomicznych Jana Sniadeckiego*. Obok tego, mógł już wymienić rozpoczęte prace innych członków Towarzystwa: *J. Kalasantego Szaniawskiego w filozofii*, księdza *Zaborowskiego w matematyce*, *Stanisława i Aleksandra Potockich w architekturze*, generała *Komarzewskiego w mineralogii*, *Jundzilla* i innych w naukach przyrodzonych.

W tém szanowném gronie dostojnych mężów, skupiały się wszelkie prace naukowe ze wszystkich gałęzi, zespalił się z sobą pracownicy jedną myślą i uczuciem połączeni.

Spokój na horyzoncie politycznym sprzyjał tym usiłowaniom; z daleka tylko, od brzegów Sekwany dochodziły groźniejsze wieści.

Szósty rok już się kończył tego spokoju, gdy nagle od Zachodu zaczęła nadpływać gromami ciężarna burza. Kiedy mieszkańcy Warszawy z ciekawością chwyтали na ucho podawane wiadomości drogą tajemną, prawdziwe, a prędzej niż gazety dochodzi-

ły; pomiędzy urzędnikami pruskimi jakiś zaczął panować niepokój, a po nim i trwoga.

Nagle jak piorun spadła wieść o bitwie pod *Jena*, i rozbił się cały kraj pruski, a z nią cała potęga tego państwa lepięgo z taką troskliwością. Klęska była tak straszna, że dwór Berliński musiał się zdać na łaskę i niełaskę sławnemu zwycięzcy. Dnia 14 października 1806 r. stoczona była ta pamiętna w dziejach Europy walka, a w końcu listopada patrol dragonów francuzkich ukazał się na *Krakowskiem-Przedmieściu*. Dzień był śnieżny i wielkie błoto po ulicach, właśnie biegł do chorego doktor *Wolf* (ojciec Maurycego Wolfa, słynnego w naszych już terazniejszych czasach lekarza), gdy usłyszał jak z tego patrolu zawołał głośno podoficer, patrząc z pogardą na nasze miasto:

— „I toż to Polacy mogą nazywać swoją ojczyzną?!”

Cicho i skrycie już wszyscy Prusacy uciekli na Pragę, a gdy Warszawa jak na skinienie różyczki czarodziejskiej zajaśniała płomieniem illuminacji, i łuna od niej oświeciła to przedmieście zawiślańskie, drząc ze strachu, teraz nie brykami ani wózkami, ale pieszo uchodzili z pośpiechem, aby tylko dostać się coby prędzej do granic swój ojczyzny ¹⁾.

Zaraz w następnym roku ogłoszonym zostało *Księstwo Warszawskie*, a panującym w niem *Fryderyk August* król Saski.

Wielka armia francuzka przepłynęła jak huragan przez Warszawę, zostawiając po sobie ślady zniszczenia. Huk dział i wrzawy wojennej powoli oddalał się od jej murów. Dopiero w następnym roku, po organizacyi księstwa Warszawskiego, minister sprawiedliwości *Feliks Łubieński* wyjednał wpływem swoim u dworu Saskiego, nowy patent ustalenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wydany w formie dekretu królewskiego w Dreźnie dnia 30 kwietnia 1808, w dosłownej osnowie:

„Fryderyk August z Bożej łaski król Saski, książę Warszawski etc. etc.

„Cokolwiek do pomnożenia światła w narodach pieczołowitości naszej powierzonych i do rozkrzewienia nauk pożytecznych pomagać jakimkolwiek sposobem może, nigdy niezdado się dalekiem, od baczenia i najwyższego wsparcia naszego. A kiedy do tego przystępuje jeszcze nadanie poloru wyborniejszego i obfitości zupełniejszej językowi, w krajach panowaniu naszemu podlegających, użytemu temu językowi, który w całym życia naszego ciągu, nie był nam nigdy obojętnym; powinnością naszą być rozumiemy, całą zupełnością wła-

¹⁾ Właśnie było w dniu tym w teatrze narodowym na Krasiańskim placu widowisko, gdy usłyszano głos nadbiegłego z ulicy: „Francuzi! Francuzi!” W mgnieniu oka zarówno wszyscy widzowie jak i aktorzy wybiegli na miasto, aby ujrzeć sławnych zwycięzców świata.

dzy naszej do tego się przyłożyć, aby tak szlachetne zamiary skutku nie były pozbawione, ale owszem i pilnie utrzymane i troskliwie były do doskonałości przywiezione. Przeto gdy do naszej wiadomości doszło, iż *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk*, utworzone z szczerzej ochoty członków wybranych, które się z sobą wzajemnie połączyły tym jedynie umysłem, aby szczątki literatury swojej narodowej w całości utrzymywały, język rodowity, od niebezpieczeństwa zagłady zachowały, nauki wszystkie wytworne i gruntowniejsze podług przemysłnych wynalazków i potrzeb tego wieku wydoskonaliły, a przez nauki nowe dostatki językowi obmyśliły: w tój zaś wiadomości, gdyśmy dostateczniej ugruntowani zostali rozpatrzeniem się w ustawach, które sobie toż Towarzystwo przyjęło i dotąd ściśle zachowuje, także przejrzeniem *Roczników* dotąd od Towarzystwa wydawanych a nam przedstawionych: osądziliśmy za rzecz słuszną przychylić się do żądania od członków tegoż Zgromadzenia, z głęboką uniżonością nam przełożonego, i dać im poznać skutków pomyślnych naszej królewskiej ku nim łaskawości. Dla czego *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk*, ze wszystkimi weń wchodzącymi osobami w państwach naszych obecnymi, lub z jakiego względu do państw naszych należącymi, ile się w granicach ustaw swoich zachowują; tudzież ustawy te same i wszystkie własności ruchome i nieruchome tegoż Towarzystwa pod naszą królewską opiekę przyjmujemy i naszą najwyższą łaskawą protekcją onemu zaręczamy, pozwalając nadto, aby pomienione Towarzystwo w pismach swoich, patentach, zaświadczeniach, pięczęciach, tytułu: *Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk*, używało, spodziewając się iż tego zaszczytu tak użyje, jak wyroku onego zacność wymaga. Wzywamy oraz do tego Zgromadzenia należących i nadal należeć mających, aby z podwójną ochotą i gorliwością dążąc do celu sobie zamierzonego, dalszych się względów i łask naszych królewskich godnemi stawiali.“

Tak zostawszy ustalone w nowo powstałym państewku, i pozyskawszy zaszczyt do skromnej swój pierwotnej nazwy dodania tytułu *królewskiego* Towarzystwa, w oczach kraju całego podniosło się i stało się celem do składania ofiar na zgromadzające się zbiory naukowe w jego łonie.

W znak wdzięczności dla panującego, Towarzystwo Przyjaciół Nauk wybiło medal srebrny, wielkości dużego talara. Z jednej strony jest popiersie króla Fryderyka Augusta z napisem: „Fryderyk August i książę warszawski,“ z drugiej: „Fryderykowi Augustowi królowi saskiemu, pierwszemu książęciu warszawskiemu, Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk przez niego ustalone 1808“ ¹⁾.

¹⁾ Medal ten oglądaliśmy w pięknym zbiorze numizmatycznym b. profesora, dziś emeryta p. Duchnowskiego w Kielcach.



Pierwszy zakład biblioteki Towarzystwa był darem księcia *Aleksandra Sapiehy*, który ofiarował około 6000 ksiąg z własnego księgozbioru, i uczynił zapis na starostwie *Preny*, w posiadaniu jego będącém, kapitału sto tysięcy złpol., z którego procent po 5000 złpol. rocznie, ma być używany przez lat pięćdziesiąt na pomnożenie biblioteki.

Wdowa po słynnym doktorze Leopoldzie Lafontain'ie, cały księgozbiór, po większej części dzieł lekarskich po swoim mężu ofiarowała i radca stanu Łuba, dzieł tysiąc kilkaset. Dary pojedyncze, zarówno jak zakup coroczny z funduszu *Sapiehy*, pomnażał ten szacowny księgozbiór, dwa razy w tydzień dla użytku publiczności otwierany.

Gabinet mineralogiczny założony zbiorem samego Staszica, bogacił się zwolna ofiarami obywateli z różnych okolic kraju; nadto zaczęto się składać *Muzeum starożytności* krajowych i pamiątek z przeszłości, bo każdy co jaki drogocenny zabytek posiadał, ochoczo przynosił Towarzystwu z tém miłém przekonaniem, że obrócone to zostanie na korzyść ogółu. Generał Henryk Dąbrowski, będący członkiem tego Towarzystwa, obdarzył je pysznym darem, bo swoją zbrojownią w raz z wielą drogocennymi pamiątkami historycznymi.

Kiedy wciągu tych kilku lat Towarzystwo coraz się rozwijało, w roku następnym 1809, nowa a niespodziewana burza nadciągnęła, która wstrzymała jego prace, a wielu członków do opuszczenia Warszawy zmusiła. Jeden z nich Cypryan Godebski poeta-żołnierz stanął na czele swego pułku, aby w walce pod Raszynem życie oddać, w powstrzymywaniu armii austriackiej: drudzy po kapitulacji jakkolwiek zaszczytnéj miasta, jako członkowie rządu, za swemi chorągwiami poszli. Tryumf Austryaków był krótki, bo gdy Napoleon I-szy pobił ich główną armię, książę Ferdynand musiał granice księstwa Warszawskiego jak najspieszniej opuścić.

Warszawa oswobodzona od niemców oczekiwała zwycięzców. Towarzystwo Przyjaciół nauk przygotowało się do uczczenia ich godnie. Najgłośniejszy z poetów ówczesnych Ludwik Osiński miał poleconém napisanie wiersza odpowiedniego. Nazajutrz oznaczonym był dzień na ten obchód w Towarzystwie, a Osiński jeszcze nie miał nic zaczętego. Wyszedł pod wieczór więc na *Stare Miasto* w zadumie, i stanął pod murami *Ratusza*, co stał w rynku z czasów jeszcze udzielnych książąt Mazowieckich. Był to wieczór 21 grudnia, gwar ucichł dzienny, i tu spłynęło nań rzeczywiste natchnienie poetyczne. *Oda* którą nazajutrz melodyjnym swoim głosem wydeklamował, porwała i oczarowała wszystkich.

I zaprawdę, jest to najwznioślejszy utwór, opromieniony prawdziwą poezją, jaki wyszedł z pod pióra Osińskiego.

Stanisław hr. Potocki odczytał *pochwałę walecznych*, co polegli w téj walce. Wymowny jego głos poruszył każdego. Dla uświetnienia tego obchodu, posiedzenie odbyte zostało w *Palacu*

Saskim, w kaplicy dawniej królów Saskich. Rezydent francuzki *Serra*, członek honorowy Towarzystwa Przyjaciół Nauk, uniesiony ogólnym zapałem zaimprovizował wiersz w swoim języku, który grzmot oklasków wywołał. Posiedzenie zakończone zostało *marszem* Józefa Elsnera członka także tego Towarzystwa.

Słyszałem w wiele lat później sędziwego wojownika co walczył we Włoszech, w San-Domingo i Hiszpanii, gdy przywodził sobie na pamięć to posiedzenie w dniu 22 grudnia 1809 roku Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

— Tak byłem rozrzewniony, tak zachwycony, mówił, że pragnąłem umrzeć nieprzechodząc progu tamtej sali. Dziś gdy przypominam sobie ów dzień, czuję się odmłodzonym.

W pośród rozwoju nowej organizacyi księstwa Warszawskiego, wprowadzenia *Kodeksu Napoleona*, i podziału na departamenta, wśród ruiny obywateli ziemskich, na wydatki armii i spełnianie wymagań cesarza Napoleona I-go, nie było swobodnego czasu dla poświęcenia go naukom. Nie było i nieznano wówczas literatów z rzemiosła, bo każdy z piszących miał stałe obowiązki w służbie krajowej, a wolne chwile wytechnienia, jedynie mógł pracy umysłowej oddać: ztąd i Towarzystwo Przyjaciół Nauk statecznie i bez przerwy nie mogło dla nauki pracować; przerwy te powodowały wypadki ówczesne krajowe a nie ospałość członków pomienionego Towarzystwa. W samej społeczności naszej, mało było ochotników pióra: ztąd w całym ciągu lat trzydziestu na ogłoszane konkursy Towarzystwo tylko pięć nagród przyznało: z tych, *Janowi Sniadeczkemu* za rozprawę o *Koperniku*, doktorowi medycyny *Lernetowi* z Wilna za rozprawę o *Morowej zarazie*; doktorowi *Fijałkowskiemu* z Warszawy, za *Instrukcyę* ułożoną stosownie do pojęcia średniej klasy mieszkańców, jak się mają zachować, aby nieuszkodzić zdrowia i życia; księdzu *Jakubowi Falkowskiemu* za założenie Instytutu Głuchoniemych i *Antoniemu Cyprysińskiemu* uczniowi Uniwersytetu warszawskiego medal srebrny, za opis statystyczny obwodu Sandomierskiego.

Kilkakrotnie powtarzany konkurs w medalu tysiąca złp. wartości (bo dawanie pieniędzy uważano w ówczas za ujmę godności pisarza) za najlepszą tragedye i podobną nagroda przez Ludwika Dmuszewskiego ofiarowana za najlepszą komedyę, bez skutku pozostały.

Nie dziwny się tej nie ochoczości, ani na tragedye ani komedyę: czas nie był u nas odpowiedni potemu, gdy dramat w życiu, ciągle z małemi się przerwami odegrywał. Zaledwo najazd austryacki odparto, i ucieszono się pożądanym spokojem w święta *Bożego-Narodzenia* 1809 roku; zaledwie rozpatrzono się w potrzebach kraju: we dwa lata Napoleon I-szy przedsięwzięcie nierozważną wyprawę do Rosyji 1812 roku, w której rozbitą została cała jego potęga, tak groźna Europie. Jeżeli przed rozpoczęciem jej wleki zapał się pojawia z zaufaniem w geniusz cesarza-wodza: tém większa rozpacz i zwątpienie nastąpiły, po piorunowej klęsce. Z armii Księstwa Warszawskiego,

do 80,000 wynoszącą, zaledwie kilka tysięcy wróciło. Dramat ten straszny, zakończył się rozpaczą i łzami. Literatura pod hukiem dział i salw ręcznej broni umilknąć musiała!

Po długich chwilach osłupiałości i zwątpienia, zabłysło też słońko przed naszymi wroty. Upragniony pokój zawitał, po ostatecznym upadku cesarstwa we Francyi, i osadzeniu na pustej skale świętej Heleny bohatera wieku; gdy na *kongresie wiedeńskim* utworzono Królestwo Polskie, cesarz Aleksander I-szy dekretem swoim zapewnił byt Towarzystwu Przyjaciół Nauk, który brzmi w słowach następujących:

„My z Bożej łaski Aleksander I-szy Cesarz Wszech Rossyi, Król Polski etc. etc.

„Cokolwiek do pomnożenia światła w narodach pieczołowitości naszej powierzonych, i do rozkrzewienia nauk pożytecznych dopomagać jakimkolwiek sposobem może, nigdy nie zdało się dalekiem od baczenia i najwyższego wsparcia naszego. A kiedy do tego przystępuje jeszcze nadanie poloru wyborniejszego i obfitości zupełniejszej językowi polskiemu, tak wielkie mającemu podobieństwo z językiem w Cesarstwie Wszech Rossyi używanym, a który tém bardziej zwraca na siebie troskliwość naszą, iż przy terażniejszym przez nowe węzły połączeniu dwóch narodów, nowe ztąd pożytki, dla obu języków wyniknąć mogą; powinnością naszą być rozumiemy, całą zupełnością władzy naszej do tego się przyłożyć, aby tak szlachetne zamiary skutku nie były pozbawione, ale owszem, istotnie utrzymane i troskliwie były ku doskonałości przywiedzione.

„Przeto, gdy do naszej wiadomości doszło, iż Towarzystwo Przyjaciół Nauk, utworzone ze szczerzej ochoty członków wybranych, które się były z sobą wzajemnie połączyły, tym jedynie umysłem, aby szczątki literatury swojej narodowej w całości utrzymały, język rodowity od niebezpieczeństwa zagłady zachowały, nauki wszystkie i wytworne i gruntowniejsze podług przemysłnych wynalazków i potrzeby tego wieku wydoskonaliły, a przez nauki, nowe dostatki językowi obnyśliły; w tej zaś wiadomości, gdyśmy dostatecznie ugruntowani zostali rozpatrzeniem się w ustawach, które sobie też Towarzystwo przepisało i dotąd ściśle zachowuje, także przejrzeniem Roczników dotąd od Towarzystwa wydawanych, a nam przedstawionych: osądziliśmy za rzecz słuszną i przyzwoitą przychylić się do żądania od członków tegoż zgromadzenia z głęboką uniżonością nam przełożonego i dać im doznać skutków pomyślnych naszej królewskiej ku nim łaskawości. Dla czego *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk*, ze wszystkimi weń wchodzącymi osobami, w państwach naszych obecnymi, lub z jakiego względu do państw naszych należącymi, ile się w granicach ustaw swoich zachowają, tudzież ustawy te same i wszystkie własności ruchome i nieruchome tegoż Towarzystwa, pod naszą królewską opiekę przyjmujemy i naszą najwyższą łaskawą protekcją onemu zaręczamy, pozwalając nadto, aby pomienione To-

warzystwo w pismach swoich, patentach, zaświadczeniach, pieczęciach, tytułu: „Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk używało.”

„Spodziewając się, iż tego zaszczytu tak użyją, jak wyroku onego zacność wyciąga, wzywamy oraz do tego zgromadzenia należących i nadal należeć mających, aby z podwojoną ochotą i gorliwością dążąc do celu sobie zamierzonego, dalszych się względów i łask naszych królewskich godnemi stawali. Dan w Petersburgu d. 13/25 marca 1816 r.“

III.

Jan Albertrandi pierwszy prezes Towarzystwa przyjaciół nauk. Wpływ jego na prace tegoż Towarzystwa.—Stanisław Staszic.—Zmiana kierunku.—Pogrzeb Staszica i grób na Bielanach.—Julian Ursyn Niemcewicz, towarzysz Tadeusza Kościuszki, wybrany prezesem Towarzystwa przyjaciół nauk.—Śpiewy historyczne. Polki ilustrujące to dzieło.—Trudności wydawnictwa.—Zawód literacki Niemcewicza.—Ustawa nowego Towarzystwa. —Lista jego członków.
—Działalność.

W roku 1808 umarł w sędziwych latach, bo liczył 77 rok życia Albertrandi, pierwszy prezes Towarzystwa przyjaciół nauk. Urodzony 1731 r. w Warszawie, z rodziny włoskiej; miał już lat 33, gdy na tron wstąpił Stanisław August. Albertrandi był jezuitą: znakomity filolog, znał doskonale język hebrajski, grecki i łaciński, a z nowożytnych francuzki, włoski, niemiecki i angielski, przytém był wielkim zwolennikiem i znawcą starożytności zgasłych narodów. Szczególna pamięć ułatwiała mu zdobywanie wiedzy. Będąc na dworze arcybiskupa Łubieńskiego, podsłuchawszy starego jezuitę, głośno dla wprawy w pokój mówiącego swoje kazanie, które miał mieć nazajutrz w czasie summy, wszedłszy Albertrandi na ambonę, co do słowa je przedeklamował. Struchlał sędziwy teolog, słysząc własne kazanie tak dokładnie wypowiedziane, i biédak męczył się przez całą noc aby nowe napisać.

Prymas Łubieński powierzył mu wychowanie swego wnuka Feliksa, który później w dziejach Księstwa Warszawskiego, jako minister sprawiedliwości wysokię zajął stanowisko, i imię swe świetną aureolą sławy opromienił. Oprócz tego, prymas używał go często do prac gabinetowych, zasięgając nieraz jego zdania w sprawach publicznych. Po śmierci prymasa, Albertrandi udał się razem z uczniem swoim do konwiktu jezuitów, zostającego pod przewodnictwem uczonego Karola Wyrwicza. Tu dla młodego Łubieńskiego napisał *Historię rzymską* i *Dzieje Polski*; następnie towarzyszył mu do akademii w Sienna we Włoszech i do Rzymu. Pobyt w téj stolicy chrześcijaństwa stanowi najważniejszy okres w życiu Albertrandego. Oddany z zapałem badaniom starożytności, zebrał dla ucznia swego dokładny zbiór medali greckich i rzymskich, uporządkował go i szczegółowo opisał. Wrócił do kraju 1773 r. Stanisław August zbiór ten medali od Łubieńskiego nabył; poznawszy zaś bliżej Albertrandego, mianował go swoim lektorem, oddał mu w zarząd własny księgozbiór i zbiór rycin, wiedząc z jaką starannością ogromną bibliotekę biskupa kijowskiego Józefa Załuskiego uporządkował. Kilka lat około pomienionych zbiorów królewskich pracował, zanim katalogi ich dokładne spisał; kiedy się zaś pokazały wielkie braki w nich do dziejów Polski, król opatrzywszy Albertrandego w potrzebne fundusze, wysłał do Włoch, aby dla dopełnienia zbiorów zabytkami ojczystemi, poszukiwania, w bibliotece Watykańskiej i innych zamożnych księgozbiórach, poczynił. Od roku 1782 trzy lata Albertrandi poświęcił

mozolnej pracy, nietylko w wysledzaniu ważnych dla historii polskiej materiałów, ale i w przepisywaniu takowych. Sto dziesięć *woluminów* własną ręką przepisał, pomnożył zbiory królewskie starożytności, bogatym plonem wykopalisk Herkulanum i Pompei, a wróciwszy z temi skarbami do Warszawy otrzymał medal z napisem: „*merentibus*” od króla, który go znowu w roku 1789 wysłał do Szwecyi dla poszukiwań naukowych. Tam bowiem ze złupionej Polski przez Karola Gustawa za Jana Kazimierza, najważniejsze pomniki tak literatury jak i starożytności naszych przechowywano. Albertrandi nie ograniczył się na samym Sztokholmie, ale robił wycieczki po Szwecyi, gdzie tylko powziął wiadomość, że zdobędzie jaki nowy przyczynek do dziejów Polski, i przez czas swego pobytu zebrał i przepisał kilkadziesiąt znowu woluminów. Król wyniósł Albertrandego, jako syna mieszczanina do stanu szlacheckiego, ozdobił orderem S-go Stanisława i przedstawił na biskupa, którą godność otrzymał właśnie w tej porze, kiedy już Stanisław August opuścił Warszawę na zawsze. Kousekrowany na biskupstwo Zenopolitańskie, gdy Prusacy zajęli nasze miasto ¹⁾.

Albertrandi siedm lat przewodnicząc Towarzystwu przyjaciół nauk, wpływem swoim przeważnym ulubione sobie nauki w niem rozkrzewiał i zaszczebiał. W tych pierwszych latach: „postępowało ono (pisze Fryderyk hr. Skarbek) nieśmiałym krokiem, wątpiąc poniekąd o siłach i samoistości swojej, i trzymając się dzieł starożytnych i cudzoziemskich, jako tych pasków, bez których pierwszych kroków czynić niepodobna. Ztąd erudycya, zagłębianie się w dziełach i pomnikach starożytności, za główne znamię uczoności brane, ztąd tłumaczenia dzieł cudzoziemskich, za główny środek wzniesienia literatury i wykształcenia języka narodowego poczytane; ztąd nieśmiałe obchodzenie się z pierwiastkiem narodowym z dziejów i obyczajów naszych wyczerpnąć się dającym.”

To mówi jeden z najgorliwszych członków tego zgromadzenia, jego gorący wielbiciel, ale zarazem zacny miłośnik prawdy, a mąż przeważnych zasług dla kraju. Tak było rzeczywiście ²⁾.

Po zgonie Albertrandego, jednomyślnie Towarzystwo Przyjaciół Nauk wybrało na swego prezesa Stanisława Staszica. Posągowa to

¹⁾ Z tego ogromu rękopismów do dziejów Polski, wyszły po zgonie Albertrandego, wydane przez profesora Onacewicza: *Panowanie Henryka Walezyusza i Stefana Batorego*, dwa tomy. (Warszawa 1823 r.), *Panowanie Jana Kazimierza, Jana Alberta i Aleksandra Jagiellończyków*, (Warszawa 1827 r.; dwa tomy), *Dwadzieścia sześć lat panowania Władysława Jagiełły*, Wrocław 1854 rok.

²⁾ Dość spojrzeć w poparciu słów Fr. Skarbka na prace samego Albertrandego od r. 1802 do 1808, któremi przepelniał Roczniki Towarzystwa; wyliczymy je tu szczegółowo: 1) O muzach, 2) Zabytki starożytności rzymskich w pieniądzech, pospolicie medalami zwanych, czasów Rzeczypospolitej

postać tego okresu: znała go dobrze cała społeczność Warszawy. My studenci, chowaliśmy zawsze dla niego ulubione jego miejsce na *paradyzie* w Teatrze Narodowym, z kądem go i rzemieślnicy bliżej poznali.

Staszic wtedy aby go nie poznano, przywdziewał na głowę rudą perukę: oswoiliśmy się z nią dobrze.

W pobliżu niego, zasiadał często młody człowiek, równie wielki zwolennik sceny narodowej, i ze szczególną bacnością i zajęciem przysłuchiwał się granym sztukom. Zwrócił on Staszica uwagę; w poufnej rozmowie dowiaduje się, że jest uzdolniony ślusarz, który po kilkoletniej wędrówce zagranicą, pragnął zakład swego rzemiosła udoskonalony rozwinąć w Warszawie, ale brakło mu funduszu. Staszic wypytawszy się ze szczegółami o potrzebnej do tego summie, gdy następnie wywiedziało się o zdolnościach i dobrém sprawowaniu młodzieńca, bezimiennie przesłał mu złp. 10,000, za które Taszyński (tak się zwał ów młody człowiek) znakomity zakład ślusarski założył i rozwinął.

Za utworzeniem Księstwa Warszawskiego, Staszic powołany przez króla saskiego, zasiadł w Radzie Stanu, w urzędzie *referendarza*, i wtedy stanął zarazem na czele Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wpływ jego zaczął przeważnie wybijać w tém gronie. Nowy prezes zapatrywał się na nauki pod względem ich wpływu na stosunki społeczne i na praktyczną ich użyteczność w rozwoju sztuk i rzemiosł; mniej cenił erudycyą, a wyżej stawiał pojmowanie potrzeb obecnych kraju. Z pociechą własną zdając sprawę z prac Towarzystwa za lata 1817—1828, wymienia rozprawę Józefa Bema o robieniu rac kongrewskich, wychwalając prace w mechanicznych Abraham Sterni żyda z Warszawy, jak „maszynę rachunkową“ i „wózek topograficzny.“ Pod jego przewodnictwem skierowały się usiłowania Towarzystwa, do badań przeszłości narodu i poznania własnej ziemi. Staszic w ostatnim roku istnienia Księstwa Warszawskiego 1814, składając sprawozdanie z czteroletniego działania tego zgromadzenia wyrzekł:

„Mamy początkowych wieków panujących domów kroniki, w nich zebrane wojny, szczególne wypadki, bez ciągłego między sobą związku, bez śledzenia i wykazywania głównej, ciągłej, w narodzie takowych wypadków przyczyny. Mamy później sławniejszych wodzów życia; mamy opisy obrad, zaburzeń i czynów pewnych stanów, pewnych przemożnych domów; ale nie mamy historii narodu. Te

i szesnastu pierwszych cesarzów, zbioru ś. p. Stanisława Augusta króla polskiego, postrzeżone i krótkim wykładem objaśnione. Rzecz ta zajmuje połowę tomu III i IV, i cały gruby tom piąty Roczników. Po śmierci Albertrandego w tomie VII znajdujemy jego rozprawę: „O słońcu jako bożku pogańskim, dla objaśnienia dwóch wklęsło-rytych starożytnych kamieni.“

rzeczywistą i w zupełności wygotować, przedsięwzięciem zgromadzenia się stało.”

W myśl tego założenia, członkowie Towarzystwa rozebrali pomiędzy siebie pojedyncze panowania i okresy dziejowe. Program całej historii wybornie zredagowany, wydrukował już poprzednio Ludwik Osiński w wydawanym przez siebie *Pamiętniku Warszawskim*. Zobaczymy następnie, jakie literatura nasza zebrała owoce z tych znacznych a gorliwych usiłowań Towarzystwa. Lat siedemnaście bez przerwy Staszic mu przewodniczył, otoczony czcią i poszanowaniem wszystkich. Wysokiego wzrostu, nosił zwykle długi surdut odpowiedni stanowi swemu duchownemu. Oblicze malowało duszę szlachetną tego męża. Twarz ściągła, nos długi, brwi gęste, czoło wyniosłe, zbrzdrowane, świadczyło że myśl ciągle pracowała.

W chwilach wolnych od zatrudnień urzędowych, w dni pogodne na wiosnę i w lecie, do późnej jesieni, całe dni w święta lub niedziele w samotnej ustroni lasku Bielańskiego przebywał, spoczywając Staszic pod ulubionym dębem, czytywał książki i kreślił w nich notatki ołówkiem. Panowała tu cisza majestatyczna, bo po wielkim gwarze *Zielonych Świątek*, kiedy cała niemal ludność Warszawy przepełniała i las i kościół na Bielanych, w inne dni zwykle rzadki gość odwiedzał tę odległą okolicę od miasta. Miał Staszic widok piękny i otwarty na Wisłę i dalekie jej okolice; słuchał szumu tych starych sosen i starszych jeszcze dębów, do którego z rana i nad wieczorem łączył się głos dzwonu z klasztoru Kamedułów. Ukochał też tę ustron i polecił w testamencie, ażeby zwłoki jego pochowane przy tutejszym kościele zostały ¹⁾.

Zakończył życie w dniu 20 stycznia 1826 roku. Dzień był pogodny, pamiętam dobrze, śnieg pokrywał ziemię i lekki mróz trzymał. Z gmachu Towarzystwa przyjaciół nauk na Krakowskiem-Przedmieściu, trumnę z dostojnymi zwłokami zgasłego męża, członkowie tegoż Towarzystwa wynieśli na swoich barkach, i zaraz przeszła na ramiona akademików Uniwersytetu Warszawskiego, którzy milę całą ponieśli ją aż na Bielany do miejsca wiecznego spoczynku. Temu obchodowi żałobnemu towarzyszył tłum kilkudziesięcioletni tak mieszkańców Warszawy jak przybyłych z całego kraju obywatelstwa. Nad grobem przemówił Fryderyk hr. Skarbek członek Towarzystwa, w wymownym głosie oddając hołd pamięci znakomitego ziomka: temi słowy głos swój wymowny zamknął:

„Żądał umieszczenia zwłok swoich wśród tego świętego ustroja, w ziemi pod świeżą murawą, a nie pod głazem, któregoby napisy,

¹⁾ Stary, skromny koczyk i para starych koni, którymi powoził również stary furman Antoni, znane były powszechnie w całej Warszawie, jak przez Kamedułów na Bielanych. Zarzucony ogromem pracy, często przed obiadem nie mógł skończyć sessji wydziału przemysłu i sztuki w ministerium spraw wewnętrznych; dlatego odkładając na wieczór dalszy ciąg czynności, przyjeżdżał

jego światowe znaczenie ogłaszały. Lecz ta skromna mogiła, którą dzisiaj uwielbionemu usypimy, nie wyjdzie z pamięci rodaków; gdy wiosna świeżemi okryje ją kwiaty, odbędziem do niej pielgrzymkę, ocieniem ją drzewami i często ją nawiedzać będziemy, i późne syny nasze przyjdą tu nieraz spocząć i powiedzą do dzieci swoich: „Tu spoczywa przyjaciel ludzi.“ My, cośmy nieśli drogie szczątki jego, miejmy dozgounie dzień ten w naszej pamięci! Jeżeliby nas kiedy poduszczenie lub namiętność do czynu niegodnego prawych obywateli podniecać miała, niechaj nam wtedy głos sumienia powtórzy: „Tyś dzwigał zwłoki Staszica!“ i niechaj ten odgłos wewnętrznego czucia, chroni nas od tego, aby kiedy o nas niepowiedziano, żeśmy ostatniego obywatela do grobu ponieśli.“

Sprawdziły się słowa Skarbka, ale nie na długo: kwiaty świeże mogiłę Staszica wieńczyły cztery następne lata; po nich nie było już nikogo do téj postugi, tylko szum tych samych sosen i dębów, które go widziały za życia, grał cichą pieśń starą nad tą samotną mogiłą wielkiego męża, i tenże sam dzwon wysyłał do niej dzwiczne swe echo na powitanie każdego dnia w poraniu i wieczorem na dobranoc! ¹⁾.

zmiierzchem dla jęj wykonania. Zwykle kazał furmanowi do domu wracać, ale stary Antoni nie słuchał woale pana i czekał przed pałacem Mostowskich. Zdarzyło się że sesya przeciągnęła się do dziesiątęj w nocy. Antoni nie mogąc się doczekać pana, zlażł z kozła i poszedł do szynku pobliskiego na szklankę piwa. Wraca wkrótce, ale jakież jęgo podziwienie, gdy nie znajduje ani koni, ani kocza; przestraszony dopytuje woźnego: ten go objaśnia że pan minister przed kwadransem odjechał. Stary co tchu biegnie do domu i znajduje stojące konie spokojnie przed stajnią. Wyprzągł je, a ustawivszy przy żłobie i zatoczywszy koczyk w swoje miejsce, idzie do Staszica z zapytaniem: „A kto pana do domu przywiózł?“ „Któż inny jeżeli nie ty,“—odpowiada mu pan, równie zdziwiony jak furman. Wtedy wyjaśniło się, że konie przyuczone do jednéj i téj saméj drogi i odgłosu zatraskiwanych drzwiczek od koczyka, bez przypadku Staszica do domu odwiozły, który nawet nie spostrzegł braku starego Antoniego na kozle!

¹⁾ Wszystkie swoje prace piśmienne tak oryginalne jak tłumaczone wydał Staszko swoim nakładem w dziewięciu wielkich tomach. Pierwsze sześć tomów ogłosił w r. 1816, w których oprócz przekładów: *Iliady* Homera wierszem nierymowym; poematu Rassyna, *religia* prozą, pochwałę Marka Aureliusza z francuzkiego Thomas'a, Numę Pompiliusza z Floryana, i *Epok natury* Buffona, oryginalne utwory głównie przeważają. Do tych należy dzieło: „O ziemiorodztwie Karpat i innych gór i równin Polski.“ „Przestrogi dla Polski.“ „O statystyce Polski 1807 r.“ „Myśli o równowadze politycznej w Europie.“ Mowy i zagajenia w łonie Towarzystwa, jak i publicznie miane. „Obrona funduszów pojezuickich“ wreszcie „Kontrakt Towarzystwa Rolniczego Hrubieszowskiego w zamiarze udoskonalenia rolnictwa i przemysłu, oraz wspólnego ratowania się w nieszczęściu.“ We cztery lata po wydaniu tych sześciu tomów,

Trzecim i ostatnim prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk był Julian Ursyn Niemcewicz, urodzony tak jak i jego poprzednicy w okresie panowania Augusta III, na dawnym Podlasiu, we wsi *Skokach*, o milę od Brześcia Litewskiego, z ojca Marcellego podczaszego Mielnickiego i Jadwigi z Suchodolskich. Młodszy był tylko o dwa lata od Staszica. Urodziwa była to postać, a oblicze jego piękne, więc dla kobiety odpowiednie, tak białościę płci, żywością rumieńców, jak delikatnością rysów. Mamy z doby lat jego młodych, portret wielce podobny w *Wyborze pisarzy polskich Mostowskiego*, i równie podobny w sędziwych jego latach, przy powieści, *Jun z Tęczyna*.

Przez stosunki przyjacielskie jakie łączyły rodzinę Niemcewiczów z Czartoryskimi, młody Julian w roku 1776 oddany został do korpusu *Kadetów*, w którym ukończywszy nauki, pozyskał stopień adjutanta księcia *generała ziem polskich*. W jego towarzystwie, gdy objeżdżał dobra swoje na Podolu i Ukrainie poznał znaczną część ziem dawniej Rzeczypospolitej, a następnie ze Stanisławem Sołtykiem, który podał pierwszą myśl utworzenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zwiedził Niemcy, Włochy, Sycylią, Malte, Francją, i Anglią. Za powrotem do kraju w godności posła inflanckiego na sejmie 1789 roku dał się poznać jako gorliwy obywatel i dobry mówca. Po upadku *ustawy*, Niemcewicz udał się zagranicę; kiedy jednakże podniósł sztandar Kościuszko, przy nim zaraz objął obowiązki adjutanta. W bitwie pod *Maciejowicami* 1794 roku, ranny dostał się do niewoli, i zawieziony do Petersburga, gdzie po dwóch latach uwolniony, wraz ze swym wodzem przybył do Szwecji, ztąd do Anglii, a wkrótce do Ameryki popłynął.

Zimę całą w roku 1797 na 1798 razem przepędzili w Filadelfii, gdy przysłała wiadomość o śmierci króla Stanisława Augusta. Na wiosnę Kościuszko wyjechał do Francji, a Niemcewicz sam pozostawszy, pożyczony od Jeffersona wice-prezydenta Stanów-Zjednoczonych sto talarów, odbył za nie podróż po Ameryce, spisał jęj *Dziennik*, z którego mamy tylko mały ustęp p. n. „*Wiadomości o Waszyngtonie*.” (W *Wyborze pisarzy polskich Mostowskiego*).

Wtedy to poznał wdowę po przyjacielu Kościuszki, Lingvingston Kean i tę poślubił zrzekając się wszelkiego jęj majątku. Mając pierwsze potrzeby życia zapewnione, żył szczęśliwie na małym folwarczku, oddając się pracy gospodarskiej. Tak przeszły mu dwa lata pierwsze pożycia, i jak sam pisze:

„Spokojny i bezpieczny, pod skromną swą strzechą,
Praca była ucieczką, sumienie pociechą;

wydrukował w większym formacie 1820 r. jako tomy VII, VIII i IX, poemat ogromnych rozmiarów, obejmujący te trzy części wierszem białym p. n.: *Ród ludzki z dziesięcią stalorytami*. Publikacya ta dziś należy do rzadkości bibliograficznych.

Zorza mnie zastawała nad mym polnym zbiorem,
A domowe ognisko czekało wieczorem.“

W roku 1802 otrzymał Niemcewicz smutną wiadomość, że ojciec mu umarł i wezwanie, ażeby dla interesów familijnych przybywał co rychléj. W lipcu opuścił Amerykę i powrócił do kraju, odwiedził *Puławy* i w *Końsko-Woli* witając dawnych przyjaciół, znalazł proboszczem Franciszka Zabłockiego, który po śmierci ukochanej żony, przywdział suknię zakonną, a *Kniaźnina* w obłąkaniu umysłu. Bawiąc zimę w Warszawie, był przy zawiązku Towarzystwa Przyjaciół Nauk i został jednym z pierwszych jego członków. W roku 1803 odebrawszy spadek, wyjechał do Francyi i w Paryżu trafił właśnie na zmianę rzeczypospolitęj na cesarstwo. Porzucił tę stolicę świata, i na amerykańskim okręcie, przybył szczęśliwie do *Norfolk* w Wirginii, z kąd powrócił do żony i ulubionego domku, gdzie lat trzy w spokojnej zaciszy przebył.

Kiedy niespodzianie Napoleon I ogłosił Księstwo Warszawskie w 1806 roku, Niemcewicz otrzymawszy list od Stanisława Małachowskiego marszałka czteroletniego sejmu, który wzywał go jako dawnego posła inflanckiego, do stawienia się w kraju, pospieszył do Polski, gdzie mianowany został sekretarzem senatu i członkiem komisyi edukacyjnej. Po utworzeniu Królestwa Polskiego na kongresie Wiedeńskim 1815 roku, Niemcewicz pozostał na urzędzie sekretarza senatu.

Oddany pracom literackim nabył pod Warszawą w pobliżu Willanowa mały folwarczek, który nazwał *Ursynowem*, i zamyślał resztę w nim dni sędziwych przepędzić. Tu go odwiedzał Juliusz Słowacki, i żywe wyniósł wspomnienia. Inaczej jednak losy zrzędziły. We wrześniu 1831 roku opuściwszy Warszawę, dnia 21 maja 1841 roku, mając lat 83 wieku, zakończył życie, w obecności przyjaciela lat młodych generała Kniaziewiczza, który stojąc nad jego grobem pragnął być razem z Niemcewiczem pochowany. Stało się wkrótce zadosyć życzeniu i woli znakomitego wojownika, bo gdy niedługo sam zmarł, zwłoki jego na cmentarzu w *Montmorency* obok zgasłego autora *Spiewow historycznych* spoczęły. W kościółku parafialnym w *Montmorency*, mają obaj pomniki obok siebie, dłuta znakomitego rzeźbiarza Władysława Oleszczyńskiego, w którym rok rocznie msza się za dusze zmarłych tych dwóch mężów, w dniu śmierci Niemcewicza odbywa.

Niemcewicz lubo jest jedném z tych ogniw, które łączyły wiek XVIII z naszym stuleciem, na polu literackim sam szedł z postępem czasu i rozwijających się nowych idei. On pierwszy przed Mickiewiczem dał nam poznać *Ballady* angielskie w swoim przekładzie, a co ważniejsza wskrzesił nam pamięć starożytnych pieśni dziejowych, przez swoje *Spiewy historyczne*.

Pierwsze ich ukazało się wydanie ozdobne z nutami i stałorytami w roku 1816, odbite w drukarni T. Mostowskiego, która pierwszeństwo pomiędzy zakładami typograficznymi w Warszawie utrzymała.

Na czele co do ilustracyi ośmiu śpiewów, pełnych życia dramatycznego postawić musimy księżnę E. Sułkowską, dalej Laurę Potocką i C. Dembowską. Melodye dostarczyły: Cecylja Beydale, hrabina Chodkiewiczowa, F. Kochanowska, panna Konstancya Narbuttówna, panna Salomea Paris, Laura Potocka, pani Szymanowska słynna fortepianistka, a matka żony Mickiewicza; księżna Marya z Czartoryskich Württembergiska, autorka pierwszej powieści polskiej: *Malwina czyli domysłność serca*, i *Zofia z Czartoryskich Ordynatowa Zamayska*¹⁾.

Tak pożądane dzieło, wprędce rozchwytnie zostało, i autor musiał je w następnych wydaniach kilkakrotnie powtarzać. Niemcewicz w przemowie do pierwszej edycyi tłumaczy się z powodu ogłoszenia tych śpiewów z objaśnieniami historycznymi.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk ogłosiło prospekt do pisania historyi narodowej, i praca ta rozebrana została pomiędzy wielu pisarzy; ale będzie musiała zająć przeciąg czasu niemały. Poważny wszakże wykład dziejów, nie tak łatwo przystaje do młodej pamięci jak w krótkiej a udatnej pieśni. Z całą skromnością mówiąc o swoich *Śpiewach*, żywi błogą nadzieję, że one znajdą gościnne przyjęcie u ognisk domowych, a tym sposobem główny cel jaki sobie założył spełnion zostanie.

Pierwszą myśl do nich powziął Niemcewicz w dniach swęj młodości, jak to widzimy ze zbioru jego pism w wydaniu Mostowskiego, (dwie dumy o Żołkiewskim i Stefanie Potockim); ale żeby całość z tego ułożyć, postanowił dopiero za powrotem z Ameryki w 1809 roku, na wyraźne żądanie Towarzystwa Przyjaciół Nauk. „Trzeba było (mówi sam Niemcewicz) tak silnych pobudek, jakeimi zachęcony byłem przez Towarzystwo królewskie, by w wieku moim podjąć się opiewać te czyny waleczne, tę świetną odwagę, które jak są krzepkiej i żywěj młodości udziałem, tak przez nią najlepiejby opiewanemi były.“ (Liczył w 1816 roku lat 59 wieku). Siedem lat potrzebował do wykończenia ostatecznego wydania ozdobnego.

„W kraju jak nasz (pisze autor) pozbawionym artystów, osobliwie sztycharzów, pozbawionym papieru i w. i. potrzeb, gdzie wszystko z zagranicy sprowadzać, wszystkie ryciny zagranicą wykonywać przychodziło, wydawca nieskończonych trudności, zwłok i nakładów doznawać musiał. Publiczność zastanowiwszy się nad tylu przeci-

¹⁾ Melodye dostarczyli do tegoż dzieła Karol Kurpiński, hrabia Rzewuski i żyjący senator Franciszek Skibicki.

wieństwami, opóźnienie w wydaniu dzieła tego zechce darować.“ Niemcewicz korzyść całą po potrąceniu kosztów wydawnictwa, poświęcił na rzecz Towarzystwa Przyjaciół Nauk: „żadnym funduszem, żadnym niwspartego zasileniem,“ jako sam wyraża.

W długim przeciągu zawodu literackiego, bo przeszło lat sześćdziesięciu, i ciągłej działalności na tém polu Niemcewicza, trzy głównie kierunki uwydatnione widzimy: liryka, sztuka dramatyczna, i rozpowszechnienie wiedzy historycznej o przeszłości dawnej narodu.

Zwolennik sceny pojmował doskonale wysokie znaczenie teatru, z tego powodu oddawał się z upodobaniem literaturze dramatycznej. Do najpierwszych utworów jego należy komedia *Powrót posła*, którą w młodym wieku napisał będąc posłem inflanckim na wielkim sejmie. Jestto arcydzieło Niemcewicza, wyborne, wierne zwierciadło typów zagastych z przeszłości, które w niem przechowane zostały. Do wszystkich utworów dramatycznych brał wątek i osnowę z dziejów krajowych; w tragedyi *Zbigniew* wprowadził szczęśliwie chóry, i pierwszy raz na scenie zabrzmiała starożytna pieśń *Boga Rodzica*. Pomysł tego dramatu i plan cały gdyby był odpowiednio wykonany, postawiłby ten utwór na czele wszystkich tragedyi polskich.

Badał Niemcewicz starannie ducha swój społeczności i jój potrzeby duchowe w danój chwili. Tak w 1812 roku wydał *Listy liwewskie*, w 1816 *Śpiewy historyczne*, w 1821 *Zbiór pamiętników o dawnej Polsce*, i równocześnie gdy liczne głosy podniosły się dowodzące naglącej potrzeby reformy żydów, rozgłośny romans *Lejbe i Siora*, w którym w najdrobniejszych szczegółach wykazał ich potworne przesady i zabobony. Gdy Walter-Skott dał przykład i popęd do powieści historycznych, w których kreśleniu ten wielki mistrz tak był nieporównanym, Niemcewicz napisał *Jana z Tenczyna*, jedną z najlepszych powieści historycznych z okresu do 1830 r.

Rzadko któremu z pisarzy naszych dozwoliła Opatrzność być świadkiem tylu zmian własnego kraju i brać w nich udział przeważny, jak Niemcewiczowi. Woronicz śpiewak *Sybilli*, on natchniony poeta urodzony z nim w jednym roku, w stanie duchownym, nie miał pola tak otwartego jak autor *Śpiewów historycznych*. Ten wychowany w ciepłej jeszcze atmosferze tradycyi czasów saskich, współczesny Krasickiego, Naruszewicza, Trembeckiego, Kniaźnina, Zabłockiego i wielu innych, przeżył całe panowanie Stanisława-Augusta, rozbiuru kraju, przeżył okres Księstwa Warszawskiego i Królestwa, doczekał się w końcu epoki odrodzenia literackiego, epoki Brodzińskiego i Mickiewicza, będąc świadkiem gorącej walki klasyków z romantykami i zwycięstwa tych ostatnich.

Kiedy stale osiadł w Warszawie, biorąc udział w pracach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, przyjął na siebie obowiązek napisania dziejów panowania Zygmunta III i potem rozpoczynając studia i poszukiwania w zamożnej bibliotece Willanowskiej hr. Potockich,

nie spuszczał z oka działań samego Towarzystwa. Pragnąc zaś nadać mu więcej życia i pożytku dla duchowych potrzeb społeczności, w roku 1815, a zatem na jedenaście lat przed zgonem Staszica i zanim sam objął godność prezesa zgromadzenia, z łona jego członków utworzył nowe Towarzystwo, któremu przepisał oddzielną ustawę.

Powodem do tego kroku Niemcewicza, była gorąca chęć obudzenia większego życia w głównych gałęziach literatury krajowej, za jakie uważał: ojczyste dzieje, literaturę piękną, sztukę dramatyczną i krytykę. Niechcąc zaś osłabiać wpływu samego Towarzystwa Przyjaciół Nauk i jego powagi przez rozdział, a za tem idącą niezgodę, ale je podnieść, zebrał grono członków w bliższych z nim stosunkach zostających i silniejszymi spoił je ogniwami. Wpływ bowiem przeważny Albertrandego dobrze pamiętał, który paraliżował i stawiał zawady należytemu rozwojowi uczonego grona.

Podajemy wspomnianą ustawę w całości, jako dokument nikomu nieznany, dosłownie z autografu, który mamy przed oczyma.

„Kilku przyjaciół ojczystego języka postanowiło połączyć wspólną usilność i pracę, w celu rozkrzewienia i zbogacenia literatury krajowej. Osoby do tego związku wchodzące, zamierzają sobie:

1. Czytać w gronie dobranej własne stowarzyszonych lub innych rodaków dzieła, w różnych literatury gałęziach wierszem lub prozą, oryginalne lub z obcych języków tłumaczone albo naśladowane, a to w celu zasiągnięcia o nich bezstronnego zdania.

2. Starać się o pomnożenie liczby sztuk dramatycznych w języku polskim, i pisania ich podług planu poprzedniczo w Towarzystwie rozbieranego i przyjętego, bez krępowania w téj mierze woli autora.

3. Czynić rozbiory dzieł tak krajowych jak obcych, poddawać je pod sąd Towarzystwa, końcem umieszczania ich w dziennikach polskich.

4. Dawać zdanie bezstronne o sztukach na Teatrze narodowym przedstawianych, tak co do ich treści jako i co do gry aktorów, a to w celu, jeżeli zajdzie zezwolenie Towarzystwa, umieszczania ich w gazetach krajowych.

5. Cwiczyć się w czystym wysłownieniu polszczyzny, unikając używania innego języka na posiedzeniach. Dla porządnego odbywania prac swoich, postanawiają stowarzyszeni następujących trzymać się prawideł:

6. Jeden z grona przyjaciół wybrany, kierować będzie pracami, wyznaczać dni posiedzeń i pilnować utrzymywania protokołu przez członka na to wybranego.

7. Liczba stowarzyszonych tymczasowo do dwudziestu się ogranicza. Każdemu stowarzyszonemu wolno jest podawać przez kierującego osobę na członka. Kierujący nie wydając podawającego, proponuje ją kolegom, a Towarzystwo stanowi o przyjęciu lub nie, większością dwóch trzecich części zdań wszystkich członków Towar-

rzystwa przytomnych w Warszawie, lub nie przytomnych, lecz w kraju znajdujących się.

8. Stowarzyszony oddalający się od miejsca posiedzeń, wezwany będzie przez kierującego do jakiegokolwiek pracy, stosownej do celu Towarzystwa i sposobności stowarzyszonego.

9. Stowarzyszony, który przez ciąg roku nie przyniesie na posiedzenie dzieła jakiegokolwiek, do celu Towarzystwa stosownego, albo nie doniesie kierującemu o rzeczywistém zaprzątzeniu się pracą jaką literacką, przestanie być członkiem Towarzystwa, lecz na nowo obranym być może.

10. Każdy stowarzyszony obowiązuje się honorem i uczciwością, nie wyjawiać czynności Towarzystwa jak za zgodą onego.

11. Towarzystwo nigdy inaczéj stanowié nie będzie sądu o dziełach, rozbiórach i zdaniach na posiedzeniu czytanych, równie jako i o wyborze członków kierującego i trzymającego pióro, jak tajnemi kreskami.

12. Kierujący ma prawo za zgodą Towarzystwa zaprosić osoby dostojne na szczególne posiedzenia, na których jednak w przytomności osób do Towarzystwa nienależących, nic stanowioném nie będzie.

13. Odmiana, poprawa lub rozwinięcie niniejszój ustawy nastąpić nie może jak na propozycję kierującego. Towarzystwo stanowi o tém, większością dwóch trzecich części członków swoich w kraju przytomnych.

14. Urzędowanie kierującego i trzymającego pióro trwać będzie miesiący trzy.

15. Celu zamierzonego życzą sobie stowarzyszeni osiągnąć w skromném utajeniu, nie przybierając nazwiska uczonego Towarzystwa, ani nadając tytułu jakiegobądź związkowi swojemu. Gorliwe ojczystój literatury zamikowanie, przyjaźń, wzajemna ufność, czynne przykładanie swojój, a bezstronne sądzenie cudzój pracy, będą ich podniętą, wsparciem i jedynym działanią sposobem.

w Warszawie, dnia 4 maja, 1815 roku.

Niemcewicz J. Lipiński J. F. Tarnowski J. M. Fredro F. Morawski, Stanisław Plater, Feliks Czacki, Adam Matuszewicz, Ludwik Plater, Tadeusz Matuszewicz, Józef Kossakowski, Ludwik Kropiński, A. Czartoryski, Kajetan Koźmian, Konstanty Plater, Biernacki, Linowski, Alojzy Feliński, T. Mostowski, M. Wyszkowski, Józef Sierakowski, Józef Załuski.

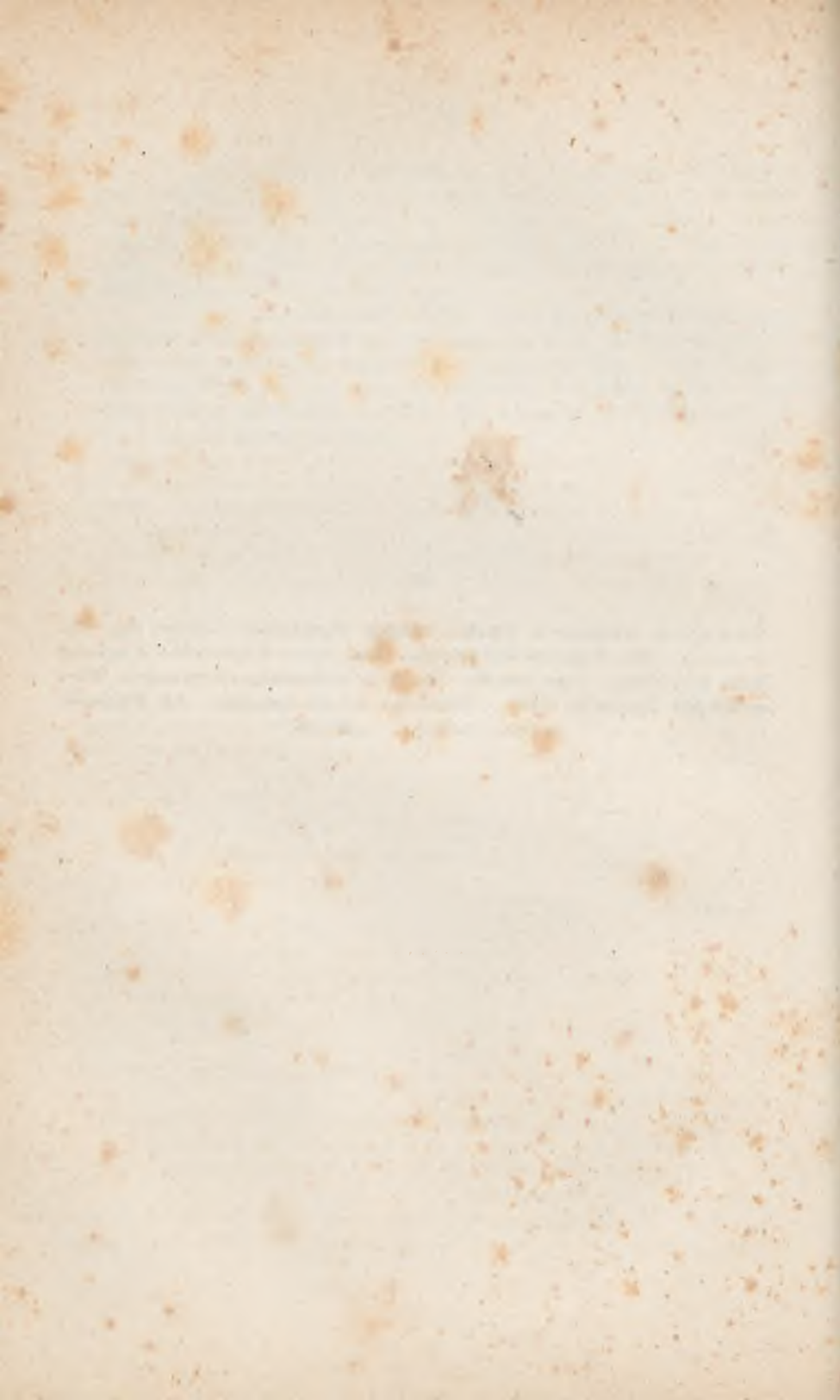
Z tych podpisów widzimy, że Niemcewicz znalazł dorazu 22-ch ochotników do zamierzonego stowarzyszenia literackiego, a wszystko przyjaciół i życzliwych sobie. Nie mamy księgi protokołów tego Towarzystwa, wnioskować tylko możemy, że od tego roku pojawiające się czasowo artykuły treści literackiej tak w gazetach jak następnie w *Pamiętniku Warszawskim*, oraz krytyki teatralne pod imieniem *X-ów* (Iksów) z tego grona wychodziły.

W całej działalności literackiej J. U. Niemcewicza widzimy talent niepospolity, w pomysłach nieraz genialność, lubo co do wykonania zabrakło odpowiedniej siły i umiejętności we władaniu formą i stylem poetycznym. Język nie wszędzie poprawny, lubo wiersz płynny, co przypisać należy długiemu pobytowi zagranicą i brakowi studyów pisarzy XVI stulecia.

Krytyka poważna może wiele zarzucać „Dziejom panowania Zygmunta III” i wykazać ich usterki, ale obok tak ujemnej strony, musi zarazem wyznaczyć, że z równą sztuką pisarską, z tylą obrazami malowniczymi i pełnymi wymowy ustępami, literatura polska nie postawi obok tej pracy żadnego dzieła historycznego, z równymi zaletami aż do czasów Karola Szajnochy.

IV.

Towarzystwo Naukowe w Płocku.—Biskup Prażmowski.—Ustawy tego Towarzystwa.—Ks. Wojciech Szweykowski. List jego.—Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie. Jego ustawy.—Roczniki królewskiego Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk. Ważniejsze w nich rozprawy. Jan Woronicz.
„Hymn do Boga.” „Sybilla.”



W pięć lat po utworzeniu w łonie Towarzystwa Przyjaciół Nauk nowego stowarzyszenia przez Niemcewicza, w roku 1820 utworzyło się Towarzystwo Naukowe przy szkole wojewódzkiej płockiej.

Pierwsza myśl tego wyszła z Towarzystwa Przyjaciół Nauk i jeden z jego członków, biskup płocki Prażmowski stanął jako prezes na czele. Towarzystwo to licząc na pomoc Warszawskiego, przepisało sobie ustawy, które na zebraniu swoim w dniu 3 czerwca 1820 roku przyjęło ¹⁾. Szesnastu członków takową podpisało: pierwszy biskup Prażmowski, ostatni jako sekretarz Kajetan Morykoni.

Energicznie zabrano się do wprowadzenia w życie powziętej myśli, Prażmowski rozwija tu wielką działalność. Zaproszono na

¹⁾ Podajemy takowe z autografu dosłownie:

„*Ustawy Towarzystwa Naukowego przy Szkole wojewódzkiej w Płocku.* Aby upowszechnić i wznosić ile możność dozwoili oświecenie w kraju, zbiera się Towarzystwo Naukowe przy Szkole wojewódzkiej w Płocku, które w miarę szczęśliwego wzrostu zakreślać sobie może obszerniejsze postępowania zawody, w początku jednak, dla zbliżenia skutku przedsięwzięcia, następującymi działaniami swoje ogranicza przepisy:

§ I. *Zamiar Towarzystwa.*

1. Towarzystwo za główny cel staranności postanawia zebrać i opisać *dokładny obraz województwa Płockiego*. Wzywając przeto pomocy wszystkich obywateli, zamyśla:

- a) Zgromadzać wiadomości wyjaśniające pomniki dziejów narodowych, jakie w województwie znaleźć można.
- b) Opisywać rzeczy godniejsze uwagi, mogące służyć do publicznego użytku, albo do pomnożenia dotychczasowej z nich korzyści.
- c) Wystawiać we wszystkich względach potrzeby województwa dla polepszenia bytu mieszkańców.

2. Ułatwiając współobywatelom sposoby nabycia i rozszerzenia pożytecznych wiadomości, Towarzystwo starać się będzie:

- a) Zaprowadzić bibliotekę publiczną i księgarnię w Płocku.
- b) Podnosić niewiele dotąd znaczącą drukarnię Płocką.
- c) Zbierać naukowe zakłady, szczególniej co do pomników historycznych, albo płodów przyrodzenia.

3. Aby udzielać owoców usiłowań Towarzystwa Płockiego, a co będzie można przybliżyć się do zamierzonego celu, Towarzystwo wedle uznanej potrze-

członków tego Towarzystwa znane znakomitości. Czcigodny rektor uniwersytetu warszawskiego ksiądz Szweykowski, po otrzymanej odezwie, w tych słowach odpowiada:

„Wezwanie szanownego Towarzystwa pod dniem 3 czerwca r. b. odebrałem z uczuciem, jakie nielada zdarzenie zrodzić może w sercu

by, wchodzić może w związki z innemi utworzonymi już w kraju naszym Towarzystwami naukowemi.

§ II. *Skład Towarzystwa.*

4. Towarzystwo składa się z *członków czynnych i korespondentów*, dla protekoyi zaś w działaniach swoich uprasza sobie *opiekunów*.

5. Na *członków czynnych*, wzywa Towarzystwo osoby, które przez dzieła swoje wsparły już, albo wesprzeć mogą zamiary Towarzystwa, tych szczególnie, którzy mieszkają w województwie Płockiem, albo z urzędu swojego do Płocka należą.

6. Korespondentami będą obywatele województwa Płockiego, którzy działania Towarzystwa, wiadomościami swojemi wspierać zechcą.

7. Na opiekunów zapraszani będą mężowie, wznoszący w kraju naszym nauki.

8. Każdy uczący w Szkole wojewódzkiej Płockiej, jak tylko żądanie swoje oświadczy, zostaje członkiem czynnym Towarzystwa.

9. Uczeń Szkoły wojewódzkiej kończący z chwałą klasy, może być obdarzony w Towarzystwie tytułem korespondenta, jeżeli zamiarom Towarzystwa dopomagać zechce, a zostanie członkiem czynnym jak tylko w pismach swoich złożonych Towarzystwu godnym się okaże.

§ III. *Obowiązki członków Towarzystwa.*

10. Obywatele województwa Płockiego, którym okoliczności dozwolą, jeżeli dopomagać zechcą zamiarom Towarzystwa, zbierając w okolicy swojej potrzebne do prac przedsięwziętych wiadomości i materiały, a przesyłając je Towarzystwu czy tylko do opisania, czy też sami robić będą dokładne postrzeganych rzeczy opisy, raczą przyjmując tytuł członków korespondentów Towarzystwa.

11. Członki czynne Towarzystwa, składający w niem radę, tak pracę podzielać będą, ażeby każdy ile możności raz przynajmniej co trzy lata, z jaką stosowną do zamiarów Towarzystwa robotą, czynność jego ubezpieczył.

12. Czynne Towarzystwa członki na pierwsze jego potrzeby składać będą po złp. 12 co pół roku. Mniej zamożnych a pożytecznych członków, rada Towarzystwa od téj daniny uwalniać może: wszystkie znowu większe ofiary, na fundusz przyjmuje.

13. Kto z członków czynnych lub korespondentów przez lat 6 ciągle nie uczyni żadnego zgłoszenia do Towarzystwa, a o śmierci jego nie będzie wiadomości, taki przestaje być umieszczony w liozbie składających Towarzystwo, dopóki jakiej nie zrobi odezwy.

ludzkiem. Jeżeli bowiem sama wiadomość o powstających instytucjach, szerzenie światła za cel mających, niemoże być dla miłośników nauk obojętną; tedy wezwanie tak dla mnie chlubne od Towarzystwa, związanego przy tój szkole, i po części przez tych członków z którymi razem na jednój niwie zbierałem pośrednie zasługi zawodu me-

§ IV. *Prace i posiedzenia Towarzystwa.*

14. Towarzystwo dwa do roku a przynajmniej jedno publiczne posiedzenie odbywać będzie, to jest w dzień świętego Józefa łącznie z uroczystością *Miłosierdzia Szkolnego* (?), a drugie w ciągu roku, kiedy najdogodniej wypadnie.

15. W każdym publicznym posiedzeniu, oprócz przypominania zawsze celu Towarzystwa, podany będzie raport jego czynności, a nadto czytowane będą prace członków Towarzystwa, albo po zgonie którego opisy, co w Towarzystwie zrobił.

16. Każdą pracę która ma być z Towarzystwa publiczności udzielona, autor powinien oddać do przejrzenia radzie, a ta postanowi, czyli dzieło w jego imieniu ogłoszone zostanie. Przez ten jednakże warunek nie tamuje się wolności piszących, ogłaszaniu robót własnych lub wynalazków, ale już nie w imieniu Towarzystwa.

17. Jeżeli fundusze dozwolą, rzeczy ważniejsze z pism oddawanych Towarzystwu, jako też każdoroczny obraz czynności Towarzystwa drukowane być mogą.

18. Rada Towarzystwa do której wszyscy członkowie czynni należą, zbiera się w każdą ostatnią niedzielę miesiąca, albo w poprzedzającą ten dzień sobotę; nadzwyczajnie zaś, kiedy tego wypadnie potrzeba. Komplet rady stanowi siedm osób.

19. Na posiedzenia rady, rozdają się wyznaczonym członkom podane do roztrząśnienia prace, a po wysłuchaniu o nich raportu, lub po odczytaniu całego dzieła, decyzya następuje.

20. Posiedzenie rady ustanawia porządek sesyj publicznych, wykazuje rzeczy potrzebujące szczególnież zwrócenia uwagi pracujących członków, stanowi we wszystkich materyach ekonomicznych.

21. Gdyby kto z członków Towarzystwa przyjmujący do obrobienia jakie dzieło, wyznaczanych przez siebie terminów uchybił dwa razy, robotę swoją nadal innemu odstąpić musi, wyjąwszy konieczne odwłoki przyozyn.

§ V. *Rząd Towarzystwa.*

22. Towarzystwo większością zdań wszystkich członków, wybiera Prezesa, wzywa członków czynnych, zaprasza na opiekunów. Do tego niekoniernie potrzeba osobistój przytomności, ale przez korespondencyą zdania zbierane być mają.

23. Prezes Towarzystwa raz wybrany, piastuje ten urząd dopóki go nie złoży.

go nauczycielskiego, nie mogło nie wzbudzić we mnie uczuć nadzwyczajnych.

„Jakkolwiek że wysoki tytuł ofiarowany mi od Towarzystwa, każe się domyślać wyższych nad możność moję obowiązków, z tém wszystkim i świętość zamiaru i wdzięczność za zaufanie, nakazują

24. Prezes oddalający się z miasta Płocka, wyznacza do zastępowania siebie w radzie Towarzystwa, jednego z czynnych członków; gdyby zaś nie mógł przewodniczyć publicznie zgromadzeniu, rada jakiego z czynnych członków lub opiekunów Towarzystwa wcześniiej uprosić powinna do zastąpienia w publiczności obowiązków prezydującego.

25. Protokół każdej czynności rady zapisywany będzie przez jednego z członków, który dokładne pełnienie wszystkich obowiązków sekretarza przyjmie na siebie, przez rok przynajmniej cały, a to dlatego, aby mógł mieć ciągłą spraw Towarzystwa znajomość.

§ VI. *Biblioteka i księgarnia.*

26. Na zakład biblioteki, Towarzystwo wszystkie przyjmuje ofiary od członków swoich i od każdego ze sprzyjających naukom.

27. Starać się wypadnie ażeby biblioteki instytutów publicznych w Płocku zebrane zostały do jednej biblioteki publicznej wojewódzkiej.

28. Osoby chcące brać książki do domu, a nie mające innego prawa używania z biblioteki publicznej, na jój utrzymanie składać będą po złp. cztery oo miesiąc.

29. Nie należący do Towarzystwa a chcący w bibliotece czytywać pisma peryodyczne i inne książki z biblioteki, płacić będą po złp. 18 na rok: uczniowie jednak wolni od téj opłaty.

30. Przychód z biblioteki od czytających zbierany, obracany będzie na opał biblioteki, światło, posługę, oprawę książek, szafy i opłatę pism peryodycznych, jak wiele wystarczy.

31. Biblioteka otwarta będzie po dwie godziny cztery razy w tydzień, dla czytania pism peryodycznych, a dwa razy na tydzień dla tych, którzy mają czytywać w domu.

32. Może jeszcze Towarzystwo przez kredyt w drukarniach albo przez zebrany od członków zasobny tymczasowy fundusz, sprowadzać potrzebne dla okolicy Płocka na sprzedaż książki, a zysk ztąd będzie korzyścią biblioteki.

33. Gdyby tym sposobem fundusze Towarzystwa biblioteczne znacznie wzrosły, może być utrzymany oddzielny bibliotekarz za umówioną opłatą. Pierwój zaś członki Towarzystwa tę pracę podzielać muszą, a do tego wybieranym będzie wydział biblioteczny, w którym rektor i professor bibliotekarz szkolny, a urzędu miejsce mieć powinni.

34. Dalsze przepisy biblioteczne, szerególniej oo do czytania książek wyjęte będą z wewnętrznego urzędzenia szkół wojewódzkich, w artykule: „urządzenie biblioteki” na karcie 45 i dalszych, z zastosowaniem jednak do okoliczności miejscowych i do przepisów Towarzystwa.

stosować się do woli szanownego Towarzystwa. Oby Opatrzność dozwoliła założycielom tej pociechy, a mnie najmilszej słodyczy, iżby Towarzystwo nasze płoćkie zakwitło jak najpomyślniej, iżby wydało owoc obfity, a tém samém stało się hasłem dla wszystkich okolic Polski, aby wszędzie łącznemi siły starano się rozszerzać i podwyższać oświatę w narodzie.

Dan w Warszawie d. 10 października 1820 r.

Ks. Wojciech Szweykowski rektor królewskiego Warszawskiego Uniwersytetu, kanonik katedry płoćkiej, członek komisji rząd. W. R. i O. P., doktor teologii i członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego i Krakowskiego."

Na opiekuna zaproszono Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk. Odebrawszy tę odezwę Staszic jak i wszyscy członkowie, z wdzięcznością ten dowód braterskiej ufności przyjąwszy, bezwzględnie odpisali. Podaję z autografu który posiadam, dosłownie tę odpowiedź:

„Czytając Towarzystwo Królewsko-Warszawskie Przyjaciół Nauk, ustawy sobie udzielone Towarzystwa naukowego, które się w roku bieżącym zawiązało przy szkole wojewódzkiej płoćkiej, między opiekunami przez rzeczzone Towarzystwo zapraszanymi, i siebie postrzegło. Za ten dowód zaufania ma Towarzystwo królewskie sprawiedliwy powód do wdzięczności dla Towarzystwa naukowego w Płocku, i oświadcza gotowość swoje usługi gdzie dobro i sława narodowa

§ VII. *Drukarnia płoćka.*

35. Nic z Towarzystwa nie będzie drukowane tylko w Płocku, korektę dzieł takich członkowie Towarzystwa wezmą na siebie.

36. Dobrze także będzie, jeżeli papier sam, tylko z fabryk płoćkich używany zostanie.

§ VII. *Muzeum.*

37. Każdą osobliwość natury, pomnik historyczny, albo jakąbądź rzecz naukową, Towarzystwo z wdzięcznością do składów swoich przyjmuje.

38. Muzeum Towarzystwa połączone być może z muzeum i gabinetami szkoły wojewódzkiej, ale starać się wypadnie o wolność nadania tym składom tytułu: *Muzeum województwa Płoćkiego.*

39. To muzeum dla okazywania publiczności, w pewne czasy otwierane być może.

§ IX.

40. Szczególnie przepisy uzupełniające te ustawy, rada Towarzystwa stanowić może, bez naruszenia jednak pierwotnych zamiarów; każdą zaś w ustawach zmianę lub znaczny dodatek, większość tylko zdań wszystkich członków postanawia.

41. Sporządzona zostanie księga, w której zapisywać się będą wszystkie zbierane ofiary i wszystkie dla Towarzystwa wypracowane dzieła, a przez sąd jego przyjęte i potwierdzone.

tego wymaga. Wspierane chęci w zamiarze szlachetnym, bez korzyści ogólnej zostać nie mogą. Słodkie są trudy naukowe, gdy świetność ojczyzny i jej dobro jest jedynie na widoku usilności pracujących. Przy takich zamiarach znajdzie Towarzystwo naukowe płockie i ochoczych pomocników i godnych siebie naśladowców.

W Warszawie, dnia 30 listopada 1820 r.

Prezes Towarzystwa, *Staszic*

Sekretarz Towarzystwa, *Ks. Edward Czarniecki.*"

Żałować przychodzi że nie znamy dalszego rozwoju i prac podjętych przez Towarzystwo Naukowe Płockie. Z członków jego przeszli w pamięć dziejów literatury krajowej, oprócz prezesa, profesorowie Augustyn Żdźarski, Andrzej Kucharski i Hipolit Gawarecki, który do dziejów Mazowsza wiele zebrał i wydał ważnych materiałów.

Wcześniej, bo na lat dwa przedtem zawiązało się Towarzystwo Lubelskie Przyjaciół Nauk. Zebrane grono obywateli tak nam cele swoje objaśnia.

„Długo miłośnicy nauk w województwie Lubelskiem ubolewali, że przy niemożności połączenia sił swoich i bez wzajemnego udzielania swych myśli, nie mogli dość korzystnie naukowemu poświęcić się zawodowi; niedostateczna ich liczba w samym Lublinie, a trudność komunikacji z mieszkającymi na prowincyi, była temu przeszkodą. Zebranie się wreszcie „Rady obywatelskiej“ na posiedzenia swe w miesiącu maju roku 1818, tak długo oczekiwaną podało sposobność. Jakoż za staraniem kilku mężów, równie zaszczyconych pięknymi nauk zalety, jak gorliwych o skutek tych zbawiennych zamiarów, pierwsza zawiązka Towarzystwa tego, w samejże radzie, w dniu 23 miesiąca maja roku 1818 utworzoną zastała. Towarzystwo to, złożone wówczas z radców wojewódzkich, których imiona w poczcie członków, będą dla nich zawsze chlubną pierwszszą zasługą zaletą, z urzędników, nauczycieli wojewódzkich i niektórych wojskowych przybrało tytuł: „Towarzystwo Przyjaciół Nauk,“ a za cel działań swoich, nie tak wyższych nauk przedmioty, jak raczej pierwiastkową młodzieży instrukcją i staranność o rozkrzewienie nauk początko-

42. Gdyby kiedy Towarzystwu braknąć miało członków czynnych, własność jego zostanie własnością szkoły wojewódzkiej, a każdy z członków historią działań Towarzystwa, jego postępu i upadku, opisaną przez siebie, złożyć może do biblioteki z własnym jednakże podpisem.

Te ustawy i przepisy Towarzystwa Naukowego przy szkole wojewódzkiej płockiej, przyjęte zostały na pierwszym zebraniu się członków zakładających Towarzystwo. Dnia 3 czerwca 1820 r. Z szesnastu podpisów wyczytał tylko mogliśmy, oprócz już wyżej wymienionych następuje: Brzozowski komisarz oświecenia, Stanisław Dembowski pułkownik, A. Kobyłecki, ks. Kolumban Żagier, Grobicki i ks. Moszczeński.

wych w szkołach elementarnych wiejskich i miejskich, w zamiarze tym niniejsze ustawy, na dniu 21 miesiąca czerwca roku 1818 przyjęło. Aby zaś w zbawiennym tym zamiarze, z tém większą działać powagą, podało Towarzystwo raport Komissyi rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego, przedstawiający plan swój, która go zatwierdzić raczyła.“

Reskrypt téj władzy dosłownie przytaczamy.

„Rozważywszy nadesłane sobie ustawy zawiązującego się Towarzystwa Przyjaciół Nauk w województwie Lubelskiém, z prawdziwém ukontentowaniem widzi chwalebne gorliwych obywateli zamiary rozszerzania oświecenia przez najistotniejsze środki, a między innymi przez usiłowania mające ułatwić rozkrzewienie szkół elementarnych. Nie wąpi komissya rządowa, iż wytrwanie członków Towarzystwa w dążeniu do tak zbawiennego celu, znakomite przynieść może dla kraju pożytki, i tém chlubniejszym staną się wykonane ich prace, że będą mogły posłużyć na wzór i zachęcenie dla innych województw. W Warszawie, dnia 7 lipca 1818 r.“

Po upoważnieniu powyższém Towarzystwo powoli zorganizowawszy się, przepisało sobie *ustawy*, które daleko obszerniejszy obejmują program od Towarzystwa naukowego w Płocku; zbliżało się więcéj do Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego, a za główny cel wzięło oświatę ludową, przez popieranie i rozszerzenie szkółek elementarnych tak miejskich jak wiejskich. Ustawy te podajemy w przypisaniu, jako zajmujący i nauczający pomnik współczesnego okresu, a zarazem jako wspomnienie zacnych usiłowań obywatelskich ¹⁾.

¹⁾ USTAWY TOWARZYSTWA LUBELSKIEGO PRYJACIÓŁ NAUK.

R o z d z i a ł I.

Cel Towarzystwa i prace, które sobie zamierza.

Art. 1. Towarzystwo zakłada sobie za cel działań, dążenie do upowzechnienia oświaty w województwie Lubelskiém, a to szczególnież w rozkrzewianiu nauk początkowych w szkołach elementarnych miejskich i wiejskich.

Art. 2. W skutek tego członki Towarzystwa starać się będą:

- a) Nad wszelkimi metodami początkowej instrukcyi zastanawiać się i te do okoliczności miejscowych zastosowywać,
- b) Do zakładania szkółek miejskich i wiejskich zachęcać i ile możności, zaprowadzenie onych ułatwiać.
- c) Ułatwiać w takich szkołach sposobność czytania użytecznych książek i ich nabywania.
- d) Robić wyjątki z pism peryodycznych, mających związek z zamierzonym celem, i wiadomości takie Towarzystwu udzielać.
- e) Udzielać wszelkie pisma oryginalne w przedmiotach nauk i umiejętności.

Pierwszym prezesem tego Towarzystwa był Joachim Owidzki, wiceprezesem Andrzej Smolikowski, sekretarzem znany z nauki Jan Kanty Krzyżanowski; członkami, między innymi: Antoni Baranowski generał w. p., Leon Dembowski poseł, ks. Glass pastor, Stanisław Grabowski senator kasztelan, Wojciech Gutkowski podpułkownik inżynier, Kazimierz Nahajewicz professor, Rozenberg fizyk woje-

f) Przekładać na język ojczysty dzieła wzorowe, zwłaszcza takie, których upowszechnienie szczególnie byłoby użytecznym.

g) Ułatwiać funduszami swemi drukowanie dzieł użytecznych, których autorowie nie byłiby w stanie potrzebnychłożyć nakładów.

Art. 3. Dalszemu wzrostowi swemu zostawia Towarzystwo podział prac swoich na trzy działy, to jest: nauk, umiejętności i instrukcyi elementarnej.

R o z d z i a ł II.

Skład Towarzystwa i obowiązki członków.

Art. 4. Towarzystwo składa się z członków czynnych i honorowych.

Art. 5. Członków czynnych w Lublinie mieszkających obowiązkiem, znajdować się na każdym Towarzystwa posiedzeniu, lub o ważnej przyczynie, dla którejby przytomnemi być nie mogli, przydującego uwiadamiać: nieobecni zaś w Lublinie, lecz mieszkający w województwie Lubelskiem na dwóch przynajmniej corocznie posiedzeniach, znajdować się powinni.

Art. 6. Każdy członek czynny obowiązany będzie w przeciągu lat trzech wypracować jedną przynajmniej rozprawę oryginalną, lub złożyć przekład z obcego języka.

Art. 7. Nadto, wszelkie od Towarzystwa poleczone sobie czynności, jak najściślej i na czas oznaczony uskutecznić, a w przedmiotach dłuższego czasu potrzebujących, o postępie zdawać sprawę.

Art. 8. Na podejmowanie potrzebnych Towarzystwu kosztów, członkowie jego będą robić składkę, nie mniej jak po złp. 2 miesięcznie, która to opłata, przynajmniej ratami kwartalnymi ma być wnoszoną, za kwitem utrzymującego kasę Towarzystwa. Ze zaś dochód ten nie jest prywatnym Towarzystwa funduszem, ale raczej uposażeniem szkółek elementarnych w województwie, zaczęm i członki honorowe, obywatele tego województwa i zamieszkali w niem, składkę tę opłacać będą.

Art. 9. Każdy członek czynny, któryby dla zatrudnień powołania swego lub innych nie był w stanie złożenia Towarzystwu własnego płodu naukowego, w czasie przepisany, obowiązany będzie innym rodzajem ofiary przyłożyć się do celu Towarzystwa.

R o z d z i a ł III.

Art. 10. Towarzystwo dwojakie odbywać będzie posiedzenia: *zwyczajne i publiczne.*

Art. 11. Dwa będą corocznie publiczne posiedzenia, to jest w drugą niedzielę każdego konstytucyjnego zebrania się rady obywatelskiej.

wódzki, Jan hr. Suchodolski radca wojewódzki, Tomorowicz sztabs lekarz, Antoni Woelke późniejszy professor Uniwersytetu Warszawskiego i ksiądz Franciszek Zabłocki proboszcz w *Końskowoli*, słynny komedyo-pisarz XVIII stulecia, i uczestnik uczonych obiadów króla Stanisława Augusta.

Pomiędzy honorowymi członkami, czytamy na liście imiona znane w kraju: Grzymały senatora kasztelana, księcia Macieja Jabło-

Art. 12. Posiedzenia zwyczajne odbywać się będą co miesiąc, w pierwszą niedzielę każdego miesiąca, od godziny 10 z rana.

Art. 13. W miesiącach sierpniu i wrześniu, żadnego nie będzie posiedzenia, a natomiast przypadające w nich, przenoszą się na pierwszą niedzielę każdego konstytucyjnego zebrania się rady obywatelskiej.

Art. 14. Na posiedzeniach zwyczajnych nastąpi najprzód:

a) Odczytanie dziennika posiedzenia poprzedzającego.

b) Zapisanie imion członków obecnych.

c) Załatwienie przedmiotów, które i w jakim porządku, na ostatniem posiedzeniu uchwalone zostały.

d) Wniesienie nowych od prezesa i członków Towarzystwa, nakoniec:

e) Odczytanie dziennika wraz z listą obecnych, tudzież nieobecnych a niewymówionych i podpisanie tegoż przez prezesa.

Art. 15. Prezes może wstrzymać czytanie pisma nie odpowiadającego powadze Towarzystwa, lub dotyczącego osoby; wszelkie zaś pisma na posiedzeniach odczytane, powinny być w aktach Towarzystwa złożone.

Art. 16. Pisma składające się w aktach, powinny być zadekretowane, czy na posiedzeniu publicznem czytane być mogą. W czem, jak i we wszelkich innych przedmiotach narad, zdania głośne stanowią; na wniosek jednak którego z członków, kręskowanie tajemne miejsce mieć może.

Art. 17. Na publicznych posiedzeniach, najprzód czyniony będzie przez prezesa krótki raport z działalności Towarzystwa, tudzież ogłoszenie ubytych i przybyłych członków, tak czynnych jak honorowych; poczem nastąpi odczytanie celniejszych prac członków, których wybór i porządek czytania, na ostatniem posiedzeniu zwyczajnem ustanowiony będzie.

Art. 18. Gdyby prezes Towarzystwa rozprawę jaką napisał, téj nie będzie do raportu dołączał, ale ją w kolei członkom odczyta.

R o z d z i a ł IV.

Urzednicy Towarzystwa i ich obowiązki.

Art. 19. Towarzystwo ma swego prezesa, wiceprezesa, sekretarza, inspektora, archiwum i kassyera.

Art. 20. Urzednicy ci obierani będą co dwa lata z członków czynnych na posiedzeniu zwyozajnem w miesiaou czerwcu.

Art. 21. Obowiazkiem prezesa jest przydywac: a) na posiedzeniach i obrady zagajac, b) pisywac w imieniu Towarzystwa, odpowiadać, zapytywac, się i wraze potrzeby nadzwyczajne posiedzenia zwoływac; może nawet rozwegac

nowskiego, Kajetana Kozmiana radcę stanu, najgłośniejszego poetę pomiędzy klasykami, Stanisława Potockiego prezesa senatu i ministra oświecenia i Stanisława Staszica radcę stanu.

I o tém Towarzystwie Lubelskiém jak i o Płockiém dalszych wiadomości niemamy: nie znamy więc działań jego użytecznych po

jakiegokolwiek rzeczy, lecz raz tylko do następującego posiedzeniu odłożyć, *c)* równość zdań rozwiązywać, *d)* wyznaczać osoby do recenzji rozpraw i zdania o tychże raportu, *e)* na ostatniém publiczném posiedzeniu urzędowania swego zdawać sprawę z prac Towarzystwa, w tym ciągu czasu dokonanych lub przedsięwziętych.

Art. 22. Wiceprezes zastępuje prezesa w razie potrzeby, a w niebytności obudwóch, członek starszy, wyborem, a przy równości wyboru, starszy wiekiem na posiedzeniach przyduje.

Art. 23. Obowiązkiem sekretarza jest: *a)* być pomocą prezesowi, *b)* utrzymywać dzienniki posiedzeń Towarzystwa, *c)* mieć nadzor nad składem papierów, *d)* dozwolone wypisy z akt zgromadzenia zaświadczać, *e)* utrzymywać listę członków od założenia Towarzystwa, z wyrażeniem daty przyjęcia kżdego, *f)* na posiedzeniach wszelkie pisma do Towarzystwa lub prace członków nieobecnych odczytywać.

Art. 24. Inspektor archiwum mieć będzie pod swoim dozorem skład aktów Towarzystwa, ksiązek i wszelkich pism od sekretarza sobie oddanych i tego w niebytności zastępuje. Za powiększeniem się Towarzystwa i biblioteki, może mu być dodany bibliotekarz.

Art. 25. Kassyer trudnić się będzie poborem składki i wszelkich dochodów, zaspakając wszelkie wydatki, utrzymywać rachunki i składać je corocznie przed komisyją z trzech członków od prezesa wyznaczoną.

Art. 26. Wszelkie wydatki ozynione będą tylko za postanowieniem Towarzystwa przez większość głosów, z tych zaś znaczniesze jako to: na drukowanie dzieł, zakupienie ich i tym podobne, nie mogą być uchwalone jak na posiedzeniach przynajmniej z dwunastu członków złożonych.

Rozdział V.

O wyborze członków.

Art. 27. Wybór członków tak czynnych jak honorowych, uskutecznia się przed każdém posiedzeniu publiczném.

Art. 28. Na przedostatniém zwyczajném posiedzeniu, każdy z członków czynnych, podać może kandydatów na piśmie, z wyrażeniem ich zalet naukowych i zapewnieniem o chęci należenia do Towarzystwa.

Art. 29. Podanie takowe na posiedzeniu następném, ostatniém przed publiczném, roztrząsaném będzie, poczm przystępuje się do wyboru kandydatów, w czém większość głosów stanowi.

Art. 30. Prezes o zaszyłym wyborze kandydata uwiadomi przesyłając mu niniejsze ustawy, z wezwaniem aby przed, lub na samém publiczném posiedze-

ustaleniu, ani daty w której umilkło. Członkowie obu tych naukowych zgromadzeń dawno pomarli, a archiwa ich i zbiory poszły w rozsypkę.

Tymczasem Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie, coraz energiczniej zabierało się do pracy, we wszystkich gałęziach nauk, coraz też częściej zaczęły się pojawiać jego *Roczniki*.

niu złożył akt przyjęcia (akceptacyi); *czynny* zaś, aby sam znajdował się dla uroczystego wprowadzenia go w grono Towarzystwa.

Art. 31. Prezes, czyniąc raport na posiedzeniu publiczném i wymieniając członków nowoobranych, wspomni w krótkich słowach powody przyjęcia i wezwie czynnych do zajęcia miejsc w Towarzystwie.

Art. 32. Gdyby który z członków czynnych nowoobranych, dla ważnych przyczyn na posiedzeniu publiczném znajdować się nie mógł i nie przysłał przynajmniej aktu akceptacyi, będzie uważanym za niechcącego korzystać z okazanego mu przez Towarzystwo względu.

Art. 33. Komplet wszelkiego posiedzenia stanowi sześciu członków, wyborowego zaś dziesięciu, prócz prezesa i sekretarza.

R o z d z i a ł VI.

O wyborze urzędników.

Art. 34. Gdy urzędnicy Towarzystwa co dwa lata obierani być mają, zacząć w téj epoce, posiedzenie zwyczajne miesiąca czerwca zamieni się w *wyborowe*.

Art. 35. Prezes Towarzystwa może być obrany z mieszkających na prowincyi, któryby jednak miał łatwość przybyć w każdym razie potrzeby; inni zaś urzędnicy z miejscowych obierani być winni.

Art. 36. Wybór prezesa w następujący odbywa się sposób: a) sekretarz Towarzystwa przysposabia wcześniej listę wszystkich członków Towarzystwa na tyle rąk ile być może głosujących, i tę na posiedzeniu *wyborowém* każdemu doręczy; b) każdy z członków podkreśli na niej imię tego, którego prezesem mieć żyzy; c) większość kręsek wybór stanowi; w przypadku równości między dwoma, powtórne na nich kreskowanie nastąpi; gdy i to nie rozstrzygnie, starszy wiekiem pierwszeństwo otrzyma.

Art. 37. Wiceprezes takież obrany będzie sposobem; na inne urzędy prezes kandydatów przedstawia, obrani zaś mogą być prostą większością zdań głośnych; na wniosek jednak którego z członków, kręskowanie nastąpi.

Art. 38. W przypadku śmierci lub oddalenia się którego z urzędników, prezes wyznacza tymczasowego zastępcę, aż do nowego wyboru lub powrotu jego.

R o z d z i a ł VII.

O sposobie sądzienia pism.

Art. 39. Wszelkie pisma tak przez stowarzyszonych wypracowane, jakoteż nadesłane przez członków honorowych, lub osoby do składu Towarzy-

Pierwszy ich tom wyszedł w roku 1802 w drukarni księży Pija-rów. Na czele mieści odezwę Towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk, wraz z reskryptem króla pruskiego zatwierdzającym po-mienione Towarzystwo.

stwa całkiem nienależące, podpadają poprzedniczemu Towarzystwu roztrząsnie-niu, nimby cokolwiek względem nich postanowionem być miało.

40. Prezes odebrane pismo oddaje deputacyi z trzech osób do recenzyi wyznaczonej, która w czasie oznaczonym, to jest, według rozciągłości pisma, na następnem drugiem, lub trzeciem posiedzeniu, winna z niego zdać sprawę. Każdy członek oddzielnie winien podać na piśmie spostrzeżenia swoje, a jeden z deputacyi ułoży raport obejmujący dokładnie treść pisma, oraz zdanie i uwagi recenzentów.

Art. 41. Po odczytaniu uwag deputacyi, Towarzystwo stanowi, czy dzieło jak jest, ma być czytaniem na posiedzeniu publicznem, lub téż tylko do akt oddane, dla późniejszego użytku.

Art. 42. Jeżeliby zaś osądzono rzecz za potrzebującą poprawy przed dalszém z nią postąpieniem, wtenczas po roztrząszeniu na posiedzeniu, uwagi deputacyi udzielone będą autorowi, dla sprostowania miejsc wytkniętych.

Art. 43. Wolno jest autorowi nie przyjąć tych uwag, ale rzecz jego ani pod imieniem Towarzystwa drukowaną, ani na publicznem posiedzeniu czy-taną być nie może.

Art. 44. Jeżeliby zaś autor odwoływał się tylko, przeciwko uwagom recenzentów, do ogólnego zdania Towarzystwa, może żądać odczytania na po-siedzeniu zwyczajnem i pisma swego i uwag deputacyi, wówczas trzy czwarte części zdań nie głośnych, przyjęcie lub usunięcie pisma stanowią.

Rozdział VIII.

Przepisy dodatkowe.

Art. 45. Członki Towarzystwa przyrzekają sobie nawzajem, wszelkie oznaki szacunku i związku i w dowód tego, w przypadku ciężkiej słabości którego z członków, Towarzystwo mieć będzie potrzebną troskliwość o stanie zdrowia, a w razie i o potrzebach chorującego, w przypadku zaś śmierci, Towarzystwo w gronie, zwłokom towarzyszyć będzie.

Art. 46. We wszystkich przypadkach nieobjętych niniejszemi ustawami, Towarzystwo bierze za zasadę, w razie potrzeby stosować się do ustaw Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego.

Art. 47. Towarzystwo zostawia sobie władzę przejrzania tych ustaw co dwa lata i sprostowania niedogodności, do téj zaś epoki literalne onym po-słuszeństwo zastrzega.

Powyższe ustawy na posiedzeniu dnia 25 czerwca 1820 r. poprawione i zatwierdzone zostały. (Wydrukowane zostały wraz z listą członków czynnych i honorowych p. n. *Ustawy Towarzystwa Lubelskiego Przyjaciół Nauk*. W Lublinie, w drukarni Karola Pruskiego, roku 1820. Nakładem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w 8-ce. Broszurka ta dziś do rzadkości bibliograficznych należy).

Odezwę tę cechuje duch prawdziwie obywatelski i szczególna skroanność. Z niej czerpiemy wiadomości, że król pruski, będąc uprzedzonym iż jednemu z członków tego grona uczonych, polecono napisać dzieje narodu, pozwolił przejrzeć sekretne archiwum mistrzów krzyżackich w Królewcu: dalej że plan Komisyyi edukacyjnej pomimo zmiany rządu, otrzymał zasłużone pochwały, a w ostatku powiadamia Towarzystwo o ukończeniu przekładu w całości *Iliady* Homera, w części *Eneidy* Wirgiliusza, i Żywoty sławnych ludzi Plutarcha. Przymtem zaprasza wszystkich miłośników literatury krajowej o pomoc w opracowaniu terminologii naukowych i kończy w tych słowach:

„Niech każdy się przekona, że sława nauk jest najtrwalsza, że ośmielenie się do pracy, zwyciężenie nawet skromności, jest długiem należnym naukom ojczystym, a na ich ołtarzu złożona ważna i ucząca księga, daje mu niezaprzeczone prawo do wdzięczności obecnych i przyszłych pokoleń.“

Oprócz mów zwykłych przy zagajeniach zebrań i kilku rozpraw naukowych prezesa Albertrandego, w trzech tomach do roku 1804 które za czasów tak zwanych *pruskich* wyszły: mamy pochwały przez Stanisława Kostkę Potockiego, Józefa Szymanowskiego, Grzegorza Piramowicza; przez Franciszka Dmochowskiego, pochwałę Ignacego Krasickiego: przez Piotra Maleszewskiego mowę na obchód pamiętki Ignacego Zaborowskiego, obok prac astronomicznych Jana Śniadeckiego, jego sławną rozprawę o *Koperniku*; Tadeusza Czackiego o *Dziesięcinach*, i prace filozoficzne Józefa Kalasantego Szaniawskiego: „*O znamienitych systemach moralnych starożytnych*“, i „*System chrystyanizmu krótko wyłożony*.“ Autor ich był to jeden z głębszych myślicieli, świetny reprezentant *filozofii* przez ciąg dwudziestu lat prawie naszego stulecia. Towarzystwo Przyjaciół Nauk chętnie go w grono swoje policzyło, lubo później sam słyszałem, pełne gorczy wyrazy sędziwego J. U. Niemcewicza, zwrócone przeciw J. K. Szaniawskiemu. Skarga ta była słuszna, bo autor *Systemu chrystyanizmu*, nie po chrześcijańsku postąpił.

Utworky poetyczne znajdujemy tu także: przekład „listu Horacyusza do Juliusza Flora“, przez F. Dmochowskiego, i J. U. Niemcewicza „Dumą o Glińskim“, wraz z tłumaczeniem z angielskiego elegii Greya: „Na cmentarzu wiejskim.“

Nie możemy pominąć rozprawy Jana Kossakowskiego biskupa wileńskiego p. n. „Rzut oka na literaturę czeską, i związek języków słowiańskich.“

Pierwszy to głos od epoki Jagiellonów, przypominający nam braterstwo w duchu i języku z tym szlachetnym narodem, odżywienie pamięci owych dawnych a serdecznych stosunków, gdy z łona Czechii pierwsi przynieśli nam apostołowie wiarę chrześcijańską, gdy nas nauczyli nowego sposobu walczenia w obronnych *taborach*.

Spała wówczas cała Czechia snem letargicznym, pierwszy jój filolog Józef Dobrowski, bawił się naukowo ojczystą mową, po niemiecku ją studyując, jako umarłym językiem; rękopism *krółodworski* na wieży kościelnej w pyle zapomnienia się tarzał; nieobfity też zebrał plon Kossakowski, i tylko na dawną przeszłość tego narodu mógł się odwoływać.

W dniu 5 maja 1803 r. Jan Woronicz kanonik katedralny, odczytał na publiczném posiedzeniu rozprawę swoją: „*O pieśniach narodowych*.“ W niej głównie zwrócił uwagę na pieśni religijne zaczynając od *Boga Rodzicy* do Karpińskiego, pragnąc odżywić zarazem i pieśni historyczne, któreby pamięć świetniejszych zdarzeń z dziejów krajowych mogły rozpowszechnić i utrwalić. Głos to był poety kapłana, wymowny i porywający, a zarazem wskazujący, że znał lepiej od współczesnych całe bogactwo poetyczne z upłynionych wieków. W części życzenia Woronicza spełnił J. U. Niemcewicz „*Spiewami historycznemi*“, ale „pieśnioksięgu“ religijnego dotąd niemamy.

Tom czwarty *Roczników* pojawia się w roku 1807, już po ogłoszeniu Księstwa Warszawskiego; tak w nim jak i w czterech następnych znajdujemy więcej wierszopisarskich utworów Ludwika Osieńskiego i prawdziwą poezją natchniony ów przepyszny, wzniosły *Hymn do Boga* Woronicza. Pierwszy on raz wystąpił tu jako wieszcz narodowy, gdyż poemat swój *Sybillę*, jakkolwiek wykończony starannie ukrywał, i w jedenaście lat później, bo w roku 1818 jeden z przyjaciół wykradłszy drukiem ogłosił w staranném wydaniu, z godłem na czele:

„I odpuść nam nasze winy.“

Przepraszając autora, że nadużył jego zaufania, ale cel usprawiedliwił go w oczach każdego miłośnika literatury ojczystej. Woronicz mało za życia drukował, portret jego dał A. E. Odyniec w noworoczniku swoim: *Melitele* z r. 1830, wraz z jego wierszem p. n. *Słubny upominek*.

Z wydatniejszych prac zwracają uwagę: rozprawy ks. Ksawerego Bohusza: „*O początkach narodu i języka Litewskiego*“, i Staszica „*O ziemiorodztwie gór*.“

Tom VIII w roku 1812 wydany składa się z dwów części: druga obejmuje opis uroczystości obchodzonej dnia 22 grudnia 1809 roku, po oswobodzeniu Księstwa Warszawskiego od napadu armii austriackiej.

W żadnej chwili życia nie był równie wymownym Stanisław Kostka Potocki, jak gdy pisał *Pochwałę walecznych*, którą odczytał na tém zebraniu, ani J. K. Szaniawski, gdy wskrzeszał pomiegć poległego przyjaciela Cypryana Godebskiego, ani Ludwik Osieński nigdy nie uczuł wyższego natchnienia poetycznego, gdy kreślił swoją *odę*, czcąc w porywającym wierszu tych samych, o których przemawiał Potocki.

Wydawnictwu tego tomu już towarzyszył daleki grzmot dział i okrzyk wojenny, jako smutna wróżba upadku Napoleona Wielkiego.

Zmęczona społeczność nasza w śród téj zawieruchy światowej, tęskném okiem spoglądając w około, wyglądała z biciem serca, jak się zakończy ten straszny a krwawy dramat. Po dwóch latach, przecież pokój zawitał, i każda pierś odetchnęła swobodniej.

The first part of the book is devoted to a general survey of the history of the world, from the beginning of time to the present day. The author discusses the various stages of human civilization, from the primitive state to the modern world. He also touches upon the different religions and philosophies that have shaped human thought and action.

In the second part, the author focuses on the political and social developments of the modern world. He examines the rise of nation-states, the impact of the Industrial Revolution, and the emergence of modern political systems. The author also discusses the challenges of the modern world, such as poverty, inequality, and environmental degradation.

The third part of the book is a critical analysis of the major political and social theories of the modern world. The author discusses the ideas of thinkers such as Locke, Rousseau, Kant, and Hegel, and evaluates their contributions to the development of modern political thought. He also discusses the theories of Marx, Engels, and Lenin, and their impact on the development of the modern world.

In the fourth part, the author discusses the role of the individual in the modern world. He examines the concept of individualism, and the impact of the modern world on the individual. The author also discusses the role of the individual in the development of the modern world, and the challenges that the individual faces in the modern world.

The fifth part of the book is a critical analysis of the major political and social theories of the modern world. The author discusses the ideas of thinkers such as Locke, Rousseau, Kant, and Hegel, and evaluates their contributions to the development of modern political thought. He also discusses the theories of Marx, Engels, and Lenin, and their impact on the development of the modern world.

In the sixth part, the author discusses the role of the individual in the modern world. He examines the concept of individualism, and the impact of the modern world on the individual. The author also discusses the role of the individual in the development of the modern world, and the challenges that the individual faces in the modern world.

The seventh part of the book is a critical analysis of the major political and social theories of the modern world. The author discusses the ideas of thinkers such as Locke, Rousseau, Kant, and Hegel, and evaluates their contributions to the development of modern political thought. He also discusses the theories of Marx, Engels, and Lenin, and their impact on the development of the modern world.

V.

Pierwsze lata Królestwa Polskiego. Dalsze prace Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Sala zebrań. Wydatniejsze postacie na publicznych posiedzeniach. Nominacya Adama Mickiewicza na członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wybuch niechęci przeciw temu Towarzystwu. Dwa listy Fr. Morawskiego do klasyków i romantyków. Przemowa J. U. Niemcewicza. Lista członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk w roku 1828. Ogólna statystyka.



Tom IX Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk ukazał się po czteroletniej przerwie, już po ogłoszeniu Królestwa Polskiego, w roku 1816. Do roku 1830 ogólnego zbioru tej publikacji wyszło tomów XXI, wszystkie odbijane w drukarni księży Pijarów, tylko ostatni w zakładzie typograficznym Natana Glücksberga, który przyjął na siebie nakład na dalsze lata.

Oprócz naukowych rozpraw i pochwał zmarłych uczonych, znajdujemy ciekawe monografie jak ks. Szaniawskiego: „*O Rzeczypospolitej Babińskiej*,” (d. 15 stycznia 1818 r.), o której pierwszy raz usłyszeliśmy, i żywońniejsze rozprawy, nie tylko obchodzące bliżej ogół, ale zwrócone wyłącznie na poprawę doli ludu wiejskiego.

Już w ostatnim roku istnienia Księstwa Warszawskiego, Towarzystwo, w dniu 30 kwietnia 1814 roku na publicznym posiedzeniu ogłosiło: że wyznacza nagrodę medalu wartości pięćdziesiąt czerwonych złotych pisarzowi, który najdokładniejszą poda instrukcję, ułożoną w sposobie najstosowniejszym do pojęcia ludu, mającą za cel oświecić mieszkańców kraju w tém czego się strzedz, i co czynić we wszelkich względach mają, dla zapobieżenia uszkodzeniu zdrowia i życia ¹⁾.

Następnie znajdujemy w Rocznikach rozprawy: *O budowie włościańskiej do kraju naszego przystosowanej; Rozprawa względem zarazy i pomorku na bydło w kraju naszym; O sztuce lekarskiej popularnej; O ulach kłocowych.* Fryderyk hr. Skarbek podniósł głos wymowny, dopominający się „dobroczynnego zakładu dla rolników w Królestwie Polskiem.”

Widzimy nadto i myśli zwrócone na stronę ekonomiczną kraju, poruszające pytania, lub studyjując przedmioty ogólniejszego znaczenia, jak:

O przyczynach upadku chowu bydła, rozprawa uwieńczona przez Towarzystwo; *Badania nad czerwcem polskim; O robieniu cegły surówki; O polepszeniu sztuki garbarskiej; Monografia sosny pospolitej; O guście w budownictwie.*

Pierwszy Skarbek zwraca myśl na naglące potrzeby społeczne w dwóch rozprawach:

O poprawie moralnej winowajców w więzieniach, i O kassach zasiłku i oszczędności.

¹⁾ Dr. Ignacy Fijałkowski odpowiedział na to zadanie w roku 1819, a rozprawa jego złotym medalem uwieńczoną została.

Piękny i majestatyczny był widok zaprawdę, gdy całe grono zasiadło na publiczném posiedzeniu w domu swoim w pobliżu Ś-go Krzyża, a obszerny amfiteatr, piętrzący się coraz wyżej, był wypełniony liczném zgromadzeniem płci obojęd, różnego stanu i wieku. Z bocznej komnaty, gdzie się członkowie zbierali, w oznaczonej godzinie wchodzili na tę wielką salę z poważnym prezesem na czele. Krótko tu przewodniczył Staszic, po nim objął tę godność J. U. Niemcewicz.

Pierwszy, wysoki, szczupły, rysy twarzy podłużnej, oczy posępne pod krzaczystymi brwiami, lica chude i zapadłe, czoło szerokie i wzniosłe. Przyodziany w długi surdut, postępował zwolna nie patrząc na zebrane tłumy.

Niemcewicz niższego nieco wzrostu, lepszój tuszy, szerszych ramion, miał oblicze więcej okrągłe, na którym mimo wieku, jeszcze czerstwe rumieńce gościły: oczy pełne życia, na ustach biegający łagodny uśmiech. Jakkolwiek już nad czołem głowa wyłysiała, z tyłu ję długie, gęste a siwe włosy, w kędziorach spadały mu na plecy.

Sekretarzem Towarzystwa był Łukasz Gołębiowski, mąż wielkiej pracy, bibliotekarz dawniej zbiorów w Porycku przy Tadeuszu Czackim, najszlachetniejszego charakteru i łagodnego usposobienia. Niskiego wzrostu, czerstwego oblicza, miał oczy duże i wydatne. Odany z zapałem swemu zawodowi, gorliwie spełniał swoje obowiązki, a wolne chwile poświęcał studjom nad dziejami i starożytnościami krajowemi.

Krzesa były ustawione w półkolistych rzędach, i każdy dla siebie miał wyłączne miejsce, które zajmował.

Grono Towarzystwa Przyjaciół Nauk znakomicie powiększyli i podparli professorowie Uniwersytetu Warszawskiego. Wszystkich łączył związek braterski, a wielu i przyjaźń serdeczna, jak Kazimierza Brodzińskiego z Gołębiowskim, Skrodzkiem i Fryderykiem Skarbkem. Było to jakby grono rodzinne, związane ogniwami szacunku i miłości wzajemnej, jak jednej myśli, tak jednych uczuć.

Z postaci i oblicza byli do siebie wielce zbliżeni Brodziński ze Skrodzkiem: obaj łagodnego charakteru, tylko śpiewak Wiesława miał więcej rozlanój słodyczy, gdy professor fizyki nosił ślady na obliczu męczącej pracy, i jakby trawiącej go powoli choroby.

Fryderyk hr. Skarbek, niższy od nich wzrostem, ruchliwy, pełen życia, na czerstwém i rumianém licu długo przechował wyraz młodości. Silnym organem, harmonijnym, dobitnym, obu swoich przyjaciół przenosił. Po słynnym deklamatorze Ludwiku Osińskim, on był pierwszym, który potężną wymową, jak dźwiękiem głosu, słuchaczy swoich porwał.

J. B. Rakowiecki autor: *Prawdy Ruskiej*, średniego wzrostu, śniadego oblicza, skromnie i jakby lekliwie na te posiedzenia publiczne wchodził, zajmując skromnie swoje krzesło. Przeciwieństwo

z nim stanowił Jan Kruszyński wierszopis, wysoki, chudy, z dobrze już szpakowatą czupryną, i pomarszczoném obliczem. Postać ta silnie na mnie wywarła wrażenie, gdym go w dniu 6-go maja 1825 roku, usłyszał deklamującego swój przekład z rossyjskiego: *Ody Łomonosowa o Bogu*, wierszem miarowym i rymowym. Nie była to deklamacya płynna, bo czytał skandując, stosownie do zakreślonej miary, głosem nieco głuchym jak ze strudzonej piersi, ale jeszcze donośnym. Pomnę z niéj początek i ostatnią strofkę.

„Ty, co próżne lejąc żale,
Sarkasz na nieba, człowiecze,
Słuchaj, co groźny w zapale
Z chmury Bóg do Hioba rzecze:
Przez grad, wichry, deszcz, płomienie,
Głosem on gromy przerywał,
Trzęsło się nieba sklepienie,
Gdy go tak na spór wyzywał.“

W zakończeniu czytał:

„Miej śmiertelny na uwadze,
Żeś ty ułomne stworzenie;
Twórca powinien mieć władzę,
Twój zaś udział jest cierpienie.
Łaskę zesze Pan, czy karę,
Zawsze dla twego to zysku;
Czyn Mu z boleści ofiarę.
Zanoś próśby bez utysku.“

Wspomniałem o wrażeniu z ujrzenia Kruszyńskiego i słuchania téj skandowanej ody, raz z powodu wyboru oryginału, a powtóre samego przekładu. Tego rodzaju miarowe i rymowe wiersze, były u nas osobliwością.

W gronie tém zasiadał zawsze Wawrzyniec Surowiecki, jeden z najznakomitszych uczonych tego okresu. Średniego wzrostu, siwy jak gołąb, pociągłemi rysami oblicza przypominał Staszica, i jego marmurowy spokój, lubo więcej na nim grało życia i czerstwości. Jego dzieła: *O upadku miast w Polsce*. *O rzekach i splawach*, jak *Śledzenie początku narodów słowiańskich* oraz wykład w *Szkole prawa*; *O statystyce Polski* w okresie Księstwa Warszawskiego, który pozostał w rękopiśmie, należą do najszacowniejszych prac i dziś nic nie tracących na swój wartości ¹⁾.

Z pośród tego koła uczonych, wydatniała postać Joachima Lelwela. Już od roku 1820 zaczął drukować swoje rozprawy histo-

¹⁾ Oryginalny ten rękopism znajduje się w zbiorach ś. p. Cypryana Walewskiego, i zasługuje ażeby został wydrukowany, w publikacjach Akademii Umiejętności w Krakowie.

ryczne w *Rocznikach* Towarzystwa Przyjaciół Nauk: (*Odkrycia Kartagów i Greków na Oceanie Atlantycznym*. Rzecz czytana na publiczném posiedzeniu d. 23 listopada 1820 r.). Siadał zawsze na uboczu, jakby się chciał ukryć przed spojrzeniem tysiąca oczów, które chciwie wypatrywały tego genialnego badacza.

Wielkie przeciwieństwo ze szczupłym historykiem stanowił Feliks Bentkowski, górując wzrostem i tuszą. Postać to była więcj na zawadyaka sejmikowego, szlachcica od roli. Czerstwy, rumiany, spojrzenie żywe i bystre, głos jakby dużych organów. Wielkićj powagi używał między uczonymi z powodu wydanćj: *Historji literatury polskićj*, i jako redaktor główny *Pamiętnika Warszawskiego*.

Staszic ostatni raz w dniu 5 maja 1825 roku zagaik publiczne posiedzenie; bliski już grobu, drżącą ręką skreślił sprawozdanie o czteroletnich pracach Towarzystwa od 1821 do 1824 roku, które po jego śmierci odczytano w kwietniu 1826 r.

Po nim godność tę objąwszy J. U. Niemcewicz, który zaraz w pierwszém zagajeniu z chlubą wspomina Józefa Franciszka Królikowskiego, ojca najznakomitszego naszego artysty dramatycznego Jana. Wiadomo że z dzieła pierwszego; *O prozodyi*, wziął zasady Mickiewicz do miarowego wiersza, owćj pieśni w Walenrodzie.

Z bijącym sercem każdy z nas młodzieży biegł na te posiedzenia publiczne, uważając je za prawdziwą ucztę godową, bo pewnym był że usłyszy nie jednę myśl nową, i wyniesie jakąś zdobycz dla swćj wiedzy.

Najpopularniejszymi postaciami dla nas, obok siwego prezesa, byli Brodziński i Skarbek, bo Skrodzkiego nie słyshałem aby co kiedy czytał, a Woronicza nie widziałem na tych zgromadzeniach.

Z jakićmże natężeniem nadstawialiśmy ucha, kiedy czytał jakie rozprawy jak o *Elegji* lub o *Satyrze*, albo wiersz słabym i zciszonym głosem Brodziński. Nie zapomnę do grobu wrażenia, gdy na posiedzeniu dnia 20 kwietnia 1826 r. czytał: *Wiersz pisany na Alpach*, a w serdecznych wyrazach określaćj miłość dla rodzinnćj ziemi, tę myśl nam wypowiedział:

„Niech tam mierzący rozum tych uczuć nie ceni,
Niech je prostym nałogiem, barbarzyństwem mieni;
Są rozkosze, rozumu cyrklem nie objęte,
A co przed nim dziecinne, to niemniej jest święte.“

Grzmiący oklask był podzięką ukochanemu pocie.

Jak tylko w programacie był wzmiankowany Fr. hr. Skarbek, i na niego przychodziła kolej do czytania, radość serdeczna opromieniała oblicze młodego pokolenia, i uśmiech zadowolenia na nie wybiegał, bo każdy zgóry wiedział, że autor *Pana Starosty*, przemówi do uczucia naszego słowem gorącym, które jak rosa wiosenna kwiaty, tak piersi nasze orzeźwiało.

Na wzniesioném miejscu przeznaczoném dla członków Towarzystwa, w środku zasiadał prezes, w pobliżu sekretarz, po prawej ręce zajmował zwykle miejsce Wincenty hr. Krasiński ojciec Zygmunta, w mundurze generalskim, a obok niego siedział Abraham Stern w staro-żydowskim stroju. Piękna jego twarz, z długą brodą i poważna cała postać malowniczo odbijała od barwistego munduru. W pobliżu za nimi wydatniał wysokiego wzrostu Skorochód Majewski „Metrykant koronny,“ bo tak go zwano powszechnie, w kontuszu i żupanie przy słuckim pasie, przerabianym w złote i srebrne pasma. Znany badacz *Samskrytu*, oddawna członek tego Towarzystwa, bo w dniu 30 kwietnia 1816 r., czytał na publiczném posiedzeniu rozprawę swoją: *O Samskryckim języku*.

Zaraz przy panu Metrykancie koronnym miał swoje miejsce zacny i szlachetny Tomasz Święcki, autor opisu *Starożytnój Polski* w ówczas mecenas „*Sądu najwyższej Instancji*,“ w długim surducie jak zwykle, bo po zrzuconiu kontusza i żupana, nigdy fraka nie używał. Obok niego zwracała uwagę z łagodnym uśmiechem skromna postać Józefa Lipińskiego, od wielu lat zacnego pracownika. (Był to stryj pani Katarzyny Lewoeki, i Tymoteusza Lipińskiego). Wizerunek jego podał nam A. E. Odyniec w swoim noworoczniku p. n. *Melitele*, wydanym w Warszawie na rok 1829, w którym zamieścił i jego wierszyk.

Kilkudziesięciu członków resztę wzniesienia zajmowało.

Nigdy nie zdarzało się ażeby bito oklaski któremu z członków, dopiero w nowym gmachu przez Staszica wystawionym, Niemcewiczowi, Brodzińskiemu i Skarbkowi klaskano hucznie. Pamiętam że to oburzało sędziwych wiekiem, a Święcki do mnie powiedział:

— Przecież to nie teatr, tylko poważne naukowe zgromadzenie.

Trudno przecież było zapału młodzieży powstrzymać, która go innym sposobem ujawnić nie mogła.

Posiedzenia publiczne Towarzystwa Przyjaciół Nauk odbywały się przed południem i wczesnie kończyły.

Znalazło to grono uczonych mężów wśród walki romantyków z klasykami licznych wrogów w zastępie młodych pisarzy. Z nich najpotężniejszy Maurycy Mochnacki pierwszy w ówczesnej *Gazecie Polskiej*, wystąpił z krytyką na *Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk*. Głos to był śmiały i silny. Zebrani członkowie, oburzeni takim napadem, uradzili najrozumniejszy środek. nieodpowiadać na czynione zarzuty, gdyż część ich większa nacechowana była niezajomością organizacyj i głównych warunków samego Towarzystwa, którego powagą zachwiało niemało Mickiewicz, rozjątrzony na Warszawę, i rzuciwszy jej w oczy sławną swoją rozprawę: *O krytykach i recenzentach Warszawskich*. Była ona wynikiem nadsyłanych mu z tego grodu przez przyjaciół, różnych wiadomości i plotek miejskich zbieranych troskliwie, które tego genialnego poetę do najwyższego gniewu i zapamiętałości doprowadziły. Nic w niej nie uszanował,

nikogo, z wyjątkiem Niemcewicza i Woronicza nie oszczędził. Był to grom straszny i najboleśniejszy dla Towarzystwa, które odpowiedziało szlachetnie Mickiewiczowi, w kilka lat później nominacją na swego członka. Owoż dosłowne brzmienie w oryginale takowej, którą mam przed oczyma.

„*Towarzystwo Królewsko-Warszawskie Przyjaciół Nauk.* Obok spólnego innym Towarzystwom naukowym zamiaru przykładania się ile jest w jego mocy, do postępu nauk i umiejętności, za szczególny usiłowania swego cel obrało pielęgnowanie i doskonalenie języka polskiego, a z nim razem zachowywać pamięć rzeczy ojczystych.

„Ceniąc zaś Twoją Adamie Mickiewiczzu na nauce i umiejętnościach biegłość, szczególną języka i rzeczy ojczystych znajomość, Towarzystwo nasze królewskie w nadziei, że choć miejscem oddalony, prace jego wspierać i obszernych wiadomości Twoich udzielać mu zechcesz, po odbytém naradzeniu się, postanowiło wezwać cię do grona swojego, i niniejszém stosownie do ustaw swoich, na członka korespondenta uprzejmie wzywa.

J. U. Niemcewicz.

E. Gołębiowski sekretarz Towarzystwa.

Nominacja powyższa jest najwymowniejszym dowodem przeciw owoczesnym sarkaniom młodych romantyków, że w łonie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wielki poeta ma przeważną liczbę niechętnych i z tego powodu do tego grona uczonych powołanym nie został.

Długo się Towarzystwo trzymało zdala od walki, która się żywo i gorąco toczyła w prasie peryodycznej; rozogniały coraz bardziej wielbicieli Mickiewicza, a gdzież ich nie miał? żarciki i dowcipy rzucające przeciwko niemu, na sutych i wystawnych obiadach u Wincentego hr. Krasieńskiego, które skwapliwie roznoszono po mieście, a wywołały okrzyk zgrozy niebaczne słowa i listy Kajetana Koźmiana członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zaciętego starca, któremi uwłaczał charakterowi i zacności genialnego poety.

Zarzew tę rozdmuchał mniej oględnie także członek tegoż Towarzystwa, a prawdziwa przykrasa obiadów hr. Krasieńskiego, Franciszek Morawski, wydanemi w roku 1829 dwoma *Listami do klasyków i romantyków.* Nie oszczędził w nich zarówno tak pierwszych jak drugich. Klasykom wyrzucał ostro ich ospałość, brak oryginalności i ślepe naśladownictwo, bez żadnej myśli samodzielnej, bo mówi:

„Czyliż to więc tak wielką zaletę stanowi,
Ukraść wiersz Horacemu, lub myśl Tacytowi;
I zyskać tę pochwałę dla swojej obrony:
Oto człowiek na dobrych wzorach zaprawiony.”

A jako czujący prawdziwą poezję, widzi jasno, że nowy jég okres światła zaczyna, i z gorącym zapałem przemawia:

„Czemuż, czemuż nie mają jakieś śmielsze wieszczce,
Nowy nam poezji *Eden* odkryć jeszcze;
A mędrze tyłowiecznych doświadczeń przestroga,
Nieznalazłszy go dawną, nową szukać drogą?
Bracia! trzeba śmiałości! Szczęście śmiałym sprzyja,
Najpiękniejszym jest orzeł gdy się w niebo wzbija;
Jest jeszcze nowa sfera, nieznaną, daleką,
Czeka swego zdobywcy i niepróżno czeka.
Ach! któżby mógł mieć duszę tak srogą, zaciętą,
Aby chciał nam wydierać tę ufność tak świętą;
By śmiał gasić tę zorzę co nam zdala dnieje,
I tak piękne serc naszych zabijał nadzieje.
Ten Bóg wielki, wszechmocny, co myśl ludzką stworzył,
Nie tak to ciasny przed nią świat marzeń roztworzył,
By Homery, Marony, mimo wiecznej chwały,
Już wszystko w nim i odkryć i wyczerpać miały!”

Ale obok tego, do licznego zastępu młodych romantyków, a głównie ślepych naśladowców Mickiewicza, z równą goryczą przemawia, nieszczędząc obraźliwych żarcików, chwytając ich z najstańszej strony i dotykając samego ich mistrza.

„Tam się w wdzięczną balladę cała *Smorgoń* wpycha,
Tu, jakiś gruby *Kaszub* po sielankach wzdycha;
Puszy się dziki *Pińczuk* w rzewnym trioecie
Hajdamak w epopei, a Turek w sonecie!”

Utwor ten miał na celu sprowadzenie zgody pomiędzy dwoma obozami, ale była to rzecz niemożliwa, bo klassycy uporczywie bronili starego gmachu, który się rozsypywał w ruinę, a romantycy w pragnieniu zapalnym, aby go zburzyć do szczętu, ciągle zajadłe przypuszczali szturm i na jego gruzach zwycięzki zatknęli sztandar.

Dwaj ci członkowie głównie wywołali niechęć i na całe Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Morawski „List do romantyków“ zamknął tym pięknym czterowierszem, stosując myśl swą i do klassyków:

„Jedna matka was swemi uwieńcza laurami,
Żadnej lutni bezbożność, ni podłość nie plami;
Jedne macie prawo, bratnie kształcić plemię,
I jeden tylko rodzaj, polską śpiewać ziemię.”

Sędziwy i powszechnie szanowany prezes J. U. Niemcewicz, na posiedzeniu publicznym, idąc za myślą Morawskiego, wystąpił ze słowem zgody i pojednania, przytaczając w końcu swój przemów ów czterowiersz, tak dobrze odpowiadający zacności jego charakteru. Ale daremne były jego słowa, i poraz pierwszy i ostatni zaprawdę wywołał szmer niechęci pomiędzy najliczniejszą zgromadzonymi romantykami i zwolennikami Mickiewicza!

Szczupłe grono z początku członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk powiększało się wolna, aż do otwarcia Uniwersytetu Warszawskiego, wtedy bowiem do razu zastęp kilkudziesięciu profesorów pomnożył ich liczbę.

Leży przed nami właśnie drukowana „Lista imienna członków Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk w 1828 roku, którą sekretarz rozsyłał każdemu z tego grona. Według niej podamy tu w alfabetycznym porządku, wszystkich członków *czynnych* i *przybranych*, z *korrespondentów* zaś i *honorowych* wspomnimy o wybitniejszych postaciach.

Członkowie czynni.

Julian Niemcewicz prezes Towarzystwa, Adam Prażmowski prezes działu nauk, Ludwik Plater prezes działu umiejętności, Łukasz Gołębiowski sekretarz Towarzystwa, Aigner Piotr, (znakomity budowniczy, który wślawił imię swoje wzniesionemi gmachami w różnych stronach Polski, za czasów Stanisława Augusta. Z dzieł jego drukowanych najcelniejsze: „Rozprawa o *guście* w ogólności a w szczególności w architekturze.” Warszawa 1812 roku. Jako członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk w jego Rocznikach ogłosił „Rzprawę o świątyniach u starożytnych i o słowiańskich, t. VII). Franciszek Armiński (dyrektor obserwatorium astronomicznego w Warszawie); Jan Bandtkie (Wincenty: professor Uniwersytetu Warszawskiego), Feliks Bentkowski (prof. Uniw. Warsz.), Kazimierz Brodziński, ks. Jan Bystrzycki (pijar), Józef Celiński (prof. Uniw. Warsz. i aptekarz), Aleksander Chodkiewicz br., Juliusz Colberg (serdeczny przyjaciel Brodzińskiego, autor „Atlasu Królestwa Polskiego” i tłumacz na język niemiecki poczyty śpiewaka Wiesława), ks. Edward Czarnecki, książę Adam Czartoryski, książę Karol Diehl (znakomity mówca, senior (superintendent) generalny zborów ewangelicko-reformowanych w Księstwie Warszawskiem a później w Królestwie Polskiem. W r. 1811 był deputowanym na sejm, mąż uczony i zasłużony w pracach obywatelskich). Ignacy Fijałkowski (doktor medycyny, prof. Uniw. Warsz.), Kajetan Garbiński (matematyk prof. Uniw. Warsz., później dyrektor szkoły przygotowawczej do instytutu politechnicznego), Antoni Gliszczyński (senator, wojewoda Królestwa, tłumacz *Ekonomii politycznej* Schloezer’a i pisarz w zakresie nauk ekonomicznych; opiekun troskliwy szkółek elementarnych). Filip Kincel (Warszawianin, doktor medycyny i chirurgii. Pisał wiele w swoim zawodzie). Adam Kitajewski (professor Uniw. Warsz.), Józef Kossakowski (tłumacz poematu Legouvé’go *Zalety Kobiét* i *Delilla: Cztery pory roku*). Ksawery Koscecki, Kajetan Koźmian, Wincenty Krasieński (generał); Jan Kruszyński, Dominik Krysiński, Jan Krzyżanowski, Kajetan Kwiatkowski; Joachim Lelewel, Samuel Bogumił Linde, Józef Lipiński, Feliks Łubieński (minister sprawiedliwości w czasach Księstwa Warszawskiego, mąż znakomity zarówno nauką, jak zasługami

dla kraju). Antoni Magier, Walenty Majewski (Skorochód); Jan Mile (prof. Uniw. Warsz.). Ksiądz Aloizy Osiński, Ludwik Osiński, Marek Antoni Pawłowicz (prof. Uniw. W.); Benedykt Rakowiecki, Józef Sierakowski, Fryderyk Skarbek, Karol Skrodzki, Jan Śniadecki, Jędrzej Śniadecki, Stanisław Sołtyk, Tomasz Święcki, Józef Kalasanty Szaniawski (naczelnik cenzury rządowej); ksiądz Ksawery Szaniawski (prof. Uniw. Warsz.); Michał Szubert (założyciel i dyrektor ogrodu Botanicznego w Warszawie); ks. Wojciech Szwejkowski (czcigodny rektor Uniw. Warsz.); Jan Tarnowski, Stanisław Węgrzecki (prezydent miasta Warszawy i autor kilku dzieł rozjaśniających okres Księstwa Warszawskiego), August Wolff (sławny lekarz i ogromną mający praktykę); Jan Woronicz (biskup krakowski a następnie prymas i arcybiskup); Michał Wyszkowski, Adam Zubelewicz. W ogóle członków *czynnych* było pięćdziesięciu siedmiu.

Nie możemy pominąć członków *przybranych*, którzy jednakże mieli czynny udział w pracach Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Oto ich lista z 1828 roku: ksiądz Edmund Andraszek (pijar, ukochany nasz professor, znakomity filolog i wydawca pieśni Kazimierza Sarmieńskiego); Jerzy Samuel Bandtkie (bibliotekarz Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie); Felicyan Biernacki, Franciszek Brandt, Antoni Brodowski (znakomity malarz, prof. Uniw. Warsz.); ksiądz Aloizy Charini, Józef Elsner (dyrektor opery teatru narodowego, kompozytor i pisarz), Aleksander Engelke, ksiądz Jakób Falkowski (założyciel Instytutu Głuchoniemych). Dr. Bogumił Jan Frejer, Karol Glotz, Jakób Hoffman, August Jacob, Feliks Jarocki, ksiądz Kajetan Kamiński (prowincyał Pijarów); Hipolit Kownacki (bibliotekarz w Willanowie, historyk); Adryan Krzyżanowski (prof. Uniw. Warsz.); Jakób Kubicki, Karol Kurpiński (dyrektor opery, kompozytor i pisarz); Antoni Lelowski (mąż uczony, redaktor pisma technicznego *Izys*). Wilhelm Malcz (lekarz znakomity i pisarz): Ludwik Metzler (słynny założyciel czarownego ogrodu *Zosiówki*, który uczył Trembecki swoim poematem: uczony inżynier i dzielny oficer); Franciszek Morawski, Stanisław Plater (niepospolity badacz dziejów krajowych, autor *małej Encyklopedyi polskiéi*, Leszno 1839—1847 w dwóch tomach, *Atlasu statystycznego Polski i krajów okolicznych* wydanego w Poznaniu w pięciu wielkich arkuszach. Żołnierz z czasów Napoleona I-go wydał geografią dawnéj Polski p. n.: *Geografia wschodniej części Europy, czyli opis krajów, przez wielorakie ludy zamieszkałych*. Wrocław 1825 r. To dzieło dało mu wstęp do grona Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Pisał wiele i po francuzku, a wszystkie prace w tym języku wydane wzbogacały dzieje krajowe. Był on rodzonym bratem Ludwika, znakomitego leśnika i geografa, męża wielkich zdolności, który lasy rządowe wzorowo urządził i był prawą ręką księcia Lubeckiego w jego pomysłach administracyjnych, przeprowadzając je umiejętnie w życie. Zajmował posadę sekretarza stanu w Królestwie, w końcu mianowany senatorem, kasztelanem. Z dzieł

które wydał, zasługują na wspomnienie: *Rzecz o gospodarstwie leśnym* 1807 rok, *Opisanie historyczno-statystyczne Wielkiego Księstwa Poznańskiego* i wiele innych. Prezydował w dziale umiejętności Towarzystwa Przyjaciół Nauk). Marcin Roliński (doktor medycyny i prof. Uniw. Warsz.); ksiądz Franciszek Siarczyński, Ignacy Franciszek Stawiarski (uczony i biegły prawnik, autor i tłumacz kilkunastu dzieł w tej gałęzi nauk. Wiele przekładał głośniejszych utworów literackich tak z francuzkiego jak z niemieckiego. Należał on w czasach Księstwa Warszawskiego i pierwszego okresu lat Królestwa, do najpierwszych mecenasów i ogromną miał praktykę; Jan Stefazyusz, Abracham Stern (był nie tylko znakomitym mechanikiem, ale i pisarzem w polskim i hebrajskim języku. Pomiędzy innymi zajmujący dał nam przekład z hebrajskiego z dzieła Natana Moskowicza: *Opis buntów ukraińskich* ogłoszonego w Wenecyi 1653 r.); Kantorbery Tomasz Tymowski (poeta z talentem, żołnierz z armii Księstwa Warszawskiego, którego wiersz: *Dumanie w starożytnym zamku Maurów*, całe młode pokolenie umiało na pamięć); Franciszek Węzyk (jeden znajomościjszych pisarzy dramatycznych, z czasów Księstwa Warszawskiego). W ogóle *przybranych* członków liczyło Towarzystwo Przyjaciół Nauk trzydziestu jeden.

Członków *Korrespondentów* liczba siedemdziesięciu dwóch, pomiędzy którymi znajdujemy pierwsze wówczas znakomitości literackie, tak krajowe jak zagraniczne. Z pierwszych wymienimy tylko Aleksandra Bronikowskiego, który powieściami z dziejów polskich po niemiecku pisanych, pozyskał chlubne imię; Czajkowskiego Pawła profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, Dzierzkowskiego Józefa słynnego adwokata ze Lwowa, Józefa Franka profesora Uniwersytetu Wileńskiego, Józefa Gołuchowskiego profesora tegoż Uniwersytetu, Antoniego Góreckiego żołnierza-poetę z prawdziwym talentem poetycznym, Stanisława Jundziłła, Józefa Franciszka Królikowskiego profesora z Poznania, autora *Prozody Polskiej*, Ludwika Kropińskiego, którego imię było rozgłosne z odegranej jego tragedyi *Ludgarda*, Ignacego Przybylskiego z Krakowa, tłumacza znanego poetów starożytnych jak nowożytnych, Edwarda Raczyńskiego, Wacława Rzewuskiego, Józefa Sękowskiego orientalistę, Jana Znosko i w. i.

Pomiędzy *zagranicznymi* korespondentami znajdujemy imiona: Abrahamsona, Józefa Hammera, Wacława Hanke, Jerzego Kopitara, Józefa Mezzofantego, Albrechta Thaer'a, Księcia Piotra Wiazemskiego.

Do tego należy doliczyć dwudziestu pięciu członków *honorowych* tak z krajowców jak i obcych. W ogóle więc w roku 1828 Towarzystwo Przyjaciół Nauk liczyło 185 członków.

Fryderyk hr. Skarbek, w swoim pobieżnym *wspomnieniu* o tém Towarzystwie, podaje nam taką jego statystykę:

„Od roku 1800 do 1830 miało Towarzystwo Przyjaciół Nauk w ogóle członków 371: z których umarło w tym przeciągu czasu, osób

145, w ostatnim roku liczyło członków *czynnych* 57, *przybranych* 35, *honorowych* 35, *korrespondentów* 85. W téj liczbie było cudzoziemców powołanych na członków honorowych 35, na korrespondentów 45 a mianowicie było między *honorowymi*, Francuzów 23, Niemców 8, Rossyan 3, Amerykanin jeden. Między korrespondentami: Niemców 12, Rossyan 10, Francuzów 5, Anglików 4, Włochów 4, Duńczyków 2, Holendrów 2, Czechów 2, Węgier jeden i jeden Szwajcar."

VI.

Ocena prac Towarzystwa Przyjaciół Nauk.—Hugo Kollataj i jego zdanie.
Prace historyczne.—Tytus hr. Działyński.—Przemowa J. U. Niemcewicza.—
Prace o literaturze polskiej.—Pochwały zmarłych.—Pochwała Cypryana Go-
debskiego.—Deputacya do ułożenia stałych zasad pisowni polskiej.—Posąg
Koperniku; jego odkrycie.—Działalność Towarzystwa. Zygmunt Sztebler
księgarz Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk jako instytucja naukowa, używając najwyższej powagi i szacunku w kraju, uważane było jako Akademia Umiejętności, od chwili, gdy w to dostojne grono, po ustanowieniu Uniwersytetu Warszawskiego, weszli jego profesorowie, i wszystkie działy nauk wypełnione zostały.

Powoli, *Towarzystwo* oddalało się od pierwotnego celu jaki sobie założyło przy pierwszym zawiązku. Głównym zadaniem było chronienie od zagłady i pielęgnowanie języka ojczystego, a przytem uzupełnienie *Historji Narodu Polskiego* Naruszewicza, który ją doprowadził tylko do czasów Kazimierza Wielkiego, z opuszczeniem pierwotnych wieków.

Głębokim myślicielem Hugo Kołłątaj w roku 1803, zaraz po przeczytaniu pierwszego tomu *Rocznika Towarzystwa Przyjaciół Nauk*, zdziwiony encyklopedycznością przedmiotów, napisał do Jana Śniadeckiego:

„Lękam się ja bardzo o *Towarzystwo Warszawskie*, należałoby żeby to gorliwe zgromadzenie przepisało sobie wyraźnie, przedmioty pracy, i żeby za ich granice nie przestępowało, inaczej zbiór jego *Roczników* wyjdzie kiedyś na tandetę, w której nie można nic nowego dostać, ale tylko rzeczy wyszarzane, lub ze starzyzny przerabiane.” (Hugona Kołłątaja *korrespondencya*. Kraków 1844. Tom I str. 113).

Zarzut ten był zrobiony, gdy *Towarzystwo*, pod prezydenturą Albertrandego ulegało przeważnemu jego wpływowi, o czym już i F. Skarbek powyżej wspominał; zarzut po części słuszny, ale głębiej badając, znajdujemy łatwo niemało powodów, na obronę tego zgromadzenia miłośników nauki i przeszłości rodzinną.

Rzućmy okiem na owe czasy, na rozbitcie zupełne społeczności naszej, na małą liczbę czytelników polskich książek, na bezsilność prasy, a głównie na ówczesnych naszych uczonych.

Pierwsi członkowie wybrani z ich grona, byli rozsypani po dalekich stronach dawniej Rzeczypospolitej; nie mieliśmy w dzisiejszym znaczeniu *literatek*, którzy ten jedyny zawód za cel życia swojego mają: każdy z nich, w pierwszej pragnął kłaść zasługi na drodze obywatelskiej, w służbie krajowi, a wolne chwile od tych zajęć poświęcał pracom naukowym.

Tadeusz Czacki oddając się z zapałem badaniom przeszłości, obok tego zakładał Lyceum Krzemienieckie, Ignacy i Stanisław Potoccy, Mostowski, Staszic, Franciszek Dmochowski, byli to mężowie

stanu: praca literacka była dla każdego z nich zasługą obywatelską, po służbie publicznej.

Brak skupienia, ciągłego skojarzenia sił pojedynczych stał na głównej przeszkodzie należnemu rozwojowi Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Po sześciu latach niespełna od jego zawiązania, wypadki ówczesne wytrąciły każdemu pióro z rąk, przy gwałtowném wstrząśnieniu do gruntu społeczności naszej po wejściu armii francuskiej do Warszawy, i ogłoszeniu Księstwa Warszawskiego.

Nowa organizacja polityczna i społeczna tego kraiku, powołała wszystkich niemal członków Towarzystwa, do publicznej służby. Nie było ani myśli, ani czasu do zajęć literackich: mozolniejsze prace spotykały każdego w kole obywatelskiem. Gdyby stały pokój, chociaż na lat kilka mógł potrwać w Księstwie, zebralibyśmy bogate niewątpliwie płody umysłowe z owego okresu; ale niemal co trzy lata burza wojenna uderzała na tę zubożoną krainę, niszcząc wszystko co troskliwie budowano zarówno na polu duchowém jak i pomyślności ekonomicznej kraju.

Wszystkie myśli ogółu zwracały się w jedną stronę, za zwyciężkim sztandarem Napoleona I, gdy ten krwią obłany padł przy nurtach Berezyny w 1812 roku, osłupienie nie mogło wpłynąć korzystnie ani na prace Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ani na rozwój literatury krajowej.

Dwa lata następne wrzała jeszcze burza, a społeczność nasza, po strasznym gromie który ją rozbił, oczekiwała przyszłej a nieznamom jej doli.

Słońce pokoju zaczęło oświecać Warszawę w roku 1814, gdy w jesieni ukazały się w jej murach dostojne zwłoki księcia Józefa Poniatowskiego co poległ pod Lipskiem „w walce Olbrzymów.“ Smutny korowód otoczony resztkami towarzyszków broni przechodził ulice miasta do kościoła Ś-go Krzyża, gdzie złożone zostały, i w tymże roku, w kamienicy na Kanoniach, prezes Towarzystwa Staszic, zdawał publiczną sprawę o przedsięwziętych pracach, co do uzupełnienia *Dziejów Narodu polskiego* Naruszewicza. Wielu członków Towarzystwa przyjęło chętnie pojedyncze panowania królów, ale nie wszyscy podołali zadaniu. Jedni zajęci sprawą publiczną, nie mieli wolnej chwili do pracy mozolnej, potrzebującej skupienia ducha; drudzy, w troskliwości o pełność obrazu, zbierali zasoby, studyowali, ale nie zdołali skreślić nawet jego zarysu. Tak, Tytus hr. Działyński, jako członek Towarzystwa przyjmując na siebie panowanie Michała Korybuta, prawdziwy skarbiec wiadomości objaśniających ten okres tak w księgach jak rękopismach zgromadził, niezapłując zachodu i kosztów. Z młodzieńczym zapałem nieraz mi o tém szeroko rozповідаł, ale następnie, w innym kierunku rozpoczynając pracę, już do dziejów króla Michała nie wrócił.

Wywiązali się zaś z przyjętego obowiązku członkowie: przed wszystkimi na czele J. U. Niemcewicz „Dziejami panowania Zygmunta III” w trzech tomach ¹⁾).

Książd Krajewski nadesłał rękopism panowania Jana Kazimierza, Kajetan Kwiatkowski panowanie Władysława IV ²⁾; Łukasz Gołębiowski Władysława Warneńczyka i Władysława Jagiełły. Książd Czajkowski złożył w rękopiśmie obszerną rozprawę o początku Słowian i Polaków, w dwóch częściach. Samo zaś Towarzystwo przygotowało pierwszy tom *Historji Naruszewicza*, obejmujący czasy przed-Mieczysławowe, podług dwóch rękopismów, jednego wynalezionego w bibliotece Puławskiej, drugiego własności czk. Józefa Sierakowskiego i w roku 1824 w dwóch częściach wydało.

1) Dzieło to wyszło w Warszawie 1819 r. w 8-ce, w niesłychanie ozdobnej jak na owe czasy edycyi, drukiem „Zawadzkiego i Węckiego uprzywilejowanych drukarzy i księgarzy dworu króla polskiego.“ Zdobią go portrety najznakomitszych postaci, występujących w tym okresie. Widzimy tu już siły artystyczne niemale. Popiersia te są znakomicie rysowane przez Jana Piwarskiego, H. Paszkowskiego, Balińskiego, Blanka prof. Uniwersytetu Warszawskiego, i P. Czamańskiego. Młoda i piękna Zofia Chodkiewiczówna rysowała wizerunek Jana Karola Chodkiewicza, a sam J. U. Niemcewicz dał swego ołówka portret Jana Piotra Sapiehy starosty Uśnińskiego. Rytowali na stali w większej połowie nasi artyści jak Kretlow w Warszawie i M. Podoliński w Wilnie. Wszystkie te wizerunki brane są ze starych familijnych obrazów. Zygmunt III w uroczystym stroju z koroną na głowie, z berłem i jabłkiem w ręku sztychowany podług obrazu Rubensa. Portrety te są podane w następnym porządku w tomie pierwszym: Król Zygmunt III, Piotr Skarga, Stanisław Karnkowski arcybiskup gnieźnieński. Medal na cześć Jana Zamojskiego. Paweł Działyński wojewoda pomorski. W tomie drugim: Jan i Jakób Potoccy wojewodowie braclawscy, Jerzy Mniszech wojewoda sandomirski, Car Dymitr, Maryna Mniszechówna jego żona, Jan Piotr Sapicha wódz naczelny wojsk polskich. Medale i kopiejkę bite wówczas. W tomie trzecim: Wielki medal Zygmunta III r. 1611, Stanisław Żółkiewski hetman i kanclerz wielki koronny, Stanisław Koniecpolski kasztelan krakowski, hetman w. koronny. W końcu są dwie tablice litografowane z podobizną podpisów znakomych tego czasu mężów.

2) Autor prace swoje sprzedał nakładcy znanemu w tym okresie Natanowi Glücksbergowi, który ją odbił w swjej drukarni w Warszawie 1823 roku. Wydanie to wszakże pod żadnym względem nie da się porównać z dziełem J. U. Niemcewicza. W panowaniu Władysława IV, ryciny są litografowane, ale ani pod względem ołówka, ani odbicia, nie mają zalety artystycznej. Litografia dopiero u nas rozwijać się zaczęła, wydawca użył jej dlatego, że była daleko tańsza od stalorytów.

Kwiatkowskiego dzieło, jak pierwotnie z pod pióra autora wyszło, nie ukazało się z pod prassy; rękopisma innych członków w pogotowiu leżące, pozostały na czas dalszy w Bibliotece Towarzystwa ¹⁾.

Gdy w tym kierunku cel w zupełności osiągniętym być nie mógł, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, pragnąc rozszerzyć niezbędne wiadomości co do literatury polskiej, wezwało członków swoich do téj pracy.

¹⁾ Rękopism księdza Michała Krajewskiego, w osiemnaście lat później wydał Michał Baliński w Warszawie 1846 roku pod napisem „Dzieje panowania Jana Kazimierza, od roku 1656 do jego abdykacji w roku 1668.“ Dwa tomy. Łukasza Gołębiowskiego wyszły rękopisma obejmujące ponownie Władysława Jagiełły, i Władysława III do 1506 roku, w Warszawie, we dwóch tomach 1846 roku: panowania zaś trzech Jagiellończyków: Kazimierza, Jana Olbrachta i Aleksandra, ukazało się w jednym w r. 1848. Feliks Bentkowski, który zajmował się korektą dwóch pierwszych tomów w roku 1846 pisze we wstępie:

„Lubo w niektórych szczegółach co do pisowni polskiej, różnego jestem zdania od prawideł przez deputacją b. Kr. Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk podanych, i przez to Towarzystwo w roku 1829 sankcyonowanych; wolałem jednak, przy dozorze drukuobecnego dzieła, trzymać się ściśle tych przepisów, jako podających ogół naszój pisowni uarozumowanych zasadach oparty, niż popisywać się z częstkowemi nowościami, jak to w wielu drukach dzisiaj widzieć można. Rozumujemy o pisowni, podawajmy projekta do jój udoskonalenia, ale nie występujemy w druku z dziełami, podług osobistych zapatrywań, nową pisownią upstrzonemi, dopóki głos jakowego grona, ale głos równie poważny jak zdanie *deputacyi*, do pójścia za nim nas nie zobowiąże lub nie nakłoni, aby tym czasem nas nieposądzano, iż zawsze przywiązani jesteśmy do *Liberum veto*.“

L. Gołębiowski jako sam we wstępie z r. 1821 pisze, plan do obszernój swój pracy wziął z historyi angielskiej Roberta Henry; postępowanie co do pisania dziejów widocznie odbija; oprócz użycia najświeższych źródeł, zacnej pamięci ten pisarz, zwraca pilną uwagę na ustrój społeczny, oświatę i zwyczaj a obyczaj narodowy. W pomienionym wstępie przytacza wieloc zajmujący list, jaki pisał słynny historyk rossyjski M. Karamzin do Tadeusza Czackiego dnia 4 sierpnia 1810; oto dosłowne jego brzmienie:

„Miło mi i chlubnie zostawać w porozumieniu się z mężem tak światłym, jak JW. Pan Dobr. My obadwa pracujemy nad jednym przedmiotem, dla sławy i pożytku naszój wspólnej ojczyzny, i obadwa kochamy prawdę i onotę, wszędzie gdzie ją tylko znachodzimy. Stronność właściwa gminowi, piszącemu dzieje nieprzebaczona: w jego oczach wszystkie narody, są jedną familią rodu ludzkiego. Czyliż wśród grobów i rozwalin dopuści się być echem złorzeczenia rodzącego się z namiętności. Lachy i Rossyanie nawzajem się niecierpieli, lecz ich dziejopisowie mówiąc o upłynionych wiekach, nie powinni się omamiać przesądami współczesnych. A zatem z szczerością serca daję rękę JW. P.D. i w myśli ściskam jego prawicę.“

Oryginał tego listu znajdował się w bibliotece Puławskiej pod nr. 1183.

Franciszek Wężyk sławny autor tragedyi z dziejów polskich w czasach Księstwa Warszawskiego, wziął na siebie część dramatyczną, i tę w oddzielnych rozprawach opracowaną, drukował przy swoich tragediach w Krakowie wydanych. Stanisław Potocki ogłosił: *O literaturze polskiej w ogólności. Oddzielnie o wymowie, o guscie, i krytyce. O bajce* napisał rozprawę J. U. Niemcewicz, o *Sielance* Józef Lipiński, w ostatku o *Elegii i Satyrze* Kazimierz Brodziński.

Rok rocznie prawie Towarzystwo czcząc pamięć zasłużonych krajowi mężów, którzy spoczęli w grobie, poświęcało każdemu wspomnienie, które nosiło nazwę *pochwały*.

W nich jeżeli rzetelna charakterystyka zmarłego znikła i pozostały tylko ślady pracy umysłowej, albo usług oddanych w kole obywatelskiem: był to duch czasu, i Towarzystwo przyjaciół Nauk ulegając jego potędze musiało, idąc za wzorem literatury francuzkiej, która zawsze u nas swoją przewagę zachowywała, a w niej uczone grona, w tego rodzaju *pochwałach*, miały więcej na celu wykazanie krasomówczego talentu piszącego je, niż rzeczywisty wizerunek jako człowieka, zgasłego męża, któremu poświęconą była.

Było zasadą przyjętą powszechnie, że niewolno źle mówić o zmarłym ani ukazywać jego nawet słabiej strony, czego już sam tytuł nie dozwalał; ale było także drugą zasadą, nie pisać o żyjącym ze szczegółów jego żywota, z wyjątkiem swobodnej ale przyzwoitej krytyki na wydane drukiem prace.

Pamiętam jakie oburzenie w młodem naszym gronie wywołał ksiądz Franciszek Siarczyński ostrą recenzją na *Dzieje panowania Zygmunta III*, J. U. Niemcewicza, która nas doszła ze Lwowa. Dostojny ich autor lubo żywo był nią dotknięty, milczeniem tylko odpowiedział: my naszego gniewu zataić nie mogliśmy, bośmy czią otaczali autora *Jana z Tęczyna*.

Sama forma *pochwał*, i w nich pomijania charakterystyki jak i drobnych wiadomości o domowem pozyciu, pozbawiła nas drogocennych szczegółów, dających wierny wizerunek zgasłych mężów. A bylibyśmy radzi bliżej zaznajomić się z postacią każdego, słyszeć jego słowa, badać jego uczucia i myśli, które później czytamy w każdego utworach, patrzeć na człowieka za rodzinnym progiem.

Franciszek Dmochowski tłumacz *Iliady*, serdeczny przyjaciel Krasickiego, co go znał tak blisko, w *pochwale* swój usilnie się starał te drogocenne szczegóły, które mu się nawijały pod pióro zacierać, ażeby nieuchylić przyjętej formie *w pochwałach*. Tym sposobem jeden z najznakomitszych pisarzy okresu Stanisława Augusta, z potężnym wpływem na społeczność naszą, pozostał mało znanym jako człowiek. Dopiero w pół wieku później Julian Bartoszewicz zebrał nie mało szczegółów, malujących lepij wydatną postać.

Nie wszystkie wszelako *pochwały* tak bezbarwne z łona Towarzystwa Przyjaciół Nauk były wyszły i takie wspomnienia, które odpowiadają w zupełności wymogom dzisiejszym.

Posłuchajmy *pochwały* Cypryana Godebskiego, co poległ pod Raszynem w krwawej bitwie z Austryakami w 1809 roku, którą wypowiedział jego przyjaciel J. K. Szaniawski. W tej pochwalie znajdujemy tak pożądane szczegóły; one to ożywiają najwymowniej ostatnie chwile umierającego poety-żołnierza.

Towarzystwo czując potrzebę ustalenia pisowni polskiej, wobec pojawiającej się nowości przez pojedynczych pisarzy zalecanych, oddawna, bo od roku 1814 zwracało po temu pilną uwagę. W roku dopiero 1827 zabrało się energicznie, ażeby rzecz oddawna obmyśloną w życie wprowadzić. W tym celu wysadziło z grona swego *Deputację* do zaprojektowania stałych zasad pisowni, złożoną z księdza Szwejkowskiego rektora Uniwersytetu Warszawskiego, oraz z profesorów tegoż uniwersytetu: Feliksa Bentkowskiego, Kazimierza Brodzińskiego i Ludwika Osieńskiego, do którego grona weszli członkowie Towarzystwa Jan Kruszyński znany uczony, wierszopis i pułkownik Mroziński, autor zajmującego historycznego opisu: *Obrona Saragossy*, w Pamiętniku Warszawskim.

Prace te połączone, Towarzystwo Przyjaciół Nauk wydało swoim nakładem w jednym tomie obszernym p. n. *Rozprawy i wnioski o ortografi polskij*. (Warszawa 1830 r.).

Dzieło to stało się dla poważnych literatów kodeksem obowiązującym, co do pisowni, aż do obecnej chwili.

W przedostatnim roku swego istnienia, *Towarzystwo* jakby pamiętkę po sobie, stawia przed domem swoim posąg *Kopernika*.

Myśl wzniesienia go była powzięta jeszcze za czasów Księstwa Warszawskiego; ale czasy ówczesne burzliwe, zubożenie obywateli, nie dozwoliły myśleć zebrania odpowiednich funduszów ze składek, a tém samém i zamówienia tego pomnika. Kiedy błogi pokój a tak pożądany, dał swobodne chwile odetchnienia, zaczęto się żywo krzątać około tego dzieła.

Z dawnych składek z departamentów Księstwa Warszawskiego, zebrano tylko 1600 złp., członkowie Towarzystwa wdowiego grosza złożyli 2000 złp., tymczasem posąg dłuta Thorwaldsena, kosztował złp. 36,000. I znalazł się wspaniały dawca: był nim Stanisław Staszic; ten nietylko dla Towarzystwa gmach wspaniały swoim kosztem zbudował, ale dołożył na ten cel z własnej szkatuły złp. 32,400. Był dzień dżdżysty i pochmurny, w którym miano odsłonić posąg wielkiego astronoma.

„Gdy Niemcewicz (pisze Fr. hr. Skarbek) po wzniosłej przemowie dał znak odsłonięcia posągu i gdy zasłona z niego spadła, w tej samej chwili, ponure dotąd niebo rozjaśniło się nagle, i silny jasny promień z pośród nagromadzonych obłoków, padł na posąg Kopernika, tak jakby niebo chciało razem z nami, obchodzić święto tego, który przed wiekami jego szlaki mierzył, tak jak gdyby promienném

światłem na jego postać rzuconém, chciało objawić, iż myślą i dziełem naszym na jego błogosławieństwo, zasłużyliśmy”¹⁾).

Lesław Łukaszewicz w *Rysie piśmiennictwa polskiego*, jedną epokę literatury oznacza związaniem się Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie. Myśl ta ma swoje usprawiedliwienie, kiedy spojrzymy na chwilę w której powstało.

Rok 1800 należał do tych lat smutnych i bolesnych, w których przejmował przestrach każdego miłośnika tak języka własnego, jak drogich wspomnień przeszłości i zabytków, którym groziła zagłada. Towarzystwo Przyjaciół Nauk stało się ogniskiem do skupienia pojedynczo rozrzuconych sił duchowych w dalekich stronach. Umiało ono dobrze do nowych prac zagrzewać, dawne, zaszczytném uznaniem podnosić, i zachęcać do wykonania już rozpoczętych studyów. Pozyskanie tytułu członka Towarzystwa, było w owe czasy największą dla każdego chlubą. Lubo Hugo Kołłątaj, jak to przywieśliśmy wyżej obawiał się o *Roczniki* Towarzystwa, zbiór ich przecież całkowity nie sprawdza przepowiedni słów wielkiego myśliciela, bo z uszanowaniem przeglądamy ten szacowny zbiór, wymownie świadczący o zacnych jego usiłowaniach i pracach.

W sądzie o działaniach tego zgromadzenia, nie możemy iść za gorącym, nieraz potępiającym go zdaniem przez wielu z późniejszych pisarzy, którzy niezwracając uwagi na czasy w jakich żyło i działało, wyrok swój wydawało. Każdy sąd o niem bez tego poglądu, będzie niesprawiedliwy.

Bo zaprawdę, jeżeli bliżej zbadamy okres w którym istniało, cel główny, obywatelski więcej jak literacki, który sobie założyło, musimy z ręką na sercu wyznać, że dla języka ojczystego, dla literatury krajowej położyło niezapomniane zasługi, godne wdzięcznej pamięci.

Gmach zewnątrz w niczem nie zmieniony pozostał do dni naszych w pierwotnym kształcie. Na pierwszém piętrze, oprócz sali na publiczne posiedzenia mieściły się zbory Towarzystwa, biblioteka i zabytki starożytności; na dole od strony ulicy Nowego Świata, mie-

¹⁾ „Wspomnienie o Warszawskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk, przez Fr. hr. Skarbka członka C. K. Tow. Nauk. Krakowskiego. Kraków 1860 r.“ w 8-oc str. 31. Jestto lekka tylko i pobieżna wiadomość o tém Zgromadzeniu. Kiedy mi ją czytał Fr. hr. Skarbek, zwróciłem jego uwagę na zbyt szczupłe ramy tej pracy, i że my właśnie pragniemy od niego szczegółowego o *Towarzystwie P. N.* sprawozdania, odrzekł mi na to:

„Nakreśliłem naprędce moje wspomnienie, resztę znajdziecie w *Rocznikach* samego Towarzystwa. Nie mam teraz czasu, pracuję, jak pan wiesz, a pracuję ciągle nad moimi *pamiętnikami*.”

Rzeczywiście tak było, i szacowna ta praca pozostała w rękopiśmie.

ściła się w nim księgarnia Zygmunta Szteblera. Zmarł on licząc już dziewiąty krzyżyk wieku, bo lat 85, dnia 24 sierpnia 1875 roku.

Był to niewątpliwie najstarszy z księgarzy Warszawskich. Z początku na ulicy Święto-Jańskiej, w księgarni wuja swego Szczepańskiego, którego zapamiętam w kontuszu i żupanie, rozpoczął swój zawód; po 22 latach pracy miał sposobność dokładnie obznajomić się z księgarstwem polskiem. Kilku członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk, znając zacność i prawość charakteru Szteblera namówiło go do założenia księgarni, którą też w gmachu nowo zbudowanym otworzył. Pomagał mu Staszic, a po nim Niemcewicz. Była to jedna z pierwszych w Warszawie księgarni, po Zawadzkiego i Węckiego, dopóki Natan Glücksberg nie otworzył swojej wraz z zakładem typograficznym.

Sztebler całe grono uczonych znał dokładnie i nie mało o każdym mógł podać szczegółów. Niskiego wzrostu, powolny w ruchach, odznaczał się szczególnie białą pcią i pełnem żywego rumieńca obliczem, na którym malowała się dobroć i często wdzięczny uśmiech. Skromny i potulny, w sędziwych latach doznając coraz większej chudości, w zapomnieniu skończył swój pracowity żywot.

Na nim też i my zamykamy nasze wspomnienia o Towarzystwie Warszawskiem Przyjaciół Nauk, oby mogło być dowodem wdzięcznej, serdecznej pamięci, dla tego zacnego grona, które zawsze kierowało myśl i prace swoje w duchu obywatelskim, na pożytek własnego kraju.

VII.

Dawne wspomnienia w murach miasta. August II. Kowal. Regimentarz Cieński.—Adam Poniński.—Ulica Podwale—August III.—Stanisław Leszczyński.—Stanisław August.—Książę Karol Radziwiłł Panie Kochanku—Szatny Bukowski.—Karol Borowski.—Hieronim Radziwiłł.—Pojedynek ze zmarłym.—Nowa Tradycja.—Kazimierz Brodziński.—Pole Raszyńskie.—Rok 1809.—Wyprawa 1812 r. — Wiersz Napoleona I-ego. — Jan Sobolewski. — Tadeusz Kościuszko.—Pokój.

W ciasnych granicach zamkniętą była Warszawa w pierwszych latach dwudziestu naszego stulecia. Główną jej część stanowiło Stare-Miasto i Krakowskie Przedmieście z przyległymi ulicami. Po za Saskim ogrodem, ulica Królewska kończyła granice właściwego miasta; z drugiej strony zamykała ulica Święto-Krzyszka. Nowy Świat, ulice: Mazowiecka, Rymarska, Elektoralna, Leszno jak i Grzybów, liczyły się do oddalonych przedmieści, i mało zabudowanych i zaludnionych ulic.

W tak szczupłych szrankach skupiał się cały przemysł uliczny jak i handel kupiecki. Tu codziennie mieszczanin warszawski nie wiele się trudząc mógł poznajamiać się z najwydatniejszymi postaciami, które się po wązkich ulicach przewijały. Najliczniejsze kościoły, targi (na Starém i Nowém-Mieście i Rybakach), teatr narodowy, gdzie ludność głównie ciągnęła, w tym obrębie się mieściły.

Główną uwagę w zwykłym porządku rzeczy, wraz z biegiem Wisły, brało nasze miasto w stronę za Zdrojami w prostej linii ku Marymontowi, gdzie dziś wznosi się cytadela.

W tę porę Warszawa nosiła jeszcze na sobie wszystkie ślady narodowości, że wyrastało miasto z łona rolniczego plemienia: pierwiastek też polski górował wszędzie. Zajmowało przestrzeń obszerną w gruntach, ale skupiało się głównie około serca swego, Starego-Miasta. Gdzieś rzucił okiem od wiosny do późnej jesieni, czy pod wodę Wisły, czy z jej biegiem, otaczał Warszawę wieniec zielonych drzew z gęstych jeszcze lasów, a bliżej murów mały się liczne ogrody, słynne wyborowymi owocami i równie wyborowymi jarzynami.

Od rogatek Marymonckich zalegały wzgórze piaszczyste i wydmy, gdy z drugiej strony od Mokotowa i Belwederu, grunt gliniasty zasilał miasto doskonałą cegłą. Nie wiele jej wówczas potrzebowała Warszawa; szlachta kochała jeszcze życie wiejskie, żyła w dworach swoich to dostatnio to z chudobą, ale miłując spuściznę przodków, zawód rolniczy, jako najszlachetniejszy, przenosiła nad bruk miejski. Miała nawet w pogardzie takiego, który bez potrzeby i obowiązku, porzucał gniazdo ojcyste, aby w próżniactwie zamieszkiwał mury miasta.

To zamiłowanie zawodu rolniczego, uratowało od zagłady charakter narodowy; tak męzkie jak i niewieście plemię, w życiu wiejskim przechowywało wszystkie najszlachetniejsze cechy antenatów. Kto chciał poznać prawdziwe typy narodowe, z niestartem ich rysa-

mi, znajdował je wyłącznie po dworach modrzewiowych, lub ze stuletnich dębów stawianych. Uroczyste zastępy Polek, w tych drewnianych ścianach rosły, hodowały się, a za zjawieniem swoim w murach miasta, wywoływały podziw i zachwyt szczerzy.

Przy ogniskach domowych w zaciszy wioskowej, siedziały stare rody ziemiańskie, szanujące stary obyczaj, zwyczaje ojcowe, i przeszłość kochało całym sercem. Czego w *Dyaryuszu* albo *Silva-rerum* dla pamięci potomków nie zapisał dziad czy ojciec, to żywem słowem zaszczerpił w pamięci.

Z ustroju politycznego całego kraju na początku naszego okresu, wiele z tej szlachty musiało porzucić dwory swoje, i stałe zamieszkiwać w Warszawie, dla pełnienia obowiązków w służbie publicznej; wielu z uboższych i bez ziemi, po upadłych dworach magnackich, szukało przytułku i utrzymania w naszym mieście, które prawie w tej dobie, o jakiej mówimy, zewnętrzną postacią i obliczem swoim przypominało stolicę dawniej Rzeczypospolitej.

Do tych starych murów i kamienic Warszawy, mnóstwo dawnych wspomnień przyrosło, a każdy mieszczanin i lud z nadwiśla rad je powtarzał, nauczywszy się ich od swoich rodziców. Przypomnimy tu je chociaż w części, a snuły się one za lat moich młodych wszędzie jak pajęczyna babiego lata, czepiając się nie tylko murów miasta, ale jego rynków, bruku, ogrodów; niechaj więc na tych stronicach ocaleją od zagłady.

Tradycje te zaczynały się od króla Sobka, jak wówczas powszechnie szlachta nazywała Jana Sobieskiego, który był jej bożyszczem. Nie brakło wszelako i dawniejszych wspomnień sięgających epoki Zygmunta I-go i ostatniego Jagiellończyka. Pamięć króla Sobka, odbijała się w zamku warszawskim, w Willanowie i Marymoncie.

Do dawniejszych podań, które w żywej przechowały się pamięci należy o małym kościółku Ś-go Jerzego na Świętojurskiej ulicy (dziś zniesionym). Kiedy Warszawa obwarowana była grubymi murami i basztami, zjawił się tak olbrzymiej siły rozbójnik, który sam rzucał postrach na jej mieszkańców; ktokolwiek mu się nie opłacił sówicie, to byle pokazał się za murami, zaraz go schwytał i głowę ukrecał. Miasto było trzymane jak w oblężeniu. Magistrat z obawy długo w milczeniu się zachowywał, aż raz przecie zdobył się na odwagę, i wydał postanowienie, że kto tego rozbójnika żywcem dostawi lub trupem, otrzyma 6,000 tynfów nagrody. Zdarzyło się, że potem blisko dwa miesiące nie było słyhać o nim; odprawiono u Fary wielkie nabożeństwo, dziękując Bogu że Warszawę od obawy uchronił, aż tu przed południem do ratusza na Starem-Mieście, wchodzi młodzieniec pięknej urody, około lat 30-tu, silnie zbudowany, w bogatym stroju. Spotkawszy pachółka, każe się zaprowadzić do burmistrza, kiedy właśnie z ławnikami razem się naradzał. Gdy się zbliżył do nich rzucił opouńczę z siebie na ziemię i rzekł:

— Jestem Jerzy, ów rozbójnik, za którego głowę tak ogromne pieniądze przeznaczycie; otóż ja sam oddaje się w ręce sprawiedliwości!

To wymówiwszy, odpasał miecz połyskujący, który rzucony na ziemię, wydał taki dźwięk żalony, że zdawało się jakby głosy pomordowanych przez niego ofiar jęknęły. Cały magistrat zbladł ze strachu, co widząc przemówił spokojnie:

— Jak widzicie jestem bezbronny, opowiem wam dzieje moje. Szlachcic rodem, zakochałem się w pięknej pannie, pozyskałem wzajemność; rodzice chętnie błogosławili swoją jedynaczkę, gdy ją mój współzalomnik zamordował. Zawrzała zemsta w sercu, a siła pomogła zem się stać sławnym rozbójnikiem. Najprzód zabiłem mordercę mój narzeczonej, a potem niesiony szałem, rzuciłem postrach na wasze miasto. Ale miałem sen, w nim ją w ślubnej sukience ujrzałem, wzywającą do siebie. Pójdę do niej! Mam w dwóch miejscach wielkie skarby zakopane: jeden oddaje na potrzeby Warszawy, za drugi wystawicie kościół Ś-go Jerzego, w tym miejscu gdzie złoto wam ukazę.

Jak wyrzekł tak i zrobił; a gdy wystawiono świątynię, pomodlił się w niej, i sam poddał głowę pod miecz kata. Zwłoki jego w tymże kościele pogrzebane zostały, stosownie do rozporządzenia magistratu Starój-Warszawy.

Z okresu dwóch Sasów, wspomiano siłacza Augusta II, który łamał podkowy, i zginał szyny żelaza. W zbiorach starożytności b. Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, przechowywano duży a gruby srebrny puchar, który gdy podochocony król ten pochwycił w dłoń krzepką, a napełniony był starym węgryzmem, jak ścisnął, wino trysnęło fontanną, a puchar spłaszczony rzucił na ziemię.

Przy ulicy Podwale, wprost uliczki wiodącej na Dunaj, była kuźnia, która dotąd jeszcze istnieje. W niej siedział kowal sławny także z niezwykłej siły, bo łamał podkowy jakby z wosku ulepione. Znał go i lubił August Mocny i razem nieraz na sztabach żelaznych próbowali swęj siły.

Zdarzyło się, że powiedziano królowi, iż znajduje się większy siłacz od niego, regimentarz Cieński, mieszkający nad Dniestrem. Ubodło to Augusta, polecił przeto ażeby go sprowadzono do Warszawy. Ten wkrótce przybył; król na jego przyjęcie rozkazał w kątach ścian komnaty Saskiego pałacu, ustawić grubsze niż zwykłe sztaby żelaza.

W oznaczonej godzinie staje przed nim *Cieński*.

— Słyszałem—rzekł król—że wy generale mocniejsi odemnie: zechciejcie pokazać swą siłę.

Cieński z ukłonem spojrzął w około, a ujrawszy ustawione szyny, wziął jedną, wyginać zaczął jak leszczową obręcz, i spoglądał jakiego użyć sposobu, ażeby najlepiej wykonać życzenie królewskie.

Przy drzwiach wchodowych na straży stało dwóch *drabantów* z halabardami, olbrzymiego wzrostu, więc zbliża się do nich, i każdemu sztabę założywszy na szyję, skręca tak, żeby jej zdiąć nie potrafił. Poczem z ukłonem podchodzi do Augusta i mówi:

— Najjaśniejszy Pan raczy zdjąć z drabantów te *halsztuchy*.

Ale król daremnie usiłował spełnić to zadanie: wreszcie rozkazuje przywołać owego *kowala*. Kiedy ten przybył i obejrzał obręczę na szyjach założone, po próżnych wysiłkach, rzekł do króla:

— Miłościwy Panie! chyba obu drabantów wezmę do kuźni i ze łbami podsadzę pod miech, a gdy się szyny rozpalą dobrze, to obcęgami odkręcę.

Wówczas Cieński przystąpił do wystraszonych Sasów, i uwolnwszy ich z ciężaru, wyprostowane szyny ustawił napowrót w kątach komnaty ¹⁾.

August II już więcej regimentarza nie wzywał.

Kuźnia owa jest miejscem historycznym, przed nią bowiem głośny w dziejach Stanisława Augusta, pan milionowy, Adam Poniński, w rysztole umarł 1798 r. Świadek obecny temu Krajewski, kamerdynier Stanisława Trembeckiego, opowiadał mi to zdarzenie ze szczegółami.

„Sprawiedliwa pomsta Boża dosięgła tego człowieka. Widziałem go na szczycie dostojęstwa i przepychu, gdy poszóstną karetą paradował po Warszawie. A potem miły Boże! Było to już za czasów pruskich. Dzień był skwarny, słońce dopiekało jak w sierpniu: idę sobie przez Podwale, aż patrzę i widzę przed sobą postać zbiedzoną i schudzoną, podobną do podskarbiego wielkiego koronnego. Zbliżam się i poznaję, to on sam: Poniński! Chowając się przed wierzycielami, przemieszkiwał u jednego z dawnych sług swoich na dalekiem przedmieściu. Wstąpił do szynku na kieliszek wódki, i widać głodny, bo łakomie połykał bułkę, szedł dalej, a ja za nim. Przed samą *kuźnią* zachwiał się i upadł w rysztole. Kiedyśmy go podnieśli, już nie żył.”

Jedynie tylko wspomnienie zachowało się o synu poprzedniego króla, *Augustcie III-im*.

W *Saskim* ogrodzie była na środku duża drewniana altana, którą jeszcze zapamiętam. Z niej on używał najprzyjemniejszej rozrywki dla siebie, strzelając do psów, których mu tu napędzać kazał Brühl gromadnie.

¹⁾ W roku 1832 w Galicyi bawiąc, szczęśliwem zdarzeniem, odwiedziłem w dawnym gnieździe Cieńskich, we wsi *Okno* po nad słynnym Dniestrem, wnuka w prostej linii tego regimentarza, pana Udalryka Cieńskiego. Zacny ten obywatel pokazywał mi wiele pamiątek po regimentarzu a towarzyszu wyprawy pod Wiedeń 1683 r. z królem Janem Sobieskim. Schwycił on jednego bawę, z niego broń i ozdoby stroja wschodniego przechowywał wnuk starannie.

Żywszą pozostała pamięć po królu Stanisławie Leszczyńskim, który dopiero należne uznanie pozyskał, kiedy na obcej ziemi pannał. Wiadomość o jego zgonie, dla wielbicieli tego *króla filozofa*, jak wyrażano się o nim, była ciężką boleścią: to téż zwyczajem staropolskim na znak żałoby, pozapuszczali brody, które do trumny ponieśli.

Wspomnień zachowało się mnóstwo ze zgasłego wieku: a głównie téż o Stanisławie Augustcie jak i osób co go otaczały.

Po królu, najwydatniejszą postacią, która się wyrzyła w pamięci naszego stulecia, był książę Karol Radziwiłł zwany *Panie Kochanku*.

W pierwszym podwórzu zamku warszawskiego pokazywał mi mój ojciec miejsce, gdzie stanęła jego karetka zaprzężona w cztery duże niedźwiedzie, które popłoch straszny zrobiły pomiędzy końmi od powozów pań i panów. Rżenie ich, rzucanie się, łamanie dyszlów, rwanie uprzęży, sprawiły wielki rozruch. Wysłał król swego paza, ażeby zobaczył co się tam stało? Ten wraca i donosi że książę Radziwiłł wojewoda zajechał niedźwiedziami w odwiedzinę Najjaśniejszego Pana.

Radziwiłł zrobił to dla tego, że na dworze królewskim nazywano go powszechnie: *Niedźwiedziem Litewskim*.

Panie kochanku, jestto rzeczywiście najpopularniejsza postać z przeszłego wieku. Magnat ten dziwnym sposobem, przy swoich wybrykach nieraz szalonych, umiał przywiązywać do siebie własnych dworzan, którzy na jedno jego słowo, gotowi byli dla niego w ofierze, ponieść krew i życie.

Szatnym tego księcia był Bukowski. Miał on dożywociem dany sobie folwark pod samym *Nieświeżem*. W krzepkiej starości, całe dnie przesiadywał albo na ganku wiosną i latem, albo pod oknem w porę zimniejszą, patrząc na zamek i miasto które niegdyś pamiętał w tak świetnym stanie. Żonaty był z baletniczką nadwornego teatru księcia. W czasie okropnego pożaru, gdy prawie cały Nieśwież wygorzał, Bukowski już bardzo osłabiony płakał niezmiernie, i oczy miał wlepione na miasto w płomieniach. Gdy wieża ratuszowa spłonęła i orzeł Radziwiłłowski będący na szczycie upadł, Bukowski w kilka godzin oddał Bogu ducha. Nie potrafił przeżyć zatraty jedynej pamiątki po ukochanym swym panu, na którą codziennie poglądał. 'Tacy to słudzy bywali dawniej ¹⁾.

¹⁾ Bukowski żył długo, bo dopiero umarł około roku 1840. Przeżył więc pana swego lat 46. Zwłoki księcia Radziwiłła *Panie kochanku* spoczywają u *Fary* w Nieświeżu, ale rzecz godna uwagi, w téj jego dawniej stolicy, pamięć tak rozgłośna tego możnowładcy jeszcze w pierwszych latach wieku naszego, już prawie zupełnie wygasła. Załedwie czasem u którego mieszczanina, albo ze starszych oficyalistów Radziwiłłowskich można coś o nim zasłyszeć. Przynożamy tu wyjątek z listu otrzymanego z Nieświeża z dnia 22 lutego 1875 roku.

Czémże sobie zdobył tę popularność w całej Rzeczypospolitej *Panie kochanku*? Zaprawdę, nie zasługami w kraju, nie odwagą, ani odznaczeniem rycerskiem, ale jedynie humorem i dowcipem. Dykteryjki jego i kłanliwe powiastki obiegały zarówno Litwę jak Korong: one to były przykrasą każdego zebrania szlachty, w domu, na jarmarku lub odpuszcie, a wetami każdej uczy przyjacielskiej.

Obok Radziwiłła jaśniała postać wydatna pana Leona Borowskiego nieodstępny jego towarzysza, który swoim dowcipem ratował

„Pytasz pan czy nie zostały jakie podania o księciu Karolu Radziwiłł *Panie kochanku*? Głucho tu o nim! Osobistość tak głośna w swoim czasie zamarała, tak w samém mieście Nieświeżu, jak i okolicach pomiędzy ludem. Przypadkiem zasłyszane w gronie starych sług Radziwiłłowskich podaję.

„Rozweselony przy uczcie *Panie kochanku*, na prośbę przełożonego Jezuitów, darował zakonowi *Albę*, prawdziwe złote jabłko, o parę wiorst od Nieświeża położoną, gdzie była jego letnia rezydencya. Przyszedszy książę jednakże do rozważki, żałował swego przyrzeczenia, które miał potwierdzić urzędownie. Przywołał na poradę gwardyana Bernardynów jako nieprzychylnego Jezuitom. Gwardyan podał mu dobrą myśl, żeby kazał wysyć dwie *alby* do ubioru kapłańskiego i przy akcie urzędowym wręczył darowiznę przełożonemu Jezuitów. Kiedy się więc wszyscy zeszli na ten akt, książę wyjął z pudełka *alby* i chciał oddać Jezuitcie, ale ten zdziwiony tak zręcznym wybiegiem i rozgniewany nie przyjął daru. „A więc może wy, Ojcie Gwardyanie przyjmiecie” wyrzekł Radziwiłł, co z pokorą i podziękowaniem Bernardyn przyjął.

„Było w zwyczaju gdy książę bawił w Nieświeżu, zapraszać szlachtę obecną w mieście na obiady do pałacu Radziwiłłowskiego; zapraszano zarazem i szlachcianki z kościoła wychodzące na zabawę i tańce. Jest dotąd sala już zrujnowana, zwana *asambłową*. Jeden ze szlachty niezaproszonych zwracał uwagę księcia *Panie-kochanku* głośną modlitwą w kościele.

— *Panie!* (tak się modlił) zachowaj mnie od drogich potraw, zachowaj mnie od mocnych napojów, zachowaj i od szczęścia!

Książę zaciekawiony tak dziwaczną modlitwą, zaprosił go do siebie na obiad. Jakże był zdziwiony, gdy ów szlachcic pił dużo najmocniejszych trunków, jadł co było najlepszego, nakładając sobie pełne talerze. Po obiedzie pyta go Radziwiłł:

— Powiedz mi, *Panie-kochanku*, panie bracie, co znaczy twoja modlitwa, kiedy postępujesz wbrew przeciwnie?

Szlachcic skłoniwszy się do kolan księcia odrzekł:

— Mogę przekonać księcia pana że w niczém od méj modlitwy nie odstępuję. Bo czyż jest napój silniejszy od wody, która wszystko rujnuje i zwycięża najsilniejsze tamy. Co do pokarmów, czyż jest droższy nad lekarstwa apteczne? Również proszę Boga o oddalenie szczęścia podobnego o którém w smutnych wypadkach mówimy: „szczęście, potłukł się ale karku nie złamał.”

Książę rozweselony dowcipem szlachcica, zaprosił go stale na obiady świąteczne, a o to mu właśnie chodziło.

nieraz *Panie kochanku*, jeżeli się kiedy zaciął w objaśnieniu swój dykteryjki, albo jak to mówią, zapomniał języka w gębie.

Szambelan Stanisława Augusta Kownacki, mówił mi że na zamku Warszawskim Radziwiłł królowi opisując krwawą bitwę, przy obleganiu Nieświeża, w zapale tak skończył:

— Wtedy, Mości królu, *Panie kochanku*, na wałach mojej stolicy zostałem zabity!

Stanisław August na takie łągarstwo śmiejąc się odrzekł:

— Czy to być może?

Radziwiłł wtedy zawołał:

— Wasza królewska mość, *Panie kochanku*, temu wierzyć nie chce, niechże powie pan Leon, bo był obecny.

— Wszystko to prawda—mówił Borowski z powagą—co książę jegomość opowiada, ale ja już tego nie widziałem, bo byłem także zabity!

Na te słowa z radością i tryumfem zawołał Radziwiłł:

— A widzisz, *Panie kochanku*, mości królu, że to wszystko prawda! ¹⁾.

Stanisław August wiadomo jak był wykwintny w ubiorze: kochał się w koronkach brabantkich, aksamitach i haftach, w które się rad stroił, gardząc narodowym kontuszem i żupanem, które tak miłował Jan Sobieski; koronował się też w kościele katedralnym warszawskim w stroju hiszpańskim, i zachwycał wszystkie damy zbliżone

¹⁾ W pośród licznych *albańczyków* byli jeszcze wybrani, i najbliżsi osoby księcia, nietylko do zabawy, ale i do rady w interesach familijnych, prawnych, majątkowych i sejmikowych; byli nawet tacy, którzy na chwilę nawet księcia nie odstępowali. Jednym z takich poufałych domowników, był pan komornik, a następnie godnością stolnika słowimskiego zaszczycony Leon Borowski herbu Lubicz. Rysy twarzy jego były piękne i szlachetne, nieco melancholijne, bo rzadko się uśmiechał. Słyszając tyle dowcipnych anegdot o nim, niktby go o nie, sądząc z powierzchowności, nie posądził. W starości zupełnie był inny, jak opowiadają ci, co go jeszcze pamiętają: oblicze jego zrobiło się obwisłe, rysy jowialne, wesołe i pobudzające do śmiechu. Takie fizyognomie wyrabiały się z czasem, przez ciągle całego wieku żarty, krotofile i nie udany dobry humor. *Panie kochanku* zwykle mawiał: „*Jak niema pana Leona i ja rozumu nie mam*”, i miał słuszność, bo również dowcipnego towarzysza trudno było znaleźć, a książę do niewinnego łągarstwa i cudačkih opowiadań, przy nim zawsze większej nabierał ochoty. „Córkę jedynaczkę Borowski wydał za szambelana Komorowskiego, która mu trzech wnuków zostawiła (pisał mi Eustachy hr. Tyszkiewicz), żyjących dotąd we własnych dobrach w gub. Kowieńskiej, i pod wszystkimi względami odznaczających się obywateli.” Leon Borowski umarł w późnej starości, już po roku 1812 w Ogieniskach, majątności którą dzierżawił od dawnego księstwa Birzańkiego, pochowany przy kościele parafialnym w Kwetkach.

do dworu. Nie dziw przeto, że raził go kontusz księcia wojewody zbrukany i zaplamiony.

— Mój książę, rzekł przyjaźnie król do niego, mógłbyś lepszy sobie sprawić...

— Mości królu, *Panie kochanku*, odrzekł na to Radziwiłł, ten kontusz nosiło dwunastu wojewodów jeden po drugim, niedziw że się nieco zszarzał.

Tą odpowiedzią przyciął Stanisławowi Augustowi, że ród jego wznosił się niedawno w Rzeczypospolitej.

Żywa pamięć tej postaci w ustnym podaniu, przechowywała się prawie, aż do czasów pojawienia się Mickiewicza. Zbiór jego dykteryjek i dowcipów, zebrany razem, stanowiłby nie szczupły rozdział w monografii *panie kochanku*, która byłaby wielce zajmująca.

Henryk Rzewuski w naszych czasach, odżywił tę postać w pamiętkach *Soplicy*, a J. I. Kraszewski w opowieści *Ostatnie chwile Księcia Wojewody Panie Kochanku*, obejmując tylko jeden ustęp z życia Radziwiłła, dał nam arcydzieło. W opowiadanych anegdotach *Panie kochanku*, wiele było dowcipów, które pochodziły ze sławnej *Rzeczypospolitej Babińskiej*, z czasów króla Zygmunta Augusta. Czy je sam powtarzał Radziwiłł, czy wielbiciele na karb jego odświeżali takowe, niewiadomo; ale dopiero to spostrzegliśmy, kiedy *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk*, z księgi rękopiśmiennej zachowanej w Puławach, obszerne dało nam sprawozdanie o owej Rzeczypospolitej w *Babinie*, której grono stanowili najznakomitsi mężowie XVI wieku.

Oprócz rzeczywistego humoru, książę Karol Radziwiłł odznaczał się szczególniejszym charakterem, w którym mieszały się szalone wybryki pańskie, dziwactwa przy zabobonach, obok najszlachetniejszych uczuć. Przywiodę tu jeden godny uwagi, podług użyzionej mi notaty Eustachego hr. Tyszkiewicza.

„Książę Karol miał przyrodniego brata Hieronima, którego ojciec książę hetman, zwany *Rybeńko* (bo ten wyraz był jego ciąglem przysłowiem), odumarł małoletnim, a brat starszy został opiekunem. Kiedy książę Hieronim doszedł do pełnoletności, *Panie kochanku* dał mu zamek w *Białej* (nad rzeką Krzną w Podlasiu dawnym) na rezydencją i znaczne dobra. Książę Hieronim bywając w Lublinie, wpośród tamecznej palestry poznał młodego pana B., i wziął go do siebie, dla ułatwienia prawnych interesów. Na Ś-ty Karol, zwykle cała familia zjeżdżała się do Nieświeża: książę Hieronim jadąc tam, wziął ze sobą owego patrona, który korzystając z dobrej sposobności, przejrzał tameczne archiwa, i zbliżył się do osób, rządzących wszystkimi dobrami Radziwiłłowskiemi. Zbadał wtedy, że *pryncypał* jego miał prawo jako brat do połowy całej fortuny, a posiadał tylko to, co mu z łaski było dane. Ułożył więc o tém memoryał i przedstawił go księciu Hieronimowi. Ten kochając brata i mając dosyć dla siebie, a widząc że cały ciężar interesów leży na massie ogólniej i że

syn jego będzie i stryja sukcesorem, wybuchnął gniewem, podarł podany mu memoriał, odprawił go od siebie, i natychmiast rozkazał mu wyjechać do Lublina. *Panie kochanku* u stołu zauważył nieobecność młodzieńca, a gdy go wszystkie odpowiedzi nie zaspokoily, i zrozumiał, że w tém jest coś tajemniczego, przywołał brata i sam na sam wymógł na nim, że mu całą prawdę powiedział. Nic więc nie mówiąc, posłał w pogoń nadwornych kozaków, a gdy ci palestranta wystraszonego z drogi wrócili, przywołał go do siebie i w obec księcia Hieronima wyrzekł:

— *Panie kochanku!* masz waś odtąd u mnie miejsce i tu zostaniesz, ażebym patrząc na waćpana, przypominał sobie ciągle, jakiego mam cnotliwego brata!

Obok tak pięknego rysu szlachetnego serca *Panie kochanku*, położmy następne zdarzenie, mało dziś już komu znane.

Przy Farze w Nieświeżu, gdzie są groby Radziwiłłów, był mały sklepik, gdzie dozwolono w nagrodę zasług, grzebać ciała pewnej rodziny, która od niepamiętnych czasów służyła domowi ksiądzemu najwierniej. Raz u stołu *Panie kochanku* przebrał trochę miarkę, a przymtem może zadługo siedząc, potrzebował jakiegoś wybryku. Przypomniało mu się opowiadanie któregoś z domowników, że są dowody w archiwum na to, iż jeden z dawno już zmarłych, a tam pogrzebionych sług domu ksiądzego, przeniemierzył się jego antenatom. Natychmiast zrywa się rozgniewany wojewoda, każe kulbaczyć konia, przypasuje szablę, nabija pistolety i posyła wyzwanie nieboszczykowi na pojedynek pod słowem ksiądzem, że stanie na cmentarzu i rozprawi się z nim krzyżową sztuką, lub na pistolety: jak się podoba.

Dworzanin pobiegł do Fary, ksiądz Katembryng w głowę zachodzi, niepojmując co się stało, ale wola księcia *stań się—stało się!* Nadjeżdża *Panie kochanku* i czeka gniewny przy bramie cmentarnej. Ks. Katembryng wychodzi ze sklepiku z długą oracyą, przeprasza w imieniu nieboszczyka za jego przewinienia, i prosi, aby go ksiądz łaskawie w pokoju zachować raczył.

Ale o niczém słyszeć nie chce *Panie kochanku*, tylko krzyczy coraz zawzięciój:

— Pod kpm, niech wychodzi!

Borowski wtedy wszedł do sklepiku, kazał nabrać dzwonek, grzechotek wielko-piątkowych, posłał na wieżę, ażeby uderzono we dzwony, a ksiądz zniecierpliwiony czeka.

Dźwięk jednakże dzwonek, zgrzyt grzechotek w pośród cmentarnej ciszy, zaczął nań oddziaływać: powoli trzęsział i chłódnał.

Po dłuższej chwili, wybiega wśród ogromnego hałasu pan Leon z przerażoném i wybladłém obliczem, a drżąc ze strachu krzyczy do księcia:

— Idzie! idzie!

I sam ucieka dalej.

Jak szarpnie Radziwiłł w nogi, bez tchu przyleciał do zamku i bramy zatarasować za sobą kazał. Posłał zaraz po księdza Katembynga, dał hojnie na mszę świętą, i dopóty się nie uspokoił, dopóki mu zupełnego przebaczenia od wyzwanego nieboszczyka nie przyniesiono.

Panie kochanku będąc najbogatszym panem w dawniej Polsce, chojnością niesłychaną zmarnotrawił ogromną fortunę, ale zarazem zdobywał dla siebie rozgłos i sławę w całym kraju. Nieśwież za jego czasów, wrzał daleko większym życiem, aniżeli Warszawa z dworem królewskim. W zamku Nieświeża zbierało się ciągle w ową dobę, gro- no znakomitości społeczności naszej. Ścisk bywał wielki w samym mieście, napływem gości ze wszystkich stanów. Dwór miał jeżeli nie liczniejszy od królewskiego, to prawie równy, licząc ogromną druży- nę dworzan, sług i czeladzi, dworaków, awanturników, pieczeniarzy i kuglarzy. Prócz tego utrzymywał własny teatr i kapelę, miał i swoją załogę wojskową, a pod chorągiew swą zbierał wyćwiczonego żołnierza, do 6,000 ludzi.

Wśród tego tłumu i roju dworzan, rozmaite ich były rodzaje. Byli wśród nich osobistości, księcia przyjaciele, których lubił woje- woda, a jako szlachta, przypuszczeni byli do stołu i codziennego to- warzystwa pańskiego. Ci mieli prawo noszenia munduru przyjaciel- skiego, zwanego *albańskim*, bo też i oni sami siebie nazywali *albań- czykami*, od znanego pod Nieświeżem parku i letniej rezydencji zwa- nój *Alba*, gdzie księżę rad przebywał w ich towarzystwie.

Do liczby bliższych należeli nieraz generalni rzędcy dóbr, i ta- cy, co używani byli do interesów prawnych. Ci lubo sładzy płatni i siadający do marszałkowskiego stołu, razem z wyższymi oficerami załogi zamkowej, mieli jednak poważanie u księcia, który rad był czasem wiedzieć, co się też w jego państwie dzieje. *Panie kochanku*, pomimo wrodzonej rubasznosci, nadzwyczajnie był w obejściu deli- katny, nigdy żadnego ze sług swoich ubliżającym słowem nie za- drasnął, i nikogo na pokojach, jak wówczas mówiono *despekt* nie spotkał ¹⁾.

¹⁾ Wielu z nich sam znałem, z tych co przebywali w Warszawie, jak wielu znał Eustachy hr. Tyszkiewicz, i o nich mi pisał:

„Oprócz szatnego Bukowskiego, żył za mój pamięci Holland kapelmajster, Winkler pasztetnik, Warunek ptasznik i pani Dederkowa, wdowa po pułko- wniku, komendancie niegdyś Nieświeża, którą zwykle nazywano kochanką księ- cia wojewody. Jak wszystko, tak i zaloty księcia Karola były niezwykajne. Pani Dederkowej było obowiązkiem przychodzić zrana, kiedy pił kawę, wówczas tylko widywać i rozmawiać z nią lubił. Że zaś *Panie kochanku* namię- tnie lubił *kożuszki* ze śmietanki, te więc starannie z kilkunastu garnuszków zbierała i do jednego mu składała. Część ich zwykle na sumiastych wążach osiadała, przyciskał więc do ust twarz Dederkowej, na której też pozostawały przysmaki ulubione. Pani pułkownikowa umarła już po roku 1830, i o tém

Po śmierci *Pana kochanku*, który oślepiwszy na stare lata, w r. 1794 zakończył życie w zamku Bialskim na Podlasiu, tłumy te różnorodne, co żyły z jego łaski i hojności, rozsypały się po całym kraju, a wielu z nich stałe osiadło w Warszawie. Dla tych, najmilszém było wspomnieniem książkę *Panie kochanku* i *Nieśwież*. Oni to w naszym mieście wspomnienie żywe o nim przechowywali, i mnóstwo dykteryjek i dowcipków, w pamięci młodego pokolenia utrwalali.

Takie to podania z XVIII stulecia krążyły po Warszawie, mieszając się z opowieścią o *Uczonych czwartkowych obiadach* na zamku warszawskim, gdzie król Stanisław August zbierał grono co tydzień najznakomitszych pisarzy swego okresu.

Imię Kazimierza Pułaskiego w każdej piosence słyszeć jeszcze gęsto można było, to pomiędzy mieszczanami Warszawy, przy słodkim miodzie na Piekarskiej lub Piwniej ulicach; to w całym *Powisłu* w czas wiosenny i letni, bo na wybrzeżu rzeczonym ciągnącém się od mostu ku Saskiej Kępie i Czerniakowskiej rogatce, w starych dworach nieraz schowanych w ziemię, z omszonymi już dachami, przemieszkiwali jeszcze towarzysze z pod chorągwi pana Kazimierza osiwiali jak gołębie, albo téż ich synowie. Tu, po burzy wojennej znalazłszy spokojną ustroń, chodzili na zarobek do miasta wraz z późniejszymi wojakami, z piłą i siekierą do drzewa, lub przynosząc ciężary; zamożniejsi zdobywszy się na wóz i konia przywozili to wodę wiślaną do kąpieli i prania, to piasek z nasypów rzeki. W téj warstwie jeszcze licznój w pierwszych latach Królestwa Polskiego, tradycya żywego słowa upłynionych czasów zachowała w pamięci wydatniejsze zdarzenia z całego ciągu panowania Stanisława Augusta; w ich gronie brzmiały pieśni ludowe o *Sawie* i o *Panu Pułaskim*.

często sama opowiadała Umarła w Nieświeżu, w chudobie, a co dziwniejsza, najmniejszych po księciu nie posiadała pamiątek."

Że książkę szczerze ją kochał, dowód najlepszy stanowi własnoręczny list jego, pisany 4 marca 1789 roku z Warszawy, zachowany w zbiorze p. Piekarskiego. U spodu czytamy te słowa: „List ten do mnie pisany, ofiaruję JW. Dobrowolskim. Z Mirskich Dederkowa."

Dosłownie go wypisuję:

„Prawie na wyjeźdném, nie opuszczam te litere z uściskaniem nówek mojej kochanej Julki. O sobie donoszę, że się mam nie najlepší i nie wiem jak zajadę do domu. O twoje zdrowie bardzo się turbuje, gdyż wierz mi że jesteś Julką, którą serdecznie kocham i kochać do zgonu życia będę. Zostaje JW. Panny Dobrodz. szczerze życzliwym i uniżonym sługą.

Karol Xiąże Radziwiłł

Wojewoda Wileński."

Dodać tu musimy, że starzy Polacy, w pieszczotliwém wyrażeniu, zamężne niewiasty pannami nazywali.

Z drugiej strony porzecza, poniżej Nowego Miasta na ulicy Rybakach, zamieszkali rybacy, lud hoży, czerstwy i dzielny. Między nimi, jak pomnę, odznaczała się zamożnością i wykształceniem rodzina Sitkiewiczów. Ile razy z moim ojcem przybyłem w odwiedziny do nich, a był ich lekarzem domowym, na zastanym stole czystym obrusem, zaraz stary Sitkiewicz stawiał dzban polewany, białym płótnem zatkany z doskonałym węgryzmem. Poważny ten rybak nietylko pomiędzy swojemi doznawał szacunku, ale i w kole obywatelskiem. Był w wielkiem zachowaniu u dawnego prezydenta Warszawy Wyssoty Zakrzewskiego. Ojciec mi o nim opowiadał zajmujące zdalenie.

Kiedy Praga gorzała w płomieniach, most na łyżwach zerwany, a na cmentarzu kościoła Bernardynów wzywała ratunku i pomocy gromada starców, kobiet i dzieci, drżąc z głodu i zimna: Sitkiewicz mając dużą łódź swoją przymocowaną u brzegu, stał na powiśle i zażawionemi oczyma spoglądał ku téj gromadzie. Wtém nadechodzi jakiś ksiądz poważny wiekiem i postacią, po ubiorze poznano że to Pijar, a za nim chłopcy przynieśli kosze pełne jadła, ubrania i lekarstw. Zbliżył się do naszego rybaka i rzekł:

— Czy znajduję tu odważnego przewoźnika, coby mnie z koszami przewiózł na Pragę do kościołka?

A na Wiśle kra z szumem i trzaskiem płynęła, bałwany wśród niej wybijały w górę.

Sitkiewicz skinął na syna swego i drugiego krewniaka, odwiązał łódź, w którą wszedł przybyły i uładowano kosze. Lud patrzył z podziwem na płynących, którym śmierć groziła. Ale Bóg kierował łodzią: nieraz krzyk trwogi z wybrzeża Warszawy zajęknął. Po wielkim trudzie dobili się szczęśliwie przeciwnego brzegu: ruch wielki w gromadzie na cmentarzu powstał, i niedługo znów z powrotem ukazała się łódź ta sama. Rybacy jak ksiądz byli bladzi i zmęczeni; nie długo kapłan wsiadł do pojazdu, który już nań czekał oddawna. Kiedy odjechał wszyscy pytają: kto to taki?

— Alboż go nie znacie—odrzekł student wyrostek—to ksiądz Onufry Kopczyński nasz ukochany professor, co napisał Gramatykę polską.

Sitkiewicz z synem i krewniakiem odleżeli z tego wysiłku i wzruszenia, ale niedługo pod opieką ojca mego powstałi zdrowo.

Do tych dawniejszych podań przybywały płynące koleją czasu, nowe, biorące z nich wątek i osnowę. Po upadku kraju, od legionów włoskich przybywały wieści, nieraz piosnki różne. Treścią ich były krwawę walki z murzynami na wyspie San-Domingo; schwytnie we Włoszech przez Chłopickiego sławnego rozbójnika Fra-Diavolo, opanowanie Rzymu, wejście do Kapitolu i w. i.

Z utworzeniem Księztwa Warszawskiego 1807 r. wzbogacały ten zbiór tradycyi romantyczne przygody wojaków z armii tego Księztwa, w zaciętych walkach w Hiszpanii, to zdobycie wąwozów

Somo-sierra, to szturm do Saragossy, wniście do Madrytu, jak pochód zwycięzki przez całe Niemcy; wreszcie wyprawa 1812 roku, w której przy pożarze Moskwy zgasła sława i wielkość Napoleona pierwszego.

Młode pokolenie wzrastało, wychowywało się w tej atmosferze, spoglądało na ich działaczy, z ich ust nasłuchując opowiadane dramata, rozpalające zarówno wyobraźnię, jak przejmujące dreszczem zgrozy i przestachu. To też książka p. n. *Polak na wyspie San-Domingo* zaledwie się pokazała, chciwie rozkupowaną była, chociaż blado i niedołąźnie malowała położenie tych wojaków naszych, co brali udział w tej smutnej wyprawie. Walka toczyła się w innej części świata, wśród skwaru nieznanego nam jeszcze, z rozwścieczonymi murzynami; najmniejszy z niej szczegół zachwycał każdego ¹⁾.

Młodzieniec ośmnasty rok życia liczący, w mundurze artylerzysty pieszego z armii Księstwa Warszawskiego, przybył z Krakowa pierwszy raz do Warszawy. Było to w ową porę, gdy po krwawej bitwie pod Raszynem 1809 roku, arcyksiążę Ferdynand d'Este skrycie cofnął się z opanowanego naszego miasta. Szczupły i wąły chłopczyzna zaledwie się rozpatrzył nieco po Warszawie, pobiegł o dwie mile na owo miejsce, na którym stoczona została ta walka. Tu pod świeżem wrażeniem napisał dumę p. n. *Pole Raszynskie*. Podajemy w pierwotnym układzie z autografu Kazimierza Brodzińskiego, jak ją wówczas napisał.

„Noc cicha, wonny wietrzyk powiewa przez błonie,
Na wodnej łące rżają popętań konie;
Chylą się do strumienia gałązki olszyny,
Co się z gniewem przedziera przez zastępne trzciny.
Głuche pole: przy koniach tylko pastuch czasem
Obudza echo śpiące nad posępnym lasem;
Płocze się przed księżycem przeganiają chmury,
Co na strumyk złociste rzuca strzały z góry.

Księżycu! strózu Boga pod nieba sklepieniem,
Nie takieś ongi ziemi dosięgał promieniem;
Dym wojny cię ogarnął, a grzmotne wystrzały,
Echa olszowych gajów górą podawały!
Kmiotki ojczystych w ogniu odbiegali chatek,
W lochach dzieci do drżących tuliły się matek;
Koskot bębnow, huk strzelby, głos trąby chrapliwy,
Tentent koni, jęk rannych, słyszały te niwy.

¹⁾ January Suchodolski w jednym z olejnych obrazów przedstawił tę walkę krwawą; pamiętam głębokie wrażenie jakie wywarł na mnie ten utwór pełen prawdy i grozy.

Gdzie się krew rumieniła, teraz błyszczy rosa,
Wonną trawę na siano pościła kosa:
Dziś wołków tylko widać wytłoczone stopy
Po miedzach, które wiodły do stodoły snopy.
Tu zielone mogiły nad pola się wzniosły,
Smutno przez nie wiatr szumiąc chwieje chwast wyniosły:
Konik polny z sieczonój łąki wypłoszony,
Śpiewa srogie wygnanie żałosnymi tony.

O! smutne przypomnienie co mi widzieć daje,
Tu się duchy rycerzów przechodzą przez gaje,
Przez kłosiste zagony cień za cieniem goni:
Tam trup leży, tu błyska miecz w żylastej dłoni.
A tam, gdzie z nad ponika z olszowego brzeга,
Brzęczący głos słowika w pole się rozlega,
Czyj to jest cień? To Godebski przechodzi się smutnie,
Nad stosami rynsztunków, wieją wiatry w lutnie ¹⁾!

Z tego okresu, napadu Księstwa Warszawskiego przez armią austryacką, mnóstwo krążyło podań, anegdotek i wierszyków, które z powszechném zajęciem powtarzano sobie. Głównym celem żarcików byli Węgrzy, mówiący zrozumiałym dla nas językiem Słowaków z dodaniem wyrazów i przekleństw madziarskich. Pamiętam drukowany poemacik, pełen humoru i dowcipu, którego treścią było opowiadanie w podobnym stylu, przygód huzara węgierskiego, jak musiał uciekać przed hułanem polskim z *ruchawki*, który napadłszy z lancą i chorągiewką, tak go zajechał, że od niego ranny zaledwie do swoich się dostał. Tysiące egzemplarzy pomienionego wierszyka sprzedawano po straganach przy-kościelnych i rozchwytywano skwapliwie wraz z piosnezką żołnierską, o bitwie pod Pułtuskim 1807 roku, której piérwsze wiersze tylko pamiętam:

„Pod Pułtuskim, pod miasteczkiem,
Tam Francuzi stojali.”

Z kampanii 1809 roku, pierwszym bohaterem tradycyi z ust do ust przechodzącej był Jaszczóld trębacz, który najprzód walecznością i szaloną odwagą odznaczywszy się w Księstwie Warszawskim, następnie wstąpił się przy zajęciu Galicyi, gdy sam z dwoma towarzyszami, jenerała austryackiego *ukradł* z jego głównej kwatery, i wprowadził za ogród, gdzie czekały w pogotowiu konie; ale gdy wrócił się po zegarek złoty, który wisił nad łóżkiem. kiedy dostrzegli go Austriacy, musiał jeńca swego puścić, dawszy mu napomnienie pła-

¹⁾ Porównanie téj dumy z ogłoszoną później w zbiorze pism K. Brodzińskiego w r. 1821, wykaże różnicę piérwszego pomysłu i późniejszych poprawek.

zem, i śpiesznie uchodzić, ażeby nie dostać się do niewoli, bo cała dywizja piechoty z jazdą, w przestrachu stanęły pod bronią.

Gdyby zebrać wszystkie podania z téj kampanii, jakie krążyły po Warszawie przez ciąg lat kilkunastu, złożyłyby ciekawe wielce zarysy dla poety i powieściopisarza, któryby ten ustęp dziejowy chciał wiernie odmalować.

Wyprawa 1812 roku i klęska poniesiona przez Napoleona, wstrząsnęły do gruntu społeczność naszą. Gorący wielbiciele tego wojownika, długo nie chcieli temu wierzyć, aż przekonani naocznie o prawdzie, upadli chwilowo tylko na duchu, marzyli jednak zawsze, że taki geniusz znowu się podźwignie i świat na nowo podbije.

Lud warszawski inaczej sądził, a gdy kilkadziesiąt tysięcy rodaków nie powróciło z téj wyprawy, w następnej piosnce swoją żalobę i boleść wyraził:

„Po skończonej wojnie,
Każdy swoją pojmie!
Wojna się skończyła
I wszystkich wybiła,
Chłopy nie wrócili:
Bodaj cię Francuzie
Pioruny zabili.”

Napoleon osadzony na wyspie Elbie, prędko się z nięj wydostał: marsz do Paryża był tryumfalnym pochodem, aż swój zawód po bitwie pod Waterloo, skończył na skalistej wyspie Świętej Heleny.

Niedola jakiej uległ mąż genialny, nie zmniejszyła bynajmniej uroku, jaki dlań mieli wszyscy jego wielbiciele. Najmniejsza wiadomość ze Świętej Heleny była pożądaną dla nich.

Kiedy cesarz otrzymał na tém wygnaniu popiersie swego syna, ułożył i nakreślił wiersz pod nim d. 12 stycznia 1820 roku, który zaraz przetłumaczono.

„Miłego syna obraz radosny!
Jego to rysy, piękność jego wiosny,
Już go nie ujrzę! Czyż nadzieja ginie?
Czyż nie uściskę go w milszej krainie?
Gdybyś był ze mną, o mój synu drogi,
Los mój dzisiejszy nie byłby mi srogi.
Pod mojem okiem wzrastałbyś mi skoro,
Potem starości mój byłbyś podporą!
Przy tobiebym zapomniał mych nieszczęść, mój chwały,
Przy tobie, jakby w niebie żyłbym wśród téj skały,
W twojem objęciu wielbiłbym me wrogi,
Choć mnie zwycięstwa równały spólbogi!

Kiedym drżącą z pośpiechu ręką wiersze te przepisał na które mój ojciec oczekiwał, kazał mi je w głos przeczytać. Z początku słuchał w milczeniu, ale gdym przedeklamował:

„Czyż nie uścisię go w miłej krainie!”

Zaniósł się od płaczu, i jak bóbr zalał się rzewnymi łzami.

Kiedy się utulił nieco, chowając rękopism, rzekł do mnie:

— Słuchaj chłopcze co ci powiem! Taki człowiek jak Napoleon nigdy nie umiera! Wiedz o tém, że go już nie ma na Ś-tój Helenie. Pamiętasz, co pisały nasze gazety, ów tajemniczy okręt amerykański co krążył wokoło wyspy; na nim on już się wydostał z niewoli, popłynął do Stanów Zjednoczonych, i wkrótce ujrzymy jak rozwinie swe chorągwie, a usłyszemy huk jego armat i ręcznej broni. Kto mu opór stawi, zgnicie go jak Prusaków pod Jena.

Niedługo przyszedł wiadomość o śmierci Napoleona, przyniósł ją rodzicom moim Jan Sobolewski przyjaciel domu, dawny wiarus. Opowiadał, że w dniu 5 maja 1821 roku cesarz na ręku przyjaciół i towarzyszków niewoli zakończył życie.

I co szczególniejsza (mówił) że w chwili jego skonania, straszna burza zaryczała nad Ś-tą Heleną, jakby sam Bóg, grzmotem i piorunami z poświstem wichru, zapowiadał światu zgon wielkiego człowieka.

Ojciec mój na pierwszą wiadomość osłupiał, ale po chwili zawołał z nadzwyczajnym uniesieniem:

— To fałsz! kłamstwo! Założ się ze mną panie Janie o wagę dobrego ponczu, że Napoleon nie umarł.

Sobolewski chętnie przyjął zakład, ale nigdy nie doczekał się wygranej, bo ojciec mój upornie utrzymywał, że taki człowiek nie mógł umrzeć, tylko ukryty w Ameryce czeka sposobnej chwili, ażeby nagle i niespodzianie się ukazał, i wtedy świat przyjmie go na kłęzkach.

W wiele lat później, ile razy była mowa o tém, i wreszcie przekonano się o prawdzie zgonu Napoleona, odwracał oczy zażawione i wybiegał do sypialni, aby utaić swoje wzruszenie.

Na cztery lata wyprzedził wielkiego cesarza Tadeusz Kościuszko, umarł bowiem ten bohater dnia 15 października 1817 r. około godziny dziesiątej wieczorem, otoczony rodziną przyjazną zacnych Zeltnerów.

Sobolewski obojętnie przyjąwszy śmierć Napoleona, bo srodze był na niego rozgniewany za zawiedzione nadzieje, jakie w nim pokładał, a gorącym był wielbicielem Kościuszki, jako wojak z pod jego komendy.

Jeżeli Sobolewski dźwigał karabin i znał Kościuszkę, mój ojciec jako doktor wojskowy, towarzyszył mu w bitwie pod Zieleńcami w dniu 17 czerwca 1792 r., kiedy za powrotem z Ameryki, jako generał dywizji pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego walczył; a poznał go jeszcze lepiej zbliżony będąc we dwa lata później, kiedy bronił Warszawy przeciw szturmom Prusaków.

Tylem się pięknych rzeczy nasłuchał o panu Tadeuszu!

*

*

*

Głęboki spokój następnie zawitał; ucichły wieści wojenne, ale wspomnienia ich nie zagasty i stały się jedynym przedmiotem rozmowy w każdym kółku rodzinném, w każdym zebraniu towarzyskiém.

Nadeszły nowe czasy, nowi ludzie, pomimo tego tradycja wielkiej epopei z okresu Napoleona I-ego, w żywych barwach zachowała się, przechodząc z ojca na syna. Tym więcej ją szanowano, gdy w życiu społeczności Warszawy w pośród ciszy pokojowej nie było nic, coby mogło myśl w wyższe sfery dramatycznością swoją porywać!

VIII.

Mieszczanie rzemieślnicy. Szewcy warszawscy. Przysłowie. Ulice przez nich zamieszkane. Pieśni pobożne. Chłopcy terminatorowie. Charakterystyka tego cechu.—Zofia Przybylanka.—Procesy.—Rzeźnicy.—Krawcy, inni rzemieślnicy.—Adamczyk krawiec.—Przekupki ze Starego-Miasta.—Stragany.—Przymówienie kupujących.—Ich miłosierdzie i dobroczynność.—Tradycja mieszczńska.—Składy Dominikańskiego miodu.—Andrychowiacy.—Orzechy włoskie.—Cebularze.—Garncarze.—Mostowa ulica.—Alojzy Lasocki kuśnierz.—Straż ogniowa.—Poświęcenie i nagroda.—Latarnicy.—Dworzanie po upadku wielkich domów.—Stare wiarusy.—Bez nogi.—Stary Jan.—Opowiadanie inwalidy.
—Wspomnienie i żal.

Warszawa w tym trzydziestoletnim okresie, już ze starożytnéj mazowieckiej stolicy udzielnych ksiąząt Mazowieckich, zwolna przeistaczała się w miasto na wzór innych większych europejskich grodów, przybierając nową postać, nowe szaty. Charakter dawny zachowała tylko w obrębie Starego-Miasta i bliższych uliczek, ale dalsze przedmieścia miały już pozór nowoczesny. Nowy-Świat, który się w ostatnich latach zaczął zabudowywać, nową epokę dla Warszawy zapowiedział.

I społeczność jéj równym przemianom ulegała. Stare pokolenie z czasów Rzeczypospolitej dogasało, drugie już było w pełni działalności, a trzecie wyrastało do życia publicznego. Przystępując do dania wiernego jéj obrazu, muszę zacząć od najliczniejszej warstwy mieszkańców, to jest mieszczan rzemieślników i ludu co osiadł całe wybrzeża po nad Wisłą. Na czele piérwszych postawić należy szewców. Pan majster obuwia damskiego Jan Kiliński, w roku 1794 liczył ich do 6000 w Warszawie. Zmniejszyła się ta liczba, jeżeli piérwotnie nie była przesadzoną, bo w roku 1824 było rzemieślników tego cechu 2427 wedle urzędowej statystyki.

Od czasów Jagiellońskich słynęli szewcy warszawscy z mistrzostwa swéj sztuki, i słuszną sobie chwałę zjednali. Z okresu panowania Zygmunta Augusta zachowało się przysłowie, które poleca te cztery rzeczy za najlepsze w świecie uważać: „konia Turka, żona Mazurka, krakowska panna i warszawski trzewik.”

Jakoż zaprawdę nie było wyborniejszego pod siodło rumaka, jak turecki, na żonę znaczniejszej i pracowitszej niewiasty nad Mazurkę, bo i dziatwy przysparzała, i gospodyni wyborna, a do późnej starości miła zawsze żona. Krakowska panna słynęła z wdzięków, czerstwości, powabów i ognistego zawijania w tańcu, a żaden szewc w całym świecie lepszego i zgrabniejszego trzewika nie uszył, jak majster warszawski. Tak sobie powyższe przysłowie objaśniali nasi ojcowie.

Najliczniejszy ten cech w mieście, zamieszkiwał Stare-Miasto, ulice Krzywe-Koło, Gołbwią, Piwną i Piekarską. Na Święto-Jańskieję mało który z nich mieszkał, bo ulica ta należała do głównych miasta. Wszystkie tu sklepy na dole przeważnie zajmowały składy skór wyprawnych, a woń z nich właściwa przepełniała całą, co się i do dziś dnia przechowało. Byli to rzemieślnicy zacni, pobożni i pracowici. Od świtu do późnej nocy pracowali siedząc na swoich *zydelkach*, przy szklanych baniach, śpiewając pieśni pobożne.

W czasie karnawału, gdym po ochoczych tańcach wracał do domu nad świtem przez jedną z pomienionych ulic, wpośród grobowej ciszy w całym mieście, na drugich i trzecich piętrach już w oknach światelka błyskały i słychać było ich śpiew pobożny.

Dziwne, nieokreślone wrażenie śpiew ten wywierał na mnie; nieraz przykuwał do ściany kamieniczki, zkąd wybiegał. Przy jego brzmieniu chłonałem z szалу zapustnego, zapominałem o wymownych spojrzeniach pięknych panien, i gorętszém ściśnieniu ręki, a myśl moja odurzona karnawałową wrzawą i harmonijnemi tonami muzyki trzeźwiała, i na poważny nastrój religijny wchodziła. W późniejszej dobie, gdy dłużej tańce trwały do szóstej godziny rano, śpiew ten szewca warszawskiego zwracał mnie do kościoła na *prymaryą*. Z jakieżem uczuciem słuchołem hymnu, psalmów i modlitw porannych w kościele farnym Ś-go Jana.

Panowie majstrowie i ich czeladź zalecała się krzepką ręką i odważnym sercem, jak chłopczy na terminie z dowcipnych figlów. Kilka tu z tych przywiodę.

Za czasów pruskich piechota stała na odwachu przy Bernardynach i bęben leżał na koziołku drewnianym. W czasie śnieżnej zamieci jeden z szewczyków zakradł się zgrabnie i zaczepił doń sznur długi, a sam pobiegł na poddasze do *Wasilewskiego* domu, co w poprzek zamykał Krakowskie-Przedmieście ¹⁾. Tam z dymnika zaczęli bęben ciągnąć, który spadłszy z koziołka szybko się toczył ku murom tego domu. Szydłwach patrzył z początku z podziwem, potem krzyknął: „do broni!” i razem ze wszystkiemi daremnie gonili uciekający bęben, który coraz wyżej w górę piał się po ścianie kamienicy. W mgnieniu oka wciągnięty do dymnika, przedziurawiony i napętniony gęstemi pomyjami spadł na głowy patrzących żołnierzy pruskich. Szkódnicy uciekli, a poszukiwania były daremne.

Zaledwie odkryty został pomnik Kopernika przy Ś-tym-Krzyżu, szewczyk ze Starego-Miasta głośno już, późnym wieczorem, nawoływał dorożki; zbiegło się kilka, do najbliższej więc mówi:

— Panie dorożkarzu! bądź łaskaw przewieźć Kopernika do króla Zygmunta, żeby się z sobą poznali...

I dalej w nogi nieczekając bicza woźnicy. Żwawi do pracy, zwinni do posyłek, gdy który podroślejszy poszedł do wojska, każdy z nich szczególnie się odznaczał czy to w jeździe, czy w piechocie jako dzielny i wyborny żołnierz. Mustry i obrotów prędko się wyczył, odznaczał się czystością i starannością ubioru, a we froncie piechoty maszerował tak zgrabnie, jakby w tańcu, zawsze z wesołym i uśmiechniętym obliczem.

Majstrowie odznaczali się prawością charakteru, poczuciem własnej godności, jako ludźmi pracy byli ozdobą mieszczańskiego sta-

¹⁾ Dom ten obecnie nie istnieje, rozebrany w roku 1864, a jego miejsce zajął *skwer* dzisiejszy.

nu; kobiety ich, żony i córki zalecały się pięknnością niezwykłą oblicza, powabem i układem całej postaci, jak czystością obyczajów. Fryderyk hr. Skarbek w komedyi w trzech aktach *Zofia Przybylanka*, wprowadzając na scenę sędziwego szewca warszawskiego i jego uroczą córkę Zosię, brał swoje wzory z natury i wiernie je odmalował. Utwór ten stawiamy najwyżej ze wszystkich prac dramatycznych Skarbka, bo po mistrzowsku przedstawia nam postaci z doby Stanisława Augusta i najwyższej arystokracji krajowej i z rzemieślniczego stanu Warszawy. Musimy treść téj komedyi przypomnieć.

Pani wojewodzina ma syna jedynaka, który z miłości poślubił młodą i piękną Maryą; ale jako pan bogaty i jak w owe czasy wszyscy z jego sfery w próżniactwie trawiając życie, szukał sobie poza domem rozrywki, nie bacząc że nią może zakłócić spokój domowy pracowitej rodziny uboższej i zatruć życie szczęśliwej dotąd własnej małżonki.

Dowiedziawszy się od ulubieńca swego, masztalerza Urbana, o cudnej urodzie Zosi Przybylanki córki majstra kunsztu szewskiego, przybywa do *jatek* w jego towarzystwie, gdzie był główny skład obuwia całego cechu, i oczarowany jęj urodą, zapoznaje się z młodém dziewczęciem. Z nie małym wszakże podziwieniem znajduje w Zofii zdrowy rozsądek, pogląd wyższy na stosunki światowe i wykształcenie, w pełnych prostoty odpowiedziach.

Widząc że tu nie tak łatwa sprawa, tegoż masztalerza Urbana używa za swoje narzędzie, który udając zakochanego w Zofii, porzuca pozornie służbę u wojewodzica i u starego *Przybyły* zaczyna *praktykę*, bo pan majster córkę swoję jedynaczkę tylko za czeladnika swego rzemiosła przyrzeka wydać.

Zbliżony tym sposobem masztalerz do Zofii, rozkochał się w nięj na prawdę, wiedząc zaś o ułożonym planie swego pana, który go po ślubie z młodą szewcówną, ma zaraz wysłać do dóbr swoich na Ukrainę, a sam przy nięj pozostać, wpada w rozpacz i nie może znaleźć dla siebie skutecznej rady.

Na dworze wojewodziny jest podstarzała *podstolanka* panna *respektowa*, a jak stara panna ciekawa i lubiąca śledzić romansowe przygody, wyśpiegowwała zabiegi wojewodzica. Uwiadamia przeto matkę o zalotach jęj syna do pięknej szewcównęj. Stara matrona nie widzi nic nagannego w tém, że *Stas* jęj chce się zabawić, ale niezręczność jego ją dziwi, że może się o tém dowiedzieć żona. *Podstolanka* tymczasem sprowadza pod pozorem zakupu trzewików Zosią do pałacu wojewodziny, a synowa jęj w *Przybylance* poznaje towarzyszkę swą z pensyi u Sakramentek.

Gadatliwość *panny respektowęj* i przybyłego Urbana, objaśniają ją o zamiarach jęj męża; ale szlachetna zarówno jak rozumna niewiasta, nie chce w tém postępowaniu wojewodzica widzieć występnych zamiarów, jedynie wspaniałomyślność jego, w wynagrodzeniu wiernych usług swego masztalerza.

Zofia rozumiejąc dobrze swoje stanowisko, polubiwszy rzeczywistość poczciwego Urbana, który ją serdecznie ukochał i oddał się gorliwie rzemiosłu jój ojca, chętnie oddaje mu swoją rękę: stary Przybyła rad błogosławi ten związek, a wojewodzie schwytny na gorącym uczynku, zgodnie popierając zacne zamiary swój powabnej małżonki, zyskuje u niej przebaczenie i uroczyście przyrzeka poprawę, wróżąc sobie nawzajem przyszłe szczęście nie zamaćone niczém.

Szewcy swoją liczbą i wyrobami, które w całym kraju były poszukiwane, górowali po nad wszystkie cechy warszawskie. Krawców którzy niemniejszej wziętości używali ze zgrabnego szycia sukni, nie było tysiąca; stolarzy przeszło pięciuset, rzeźników do 360, kowali mało co wyżej nad 200 i ślusarzy, a innych rzemieślników liczba mało co setki przenosiła.

W cechu krawców zachowało się podanie o biegłym i pracowitym majstrze Adamczyku, który za czasów króla Jana III mieszkał na Nowém-Mieście. W czasie wyprawy wiedeńskiej 1683 roku, gdy opustoszała Warszawa, nie mając Adamczyk roboty, podupał i nieraz głód zajrzał w jego progi. Syn jego był luzakiem w chorągwi pancernej królewicza Jakóba, i mężnie walczył z Turkami. Gdy król go pochwalił z odwagi, ośmielony jego słowy, opowiedział nędzę swego ojca. Jan III rzekł wtedy:

— Gdy wrócę do Warszawy ukażę się w takiej *ferezyi*, jaką zdobyto w namiocie wielkiego wezyra; niech Adamczyk dużo ich narobi, a rękę że wszystkie wyprzedzi!

I tak się stało: ferezyą król wcześniej wysłał mu na wzór; Adamczyk wziął sukna na kredyt, i za powrotem Jana Sobieskiego, gdy się w niej zwycięzca ukazał, rozkupiono cały zapas, zamówiono jeszcze więcej, i biedny krawiec odrazu przyszedł do dostatniego mienia.

Najwydatniejszą przeciw charakterystyką odznaczali się szewcy i rzeźnicy warszawscy. Przy wszystkich uroczystościach w mieście, czyto w czasie procesy *Bożego Ciała* lub procesyach na cmentarzu, czy powołani do występu z chorągwiami cechowymi na ulicach Warszawy, starszyna ich stawiała pod niemi suto w kontuszach i żupanach, strojnie i okazale przybrana.

Mówiąc o wydatnych postaciach ludowych, nie mogę przepomnieć słynnych przekupek warszawskich, które u nas znakomitą część ludności miasta stanowiły i przeważną odegrywały rolę. Dawny typ tych kobiet słynnych z biegłości języka już zaginął: właściwą ich charakterystykę czas zatarkł, i wyrodzone plemię niczém już nie przypomina rodowej przekupki warszawskiej.

Niedaremne naszych Mazurów przysłowie, że: „wygadana jak przekupka warszawska“ i zaprawdę nikt z nią pod tym względem porównania wytrzymać nie potrafił.

Głównym ich siedliskiem był rynek Starego-Miasta i Brama Krakowska, tu cała śmietana tych pań zasiadała, gdyż w rynku po-

mienionym skupiał się targ główny na wszystkie potrzeby do codziennego życia, lubo już przechodził pod Ś-ty Krzyż i na Nowe-Miasto. Każda z nich, zwykle dobrej tuszy, zasiadała przy straganie swoim, na którym sprzedawała owoce, jarzyny wszelkiego rodzaju, drób, pieczywo i zwierzynę. Rzadko gdzie kwiaty ujrzałeś, bo o bukietach nikt ani pomyślał, a po domach obywatelskich hodowano tylko w doniczkach skromne geranium, pokrzywę, gwoździki i róże miesięczne z rezedą.

Znajomych zawsze uprzejmie przyjmowały, wdawały się chętnie w pogawędkę, dowiadując się o nowinach w mieście i co słytać w świecie? Same też udzielały ciekawszych wieści; obcych przybyśzów pilnóm badały spojrzeniem, a doskonałe znawczyni ludzi, swoje postępowanie zaraz stosowały jak nowego gościa przyjmując należy. Biada temu, kto nie tytułował którą „panią,“ obrażona zaraz odpowiadała:

— Idź sobie *wasan* lub *wasani* gdzieindziej, ja tu nic nie sprzedaję.

Młode gosposie nasze nieraz ze łzami wracały z rynku Starego-Miasta, po przyjęciu doznaném u straganów. Nieznające zwyczajów miejscowego pytały zwykle:

— Co chcecie za to i za to?

Przekupka marszczyła czoło, sucho odpowiadała, a gdy zaczęły się targować, właścicielka straganu groźnie powtarzała siedząc i przyjętém wyrażeniem:

„Moja pani ze Szlązka,
W plecach szeroka a niżej wążka.“

odprawiała zawstydzoną.

Kiedy jednakże po odebranój nauczce, taż sama młoda gosposia do tegoż samego straganu przyszła, grzecznie się ukloniła i powiedziała:

— Dzień dobry łaskawej albo kochanój pani!

Zadowolona przekupka, powstając najuprzejmiej witała jako piękną panienkę, wybierała co było najlepszego, opuszczając nawet ze zwykłej ceny.

Pomiędzy temi straganiarkami znalazłś wiele zamożnych niewiast, które siedząc wiele lat na rynku, oszczędnością a szczególniej stosunkami z kucharzami zamożnych domów, służbą dworską, uciulały sporo grosza. Łatwo je poznać można było, nie po stroju wykwinnym ale w cukierni na Starem-Mieście w pobliżu słynnego składu win węgierskich Fukiera, między godziną 7 a 8 z rana, gdy się szczególnie zimową porą, albo w chłodnej jesieni raczyły smacznym ponczykiem.

Miały tam swój pokoik, gdzie popijając z dużych szklanek (po złotemu) ulubiony napój, swobodnie gwarzyły o domowych stosunkach, o troskach lub radościach, jakich która doznawała.

Z poczciwém to były sercem niewiasty, dbałe o wychowanie swój dziatwy, żywo zajmujące się sprawami krajowými, a bezdzietne były prawdziwemi opiekunkami sierot opuszczonych.

Pamiętam dobrze panią Pawłową, mającą swój stragan z owocami i jarzynami na rynku, zaraz wchodząc od Zapiecka. Poznałem ją ztąd, że mój kolega z trzeciej klasy od Pijarów, którego od pieluch jako sierotę wychodowała, i ciągle się opiekowała, przyprowadził mnie do niój. Kiedyśmy stanęli przed straganem, mój towarzysz Juraszek, jakeśmy go zwali, pocałował ją w rekę, ja zdjąłem czapkę i powitałem uprzejmie. Pani Pawłowa Juraszka pocałowawszy w głowę, przeżegnała, muie się grzecznie odkłoniła i ofiarowała trzy piękne jabłka i pomarańczę. Nie wiedziałem zkład ta łaska, dopiéro Juraszek później mnie objaśnił, iż wiedziała że jestem synem lekarza, który ją z ciężkiej wyleczył choroby. Miała teraz czworo sierot na wychowaniu, dwóch chłopców i dwie dziewczynki, nad któremi z miłością prawdziwie macierzyńską czuwała.

Nietylko to jedna była pani Pawłowa, było ich więćej, stanowiły nawet jakby bractwo miłosierdzia. Nie było w owe czasy Towarzystwa Dobroczyńności, ale gdzie tylko nędza jęknęła, gdzie głodno i chłodno, już przekupki ze Starego-Miasta dowiedziały się o tém: zaraz narada, składki i ratunek pożądaný.

Dziatwa ich odznaczała się urodą, synowie zdrowi, krzepcy i czerstwi, córki świeżego lica i rumieńca, nieraz dziwiły pięknoscią oblicza i składem całej postaci. Pierwsi szli zwykle do rzemiosła, do wojska, lub mieli swoje dorożki; Warszawa miała z nich wielu zdolnych ogrodników, którzy przy zamożności, kupowali sobie na przedmieściach ogrody, uprawiali jarzyny i owoce, które matkom swoim na stragany dostarczali; ziemia podówczas była w niskiej cenie, i miasto nasze słynęło ze swoich ogrodów.

Córki wychodziły za szewców, ślusarzy, kuśnierzy, rzeźników i rybaków zwyczajnie; o inne cechy mniej nasze przekupki dbały. Niejedna dorodniejsza szła za urzędnika, i nikogo nie gorszyło kiedy zięć całował matkę żony w rekę siedzącą przy straganie.

Rzemieślnicy ci stanowiący najliczniejszą warstwę mieszkańców Warszawy, przeważną dawali charakterystykę żyjącemu miastu. W rodach ich przechowywała się stara tradycya z dziadów wiernie szanowana, a która była zajmującą kroniką naszego miasta. Pamięć dawnych udzielných ksiąg Mazowieckich jęszcze nie zagasła, jak królowej *Bony*, gdy ze skarbami ujeżdżała z Warszawy do Włoch; ciężkie kłęski jakie gród nasz za *najazdu szwedzkiego* doznawał, wreszcie już najbliższe czasy panowania Stanisława Augusta, *czasy pruskie*, wnijscie Francuzów i późniejsze lata. Mieszają się to prawda wszystko bezładnie, ale każdy znający bieg czasu, łatwo mógł sobie te opowieści uporządkować.

Wszystkie te tradycye i wspomnienia łatwo słyszeć mogłeś w niedziele i dni świąteczne, gdy panowie majstrowie zeszli się na

pogawędkę wieczorną, bo rano cały kościół zajmował, to na sławne piwo dubeltowe *Kazimirusa*, to na słynny miód *dominikański*, a gospody gdzie go sprzedawano oznaczano wielkimi krzyżami czerwonymi, z dodatkiem niekiedy gałązki choiny i dowcipnym napisem: „Dziś za pieniądze a jutro darmo.”

Do tej ludności stale osiadłej w Warszawie, nie mało przybywało i z dalekich okolic kraju i z Galicyi. Na czele postawić musimy *Andrychowiaków*, z miasta *Andrychowa* (Jędrzejów), w Galicyi w obwodzie Wadowickim, którzy zaopatrywali nasze miasto w *drelichy*, dobre płótna i stołową bieliznę. Główne ich składy mieściły się przy ulicy Mostowej. Oni też obchodzili ulice i domy Warszawy, dźwigając na plecach, w worku z sieci orzechy włoskie, a potrząsając niemi, donośnym głosem obwoływali:

Orzechy włoskie! Orzechy!

I odbył miewali niemały, bo oprócz zwolenników na ten przysmak zaraz spożywany, gospodynie nasze wcześniej zakupywały orzechy na święta *Bożego-Narodzenia*, w czasie których wśród bakalii musiały się znajdować i orzechy włoskie.

Lud to dorosły i czerstwy, a strój go nawet odznaczał. Sukmana długa za kolana była jasno-niebieska, w biodrach przepasana zielonym, czerwono nakrapianym włóczkowym pasem; czapka wysoka z białych baranków z zielonym wierzchem i z zielonych wstążek w sute kokardy z tyłu ozdobnej: z pod niej długie sploty bujnych kędziorów spadały na ramiona.

Gdzie tylko głos jego wołania dobiegł, zaraz otwierały się wozeczki, i zdarzało się że *Andrychowiak* nim przeszedł jedną ulicę, rozprzedawszy około ćwierci włoskich orzechów, wracał radosny na Mostową ulicę po nowy zasób.

Pożądanemi dla naszych gospodyń i kucharek byli *cebularze*, których postaci uderzały swoją oryginalnością. Wyobraźmy sobie krępego, dobrej tuszy, szerokich ramion, z czerwonymi policzkami *cebularza*, jak krzyczy: „*Cebuli, czosnku, koszałki, sieci!*“ a na sobie dźwiga cały swój towar. Na obu ramionach rozwieszał długie sznury słomiane, z doborowemi główkami cebuli; w lewej trzymał kilka plecionych z wikliny koszałek, w których wówczas kucharki zakupione *wiktualy* przynosiły do domu: w prawej, mniejsze sznury słomiane, z nawiązanym czosnkiem, bez którego szczególniej barani-na obejść się nie mogła. Na czapkę rogatywkę nakładał także koszałkę. Tak obładowany z wolna postępował środkiem ulicy i nawoływał kupujących, ażeby mu ulżyli ciężaru. *Cebularz* zwykle nosił jasno papuzi żupan, z pasem na kłamrę spiętym; żółte koszałki, czerwone główki cebuli i białe czosnku, szczególną pstroczinę ukazywały w idącym handlarzu. Dorodna cebula pochodziła z Korczewia nad Bugiem z Podlasia, lub z czarnoziemiu krakowskiego.

W papuzich też żupanach obchodzili miasto krajowi kupcy, z okrzykiem: „*Koldry! kolder, eczki! kolderki!*“

Był to wyrób z wełny krajowej, w różne barwiony kolory, tani a wygodny.

Garniarze, zarówno mężczyźni jak kobiety nie poprzestając że na rynku Starego i Nowego Miasta mieli swoje składy wyrobów glinianych, chodzili po mieście wołając: „*Garnki, garnuszki, rynki.*“

Na plecach dźwigali tych naczyń tyle ile unieść mogli; kobiety w fartuchach przed sobą dźwigały miski gliniane polewane, a w ręku garnki i mniejsze garnuszki: na głowie zwykle dużą nieśli rynkę.

Przemysł ten uliczny w udatnych kolorowanych rysunkach, zachował nam Jakób Sokołowski znakomity rysownik (urodzony w Wyczulkach pod Warszawą 1784 r.), w młodym wieku zmarły.

Na Mostowej ulicy mieli swoje sklepy *krupnicy*: ci przybywali z Krakowskiego i słynęli z najpiękniejszej *kaszy drobnój* i doborowej mąki pszennej, z rozgłosnej i w Anglii pszenicy *sandomierki*. Ziemianie po nad rzekami i jeziorami osiedli, zarówno jak rybacy, tu zakupywali wielkie *niewody*, mniejsze sieci i większe, stosownie do swej potrzeby.

Z pomiędzy postaci wydatnych, wspomnieć należy Alojzego Lasockiego majstra profesyi kuśnierskiej, znanego dobrze całej Warszawie.

Urodzony w r. 1766 w mieście Zakliczynie, w młodych latach przybywszy do naszego miasta, w niem się osiedlił, terminował i został majstrem w swoim cechu. W nim jednym spoczywała cała straż ogniowa Warszawy.

Ubrany zawsze w kapotę jasno zieloną długą, w czapkę rogatywkę z barankiem i hajdawery karmazynowe, chodził dużo prędkim a rzeźwym krokiem. Codziennie prawie całą Warszawę obchodził, gdzie się tylko wszczął pożar, tam zawsze pierwszy bywał na dachu, a niezważając na własne niebezpieczeństwo, niósł dzielny ratunek. Często, zanim grzechotki przeraźliwe dały hasło pożaru, zanim kościelne dzwony ponurym odgłosem zwiastując klęskę miasta, zaważwały pomocy mieszkańców bijąc na gwałt, już Lasocki nieraz stawał się panem ognia i przygaszał pożar!

Trzeba było wtedy widzieć dzielnego kuśnierza, wśród kłębow gęstego dymu i słupów płomieni, pośród deszczu iskier, po trzeszczących i wałących się dachach i belkach, jak Lasockiego krzepka postać jaśniała. Bez czapki i żupana, karmazynowe hajdawery, w czarnej chmurze zbałwanionego dymu, coraz się przewijały; donośnym głosem nieustraszony obrońca nawoływał na pomoc: z zimną krwią starożołnierza dawał rozkazy, jak kierować sikawkami, i gdzie z *węborkami* skórzanami mają stawać nadbiegli, gdzie zapalony dach rozrywać. O! był to obraz godny pędzla malarza!

Te gromady przestraszonego ludu biegnące, w siekiery i bosaki uzbrojone, drudzy z konewkami; tam spocona czereda pchająca sikawki i beczki z wodą; popłoch uciekających mieszkańców z płoną-

ych domów, kupy sprzętów wyniesionych i w stopy zwalonych; a tłem tego obrazu pożar, który jeżeli w nocy wybuchł, straszliwe przybierał rozmiary i niemałą klęską groził miastu. Nad tym wszystkim górowała postać Lasockiego, wdzierał się po drabinach na dachy płomieniste, i wtenczas tylko z nich schodził, gdy albo ugasił pożar, albo wyczerpawszy daremnie wszelkie możliwe sposoby ratunku, ustępował z wolna przed silniejszym nad siebie wrogiem, ratując poblizsze domostwa, i energią swoją ograniczając groźny postęp ognia. I odchodził z tego pobojowiska oczerniony dymem, nieraz z osmalonemi włosami, poparzony, często ranny. Wdziewał swoją zieloną kapotę, czapkę karmazynową, i przecisnąwszy się przez tłum ludu, co mu z uszanowaniem robił przejście, powracał strudzony do domu.

Poświęcenie się Lasockiego i czynna pomoc udzielana przez niego w powstrzymywaniu klęski ognia, zwróciły uwagę władzy miejskiej, która z kassy miasta Warszawy, przez lat przeszło dziesięć, wypłacała mu pensją, po złp. trzydzieści miesięcznie. Mieszkał przy ulicy Piwniej pod nr. 104. Umarł po trzechdniowej chorobie dnia 21 marca 1823 r. mając lat 57, pozostawił wdowę, dwóch synów i dwie córki. Warszawa w kronice swojej powinna zapisać to czcigodne imię obywatela swego, ku pamięci potomnych czasów.

Przy braku należytego oświecenia ulic, kiedy prawie żadnych latarni do ich oświecenia nie posiadała Warszawa, potrzeba stworzyła u nas liczną drużynę *latarników*, mających szczególną charakterystykę swoją.

Od dni krótszych i nadchodzącej jesieni, przy każdym widowisku teatralnym, przy każdej reducie i maskaradzie, gdzie bywały tańce w zapusty, przed kamienicami gromady ich zalegały a najgłośniej sienie teatru na Krasińskich placu.

Ludność miastą nie wylała jeszcze na Nowy-Świat, odległe dziś ulice i przedmieścia; ztąd część stariej Warszawy najwięcej zamieszкана w śród wązkich ulic, ciągle niemal błotna i wilgotna, a zawsze ciemna, potrzebowała pomocy tych, co usłuźni na zawołanie, rozświecali pomrokę nocy, i pomagali do przejścia suchą nogą i omijania zawałów błota. Nie byli to milczący przewodnicy, lubili swych panów chwilowych bawić dowcipem, dykteryjkami, nówinami miejskimi. Latarnik *z głową* jak wyrażano, zbierał hojny owoc swoich zdolności i talentu. Wielu było pomiędzy nimi tak biegłych fizyogomistów, że jak ci zaświecił w oczy, wiedział nietylko jak ci świecić, czy wdać się w rozmowę i w jakim rodzaju, ale nawet czy niepodać projektu do dalszej wędrówki, szczególniej w czasie zapust, kiedy nie brakło wesołych, przyjacielskich balików.

Sprytny latarnik był ci nieraz powiernikiem, zręcznym sługą i wiernym przewodnikiem do domu, gdy czasem po hulance odmawiały nogi posłuszeństwa należnego wolnej woli. Niedośc, jeżeliś nie miał słuźącego, otworzył mieszkanie, rozebrał, ułożył, sam się gdzie w kąciku przespał, a nie było zdarzenia, aby okradł lub jaki dro-

biąg sobie przyswoił. Na wyścigi jeden przed drugim ubiegali się w usłudności niewołani nawet, a gdyś krzyknął:

— Latarnik!

Zbiegało się trzech lub czterech i przyświecało przez pół ulicy: najupartszy zostawał, lub téż zwyklój wybierateś sam tego, co ci przypadł pod oko, jakim dowcipném słówkiem.

Liczną drużynę latarników składała po większój części młodzież zwinna, czerstwa, ochocza; byli to pomocnicy mularzy, chłopcy różuych rzemiosł, synowie dorożkarzy i przekupni: znalazłeś pomiędzy nimi i starszych latami, szczególniej téż od 1810 do 1820 roku.

Na czele tu stoją *dworzanie* dawnych wielkich panów, co w szalonym zbytku pomarnowali ogromne majątki swoich przodków. Ci z nich, którzy po upadku wielkich domów, nigdzie przytuliska znaleźć nie mogli, najbiędniejsi wpadłszy w nędzę, siekierą lub piłą, albo dostawszy się w poczet latarników zarabiali na kęs chleba. Znałem kilku takich, którzy opowiadając o zamożności dworów na których służyli, zdawało się że mi mówią piękne wschodnie bajki.

Tych latarników *dworusów*, łatwo mogłeś od innych rozróżnić: uniżeni, potulni i pokorni, lubili gawędzić, a zaraz najprzód zaczynałi od słów:

— Jak ja służyłem u pana wojewody, albo:

— U pana marszałka, albo u księcia pana.

Litość prawdziwa brała, patrząc na tych starców zabiędzonych, w poszarpanych i łatanych żupanikach, sukmankach i kurtach, gdy na odpoczynek który wezwany i poczęstowany, zapomniawszy nędzy swojej, zaczął opowiadać dawne życie swoje, opisując wspaniałość i bogactwo wielkich domów w których służył. W zapomnieniu, oblicze ich szlachetniało, jakaś radość, duma, szczęście nagle je rozpłomięniało i wypogadzało; smutniejsze téż mieli rozczarowanie, gdy spojrzeli na swoje łachmany i na latarkę drewnianą ze zgaszoną świecą.

Byli pomiędzy nimi i siwizną okryci starzy wiarusy nasi, nieraz bez ręki albo bez nogi. Ci odznaczali się między latarnikami nieposzlakowaną uczciwością. Świecił ci starannie i troskliwie, zaproszony na chwilę spoczynku rad gwarzył o dawnych czasach i przygodach w życiu doznanych. Znalazłeś w rzędzie tych latarników starych legionistów z Włoch, z pod Saragossy, z Saint-Domingo, co rądzi w pogawędce nieraz łamanym językiem przypominali sobie to hiszpańską, to włoską, angielską i francuzką mowę.

Poznałeś zaraz zdala starego wiarusa z postaci: stał wyprostowany, oczekując w milczeniu dopóki go kto nie zawoła; przywołany szedł równym krokiem, jakby maszerował,

Pamiętam dwóch siwych jak gołębie starców i jednego bez nogi wojaka.

Było w roku 1824 czy 1825, dobrze nie pomnę, ścisk był wielki w teatrze narodowym, ulubieni artyści zwabili licznych widzów. Występowali tego dnia: Szymanowski, Kudlicz, Werowski, Piasecki, Zdanowicz, Żołkowski i Ledóchowska z Kurpińską: widowisko trwało nadzwyczaj długo.

Ciemne chmury zawisłe nad miastem, rozciągnęły czarną pomrokę. Latarnicy się zwijali, a choć nie mała była ich liczba, wkrótce, gdy przed natłokiem wstrzymał się nieco, zniknęli wraz z wychodzącym tłumem, i spotkałem tylko latarnika o drewnianém szczudle, który stał skromnie na uboczu, oczekując rychło go kto zawoła.

— Poświęć mi, mój bracie!—rzekłem do niego.

— Dobrze, panie!—odrzekł zcicha i uderzył drewnianą nogą po śliskich od niedawnego deszczu kamieniach.

Księżyc czasem z po za czarnéj chmury wyjrzał przyćmiony. Szliśmy Miodową ulicą, a skręcając Senatorską, dochodziliśmy do posągu Zygmunta III. Milczący latarnik zatrzymał się chwilę, podniósł nad głową latarkę, spojrzął na pomnik króla i zcicha wyrzekł:

— Tu, panie, była *brama Krakowska*.

— Pamiętam ją dobrze, mój przyjacielu—odrzekłem—z jéj okien patrzałem na pogrzeb księcia Józefa Poniatowskiego. Nie zapomnę go nigdy, jakbym widział tych brodatych Saperów, z białemi skórzanemi fartuchami, w niedźwiedzich bermycach, z toporami na ramionach, długimi brodami i ogromnemi wąsami; ten wielki karawan, a za nim koń wojownika wiedziony; jakbym słyszał i ten odgłos ponury dzwonów, i ten płacz jękliwy co się mieszał z żałobnym śpiewem kapłanów, hukiem dział i dymem kadzideł.

Opuściłem głowę na piersi, stałem zadumany widać długo, gdy latarnik zbliżył się i wyrzekł:

— Chodźmy, panie, bo zbiera się burza i deszcz ulewny.

Ruszyliśmy więc żwawiej, a cichość wokoło przerywał tylko stuk drewnianéj nogi mego przewodnika.

Kamienica była otwarta, latarnik świecił mi przez ciemne schody; jeszcze nie doszedł do swego mieszkania na drugiem piętrze, gdy huk się rozległ grzmotów, zawył wiatr gwałtowny i lunęła ulewa.

— Teraz może odpocznesz u mnie, mój przyjacielu? Deszcz leje jak z cebra, a pewnie daleko mieszkasz?

— Aż na *Szulcu*, wielmożny panie, pod rogatkami Czerniakowskiemi.

— No! rozgość się u mnie... Janie! to taki stary wiarus jak ty, to się pogodzicie: nieprawda?

Mój stary Jan z siwym wąsem i ogromnym kolczykiem w uchu skłonił głowę i wymruczał pod nosem:

— Panicz zawsze dobry!

Burza srożyła się coraz więcej, grzmoty, pioruny i błyskawice huczały nad całym miastem z poświstem szalonego wichru, z pluskiem ulewy.

Zapaliłem fajkę, a spojrzawszy przez drzwi otwarte, ujrzałem, jak poczciwy stary Jan wypiszy kielich ałembikówki w ręce iatarnika, stawiał przed nim resztki swego obiadu, nakładał mu drejkenigem fajkę swoją. Małomówny zwyczajnie, i teraz tylko bąkając: „No, pijcie, jedzcie, i palcie“ zachęcał swojego gościa. Latarnik nie dał się długo prosić: wypił wódkę, zjadł co stało, a zasiadłszy na ławie przy piecu, z rozkoszą zapalił lulkę.

Nie ustawała gwałtowna burza ni grzmoty i pioruny, ani pomyśleć można było o spoczynku; zbliżyłem się więc do moich wásaczy, a zmusiwszy inwalidę do siedzenia, gdy Jan pomimo zachęcania stał oparty o stół, i émił ze swojej *koblówki* ¹⁾, zaczęliśmy gawędkę. Powoli latarnik orzeźwił, stał się mówniejszym, wreszcie poprawiwszy się na ławie, pokiwawszy głową przemówił:

— Ale to burza! daj go katu! przypomina mi że podobna była, kiedyśmy na piechotę austryacką szarżowali z moim ukochanym kapitanem! Kule jak grad sypały, mur żelazny z bagnetów, na niebie burza i my z nią jakby spadli, a przy huku piorunów rozbiliśmy w puch wszystko, zdeptali kopytem, wykłuli laucą lub szablą wycięli!

Zapał uszlachetniał oblicze inwalidy, machał ręką jakby ciał szablą, ale nie długo opuścił głowę na piersi, a przy wspomnieniu: „nie masz go już na tój ziemi“ łza spadła na wás siwawy.

— Mój bracie! każdy w tém biédném życiu naszym—mówiłem—różnych doświadcza kolei; każdy ma swe wspomnienia i wesołe, i smutne, i łzawe, i uśmiechające!

— Oj! prawda, panie—odrzekł latarnik—a co prawda to nie grzech. Służyłem w domu jednych państwa na Litwie, to była pierwsza moja służba. Pan był dobry, pani jak anioł i dobra i piękna; mieli troje dziatka, któreśmy wszyscy pieścili i kochali. Było tam wszystkim jak w raj. Pan zajęty gospodarstwem, pani krzątaniem w domu i około dziatwy. Ale dobrze mówią że po pogodzie bywa zawsze burza!

Jakoż zimową porą przybył do dworu jakiś daleki krewny pana; chlubił się że służywał wojskowo, ale ludzie gadali, że w sztabie głównym pilnował tylko pieczeni i za ogień kuchenny wyżebrał sobie krzyż wojskowy. Nie był brzydki, nie był piękny, nasz pan daleko ładniejszy. Przez zimę pan prawie ciągle na dyszlu, jeździł za interesami. Właśnie po dobrój sannie wypadło mu jechać na parę miesięcy; pożegnał panią, uściskał dzieci ze łzami, i rzekł do mnie, ale takim głosem żem się rozbeczał:

¹⁾ Był w Tarnowie (w Galicyi) fabrykant drewnianych fajek węgierek, zwany *Kobel*, od niego przybrały nazwę fajki, które dotąd jeszcze są w powszechném użyciu.

— Krzysztofie! pilnuj mi mego Tadeuszka, to chłopiec mały, ale swawolny; pilnuj Janka starszego: nad Zosią klucznicą będzie czuwała.

Wsiadł do sani, pani na ganku z dziećmi jeszcze go pożegnała, a pan Adolf kuzynek ścisnął za rękę i wyrzekł, aż mnie zimno przeszło:

— Bądź zdrów Stanisławie, bądź spokojny, znajdziesz tu wszystko w porządku.

Zadzwończył sanki, mnie się zdało że jakby na jaki pogrzeb, i pojechały.

Może w tydzień zamieć śnieżna z wichurą powstała, a że okienicą biła straszliwie, wyszedłem aby zamknąć dobrze. Zaledwie stanąłem na ganku, usłyszałem jakby zdała krzyk pani, wyraźnie jej był głos; podbiegłem pod okno sypialni, ale wszystko się uciszyło. Wróciłem do izby, rzuciłem się na swój siennik; jednak zasnąć nie mogłem: ten krzyk huczał mi w uszach i jak kamień ciężył na sercu. Nazajutrz pani słaba nie pokazała się wcale, w kilka dni powstała, ale smutna snąć płakała. Nikt się nie dziwił, bo wiedział, że pana nie ma i za nim tęskni.

Na drugi tydzień, pani kazała wywieźć zboże na targ do miasta, pan Adolf z nim pojechał; wkrótce powrócił i przywiózł z sobą rudego żyda, co zakupił wszystko żyto, pszenicę i inne zboże co tylko było na śpichlerzu. Wszyscy się we dworze dziwili dlaczego pani sprzedaje, a nawet na jary siew nie zostawia. Pan Adolf sam odbierał i rachował pieniądze, gdy furmanki dworskie i ze wsi ciągle wywoziły ze śpichlerza do miasta wory ze zbożem. Żyd rudy zakupił i woły wszystkie co stały na stajni, a i te co były do sochy na wiosnę. Ekonom, stary *Głowacz* jak go zwano, strasznie mruczał, kręcił głowę, ale cóż mógł, gdy pan na odjezdnem powiedział:

— Ja wyjeżdżam, pani tu będzie rządzić: już ja się rozmówiłem.

Głowacz pluł na stronie i raz do mnie wyrzekł:

— Sodoma! Gomora! u niewiasty długie włosy, ale rozum krótki.

Wielkanocne święta były za pasem, a był pomnę *feralny* poniedziałek. Pan Adolf wybierał się w drogę do Warszawy, miał nocą wyjechać dla pilnego interesu. Kocz państwa przygotowano, a konie tylko do pierwszej stacyi pocztowej. Pani dnia tego była więcej smutna i zapłakana. Bawiła się dłużej niż zwykle z dziećmi, całowała, pieściła, płakała. Gdy poszły spać a ja, jak mój był zwyczaj, siedziałem w pokoiku paucików, bo i tam spałem, blisko północa weszła; na mój widok nieco się zmieszała, ale każde chłopiątko ucałowała, mnie dukata wsunęła w rękę i wyrzekła stłumionym od płaczu głosem:

— Czuwaj nad nimi pocziwy Krzysztofie!

Mnie trzy stanęły w oczach i jakoś zdurzałem, a pani była ubrana jakby do podróży.

Zmorzony twardo zasnąłem. Właśnie na zegarze ściennym uderzyła druga, gdy pojazd zaturkotał na podwórzu. Wyrząłem

oknem: pan Adolf z fajką wsiadał; kiedy krzyknął: „ruszaj!” usłyszałem ze środka powozu jęk cichy, a był to ten sam głos jak w onęj nocy burzliwej wśród zamieci śnieżnej.

Nie mogłem już zasnąć, wstałem i nie wiem dlaczego idąc wstąpiłem do pokoju stołowego; zdziwiłem się zobaczywszy przez drzwi niezamknięte, że w sypialni świeca się pali: wchodzę cicho, pościel na łóżku nie tknięta, nie ma żywej duszy, wszystkie drzwi otworem. Wbiegam do bocznej alkowy gdzie panna służąca zwykle siedziała, nie masz jój śladu. Wchodzę do pokoiku panienki a tuż przy niej nasza poczciwa *Niewieska* klucznica. Serce mi bić zaczęło ze strachu, w głowie się zamieszało, coś szeptało ciągle: „pani uciekła.” Wracam więc i rozpatruję lepiej: w sypialni dopiero ujrzałem nieporządek wielki i pośpiech w ucieczce. Suknie, chustki w nieładzie leżały, szuflady od komód otwarte, właśnie jakby złodzieje rabowali. Nie wiem dlaczego, ale jak bóbr rzewnemi zalałem się łzami i stałem płacząc nie wiem jak długo, gdy ze dworu usłyszałem głos starego Głowacza, co budził fornalki do brony. Wybiegłem do niego: Głowacz z pod brwi siwych spojrzął z podziwem.

— Co ci to chłopcze—zapytał—bladysz jak *Piotrowina* z grobu i spłakany jak baba?

Opowiedziałem mu wszystko: stary zadrżał, położył palec na ustach i wszedł do dworu. Przeszliśmy wszystkie pokoje aż do sypialni pani; tam Głowacz na stoliku znalazł list pisany ręką pani do pana. Za ledwie go wziął do ręki i przeczytał, a był nie zapieczętowany, zbladł okropnie i zcicha drżącemi od wzruszenia usty zaczął odmawiać: „*Pod Twoją obronę;*” nie dokończył jeszcze modlitwy, gdy się zachwiał; musiałem go podeprzeć: po chwili zaniósł się od płaczu i zawołał:

— O! mój biedny panie! na to żem cię wypiastrawał na swém ręku!

A była to prawda, bo Głowacz służywał jeszcze w domu pana *skarbnika*, a ojca naszego pana.

— Krzysztofie!—mówił po chwili—ja sam muszę pojechać do pana z tym nieszczęśliwym listem, muszę go przygotować do wszystkiego i do tych pustek w domu i śpichlerzu.

Jakoż w godzinę już siedział na bryczce, klucznica wsunęła faszeczkę bigosu, ja butulkę auryówki. Głowacz się przeżegnał, uściśnął nas i ruszył. Blisko tydzień go nie było; nareszcie przyjechał sam błądy i zmieniony. Kiedyśmy wybiegli naprzeciw niego, przeżegnał nas zdala, a położywszy palec na ustach wyrzekł zcicha:

— Pan jedzie zaraz za mną, dziecięcki zdrowe? niech na ganku czekają.

Wybiegły one już same na wieść że ojciec wraca, myśmy uczyli je ciągle, żeby o matce nie wspominały zaraz.

W godzinę zajechał pan przed ganek, wyskoczył ujrzawszy dzieci; po kolei uściśnął każde ze łzami; najdłużej pieścił Zosię, i dosty-

szalem jak wyrzekł: „Biedne dziewczątko, nie masz już matki, nie masz opiekunki! dla ciebie lepiejby było, żebym i ja umarł.“

Dziecię uwiesiło się rączkami za szyję ojca, on je niosąc na ręku wszedł do domu.

Głowacz dał mi znak, ażebym zamknął sypialnię pani na klucz; panu w pokoiku chłopców wstawiłem łóżko: zdawał się rad z tego. Kiedym rozpatrzył się w jego twarzy, struchlałem: znikł rumieniec, żółtość jakaś wyszła na wierzch, ręce mu drżały; często rzucał się na łóżko, wtedy usta otwierał jakby mu brakło powietrza. Głowacz prze- niósł się z oficyny do przedpokoju i razem spaliśmy: uważałem że bar- dzo rano, bo pan spać nie mógł, wychodzili do ogrodu i coś długo z sobą rozmawiali.

Nadeszły żniwa, pan zajmował się więcęj gospodarką; często po obiedzie przy fajce, patrząc na igrającą dziatwę łyzy ocierał: Głowacz ile razy to ujrzał był weselszy, bo jak mi mówił, że przez łyzy oczyszcza sobie serce z kamiennego bólu.

Po żniwach, blisko św. Michała, bo już pierwsze siewy żyta i pszenicy odbyliśmy, Głowacz wieczorem kiwnął na mnie i wyszliśmy do śpichlerza. Tam mi opowiedział, że Krystyna służąca, co z panią uciekła, przybyła; że ma list do pana: że pani (tu rzewnie stary za- płakał) w nędzy, na barłogu leży chora gdzieś tam pod strychem w Warszawie.

— Weź ten list, mój Krzysztofie, bo ja nie mogę, i oddaj panu, jak po wieszce dziatwa będzie pacierz odmawiać. Nic nie mów: ja tam będę czekać.

I tak się stało, pan zapalił lulkę, pożegnał już Zosię, Tadeusz z Jankiem odmawiali pacierz, kiedym wszedł i list podałem. Jak po- znałem rękę, zadrżał, zerwał się z łóżka, zbladł jak trup, ale nie wyrzekł słowa. Przysunął świecę i zaczął czytać; przeczytał cały: pot kropli- sty oblał mu czoło. Wszedł Głowacz, pan podałem mu list i wyrzekł okropnym głosem:

— Na! czytaj!...

A sam padł na łóżko i gorzko płakać zaczął. Głowacz czytał, ale z częstego krzäkania starego wniosłem, jak łyzy słone łykał. Gdy skończył, wziął na ręce Tadeuszka i Janka; ja z jego polecenia przy- niosłem Zosię i wszyscy wieńcem ukłękliśmy w około łoża pańskiego. Stary Głowacz ze łkaniem przemówił wtedy:

— Panie nasz! mój paniczu! straciłeś żonę, wróć tym dziatkom matkę a nam panią: była ona i dla nas matką!

Pan rzucił się w objęcia starego, i uściśnął dzieci, i we dwóch wyszli do ogrodu; wszyscy już się pospali jak wrócili: pan był spokoj- niejszy, Głowacz weselszy; kładąc się do łóżka wyrzekł mi zcicha:

— Pojedziesz z panem jutro w podróż; a pilnuj go dobrze, bo ma przebyć drogę cerniową, i poczuje cierniową koronę. Ale w Bogu nadzieja, będzie też słonko przed naszymi wroty!

Równo ze wschodem słońca już aleją lipową wyjechaliśmy z dworu: ja siedząc na koźle odmawiałem pacierz, pan zadumał się i opuścił głowę na piersi. W kilka dni stanęliśmy w Warszawie.

Nad wieczorem pan mi kazał pójść za sobą. Szliśmy przez wiele ulic, nareszcie przybyliśmy na Stare-Miasto, przed jedną wysoką kamienicę. Pan stał jakiś czas, widać że cierpiał bardzo, bo gdy przemawiał do mnie, głos jego był drżący i ochrypły.

— Krzysztofie, idź naprzód, ja za tobą. Na trzecim piętrze zaraz przy wschodach drzwi otworzysz i zapytasz o panią: ona tam mieszka.

Nie wiem czemu mróz mnie przejął, ale żwawo po schodach biegłem. Wszakóż zadrżała mi ręka, jakem klamki dotknął i drzwi otworzył. Nie było w pierwszej izbie nikogo, w drugiej cóżem ja ujrzał? Na ziemi na brudnym sienniku klęczała nasza biedna pani i modliła się gorąco: *szabosówka* słabo świeciła. Na odgłos kroków moich odwróciła głowę, a gdy ujrzała oblicze jej blade jak trupa, krzyknąłem i uchwyciłem za rękę całując ze łzami.

— Krzysztofi!—zawołała z podziwem. — O! dziękuję Ci dobry Boże, nie zapomnieli więc o mnie. A pan? a dzieci zdrowe?

Ja przed płaczem słowa wyrzec nie mogłem, gdy nagle pani spojrzawszy we drzwi, jęknęła z bólem, wyciągnęła ręce i cichym głosem wyrzekłszy: „Łaski i przebaczenia“ padła i zsunęła się z siennika. Na progu stał pan w płaszczu, blade i zmieniony: drżał jak w febrze.

— Krzysztofie! podnieś panią, ja skoczę po dorożkę: trzeba ją ztąd co prędzej wyprowadzić.

Wziął świecę, a obejrzawszy obie izdebki, wyrzekł z boleścią:

— Boże! co za nędza, jakże opuszczona!

Wybiegł na ulicę: ja położyłem panią na sienniku, a przy pomocy jakiegoś starowiny sąsiadki z przeciwka, otrzeźwiliśmy ją i przywieśli do przytomności. Wtedy odgarnęła włosy co jej oczy zasłaniały, a ujrzawszy mnie pochwyliła za ręce.

— Krzysztofi! mój pocziwy Krzysztofi!—przemówiła słodkim głosem.—A gdzie on?

I zakryła rękoma oczy i płakała jak bóbr rzewnie.

— Uspokój się kochana pani, wszystko będzie dobrze; dzieci zdrowe: pojedziemy do domu.

Uklękła, zaczęła się modlić, a sąsiadka szepnęła mi w ucho:

— To tak zawsze jak tu zamieszkała: to tylko płacze, to tylko się modli!

Ustyszałem chód pana, wybiegłem naprzeciw.

— Weź panią i sprowadź na dół, ja tam czekam; odwieszysz do naszej stancyi, a czujduch zaprzęgaj, bo tej nocy wyjedziesz do domu: ja teraz biegnę zapłacić gospodarzowi za to liche mieszkanie.

Jak wróciłem, pani już stała gotowa; uściskała pocziwą sąsiadkę, i przy pomocy mojej zesłała na dół. Dorożka stała: wsiedliśmy razem.

— Gdzie pan?—zapytała zcicha.

— Nie wiem, ale zaraz kazał pakować i wyjeżdżamy tej nocy jeszcze.

Złożyła ręce i coś szeptała, usłyszałem tylko słowa:

— Zobaczę i przytulę do serca dzieci nim umrę.

Wkrótce stanęliśmy przed hotelem, pojazd już był zaprzężony. Pan zbliżył się do mnie i rzekł spokojniejszy:

— Siadaj z panią i jedź wolno, bo ona słaba; ja pocztą jadę, to prędkiej przed wami stanę; powiedz niech będzie dobrej myśli, a nie zajeżdżaj od podwórza, ale od ogrodu, ja w szpalerze lipowym będę czekał.

Jak kazał tak zrobiłem. Jechaliśmy z wolna, na świeżem powietrzu zaczęła pani oddychać swobodniej, a gdym jej słowa pańskie powtórzył, że dzieci wciąż ją wzywały i czekają, słabe kolory na twarz wybiły i uśmiechnęła się boleśnie.

Słonko już było na zachodzie, gdyśmy na czwarty dzień dojeżdżali do domu. Z naszej dzwonnicy przykościelnej uderzono na *Anioł Pański*, kiedy stanęliśmy przed furką ogrodową. Otworzyła się na nasze przyjęcie, a dziatwa z okrzykiem: „mama! mama!” rzuciła się ku pani i zaczęła całować i klaskać rączkami z radości. Pani porwała każde na ręce i uściłakała wśród rzewnego płaczu.

Szliśmy ogrodem, we drzwiach dworu stał sędziwy nasz ksiądz proboszcz. Pani już nie stąpiła kroku, upadła na kolana, a składając ręce jakby o co żebrała, kornie pochyliła czoło. Ksiądz proboszcz podbiegł, pobłogosławił, i zcichą szepnął stów kilka, których nie dosłyszałem, ale otarła prędko oczy, i prowadzona przez niego weszła do pokoju.

Tam stał pan bardzo blady, stał obok smutny stary Głowacz, który ujrawszy biedną panią ucałował jej ręce, a cofając się w kąt ciemny, zakrył oczy. Pani ze schyloną głową szła wiedziona przez naszego plebana, pan na jego skinienie podał jej rękę i wprowadził do jadalnej izby, gdzie pocziwa klucznica z krzykiem radości powita naszą panią.

Usiadła na kanapie i omdlała.

Wkrótce przyszła do siebie, dziatwa ją obsiadła, z nas każdy poszedł do swojej roboty; ksiądz proboszcz długo z panem chodzili po ogrodzie i coś żwawo rozprawiali. Głowacz podstuchiwał nieco, i mówił mi potem, że to ksiądz proboszcz najwięcej pracował nad tem, że pan pojechał po panią i przywiózł matkę dzieciom. Pan wrócił późno i u chłopców spał na dawném miejscu, pani kazała Łózczo Zosi do siebie przynieść i rzadko kiedy wychodziła ze swojej sypialni, chyba że ją dzieci wywabily do ogrodu, bo pan z jaki tydzień nie jadał razem obiadu.

Raz, przypadło jakieś święto uroczyste, ksiądz proboszcz zaprosił się sam na obiad. Pan uprzejmie mu się uklonił, a Głowacz zacięrał ręce z radości w kącie. Jakoż pierwszy raz państwo usiedli razem z dziatkami; siedział Głowacz i klucznica, a ja usługiwałem.

Ksiądz proboszcz pobłogosławił stół i wszystkich, a przy kieliszku jak zaczął opowiadać wesołe dykteryjki światowe, bo to człowiek bywały, tak się pan śmiał serdecznie i pani się nawet uśmiechała; stary Głowacz coraz to pochrząkiwał a siwego zakręcał wąsa.

Po obiedzie w ogrodzie dzieci dalej w płasy; ksiądz proboszcz przyklaskiwał niewiniątkom, i tak jakoś wszystko nakręcił, że pan podał rękę pani i przemówił po raz pierwszy. O! wszyscy wtedy odechnęliśmy, bo dotychczas było smutno, jak przed jaką burzą.

W miesiąc może potem, wieczorem późno wezwał mnie pan do siebie, trzymał w ręku jakiś list rozwarty.

— Krzysztofie!— powiedział—jutro skoro świt zaprzędziesz parę siwków do bryczki, i będziesz czekał na mnie u furtki ogrodowej; ale tak się wybierz, żeby nikt cię nie widział, a szczególnież ze dworu.

Zrobiłem jak kazał; stałem już z dobrym pacierz przy furtce; zorza jeno co poświętywać zaczęła, gdy pan z jakąś szkatułką pod pachą wsiadł i zawołał:

— Ruszaj!

Naszym siwkom dość było świsnąć; dobrym kłusem dwie mile przelecieliśmy w mgnieniu oka i stanęliśmy w miasteczku. Ja wyprzągłem konie, zarzuciłem siana, nasypałem w żłób owsa, napoiłem, i już się na dobre wyciągnąwszy na bryczce zacząłem drzemać, gdy pan mną wstrząsnął, a oddając szkatułkę rzekł:

— Chodź za mną!

Przeszliśmy na koniec ulicy, pan wszedł do jednego domu i wyszedł w towarzystwie trzech panów; między temi z przestrachem ujrzałem pana Adolfa. Szli nie mówiąc słowa do poblizkiego lasu; tam rozmierzili kroki, dwaj panowie coś na boku mówili, potem pistolety nabili. Pan Adolf pierwszy strzelił a mój pan upadł!

Krzyknąłem, przybiegłem myśląc że zabity, ale już się podnosił.

— To nic!—rzekł do mnie—kula raniła mnie w nogę: podaj mi kij lub gałąź na podparcie!

Podąłem łaskę jednego z panów, wtedy wsparty na niej, z uśmiechem przemówił do pana Adolfa:

— No! jeszcze mam dosyć siły, ażebym cię nikczemniku zabił!

Pan Adolf zbliadł okropnie, a gdy ujrzał, że mój pan mierzy do niego, zaczął co tchu uciekać.

— Trzymaj go! łapaj!—krzyknął mój pan i drugi.

Ja poskoczyłem zabiegwszy mu drogę, a jego sekundant już go dognął; schwycił za łeb i postawiwszy na mecie, trzymając silnie za czuprynę, zawołał:

— Strzelaj! już on się nie wywinie!

Mój pan wymierzył; błysło na panewce, a pan Adolf padł trupem: kula przeszła mu serce, ale i moje biedne panisko upadło z osłabienia, bo dużo krwi wyciekło. Skoczyliśmy wszyscy, rozebrali i jak mogli krew zatamowali; ja duchem pobiegłem, zaprzągłem siwki i zajechałem do lasu. Włożyliśmy pana i zaraz ruszyłem do domu.

We dworze był wielki rozruch po naszym odjeździe, bo pan do pani zostawił list, w którym ją żegnał, polecał dzieci, że jedzie na pojedynkę i z kim się będzie strzelać.

Głowacza spotkaliśmy po drodze, co konno wyjechał naprzeciw; jak się dowiedział że pan tylko w nogę raniony a tamten zabity, wyrzekł wznosząc ręce w górę:

— Sprawiedliwe są sądy Twoje, Wszchemogący Panie! I ruszył z kopyta, aby panią uspokoić.

Czekała na nas w ganku z dziećmi i domownikami; z okrzykiem radości dziatwa powitała ojca, a widząc że z Głowaczem musieliśmy go przeniść z bryczki do pokoju, zaczęła głośno płakać.

— Cicho, dziatki kochane—rzekł pan głaszcząc po kolei i caując—to nie!

Złożyliśmy go na sofie, pani już na krok nie odstępowała, śpiąc w nocy na sienniku, bo pan nie miał snu ciągłego dla bólu; doktor codzień opatrywał. W tydzień już siedział w krześle, palił lulkę, pani grała na fortepianie, dzieci skakały. Nieraz śmiał się serdecznie z ich skoków i figłów. Nasz pocziwy ksiądz proboszcz codziennym był gościem, a spokój i swoboda wracały pod strzechę naszego dworu. W kilka miesięcy pan wydobrzył, lubo jeszcze nalegał na nogę! Zaczął się przejeżdżać konno; nadeszła jesień, pokończyliśmy zasiewy: w grudniu wyjechaliśmy z panem na wojnę.

Po kilku bitwach, a w każdej byliśmy w gorącym upale, nasza dywizya zbliżyła się w nasze strony. Pan już krzyż dostał i został kapitanem. Że niedaleczko było do naszego dworu, wzięwszy swoich trębaczy wjechaliśmy do wioski. Jak utnie muzyka, a tu sielany z chałup wybiegli. Nuż płakać z radości, pana uściskali, mnie z konia ściągnęli. Wjeżdżamy na dziedziniec, aż tu ksiądz proboszcz z bractwem i chorągwiami stoi. Pani o niczym nie wiedząc, że to my pod swój dach przychodzimy, wystawić kazała stoły z jadłem i napitkiem, sama z dziećmi w ganku czekała. Aż tu na kasztanku jak się nie wysunie nasz kapitan, ja za nim; dzieci w krzyk: „To nasz, nasz tatko!“ pani padła na kolana że go widzi jeszcze.

Pan zsiadł rzeźwo, pozdrowił serdecznie panią i dziatwę, brał je na ręce a całował ze łzami. Zmężniał wiele, opalił się od słońca, a cięcie na czole, które otrzymał od huzara węgierskiego, było mu jakoś do twarzy. Uściskał sędziwego księdza proboszcza, ja go pocałowałem w rękę; on nas pobłogosławił, pokropił święconą wodą. Dopiero zasiedliśmy do stołów, bo sielacy porwali nam konie, wszystko koło nich oporządzili, nakarmili, napoiли i wyczyścili. Tak się bawimy wesoło do nocy, aż tu równo ze świtem rozkaz, marsz zaraz!

Wsiedliśmy na koń, ale jakoś ciężko było na sercu, jakby coś szepotało, że nie jeden z nas już nie ujrzy téj strzechy domowój. Jakoż nazajutrz o milę tylko zaszła z Austryakami krwawa i mordercza bitwa. Nasz pułk stanął na wzgórk, nieprzyjaciel nagle odsłonił baterią z dwunastu dział pozycyjnych: trzeba było ją wziąć albo zginąć.

Nasz szwadron na czele, ruszył wprzód kłusa, potem zaraz z ko-
pyta marsz! Jak utniem szarzę, raz daliśmy wystrzelić; jużem ujrzał
zblizka te piekielne paszcze wyloty dział; jeszcze był kapitan na czele,
gdy nagle, jak urzną znowu, nie wiem co się stało: ja z konia, kula
urwała mi jak pan widzi po kolano nogę, a mój kochany pan kulą w pier-
si ugodzony, zginął! Padł zabity od téjże kuli i kasztanek, bo mu cze-
rep zgruchotała. Nasi wzięli działa!

Tu Latarnik wstrzymał swoje opowiadanie, pochylił głowę na
piersi i łzy ocierał rękawem. Mój stary Jan w rozczuleniu podał mu
kieliszek wódki, ale inwalid odsunął, i pokręcił głową na znak że pić
nie będzie; wtedy nałożył mu swoją fajkę i podał: nie odmówił, i widać
było jak z dymem ulatywał powoli smutek jego. Po chwili wyrzekł:

— Oj! tak panie! zawsze bięda na świecie.

— Gdzieżeś się potem obracał—zapytałem—cóż się stało z panią
i dziećmi?

— Ja poszedłem do szpitala, gdzie mi odcięto zgruchotaną nogę,
wróciłem do wsi potem, ale nie zastałem już pani: wyjechała z dziećmi
za granicę. Stary Głowacz przyjął mnie do siebie i wręczył od pani
trzysta złotych. Było mi tam jak w raju, chodziłem co dzień na grób
swego kapitana, modliłem się i płakałem. Nikt tego nie widział, aż
raz Głowacz zcicha mnie podszedł; ale kiedy zobaczył, że ze łzami ca-
łowałem zimny na mogile kamień, sam się w głos rozbeczał i uściśkał
mnie serdecznie.

We dwa lata stary umarł, kazał się pochować obok pana; spo-
ry trzosik zebranego poczciwie grosza darował mi przy śmierci. Sie-
działem rok potem, ale jak wieś spalono i kościół zgorzał, księdza
proboszcza pogrzebano, nie było co robić: przybyłem do Warszawy.
Tak tęskno siedzieć z założonemi rękoma, a na cóż się zda kaleka?
Ha! kupiłem sobie latarkę i choć cokolwiek na życie zarobię, bo pano-
wie dobrzy! zawsze się jaki znajdzie co się ulituje. Ja przyświecam
a nieraz i hojny datek dostałem. Ot! i człek żyje, dobrze też mówią:
że kogo Bóg stworzy, tego nie umorzy; każdy ptak swoim się dziob-
kiem żywi!“

Burza powoli ucichała, już też i druga z północy uderzyła, roze-
szliśmy się na spoczynek. Nazajutrz wstawszy jużem nie zastał latar-
nika. Jan mi doniósł, że bardzo rano wyszedł do domu. Odtąd często
spotykałem mego inwalidę, często zachodził do starego Jana na gawędę.

We trzy lata może potem, przybywszy pod wieczór nie zastałem
mojego Jana; szukałem go napróżno. Położyłem się niespokojny
w obawie, ażeby co złego starego wojaka nie spotkało. Około dwuna-
stéj w nocy, usłyszałem chód jego w przedpokoju i chrząkanie, co
oznaczało w nim zawsze wzruszenie. Zawołałem na niego, szedł po-
dwójnym krokiem, ale jak na mnie spojrzał zaniósł się od płaczu.

— Co ci jest mój Janie! ty płaczesz?

Stary więcęć się rozrzewnił, oparł głowę o mur i szlochał.

— Już go niéma!—zawołał wreszcie. Poczciwy Krzysztof umarł! O! żeby pan był przy tém, toby panu serce z bólu pękło! Jak mi dali znać że bardzo chory, pobiegłem; on leżał na tapczanie konający. Jak mnie ujrzał, orzeźwił, wyciągnął ręce; ja mu się rzuciłem na szyję i płakaliśmy jak bobry. Jak odetchnął, oddał mi trzosik, w którym miał nieco grosiwa od Głowacza. Zaczął ciężko oddychać, musiałem mu głowę na poduszce położyć, Zbiegli się sąsiedzi, sąsiadka z pod strychu zapaliła święconą gromnicę; on coś trzymał w ręku i całował jak tylko do przytomności przyszedł, wreszcie zawołał na mnie:

— Janie! weź to... to krzyż com dostał; chowałem go na piér-siach, jak relikwią ze szkaplerzem razem: pamiętaj, pochowaj go ze mną!

Ja zdziwiłem się, on nic mi nigdy nie mówił, ani panu nie powiedział. Kiedym mu wszystko przyrzekł, a on po spowiedzi i przyjęciu Świętych Sakramentów dogorywał, nagle drzwi się rozwarły i młody pan stanął w kurtce ulańskiej.

— Krzysztofie! moj kochany Krzysztofie!

Na ten odgłos umierający roztworzył oczy, a ujrawszy wołającego, zebrał ostatnie siły, uniósł się nieco i zawołał ochrzypłym głosem:

— Mój kapitan!

Podniósł rękę do czoła jakby salutował do kaszkietu, a potem zawoławszy: Naprzód wiara! zamknął oczy i skonał! A wie pan kto był ten młody oficer? To ów mały Tadeuszek co go piastował poczciwy Krzysztof, bardzo podobny do nieboszczyka ojca! On z całej rodziny tylko został. Matka, brat i siostra, wymarli za granicą, chciał zabrać do siebie Krzysztofa: zapóźno: poszedł połączyć się z temi, co kochał.

IX.

Rybacy warszawscy.—Przewoźnicy.—Legia nadwiślańska.—Tracze.—Stare wiarusy.—Konfederat.—Hispaniol.—Murzyn.—Jakób z pod Łukowa.—Procesya Bożego Ciała.—Wspomnienie.—Pogrzeb nędzarza.—Dwaj przyjaciele.—Azor.—Ostatni lirnik Warszawy Mateusz Dziubiński.—Teorbanista kresowaty.—Flisacy krakowscy.—Retman.—Babki koszykowe.—Magdalena szpieg Kościuszki. Jój grobowiec na cmentarzu Powązkowskiu.—Kiełbaśnicy.—Pan Piotr i jego dwór.—Żydzi w Warszawie. Faktorzy.—Branka do wojska.—Podatek rekrutowego.—Mustra.—Sposób nauczania strzelania z broni.



The first of these is the fact that the
 number of cases of disease is
 directly proportional to the
 number of persons exposed to
 the disease. This is true of
 all contagious diseases, and
 is the basis of the law of
 mass action. The second is
 that the rate of infection
 is proportional to the square
 of the number of persons
 exposed. This is true of
 all contagious diseases, and
 is the basis of the law of
 mass action. The third is
 that the rate of infection
 is proportional to the square
 of the number of persons
 exposed. This is true of
 all contagious diseases, and
 is the basis of the law of
 mass action.

Wyniosłym wzrostem i urodą, pomiędzy ludem warszawskim odznaczali się szczególnie rybacy, przewoźnicy i rzeźnicy: wszystko to postaci czerstwe, składne i pełne życia. Rzadko szewc żeby dorównał któremu, lubo w odwadze osobistój i śmiałości do bójki nie ustępował żadnemu.

Mieszkańcy zajmujący całe wybrzeża po nad Wisłą, oddani różnorodnym zatrudnieniom i pracy na chleb codzienny, a nie należący do żadnego cechu miejskiego, nosili nazwę *legii nadwiślańskiej*, która powstała w początkach naszego wieku i przywiązana była pierwotnie do dzielnego pułku piechoty pod dowództwem pułkownika Konopki. Mnóstwo też *starych wiarusów* zamieszkiwało Powiśle, tu się skupiali ażeby być bliżej siebie. Wszystko to byli wysłużeni już żołnierze, którzy w sędziwych latach nie mogąc się pomieścić w korpusach *inwalidów* lub *weteranów*, ciężko na życie codziennym trudem zarabiali musieli.

Przeważnym ich zajęciem było piłowanie i rąbanie drzewa po domach miasta, gdyż nie znano wówczas ani torfu, ani węgla kamiennego; obfite i duże lasy w pobliżu Warszawy dostarczały na potrzebę aż nadto opału. Z piłą na ramieniu i siekierą w rękę, stały ich gromadki zwyczajnie pod *bramą krakowską* lub zasiadali na kamieniach w około posągu króla Zygmunta III. Malarz-artysta znaleźć mógł pomiędzy nimi tak piękne typowo-polskie oblicza i postaci, że mógł je w komnaty królewskie wprowadzać.

Rozmowa z nimi była nadzwyczaj zajmująca, mieli też co opowiadać to o pobycie w Italii, o krwawych i morderczych walkach z Murzynami na wyspie Saint-Domingo, to o szturmach do Saragossy pod dowództwem Chłopickiego, to wreszcie o bitwach we Francyi, w Niemczech i ostatniej kłęsce w wyprawie 1812 roku.

Mój ojciec miał znajomych pomiędzy nimi traczy, którzy rokrocznie przychodzili piłować i rąbać drzewo w grubych kłocach zwiezione na obszerne podwórze. Matka moja przy zgodzie zawsze ich częstowała wódką gdańską i przekąską z chleba z sółem, ogórkami kwaśnymi, bo właśnie dla traczy żniwo do zarobku otwierało się od początku jesieni.

Pięciu zwykle przychodziło ich do nas, a na ich czele *Mateusz* zwany *konfederat*. Jakoż rzeczywiście służył pod Kazimierzem Pułskim i należał do ostatnich obrońców Częstochowy. Czterej jego towarzysze połączeni ścisłą z sobą przyjaźnią, byli to starzy wojacy z wy-

praw włoskich i kampanii hiszpańskiej. Okazywali wielkie poszanowanie dla pana Mateusza, ztąd też bacząc na wiek sędziwy, trzec drzewo piłą pozwalali mu, ale nigdy rąbać „bo to robota zaciężka dla naszego konfederata” mówił im z cicha Jacek Godziemba, jeden z pilarzy, przezwany *Hispaniol*, bo całą wyprawę w Hiszpanii przesłużył. Był pomiędzy nimi *Murzyn* pan Kacper Gil, bo ten mu przydomek dano, że na Saint-Domingo, w krwawej walce z wściekłymi Murzynomami ocalił życie kapitanowi Blummerowi, co zmarł w końcu 1830 roku w stopniu generała.

Wszystkich tych szczegółów dowiedziałem się od naszych traczy, kiedy zasiedli na swój obiad na pniach drzewa i spoczywali, a ja im przyniosłem kilka butelek piwa dubeltowego. Ztąd miałem i u nich łąski i zaufanie: chętnie też wspominali o latach swojej młodości. Wszyscy ozdobieni byli krzyżami *Virtuti militari*, a dwóch z nich Konfederat i Murzyn, mieli nadto krzyże *Legii Honorowej*, w które się ubierali tylko w niedzielę i święta uroczyste, gdy szli na mszę świętą do kościoła Trynitarzy na Solcu. Wszyscy byli żonaci, tylko w kawalerskim stanie został Konfederat, a jak mówili mi żartobliwie jego towarzysze, że to kawaler do wzięcia, i wszystkie młode dziewczuchy na Powiślu *zerkają* nań miłym oczkiem, bo każda pragnęłaby go zdobyć dla siebie! Konfederat liczył wówczas 75 rok życia, ale pełen był jeszcze siły i rzeźkości.

Kochali się jak rodzeni bracia i w stosunkach codziennych wzajemny okazywali szacunek; inaczej nigdy jeden do drugiego nie mówił, jak „kolego,” a przy obcych zawsze „panie kolego.” Konfederat mieszkał przy żonatym Murzynie, i zasilał go nieraz, bo miał synowca pod Łukowem, gospodarza zamożnego, który stryjowi swemu a panu *kapralowi* jak go zwał, przywoził masło, sэр, drób, kiełbasy, chleb razowy, a od żony kołaczki. W jesieni jak spieniężył zboże po kilka talarów, prosił go nieraz ze łzami, aby swobodnie u niego w chałupie ciepłej, przy dostatku jadła na stare lata odpoczął; ale stary wiarus zawsze mu odpowiadał:

— Dziękuję ci, mój Jakóbie, pocziwe w tobie serce i Bóg zapłać, a obdarz swoją żonę i dziatki zdrowiem i łąską, ale ja bo widzisz od kolegów moich odstać nie mogę, z tęsknoty umarłbym prędko, a człowiek chce jeszcze pożyć na tym Bożym świecie, dopóki i oni żyją.

Raz Jakób przyjechał z sutym gościńcem i stryjowi przywiózł sześć talarów: było to na kilka dni przed Bożem-Ciałem. Konfederat już synowca nie puścił, ażeby był na procesyi.

Od rana krzątania była wielka w mieszkaniu pana Kacpra Gila: pani Gilowa młoda i dorodna niewiasta, po ubraniu dwojga dzieci swoich, roztworzyła duży kufer i wyjęła najprzód kapotę pana Mateusza z czapką rogatywką, potem podobnyż strój dla męża. Gdy go obaj przywdzieli, wydobyła pudełko; na ten widok obaj stanęli jakby w szeregu *do frontu*, prawą ręką *salutowali*, kiedy gospodyni każdemu zawieszła to na niebieskiej wstążce, to na czerwonej, po dwa krzyże.

Jakób na ten widok stanął osłupiały: razem poszli do kościoła. Po nabożeństwie przysłała chwila procesyi. Poruszono baldachim, wtedy wystąpił pan Mateusz i pan Kacper. Na ich widok obywatele, właściciele domów, spojrzawszy na ich piersi ozdobne dwoma krzyżami, pokłonili głowami i ustąpili z uszanowaniem pierwszeństwa; oni też ponieśli baldachim nad głową celebrującego kapłana.

Jakób patrząc pilnie na wszystko ze łzami w oczach, po procesyi gdy wrócili do domu, upadł do nóg stryjowi, ażeby choć na tydzień pojechał z panem Gilem, bo chce mu swoją kobietę pokazać i dzieci, aby je pobłogostawił. Konfederat nie mógł się oprzeć tak gorącej prośbie, namówił swego kolegę i razem pojechali. Jakóbowi szło o to, jak mi potem Hispaniol gdy drwa u nas rąbał, mówił, żeby w kościele parafialnym pokazać, jakiego ma krewniaka i przyjaciela. Jakoż zaraz w niedzielę ksiądz proboszcz widząc jacy to goście, dał im *patynę* pocałować, i oni w swoich odświętnych kapotach przy krzyżach nieśli nad nim w procesyi baldachim.

Jakób urósł w znaczeniu całej wioski: organista już inaczej nie mówił tylko „panie Jakóbie,” za co częściej stryjkowi i pani Gilowej i jej dzieciom przywoził gościńce.

Stare te wojaki kochali się prawdziwą miłością braterską. Jeden drugiemu w pracy dopomagał, w chorobie doglądał, dzielił się ostatnim z pod duszy groszem. Śmierć towarzysza broni była raną niezagojoną w sercu każdego. Dla pokazania jak silną pomiędzy nimi była przyjaźń, którą zachowywali do grobu, przywidzę tu jedno smutne wspomnienie, które żywo zachowałem w pamięci.

Karawan o jednym koniu przywiózł jakiegoś nędzarza na cmentarz Powązkowski. Cały orszak pogrzebowy składał kaleka bez nogi, a za nim pies z dużych kundli. Wniesiono trumnę i pochowano w wspólnym dole ubogich. Pies zawył kilka razy przeraźliwie, a inwalid otarł łzy na siwy wąs spadające i smutnie opuściwszy głowę, szedł drogą do furty.

— Daruj mi mój przyjacielu—rzekłem—że się zapytam, kogożeś to pochował?

— At! swego przyjaciela, panie; ale był to człek więcej jak przyjaciel, bo jak brat i ojciec dla mnie. Służyliśmy razem we wojsku, panie, ale on wyszedł cały i zdrow, a ja, jak pan widzisz, bez nogi, i ran kilka dolega!

I otarł znowu łzy rękawem od zniszczonej już kurtki.

— Mój bracie, to słusznie go płaczesz, kiedy to był taki przyjaciel jak mówisz.

— Cóż ja teraz bez Piotra zrobię?—mówił jakby do siebie—kto mnie pożywi, okryje i pocieszy na świecie?

A łzy starcowi tłumiły mowę.

Wyszliśmy na drogę ku miastu: noc była pogodna, księżyc w pełni zajaśniał, głos tylko puhacza z cienia cmentarnego przerywał spokojną ciszę. Inwalida szedł zwolna i łkał ciągle, wołał i poświstywał:

— Na Azor! tu! Do nogi Azor!

Gdy się psisko ociągało i nie chciało iść za nim:

— To widzi pan, pies nie mój, tylko Piotra; ledwie go wyprowadził z cmentarza. Dwie teraz zostały sieroty, i ja umrę i psisko zdechnie z głodu, bo nie masz naszego Piotra!

Rozrzewnienie starca było bolesném.

— Nie rozpaczaj, mój bracie— przemówiłem—Bóg dobry i litościwy czuwa nad każdym, to i wami opiekować się będzie!

— To prawda, panie, ale nie darmo mówią: „Boga wzywaj a ręki przykładaj,” a jak mi ręki do roboty przykładać, kiedy okryta ranami; siekiery nie podniesie, a i noga prawa pochowana na polach Raszyna.

I wskazał ręką w stronę zacmentarną.

W téj chwili na obliczu kaleki widziałem jak go to wspomnienie orzeźwiło, zdawało się że o swój boleści zapomniał; ale krótko to trwało: znowu opuścił głowę na piersi, świsnął na Azora i szliśmy dalej.

— Bo to widzi pan—mówił westchnąwszy—Piotr miał żonę i troje dzieci. O! święta to była niewiasta! pracowali oboje, Piotr chodził z piłą i siekierą na zarobek; jak most zerwało, to miał łódź swoją i przewoził, ba i w święto na *Saską-Kępe* państwo wozik, a Piotrowa prała, szyła bieliznę, bo to dworka była. Ja wtedy im pomagałem jak mogłem: nosiłem wodę dla Piotrowej, rąbałem drwa, niańczyłem dzieci, robiłem więcierze na ryby, to naprawiałem łódź i jak płynęliśmy byłem przy rudlu. Mieszkaliśmy na Powiślu. Ale przyszła zaraźliwa choroba, umarło troje dzieciak we dwa dni, po nich poszła matka. Zostaliśmy we dwóch i z Azorem, a lubił to psisko, bo dzieci się jego z nim bawiły, i Piotrowa lubiła, bo to stróż dobry, a dzieciaki nieraz konno na nim jeździły, a on im lizał ręce i nogi. Niedługo potem mnie się rany w ręku otworzyły, nic dźwignąć nie mogłem, a Piotr wzdychał i przyciskał mnie do piersi, a pracował jak mógł. Ja patrzyłem jak niknął: chodziłem do Trynitarzy, modliłem się za niego gorąco. W rok po śmierci żony i dzieciak, położył się na tapczanie i z niego już nie powstał. Pilnowałem go szczerze, może mi pan wierzyć, ale cóż bięda, bięda, a w końcu nędza. Sprzedawałem skrycie co było w chałupie, aby miał ciepłą strawę i lekarstwo i doktora. Raz siedziałem przy kominie, gotowałem mu rosół z kury: wie pan, ja dla Piotra tę kurę ukradłem!... Bóg widzi, nie miałem jęj za co kupić, a doktor kazał rosół z kury zgotować. Piotr się obudził i mnie zobaczył.

— Co tam robisz Janek?—zapytał.

— Rosół z kury dla ciebie.

— A zkądęsto wziął?—znowu mówi do mnie—to droga potrawa.

Jam się odwrócił, bom się wstydził zajrzeć mu w oczy i odrzekłem zcicha:

— Kupiłem...

— Oto mi z ciebie wielki pan! Nie prawda, tyś ukradł tę kurę!

I zaczął płakać, ale tak rzewnie jak dziecko. Były to, panie, pierwsze łzy jego od śmierci żony i dzieci. Płacz, płacz, myślę sobie, może przyjdzie do zdrowia. Ale gdzie tam, z temi łzami wypłakał i duszę! Nazajutrz o północy obudził się, kazał zapalić gromnicę i powiedział do mnie:

— Janie! módl się, ja idę do mojej Marysi i dzieciak: widziałem wszystkich we śnie. Chodź tu, uściskaj mnie; a nie daj mu z głodu zdechnąć.

I położył rękę na łbie Azora, co stał przy łożu i lizał mu ją wychudłą i żółtą. Ja się zacząłem modlić, on mi oddał gromnicę, wstchnął i skonał. Azor to pierwszy przeczuł, bo zawył, panie, tak strasznie, że ja krzyknąłem: Piotrze! mój kochany Piotrze! Ale on już słowa więcej nie przemówił.

Głos inwalidy przy tych słowach zadrżał, stanął, iść dalej nie mógł. Odpocząwszy chwilę mówił spokojniej:

— Sprzedałem co zostało na pogrzeb, i ot wracam do pustej izby, gdzieś tyle lat szczęśliwie przeżył, w pustki, gdzie bywało tyle uciech i tyle serc pocziwych.

— Podaj mi rękę na pożegnanie, mój bracie,—i wsunąłem mu kilka złotych.

Starzec zmarszczył czoło i z boleścią zawołał:

— Jałmużna!

— Nie! nie, mój przyjacielu, oddasz mi to później, zobaczymy się z sobą—odrzekłem zmieszany—wiem gdzie mieszkasz.

— Chyba że tak: bo widzi pan, ja ukradłem kurę, ale to było dla chorego Piotra, ale jeszcze nie zebrałem. Tymczasem dziękuję panu! Azor tu! dalej do domu!

I zniknął na zakręcie ulicy. Bóg opatrzny! Beznogi żył jeszcze lat kilka, znalazł przytułek u pocziwego szewca ze Starego-Miasta, wraz z nieodstępnym Azorem, rany mu się zagoiły i pomagał pracą swemu dobroczyńcy.

Pomiędzy starymi wiarusami nierozumiano różnicy stanów, żaden między nimi nie pytał czy to chłop czy szlachcic, ale jak był dobry kolega kochali się jednakowo. Czasem tylko nazwisko przypominało że może był szlachcicem, bo rzecz dziwna, a jednak prawdziwa jak się nasz chłopiek wykształcał w wojsku pod chorągwią Napoleona I. Znałem wielu oficerów a pomiędzy nimi i majora z 3-go pułku piechoty liniowej, który zawsze *ciął mazura*, gdy prowadził rozmowę, a wyrazy francuskie któremi ją przeplatał, tak były przetworzone w jego ustach, że niepodobne były do zrozumienia, tylko domyślać się ich trzeba było.

W tym okresie o którym wspominamy, nie mogę pominąć wielce wydatnej postaci naszego miasta.

W latach pomiędzy 1809 a 1812 rokiem zjawiał się w Warszawie *lirnik*, którego poznałem w dzieciennych latach; wysoki, nachylony nieco, siwy jak gołąb, poważnego i czerstwego oblicza, które zdobiła gęsta, choć krótka broda. Okryty zawsze jasno-niebieskim szerokim

płaszczem z krótkim kołnierzem, pod którym nosił lirę, chodził od gospody do gospody grając na niej, i przyśpiewując dźwięcznym lubo drżącym głosem, dawne dumy i piosnki rozmaite. Zwiedzał traktyer- nie, kawiarnie i porządniejsze szynkownie. Taką była w oficynie do- mu mojego ojca przy ulicy Podwałe nr. 52^{1/2}, którą utrzymywał Sko- wroński. Tutaj to, latem, wiosną i jesienią widywałem go gdy wycho- dził z izby, siadał na dużym kamieniu, i zapoznałem się z tym lirn- kiem. Wszędzie śpiewał piosnki wesołe, lecz skromne zawsze; z Kar- pińskiego: *Tęskność na wiosnę, Do Justyny, Już ja nie ten, Laura i Filon*. Śpiewał i piosenki swojego, jak utrzymywał układu; przed odejściem na zakończenie odśpiewywał zawsze z ujmującym uśmiechem do słuchaczy:

„W parze gołębie
Siedzą na dębie,
Skubią mech, mech, mech!
Kto nas nie kocha,
Kto nas nie kocha,
Bodaj zdech, zdech, zdech!“

I powstając z siedzenia, kłaniał się i odbierał w kapelusz i czap- kę nagrodę pieniężną albo siadał do kolacyi, którą mu goście dać ka- zali, za co pozostawał do późna w wieczór, aż ostatni jego słuchacz nie wyszedł.

Często i na publicznych przechadzkach, usiadłszy jak w Ogrodzie Krasińskich, obudzał smętne tony swój melodyjnej liry. Pamiętam go dobrze! Ta twarz sędziwa zmarszczkami okryta, szlachetna, z mło- dzieńczym rumieńcem, ten włos siwy w długich splotach, co go wiatr roz- wiewał; płaszcz długi, ubiór niezwykły, przy wykwintnym stroju cudzo- ziemskim mieszkańców Warszawy używających przechadzki, cała po- stać wspaniała: ten głos drżący, co się tak dobrze godził z jęczącą struną liry, silne na młodzieńczym umyśle musiał czynić zawsze wrażenie.

Był to ostatni lirnik, śpiewak, w co wśród wielkiego miasta wy- śpiewywał starodawne pieśni, których słabe echo nawet nie odbiło. Któż wtedy zwrócił uwagę na niego? Działwa tylko lgnęła do starca, i z tęsknotą oczekiwała na jego przybycie. Pamiętam jego słowa, gdy raz wychodził z gospody, nie mogąc nic zarobić, zagłuszony wrzaskliwą katarynką:

— Złe że starego nie chcecie słuchać, a stary dawne rzeczy pamięta.

Kochały tego starca dzieci i on je nawzajem; to też pomnę z ja- ką uciechą przystrajał lirę i zaraz śpiewał gdy mnie ujrzał z datkiem wyproszonym od matki.

— Siadaj tu panostko moje—mówił z uśmiechem—coś ładnego ci zaśpiewam; ja tego nigdzie nie śpiewam, tylko dla was moje dzieci.

A było to jak latem na podwórze, siadał pod cieniem wyniosłej topoli na kamieniu, i wtedy wyśpiewywał głosem silnym i wyrazistym jakieś dumy to o Sobieskim, to o krwawych bitwach. Tu po raz pierwszy usłyszałem z ust starca dumkę ukraińską, i ten język śpiewny, melodyjny. W przerwach, kiedy unilkła jego lira, opowiadał zdarzenia ciekawsze których doznał w życiu. Nie zapomnę nigdy jakiego wzruszenia doznałem na opis walki, w której starzec miał udział i odniósł dwie rany widoczne jeszcze na piersiach i na głowie. Lirnik wspominając tę chwilę i gorącość bitwy, miał łzy w oczach, ja rzewnie płakałem. Uważałem że tylko z nami dziećmi śpiewał i mówił z całą swobodą, bo bywało jak zacznie śpiewać o Sobieskim, o Pułaskim albo o Sawie, lub też opowiadać, a starsi, natrętni zawsze, otoczyli go słuchacze, to zaraz zmieniał pieśń historyczną na jaką zwyczajną, albo powieść urywał i przygrywał na lirze.

Nie znałem wówczas jego nazwiska, zwano go tylko od ubioru *Niebieskim płaszczem!* *Niebieski płaszcz*, na ten odzew, rzucałem wszystko i biegłem do starca pewny miłego przyjęcia.

Nietylko w mojej pamięci ta postać głęboko utkwiła,—Roman Zmorski w *Domowych wspomnieniach i powiastkach*, poświęcił jej ustęp.

„Między tą całą warszawską gawiedzią (pisze ten poeta urodzony w Warszawie), „Niebieski płaszcz” nie miał zapewne gorętszego wielbiciela, słuchacza nademnie, siedmio lub ośmioletnie natenczas dziecię. W domu gdzie mieszkałem bywał częstym gościem a czasami zostawał i na nocleg u poczciwego stróża Bazylego, Rusina z Podlasia. Każdy taki nocleg staruszka, był dla mnie wielką uciechą, bo go wtedy dowoli nasłuchać się mogłem. Lubił on mnie bardzo, pozwalał brząkać na swój lirze, bawić się z brodą; opowiadał mi i śpiewał chętnie tak długo, aż zmorzony usnąłem na jego kolanach, albotóż gwałtem do domu mnie wzięto. Te jeszcze letnie wieczory, nieraz ku północy przeciągnięte, najczęściej sam na sam z dobrym lirnikiem spędzone, należały do najmiłszych chwil mego dzieciństwa, a dziś do najmiłszych jego wspomnień.“

W roku 1824 wyszedł na wędrowkę po kraju; był w Kielcach, później z kompanią poszedł do Częstochowy i wiódł ją grając na lirze i śpiewając pieśni nabożne. Tu w tém świętém miejscu bawił kilka tygodni, i zarobiwszy sporo grosza, wrócił jeszcze czerstwy 1828 roku. W jesieni widziałem go kilkakroć, grał i śpiewał nowe pieśni, opowiadał wędrowkę swoją do Częstochowy i cuda jakich tam pielgrzymi pobożni doznali. Z pierwszym śniegiem już się więcej nie pokazał; na próżno go utęskniony oczekiwałem tam, gdzie zwykł codziennie przychodzić: nie ujrzałem już więcej *Niebieskiego płaszcza*. Lirnik ten nazywał się Mateusz Dziubiński, służył w młodych latach wojskowo, odznaczył się nawet w kilku bitwach; gdy zachorował, a znalazł przytulisko u wyrobnika na Powiślu, dawnego towarzysza broni, już więcej nie powstał.

Pochowano go w tym samym niebieskim płaszczu na Cmentarzu Powązkowskim, wspólnym dole ubogich, a lira na której nikt grać nie umiał, rzucona na komin, posłużyła do rozniecienia ogniska ubogiej rodziny, co pielęgnowała w ostatnich dniach życia, i zamknęła oczy przyjazną dłonią, temu ostatniemu lirnikowi Warszawy ¹⁾!

Chociaż o nienależącym do naszego okresu, ale w żywym podaniu ludu warszawskiego, należy wspomnieć o sławnym teorbanie Janie Zakrzewskim, który był znany całemu miastu. Był to konfederat Barski, mężczyzna wysokiego wzrostu, barczysty, ramion nieco podniosłych. Twarz wesoła, sumiaste wąsy, nieco szpakowate zwieszały się długo po za brodę. Głowa zawsze podgolona, ręce długie muskularne; w chodzie szybki, trzymał się prosto jak trzcina. Takim go przedstawiał jego wizerunek akwarelłowiy, w zbiorze rycin p. Wardyńskiego do r. 1830 w całości przechowany.

Mówiono że na Ukrainie nie mało spłatał sprawek, i ztamąd wyniósł biegłość gry na teorbanie i zapasy śpiewek, których się nauczył od czarnobrewek, a zwabiać je umiał do siebie. Jak grał biegle na teorbanie, równie był zawołanym rębaczem. Umiał się bić z *przerzutką*, to jest przerzucając szablę z prawej do lewej ręki; znał wszystkich najświetniejszych rębaczy ciężcia, i w pojedynku na pałasze nie miał sobie równego. Napadnięty przez sześciu dworskich hetmana Branickiego, obronił się dzielnie oparty plecami o ścianę, i każdego z nich obciął i naznaczył potężnie, za co od hetmana co się z okna przypatrywał téj walce, dostał sto czerwonych złotych w pięknej sakwie, a zaproszony na dwór tego pana, siadywał u jego stołu przez kilka miesięcy.

Raz podchmielony, uderzywszy w twarz ulubieńca Branickiego, wyzwał go jeszcze na rękę. Hetman kazał mu dwór opuścić, bo nie chciał dworzanina swego na śmierć albo na pewne kalectwo lub zeszkaradzenie narażać. Na pożegnaniu darował mu konia z sutym rzędem i pięćdziesiąt dukatów złotem, a zarazem pogodził przeciwników. Zakrzewski wsiadł na konia i nazawsze opuścił dwór gościnny. Rok cały najeżdższy się na pięknym siwku, sprzedał go, i w roku 1789 pie-

¹⁾ Równocześnie prawie z naszym lirnikiem Dziubińskim w Warszawie, żył Wojeiech Korzeniowski włościanin lirnik, znany dobrze w Łonży. Mieszkał w ziemlance na piaskach, we wsi Łonżycy, gdzie się urodził, o kilka wiorst leżącej przed Łonżą; najczęściej wycieczki robił wzdłuż wzgórz ciągnących się nad Narwią, na wschodniej stronie miasta Łonży, gdzie się wznosiła kaplica u podnóża tych gór postawiona, jak niesło podanie, przez wdowę poległego jej męża w boju ze Szwedami. Kapliczka ta już nie istnieje. Łańcuch wzgórz tych, poprzecinany wąwozami, okryty drzewami i krzewiną, tworząc malownicze widoki, ożywiały liczne podania i legendy, to o królowej wiodącej spory z swą córką, to o wspaniałych zamkach i złocistych pałacach. Lirnik Korzeniowski wszystkie znalazł te podania, i w pamięć młodszemu pokoleniu przelał, niemniej jak wiele dum i piosnek ludowych.

szo z teorbanem przywędrował do Warszawy. Zachowywał zawsze doświadczoną szablę, na której były dwa następne wierszyki:

Sam tu do mnie! dalej smyki!
Proszę Waści na zraziki!

Szablę tę oglądałem u Tomasza Święckiego autora „Starożytnéj Polski,” który miał ją sobie na dni kilka do obejrzenia udzieloną; pochodziła od jakiegoś sławnego rębacza z Wielkopolski: dużo nakrajawszy zrazów z ciał swoich przeciwników, kazał wyryć na niej ten napis, a Zakrzewski gdy raz w miasteczku Srodzie pokazał jak umie władać szablą, od tegoż rębacza, a już wtedy starca zgrzybiałego w darze ją otrzymał.

— Daję Waści tę szablę—rzekł on do młodego naówczas Zakrzewskiego—już nie dowidzę i ręka mi się trzęsie. Długo ona czekała na tak wprawną rękę jak Waści, to-że sam węz z moim krzyżykiem.

Zakrzewski za dar taki i błogosławieństwo serdecznie podziękował, i szablę tę do śmierci zachował.

Za przybyciem do Warszawy, wchodził nietylko do ogrodów publicznych, domów zajezdnych i traktyerni, ale i do pałaców panów polskich. Śmiały, wesoły, dowcipny, wszędzie był miłym gościem. Zapas pieśni miał niewyczerpany, głos melodyjny i dźwięczny, któremu biegłe na teorbanie wtorował. Kiedy stanął przed zebraném gronem, najprzód zapytywał jaka ma być piosneczka? czy skromna, romansowa, czuła czy hulacka? i do woli i smaku obecnych, umiał się wybornie zastosować. Ludek Starego-Miasta gdzie mieszkał, zwał go: *Teorbanistą kresowatym*, od potężnej kresy od szabli, która mu głęboką na prawym policzku bruzdę wyorała.

Król Stanisław August znał go osobiście, i gdy go w czasie pobytu w Łazienkach królewskich spostrzegł, kazał mu grać i śpiewać przed pałacem. Wtedy nasz teorbanista dobierał wesołe piosnki, często hulackie; raz rozochocony dobrém winem czy z umysłu, czy przez zapomnienie zaśpiewał mu pieśń konfederacką: od téj chwili już więcej w Łazienkach nie śpiewał.

W r. 1794 wszedłszy do wojska, z ran odniesionych, w miesiącu grudniu umarł w Warszawie. Do ostatniej chwili zachował całą przytomność umysłu, często kazał sobie ulubiony teorban podawać i dopóki był silniejszy, śpiewał ulubione pieśni, i uczył takowych młodzież rzemieślniczą Starego Miasta, która lgnęła do niego, ażeby zachowano je w pamięci. Na krótką chwilę przed śmiercią, z całym zapałem odśpiewawszy piosnkę wojenną, z czasów swéj młodości, spojrzął z uśmiechem na obecnych, zbłądł nagle, ciężko westchnął, oparł głowę na pęku słomy na której spoczywał, a konając, wypuścił teorban z rąk już odrętwiałych. Pamięć jego młodzież wyuczona przechowywała długo i w naszym stuleciu: miłosne i czułe śpiewywały córki szewców i przekupek warszawskich szyjąc lub przędąc na kołowrotkach, a historyczne dumki powtarzał i lirnik Dziubiński. Miałem przepisany spory ich

zbiorek tak polskich jak w małowrossyjskiem narzeczu, ale w następnych latach, w życiowej burzy, z niemałym żalem zaginął mi niestety!

Jeżeli wzrostem i urodą żaden cech rzemieślników warszawskich nie dorównywał rybakom i przewoźnikom naszego miasta, znalazłeś jednak równie rosłe pomiędzy starymi wiarusami w legii nadwiślańskiej piękne postacie mężkie, z prawdziwie polskimi obliczami. Nie jeden z nich, jak już wspominaliśmy, gdyby go ubrać w delię aksamitną i kołpak z czaplím piórem wyglądałby jak Jan Zamoyski lub Stanisław Koniecpolski. Flisacy krakowscy za to, którzy corocznie płynąc do Gdańska i wracając byli gośćmi w naszym Powiślu, tak postawą jak urodą zbliżali się najwięcej do rybaków.

Mieszkańcy nadbrzeżni, tęskliwie oczekiwali téj chwili, gdy lody pękały na Wiśle, i spłynęły, a wraz z jaskółką co się uwijała nad wodą i zaczynała lepic gniazdko na poddaszu, i śpiewem skowronka, co fruwało nad zieloną już miedzą, spojrali po falach spokojnych rzeki, czy się na nich nie zjawi *retman*, zwiastun nadpływających na nim tratw z drzewem i galarów ze zbożem.

Niedługo przed południową porą, ukazuje się gość upragniony, w łódeczce tak małej, że zdaleka wydaje się jak łupina orzecha, wywijający w górę wiosłem, i krzepkim głosem dający znaki i hasło flisom i oryloom jak idzie kierunek dobry wodnego gościńca.

Zaledwie wieść o tém doszła, całe Powiśle ożywia ruch niezwykły: mieszkańcy obecni w domach wylegali na wybrzeże, w gospodach flisowskich spiesznie zamiatano izby, ścierano stoły, i wszystko przygotowywano na przyjęcie tak długo oczekiwanych gości.

Za *retmanem* zwolna spływały tratwy i galary, w takt bijąc drygawkami: sternicy kierują je do ładu. Pierwszy wysiadł *retman*, wszyscy go witają okrzykiem radośnym, znajomsí ściskają w swoich objęciach. *Tratwa* za *tratwą*, *galar* za *galarem*, staje przy palu u wybrzeża, mocno liną przywiązywane, a flisacy i oryle rozbiegają się zmęczeni do znanych gospód i znajomych. Dziewuchy mazurskie, które bliżej się z nimi poznały dawniej, pozdrawiają uprzejmie pożądaných *Krakowiaków*, bo każdy z nich wita się ze swoją przywożąc gościńiec jaki, to sznurek koralí, to zwój barwistych wstążek, a dla gospodyń, dla zjednania sobie ich łaski, zgrabne gliniane garnki i miski, albo wyroby piękne drewniane *górali* z *Podhala*.

W całym Powiślu świat tu inny, inni ludzie, jak w zacieśnionych murach Starego Miasta, gdzie się tuliły charakterystyczne postacie *Babek koszykowych*. Nie mała była ich liczba, a dzieliły się na dwa rodzaje: pierwsze główne mieściły się z koszykami pełnemi ciastek lub owoców przy szkołach pijarskich, liceum, dominikańskich, przy teatrze narodowym i w pobliżu kościołów; drugie wędrując po ulicach obnosiły groszowe obwarzanki, jaja na twardo, kiełbasy wędzone i séry, spoczywając niekiedy w sieniach kamienic lub chwilowo na schodach od ulicy. Były to już sędziwe niewiasty, złamane wiekiem, które tym drobnym przemysłem ratowały się od nędzy. Dzieje życia nie jednéj

z nich mogły dać osnowę do pięknej powieści. Znajdowały się w ich gronie dawne *panny respektowe*, które po upadku wielkiego domu, przechodziły smutne koleje życia, doszły do tego stanu: wiele wdów bezdzietnych po dworakach wojewodów, kasztelanów i starostów, jako też matki lub żony poległych wojaków na dalekich obcych ziemiach.

Do rzędu tych ostatnich należała jedna, którą poznałem szczególnym zdarzeniem. Miała już lat siedemdziesiąt, dobrego snać wzrostu była i wiek ją nawet niewiele pochylił. Oczy czarne, niepozbowione jeszcze były żywego blasku; lica już gęstemi zmarszczkami fałdowane, ale na nich trzymał się jeszcze rumieniec jakby świeży, dowód skromnego życia i nie używania trunków: jakoż nic oprócz wody a czasem szklanki piwa nie znała.

Gdzie młodość spędziła, jaka jej przeszłość nie wiem; zwano ją panią Magdaleną, a była wdową po wojaku z pod buławy Kazimierza Pułaskiego.

W r. 1794 obchodziła ulice Warszawy, obnosząc w koszyku obwarzanki, sér, jaja i kiełbasy. Kiedy Prusacy oblegli Warszawę, stanęła przed Kościuszką i ofiarowała swoje usługi jako szpieg wojenny. Wódz przyjął jej poświęcenie. Magdalena (nie pamiętam jej nazwiska) udając że się wykrada z Warszawy, przechodziła śmiało do obozu Prusaków, zbierała potrzebne wiadomości, sprzedając im za to drogo koszykowe zapasy.

Wiadomo już było że Prusacy straszny szturm przygotowali, na pozycyą naszą pod Powązkami, której bronił generał Dąbrowski. Kościuszko stanął tam w odwodzie na czele municypalności Warszawy.

Magdalena poszła do obozu pruskiego z koszem umyślnie niedosolonych kiełbas. Rozchwyтали je chciwie, a zajadając chwalili mówiąc do niej:

— *Ja, dobre, aber ne słone!*

Magdalena uśmiechnęła się, pokręciła głową i odrzekła:

— No! no! bądźcie spokojni! Będziemy tu u was niedługo i dobrze wam przysolimy!

Jakoż nazajutrz, równo ze świtem odparto dwa szturmy, wygnano z zajmowanych pozycyji, i wielką klęskę zadano.

Poznałem ją za moich czasów szkolnych. Ojciec mój praktykujący lekarz w Warszawie wziął muie raz z sobą.

— Chodźmy mój chłopcze pod *Zdroje*, poznasz tam najlepszego śpiega Kościuszki.

Wchodzimy już nad wieczorem do lichego dworku: izba była dosyć ciemna.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! (przemówił ojciec). Jak się wasani masz, czy ci już kaszel nie dokucza?

Z zaprzypiecka powstała Magdalena, a poznawszy ojca po głosie:

— A to mój dobrodziej!—zawołała, i co rychléj wystawiła stołek drewniany. O! już jegomościuniu kaszlu nie mam, a po lekarstwie

co mi dał dobrodziej i piersi tak nie bołą, ale niedomagam, bo to starość nie radość.

— Przeprowadzam wasani—odrzekł mój ojciec—mego syna; chłopak już jest w trzeciej klasie u Pijarów; pokażno wasani pismo co masz od pana Kościuszki, niech i on przeczyta.

Stara zapaliła łożówkę, dobyła z kufierka zawiniątko małe w płachcie białej, i z niej wyjęła żółtkę już nieco i naddarty papier; na nim na złożonym pół arkuszu, było pismo własnoręczne Kościuszki, w tych słowach, bo to zapamiętałem dobrze:

„Daję niniejsze świadectwo Magdalenie... która w czasie oblężenia Warszawy oddała wielkie i ważne ojczyźnie i mnie usługi. Gdy zaś żadnej nagrody jakkolwiek biedna i pieniędzy przyjąć nie chciała, polecam ją pamięci narodu.“

W kilka lat Magdalena umarła, ojca nie było w mieście, nie byłem więc na jej pogrzebie ale w parę miesięcy później zaprowadził mnie na Cmentarz Powązkowski i wskazał jej grobowiec.

Był to stojący płyt piaskowca, około dwóch łokci wysoki, na lekiem podmurowaniu; na nim wypisano olejną farbą imię i nazwisko zmarłej, i dodano w końcu co do słowa ostatnie wyrazy z pisma Kościuszki wyżej przywiedzonego. Długo widziałem ten pomniczek; od roku 1829 nie zajrzałem na Cmentarz Powązkowski, w roku 1836 już nawet śladu po nim nie zostało.

Jak dla studentów pożądane były te starowiny z koszykami ciastek, szczególnież gdy na dziesięć minut rozpuszczano klasy; tak dla uczniów akademii, młodych urzędników i oficerów niemniej pożądane mi byli, szczególnież w czasie karnawału *kielbaśnicy*, obnoszący gorące kielbaski w blaszankach z gorejącymi węglami, a w torbie chleb i bułki.

W owe czasy wcześniej się schodzono na tańczące zabawy; około godziny dziesiątej dawano już kolacją, gdy ochota była potem hulać nieraz do północy, a tancerze z dobrym apetytem wybiegali, ażeby gdzie złapać kielbaśnika.

Kilku już z nich czatowało w pobliżu domów, z okien których biło światło i muzyka brzmiała, pewni że wypróżnią blaszanki swoje i torby: niezawiodła ich nigdy ta nadzieja. Pomiędzy niemi odznaczał się pan Piotr, dawny dworus królewski, około lat czterdziestu, zwinny, obrotny, jowialista i zawsze wesoly. Był to ulubiony nasz traktiernik uliczny, miał bowiem doskonałe kielbaski soczyste a gorące, chleb i bułki zawsze świeże, wyborną wódkę gdańską *Goldwasser*, po której pływały złote płateczki, i dowcipne słowo. Wkrótce pomiędzy kielbaśnikami taką zjednął sobie powagę, że wielu garnęło się pod jego opiekę. Od tej pory urządził swój dwór w ordynek, jak mówił, do zwykłych przysmaków dodał jeszcze sławne piwo Kazimirusa.

Pomnę, gdy gromadnie wychodziliśmy z domów gościnnych na Krakowskiem Przedmieściu lub poblizszych ulicach, o północy w zapusty: grobowa cisza wokoło, zamkowy zegar bił dwunastą, pierwszą lub dru-

gą godzinę; o kilka kroków już stał ze swoim dworem pan Piotr, choć mroź był siarczysty. Z jakąż serdeczną radością witaliśmy naszego żywiciela, wysuszono flaszkę goldwasseru, połknęto wszystkie kiełbaski, chleb, bułki, puste butelki po piwie poszły do koszyka; pan Piotr prawić nam zabawne dykteryjki, w końcu zaśpiewał hulaszczą piosenkę, a my wtórzac mu serdecznie dobrze nasyceni, nieczując wcale mrozu, rozchodziliśmy się radośnie do domów.

Wpśród ludności Warszawy, czysto narodowej, nie możemy pominąć żydów, którzy w początkach naszego stulecia stanowili jedną piątą część mieszkańców, a następnie blisko czwartą.

Podług statystyki urzędowej w roku 1824, na 123,807 głów płci obojęd, liczono żydów 27,801. Rada Administracya Królestwa, dla położenia tamy ich napływowi do miasta, wydała w tymże samym roku postanowienie pod datą 9 grudnia że: „tym tylko żydom wolno będzie osiedlać się w mieście, którzy nabędą w Warszawie place pod budowę domów, albo też wykażą środki utrzymania.“

Mając przeznaczone ulice jak Franciszkańska i Nowowiniarska, a w środku miasta w gmachu Marywilu tak zwany *Pociejąw*, i pałac książąt Jabłonowskich (dzisiejszy Ratusz miejski) na handel starzyny, (na placu teatralnym), wcale nie ciążyli miastu swoim wpływem i przewagą, lubo przemysł swój rozwijali na szeroką skalę. Na rynkach Starego i Nowego-Miasta, żaden żyd nieśmiał stawiać straganu, boby ówczesne dzielne i zamaszyste przekupki warszawskie nie ścierpiały takiego sąsiedztwa.

Liczni faktorzy tylko uwijali się w hotelach i domach zajezdnych gotowi do każdej posługi dla przybyłych gości. Szlachta ze wsi, chętnie się nimi wyręczała, nawykła do opieki nad sobą swoich *arendarzy*, którzy demoralizując rozpajaniem lud rolniczy po karczmach, bogacili się ubogiem mieniem kmiecych rodzin, a we dworze każdym zajmowali wysokie stanowisko, gdyż w każdej potrzebie pieniężnej, arendarz przychodził z pomocą. Na szczęście w drugiej połowie naszego okresu, zniesiono arendarzy, te pijawki dobrobytu ludowego, którzy już w dobrém mieniu przenosili się do miast i miasteczek; niemało ich przybyło i do Warszawy, i tu z lichwy żyjąc, pomnażając w krótkim czasie majątek, przychodzili do znaczenia i powagi.

Faktorzy usłużni, chociaż poprzesławiali na skromném wynagrodzeniu, mieli przecież niemały zarobek codzienny. Zwinniejsi pomiedzy nimi, po kilkunastu latach tego zawodu, otwierali handle, lub kupowali domy, nie porzucając nigdy ubocznego jeszcze przemysłu, z którego wyciągali nieustanne korzyści.

Jeżeli pomiedzy ludem warszawskim, a szczególnie téż pomiedzy ulicznikami istniała nienawiść ku żydom, objawiająca się przy najmniejszej sposobności, w ukształconej Warszawie społeczności naszej, śladu jój nawet nie było. W szkołach pijarskich miałem kilku żydów kolegami, a stosunek przyjacielski zawiązany na tych ławkach, pozostał na zawsze. Żyd Berek putkownik z czasów Księstwa Warsza-

wskiego, który zginął walecznie 1809 r. w Kocku, nie mało wpłynął na opinię publiczną, co do starozakonnych.

Ludność ich tak w kraju jak i w samój Warszawie mnożyła się w postępie niesłychanym, bo przez długie lata umieli się zawsze uchronić od branki wojskowej. W początkach Księstwa Warszawskiego brano żydów w rekruty, wprawdzie owych rycerzy było bardzo mało, bo zamiast 3700 objętych spisem i powołanych do wojska, w ciągu lat od 1808 do 1811 służyło ich w całej armii Księstwa zaledwie siedemdziesięciu. Niechęć żydów i wstręt ich do wojska, utrudniał tak dalece onych pobór, że rząd ówczesny ujrzał się w konieczności, przychylić się do ich życzeń, i ustanowić w roku 1812 w miejsce służby osobistój, *podatek rekrutowego*. Po ogłoszeniu Królestwa Polskiego w r. 1816 uchylono ten podatek i zaczęto znowu brać żydów do wojska, ale z liczby 500 zaciągowych, tylko 144 dało się dostawić do pułków, a i z tych 18 zbiegło.

W owęj porze kapitan pierwszego pułku piechoty liniowej Grzegorz Pluciński, dostał kilku żydów do swęj kompanii; kazał ich przeto mustrować: w kilka tygodni po przybyciu pomienionych rekrutów, wpada pomieszany podporucznik i niemal z rozpazą mówi:

— Już dłużej nie wytrzymam z temi żydami! Tylem się namordowałem nimem ich jako tako maszerować i robić bronią nauczyć; dziś nowa bięda: chcę ich uczyć strzelać, a ci strzelać nie chcą.

— Jakto nie chcą—zawołał groźnie Pluciński—kiedy nie chcą, to ich zmusić do tego.

— Łatwo powiedzieć, mój kapitanie, ale jakże zmusić, kiedy oni na sam widok prochu drżą ze strachu, boją się dotknąć panewki. Zmiłuj się, pójdź kapitanie, może co poradzisz.

Zabawna to była scena, patrzeć na owych biędnych żydków, jak się pocili ze strachu, gdy im podporucznik kazał broń nabijać i strzelać. A gdy pomimo kilkakrotnęj komendy: „*pal!*” żaden z nich nie odważył się dać ognia, zniecierpliwiony, przyskoczył i stojącemu z brzegu pociągnął za cyngiel: rozległ się strzał, lecz zarazem i trzymający karabin żydek wrzasnąwszy aj! waj! padł jak długi na ziemię. Obecni żołnierze głośnym wybuchnęli śmiechem, a podporucznik i śmiał się i gniewał razem.

— No! i cóż z temi tchórzami robić?—biadał podporucznik załamując ręce.

— Ej! głupstwo! niema nad czém głowy suszyć, jakby to co wielkiego nauczyć tych kópów strzelać.

Temi słowy odezwał się stary wiarus, stojący na boku i przypatrujący się bacznie niefortunnym usiłowaniom. Ubodko to do żywego miłość własną oficera, że aż podskoczył oburzony przymówką wiarusa.

— O tak! tak!—zawołał—u was starych legionistów, to wszystko fraszka; wyście wszystkie rozumy pojedli, a my młodzi nic nie umiemy, nic nie znamy... zapewne!

— Ale z przeproszeniem, niech się pan podporucznik nie gniewa, bo Bóg mi świadkiem, nie chciałem go obrazić; korciło mnie tylko widząc, że pan z tém tałałajstwem nie możesz dać rady.

— A ty dałbyś im radę?

— Czemu nie?—odparł poważnie wiarus pokręcając siwego wusa.

— Słuchajno stary, ze mną drwin niemasz; trzymam cię za słowo: podejmiesz się więc nauczyć tych żydów strzelać?

— Choćby jutro zaraz!

— O zakład?

— O zakład!

— Dobrze, stawiam pięć dukatów: jeżeli dokażesz swego, twoja wygrana, a jeżeli nie, to co?

— To skórą własną odpowiem. Dam sobie wyliczyć dwadzieścia kijów. Czy zgoda panie podporuczniku?

— Zgoda!

Nazajutrz stawił się wiarus, a odebrawszy pod swoją komendę owych rekrutów żydowskich, pomaszzerował z nimi na pobliską łąkę. Śnać stary wyga zmówił się ze swemi kamratami, bo ich kilku z bronią na ramieniu czekało go już na łące.

Co tylko żyło pobiegło, aby być świadkiem czyja będzie wygrana?

Wiarus uszykował żydków, kazał im robić bronią, i szło to nieźle, ale gdy zakomenderował *tuj! cel! pal!* ani rusz dalej; żydki *sza*, jakby ogluchli: nie myśleli i słuchać nawet.

— Aha! a co? kuso będzie z waszcią!—wykrzyknął tryumfująco podporucznik.

— Cierpliwości!—odrzekł spokojnie wiarus, a obracając się do swych kamratów, co to już na niego byli czekali na łące:

— Hej! bracia!—zawoła—pójdźcieno do roboty!

Środkiem łąki wiła się mała, niebardzo głęboka rzeczka, przez którą zarzuconą była wążka kładka. Po obu końcach kładki zajęli miejsce żołnierze, wiarus zakomenderował *marsz!* i wprowadził żydków na kładkę.

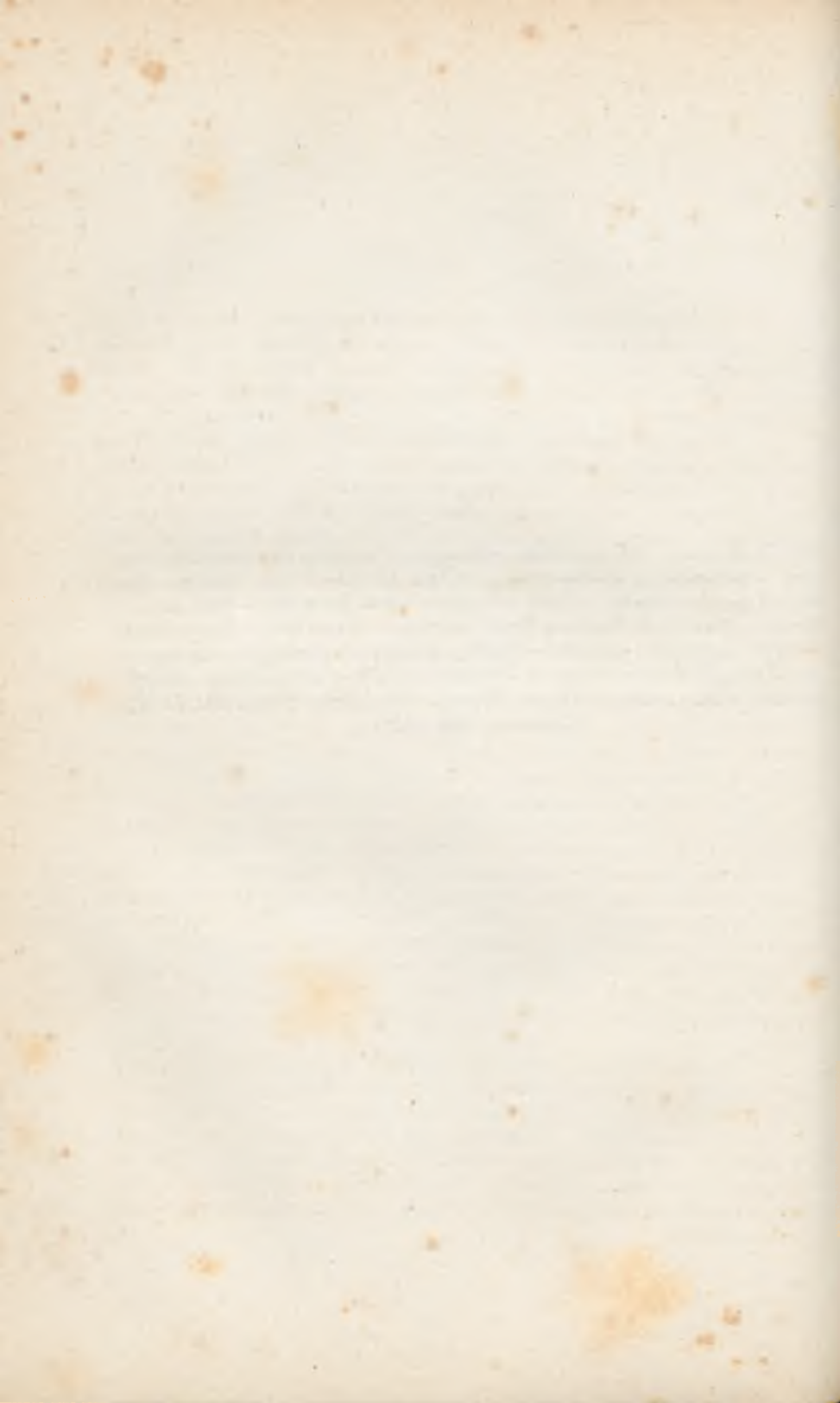
— No! a teraz bacność na komendę: strzelać mi gładko, równo! A wy kochani koledzy—ręce obracając się do żołnierzy—patrzajcie a dobrze, jak mi który z tych żydków skrewi i nie da ognia, to go kolbą do wody.

I o dziwo! mustra poszła jak z płotka; żydki strzelali wybornie, strzelali więcęj godziny: żaden z nich ani zemdłał ani drgnął nawet!

Stary wiarus wygrał zakład!

X.

Boże Narodzenie.—Ewangieliczka.—Paupry.—Chodzenie po kolendzie z tur-
rem, z żórawcem, z niedźwiedziem i wilczą skórą.—Wielki dyalog.—Pro-
log.—Dyalog.—Szopki, opłatki.—Wigilia.—Msza Pasterska.—Trzy msze.—
Struclę.—Zapusty.—Jasełka.—Święty Szczepan.—Nowy Rok.—Trzech Króli.
—Kreda święcona i kadzidło.—Placek z migdałem.—Gromnice.—Reduty.—
Walenty Czekierski.—Pułkownik Żółtowski.—Zabawy karnawałowe.—Rodza-
je tańca.—Dnic szalone.—Ostatni Wtorek.—Popielec.—Przejażdżka do Wil-
lanowa.—Rok 1821.



Od *Bożego Narodzenia* rozpoczynał się szereg obchodów i zabaw, które w ciągły ruch, w ciągłe zajęcie wprawiały całą ludność Warszawy, i wszystkich bez różnicy wieku mieszkańców. Wiele z uświęconych zwyczajów już zniknęło, dlatego, chociaż wspomnieniem, zachowany je w pamięci.

Już od *Wigilii* Bożego Narodzenia, *żaki* i *paupry*, czyli ubodzy studenci z niższych szkół, obiegali domy. Żak taki, za wnijsciem, po oddanym pokłonie i przeżegnaniu się, otwierał książeczkę i czytał *Ewangielią*, za co otrzymywał datek w jadle i kilku groszach. Ztąd było wówczas w Warszawie przysłowie: *Biegać z Ewangieliezką*, dla wyrażenia, że ktoś ciężko zabiegać musi na kawałek chleba.

Z tych biednych pauprów, wyszło wielu na zacnych ludzi i obywateli.

Od pierwszego święta, gromady chłopców rzemieślniczych i tak zwani *uliczniki*, obchodzili domy po kolendzie z *turem* albo *żorawiem*.

Zwinny chłopak, ustrojony w kozuch, wełną na wierzch obrócony, z rogami i potężną brodą tura, albo z długą szyją i dziobem żorawim, w towarzystwie licznój czeredy za cyganów i dziadów poprzebieranój, wchodził, wiedziony na sznurku.

Tu zaczynała cała drużyna śpiewać kolendowe pieśni, a on tur brodaty, czy żoraw nuż skakać, bósć rogami lub dziobać, w pośród śmiechu i krzyków, przestraszonych napadem, kobiet i dzieci.

Czasem ukazywał się za niedźwiedzia przebrany w gronie samych cyganów, lub obiegali chłopcy z wilczą skórą: zkąd staropolskie przysłowie znane już w początkach XVI stulecia: *Biegać by z wilczą skórą po kolendzie*. Otrzymawszy drużyna taka dary, szła do następnego domu, gdzie znalazłszy chętne i gościnne przyjęcie, nie zaniedbała odwiedzin swoich powtórzyć. Wszędzie przyjmowano ją radośnie, oczekiwano nawet z utęsknieniem, i niepożałowano podarku.

Od *Trzech Króli*, pauprowie zbierali się po kilku i kilkunastu, przystrojeni to za *Trzech Króli*, to za rycerzy zbrojnych. Jeden z nich zapowiadał przybycie tych wędrownych aktorów, i prosił o pozwolenie odegrania *Dyalogu*. Otrzymawszy zawsze takowe, występowali w kaskach, pancerzach, czy koronach, i ułożony wierszem odegrywali dyalog, o narodzeniu Chrystusa Pana, któremu hołdy swoje przynosili, albo jako rycerze, po przymówkach, rozpoczynali bitwę na drewniane pałasze.

Z dziecinnych lat moich pamiętam jeden osobliwy *dIALOG*.

W wigilię święta Trzech Króli znajomy pauper zapowiedział, że, nazajutrz, gromadka ich przedstawi wielki *dIALOG* w dwóch częściach, ale zarazem prosił o oddzielny pokój.

Matka moja, zwolenniczka wszystkich dawnych zwyczajów, zniewolona jeszcze prośbami mojemu, na wszystko przystała. *DIALOG* miał być odegrany wieczorem.

Z jakąż ciekawością zaglądałem przez otwór od klucza, aby co dojrzyć: ale niestety, daremnie. Słyszałem tylko gwar cichy pauprów, którym obiad matka posłała.

Jak tylko zmiérzchło, zaproszono nas na widowisko: wbiegłem bez tchu prawie!

Pokój w połowie był zasłoniiony starą makatą, przed nią stał pauper z długą brodą, w kasku i płaszczu czerwonym; a gdy sproszeni goście zajęli swoje miejsca, pokłonił się, zapowiadając w prologu wielki *dIALOG*, prosząc o uwagę i łaskawe przyjęcie.

Rozsunęła się opona: ujrzeliśmy zdala stajenkę w Betleem otwartą, w niej Panna Marya, przy żłobku, ze świętym Józefem, kłęzczała. Na sianku spoczywało Dzieciątko Jezus. Chór odśpiewał znaną piosnkę kolendową, której pierwsza strofka:

„W żłobie leży,
Któż pobieży
Kolendować małemu
Jezusowi Chrystusowi,
Dziś nam narodzonemu!“

Pastérz, stojący przy drzwiach stajenki, opowiada przestraszony, że widzi jakichś panów, to na koniach, to na słonkach i wielbłądach jadących w orszaku licznych dworzaków, a wie dzie ich świetna gwiazda, w której rozpoznaje anioła, co podlata na białych skrzydłach, trzymając w ręku jasną gwiazdeczkę i przyświeca nią w drodze podróżnym panom.

Zabrzmiały trąby i bębny, wraz ze dzwonekami, i ukazali się trzej królowie, dwóch białych a jeden czarny, niosąc dary bogate do ubożuchnej stajenki. Śpiewali chórem dawną pieśń o przybyciu Trzech króli do Betleem, a gdy przy końcu uklękli, z drugiej strony ukazała się gromada rycerzy, a na ich czele król Sobieski.

— Pocóżście tu przybyli?—zapytał.

Murzyn odpowiada, że z drugimi Dzieciątkowi Jezusowi dary przyniósł na ofiarę.

— Idźcie precz!—zawołał w gniewie Sobieski—Dzieciątko Boże nie potrzebuje darów waszych, urodziło się na sianku, więc do nas rolników-rycerzy należy. Nięch was o nic głowa nie boli, my tu lepiej się będziemy o Jego wygody starać, i podchodzemy Je dla sie-

bie. My lepsze *kolendy* umiemy. Dalej! ze mną razem zaśpiewajmy polską kolendę.

I chórem śpiewali o zwycięstwie nad Turczyńcem pod buławą króla Jana III, to pod Chocimem 1673 roku, to pod Wiedniem w dzie-sięć lat później. Po skończeniu téj pieśni, król krzyknął z gniewem:

— Teraz precz ztąd! wracajcie zkądęście przyszli! zabierz-ta to złoto i nie smródźcie swoim kadzidłem. My Dzieciątku Bożemu zakadzimy, ale dymem prochowym z naszych dział i rusznic, gromiąc pogany na Jego wiekuiętą chwałę, a dla Niego będzie to woń najprzy-jemniejsza!

Gdy jednak Trzej królowie z orszakami swoim stali nieporusze-ni, Sobieski dał znak: rycerze jego z dobytymi szablami wpadają na nich i w puch rozbijają.

Na tym skończyła się pierwsza część dyalogu. W części dru-giej: taż sama scena. Dwóch djabłów, zabłąkanych przypadkiem, na widok Dzieciątka Bożego upadło na kolana: zmartwieli, drżąc febrycznie, ruszyć się z miejsca nie mogą: w rozpacz wzywają śmierci.

Wołana *jasno-koścista*, z kosą w rękę, na długiej szyi dźwi-gająca trupa głowę, staje *śmierć*, obwinięta białem przeście-radłem.

— Czegoż chcecie?—zapytuje.

— Utnij nam łby, zabij nas prosimy, bo ten strach co nami trzęsie, gorszy od saméj śmierci.

Śmierć, poznawszy błagających, staje, opiera się na kosie, i tak do nich przemawia:

— A pocóżeście durnie tu przyszli? kto was tu prosił? wiecie, że ja nie mam prawa do was, zabić was nie mogę, bo musicie żyć wiecznie: tak Bóg przykazał! Ale na pamiątkę dobrze was po żebrach wy-macam!

I rękojeścią kosi, jak zacznie bić obu dyabłów, tak ci bez tchu wyciągnęli się na ziemi. Aż tu słycać trąby, bębny, kotły i dzwony i występuje król Sobieski, niosąc sól i chleb na tacy, za nim orszak rycerzy. Klęka przed progiem stajenki, składa ubogie rolnicze dary i z pokorą prosi o błogosławieństwo i opiekę nad swymi.

W przemowie jego było tyle rzewnej prostoty, tyle uczucia i po-bożności, że się wszyscy w głos roz płakali.

Wtedy śmierć wystąpiła, i w długim wierszu wypowiadała swoją władzę i potęgę, grożąc w końcu ostrą kosą.

Na to Sobieski z klęczków wstaje, kładzie czapkę z czaplim piórem na głowę, i mówi spokojnym głosem:

— Znam cię! widziałem cię w tylu bitwach, na tych polach gdzieś odnosił z pogan zwycięstwa, o których wié świat cały. Czyż myślisz, że się ciebie boję? Ani ja, ani żaden z moich rycerzy nie uczu-je na twój widok trwogi! Jeżeli już przyszła moja ostatnia godzina, tnij ostrą kosą, niech głowa moja spadnie u progów Betleemskiej

stajenki! Spójrzj nam w oczy, czy widzisz jakie ułęknięcie lub strach jaki?

Smierć, niemogąc znieść spojrzenia bohatera, kłania głową, łamie kość, a rzucając mu ją pod nogi, ucieka wraz z dwoma dyabłami.

Wtedy Sobieski wraz z całym swoim orszakiem, wśród odgłosu trąb, bębnów i dzwonów, pada na kolana przed stajenką. A w niej zajaśniało wielkie światło, grzmoty zahuczały w górze, łyskawice rozświeciły scenę i kotara zapadła!

Tak skończył się on świetny dyalog.

Sześćdziesiąt lat z górą już minęło, a widzę wszystkie postacie, słyszę owe melodye wszystkich pieśni, jakby to było wczoraj dopiero.

Król Sobieski bogato po polsku strojny, był tak podobny, jakby z obrazu współczesnego wystąpił: to téż jak się pokazał, wszyscy go z okrzykiem radości, gorącymi łzami szczęścia i oklaskami powitali.

Przez całe zapusty po Warszawie uwijały się liczne szopki, ale wiciej miały w sobie wówczas charakteru niż dzisiaj, narodowo-ludowego. Żadna wtedy piosnka teatralna, żadna książkowa nie psuła ich oryginalności. Wchodziły do niej jedne zawsze postacie, wiernie, jak przekazała dawna tradycja.

Widowisko szopkowe zaczynało się pieśnią kolendową. Po niej występowali krakowiacy albo mazowieckie parobczaki ze swemi dziewczuchami: dalej głośnie owa *Malgorzatka*, która tańczyła nie z huzarem węgierskim, ale *husarzem* w zbroi ze skrzydłami i lamparcią skórą na barkach. Kozaczek teorbanista, żyd arendarz, czarnowica masło robiąca, król Heród, śmierć i dyabeł, jak węgier-słowak z olejkami i dryakwią, drelicharz z Andrychowa i góral wysmukły: owóz były postacie jedyne, występujące w tamtych szopkach. Kończył całe przedstawienie stary dziadek z siwą brodą i torbą, zbierający dary od łaskawych widzów.

Dyalogi te i szopki, poprzedzały obchody religijne, w których lud warszawski brał żywy i gorący udział. Na cztery tygodnie przed Bożem Narodzeniem, rozpoczynał się adwent, a z nim i nabożeństwo poranne, zwane *Koraty*, które zgromadzało zawsze liczny tłum pobożnych, we wszystkich kościołach miasta.

Poprzednio przed wigilią na parę tygodni, organiści po domach roznosili opłatki, czyli chleb na którym się ofiara mszy świętej odprawia. Bywały w różnych kolorach, a najstawniejsze w Warszawie wypiekane u Bernardynów, odznaczały się wielkimi rozmiarami. Kolorowe używano do pieczętowania listów, a głównie dziatwa lepila z nich wielką *gwiazdę* i *kolyskę*, którą nad stołem, przy którym spożywano wigilią, wysoko zawieszano. Roznoszenie tych opłatków było wyłącznym przywilejem organistów i stanowiło dla nich niemały dochód.

W dniu 24 grudnia, od samego rana niezwykle był ruch i ożywienie w każdej kamienicy murowanej, piętrowej, zarówno jak w skromnych dworkach drewnianych na Nowym-Świecie i pobliskich ulicach, jak chatkach i lepiankach wzdłuż całego wybrzeża Wisły rozrzuconych. Robiono przygotowania do wigilii, gotowano i smażono ryby, których zawsze i to sztuk wyborowych nigdy nie zabrakło, bo oprócz połowu w Wiśle, zwożono zamrożone z różnych okolic kraju, szczególnie z Podlasia ogromne szczupaki, zwane przez tameczny lud rusiński *maksymkami*, i niemiejsze karpie. W donicach glinianych wiercono mak do klusek, bo to potrawa niezbędna do wigilii, jak liny z kwaśną kapustą, śliwki i inne owoce gotowane. Pierniki, bakalie, (orzechy włoskie i laskowe, figi, rodzenki, daktyle i suche konfitury mieszane) i owoce stawiano na stół zastawiany sianem, na pamiątkę, że w żłobku spoczywał w ubogiej stajence Zbawiciel.

W zamożnych domach stare miody i wytrawne wina z wyborową wódką gdańską i piwem dubeltowem Kaźmirusa, należały do tej uczy wieczorniej.

Cały dzień ścisły post zachowywano, gdy zmrok zapadł i pierwsza gwiazdka na niebie zajaśniała, nadchodziła godzina wigilii.

Miasto zapadało w głęboką ciszę, bo wszystko gromadziło się w rodzinne kółka, ulice puste. W każdym domu, gospodarz z gospodynią brali opłatki, a dzieląc się z dziećmi, krewnymi i służbą, życzyli sobie wzajemnie: *Dosiego roku* i zasiadali do zastawionego stołu starannie oświeconego. Uczta przeciągała się zwykle do 8 i 9 godziny wieczorem. O północy zaraz po jutrzni, po kościołach odbywała się *msza pasterska*, na którą lud warszawski a szczególnie młodzież rzemieślnicza tłumnie się zbierała. Organista z niej dobięrał liczne grono i wpuszczał na chór, z którego każdy miał przeznaczoną sobie rolę. Ten świstał jak kos, ten krakał jak wrona, inni ryczeli jak woły, to beczeli jak owce, w towarzystwie świerkania płastwa rozmaitego. Powstawał z tego gwar niesłychany, a wszystko to na pamiątkę narodzin Jezusa.

Najsłynniejsze Pasterki odbywały się w kościele Paulinów wprost Mostowej ulicy, które gdy poszły w przesadę, z chórów usunęto gorliwych naśladowców płastwa i zwierząt.

Jak mogę zasięgnąć pamięcią, zaraz po skończonej wigilii, dla dziatwy drobnej następowała chwila z upragnieniem przez nią oczekiwana, straszna i radosna na przemiany, bo zjawienie się *Pana Heilige Christa*. Nazwa ta niemiecka, dopiero za panowania Prusaków w Warszawie powstała: postać starca poważnego, który się w masce, lub tylko z przyklejoną brodą i wąsami ukazywał, nosiła imię dawniej Świętego Mikołaja, lub choinki Bożego Narodzenia.

W oddzielnym pokoju ustawiano na stole gałąź choiny lub jedliny zielonej, którą oblepiano kawałkami stoczka woskowego; w około leżały podarunki dla dziatwy przeznaczone. Dzwonek ogłaszał przybycie Pana Heilige Christa, odgłos ten trwogą napeł-

niał młodziutkie serca. Z wielką bojaźnią spoglądały na starca z siwą brodą, siedzącego poważnie przy stole i choince illuminowaném.

Dzieci od najmłodszych zaczynając po kolei wiekiem, stawały przed nim, witały, całując w rękę i musiały odpowiadać na zapytania jego: czy były grzeszne, czy umieją pacierz? Poczém pan Heilige Christ chwalił lub wspominając grzeszki, dawszy moralne nauki, rozdawał przygotowane dary. Po strachu, jakaż to była radość dziatwy, która nie mogąc się nacieszyć kolendą, do północksza przesiadywała. Wpływ moralny tego zwyczaju był niemały, i zachowywano go we wszystkich rodzinach obywatelskich, które czuwały nad dobrem wychowaniem młodego pokolenia.

W pierwszy dzień Bożego Narodzenia, rano jeszcze w pomroce świtu odprawiano trzy msze po kościołach, które zgromadzały pobożnych zawsze licznie. Pamiętam, jakie wrażenie takie nabożeństwo wywierało na moję dziecinną wyobraźnię, jak uspasabiało do gorącej modlitwy, gdym z rodzicami, najczęściej po śniegu, przychodził do Fary, przyświecając latarką. Katedra była w tę poranną dobę ciemna; lud tłumnie napełniający ją rozpałał stoczki woskowe i świece, ażeby z ksiązek się modlić. Migające te światełka, odbijając się o wspaniałe grobowce i wyniosłe sklepienia, dziwny a malowniczy przedstawiały widok. W głównej nawie wprost wielkiego ołtarza, wisiała chorągiew Mahometa, zdobycz Jana III przy oswobodzeniu Wiednia; spoglądałem na nią zawsze z zachwyceniem, teraz wydawała mi się jakby czarna, kirowa opona, spadająca z wysokości. Po nabożeństwie już dzień dobrze świtał, gaszono więc świece i latarnie; za powrotem dopiero przepychano śniadania, przy których miejsce bułek zastępowali przywyborne *strucle*, na które wcześniej oczekiwaliśmy z utęsknieniem.

Z tym dniem rozpoczynał się właściwie karnawał albo mówiąc po polsku zapusty, zaczynały się pieśni kolendowe, szopki, dyalogi i zabawy tańczące po domach. Po kościołach Warszawianie zgromadzali się dla przypatrywania się jasełkom czyli Betleem. Było to widowisko osobliwe. Przy jednym z ołtarzy bocznych, urządzano zastawę szeroką, z desek pokrytych mchem zielonym, i na niej małe figurki przedstawiające stajenkę w Betleem z otoczeniem właściwóm Panny Maryi, Ś-go Józefa, a w żłobie spoczywające Dzieciątko Jezus. Liczny orszak Trzech Króli jadących konno, i na wielbłądach, wiedzionych przez Anioły, stanowił wspaniały obraz.

Najsłynniejsze jasełka przedstawiano u Bernardynów na Krakowskiem-Przedmieściu, i kościół był ciągle przez kilka tygodni przepełniony, szczególniej dziatwą, gdyż tu nietylko jasełka były najokazalsze, nietylko odznaczały się wielką liczbą figur, bogato przystrojonych, ale co najwięcej wabiło, że się poruszały. Trzej Królowie przesuwali się z dworzanami swemi i wojskiem przed ubogą stajenką, oddawali tu swoje hołdy nowo narodzonemu Zbawicielowi. Przedstawiano je do roku 1822 r., później usunięto z kościołów.

Na początku naszego stulecia, w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia zachowywał się zwyczaj szczególnie w kościołach Panny Maryi, Ś-go Jerzego, Franciszkanów i Dominikanów, że w drugi dzień Bożego Narodzenia, przynoszono owies do święcenia w snopkach lub w ziarnie, i tём ziarnem odchodzącego od ołtarza kapłana osypywano. Zkąd ten zwyczaj powstał, trwający przez cały okres istnienia Księstwa Warszawskiego, dokładnie nie wiem; mówiono mi tylko, że ponieważ jest to dzień Ś-go Szczepana, który ukamienowany został; na pamiątkę przeto jego śmierci męczeńskiej, to w kościołach Warszawy powtarzano.

W dniu Nowego Roku, niezwykle życie wrzało w murach naszego miasta: wszędzie brzmiała muzyka, bo orkiestry Czechów, i grajkowie warszawscy obchodzili domy po kolendzie. Pocztylioni na trąbkach wygrywali pod gmachem pocztowym, na podwórzach hotelów i domów zajezdnych; kominiarze pierwszy raz czysto umyć, biegali od kamienicy do kamienicy z powinszowaniem. Orkiestry wojskowe grały przed kwaterami swoich pułkowników i generałów. Ruch po ulicach wielki, od rana do wieczora. W wigilię zachowywał się jeszcze ten piękny zwyczaj, że zakonnicy z licznych zakonów jak Augustyanów, Bernardynów, Dominikanów, Franciszkanów i Paulinów, przychodzili do znajomych sobie rodzin, zbierali drobną działwę, egzaminowali, zarówno jak służbę, czy umieją dobrze pacierz i katechizm, a dając naukę moralną składali w imieniu swoich zakonów powinszowania. Przybycie takiego kapłana było chwilą uroczystą w każdym domu.

W pięć dni po Nowym Roku, przypada święto Trzech Króli; przed każdym kościołem już wcześniej stawiano stragany, na których sprzedawano kadzidło i krédę święconą, którą pobożni rozkupywali. Kadzidłem z jałowcowych jagód i żywicą mrowisk, wykadzali mieszkania a na oddrzwiach każdych kredą taką pisali: *K. † M. † B † t. j.* początkowe litery imion trzech Króli: *Kacpra, Malchera i Baltazara*.

W dniu tym po wielu staropolskich rodzinach zachował się dawny zwyczaj, pieczenia placek z dużym wewnątrz migdałem; wieczorem przy zabawie, roznożono go z kawą, a komu dostał się migdał, ten musiał w zapusty zabawę tańczącą wyprawić. Młode panny i wyrostków, rodzice zastępywali, oznaczając dzień do zebrania. Oprócz tego, gdy placek z migdałem dziewczę dostało, wróżono, że

„Kto dostał migdała,
Dostanie Michała,

gdyż to była przepowiednia, że prędko stanie na ślubnym kobiercu.

Jak rozkupywano krédę święconą i kadzidło, tak w dniu 2 lutego, *Oczyszczenia Najświętszej Maryi Panny*, świece woskowe poświęcone, tak zwane *gromnice*. We wszystkich domach przechowywano je starannie od roku do roku, zapalając w czasie burzy wielkiej i bi-

cia piorunów, wierząc, że ten ogień święty przy modlitwie, ocali od uderzenia gromu. Z gromnicą taką, każdy mieszkaniec Warszawy konał, bo umierającym wkładano je w kostniejące ręce. Wiele rodzin przechowywało ten starodawny zwyczaj, że przechowane gromnice znaczyły liczbę lat małżeństwa.

Do pierwszych lat Królestwa Polskiego, przez cały okres Księstwa Warszawskiego, przy Teatrze Narodowym, co niedziela i święto otwierano sale na *Reduty*. Zupełnie one inny miały charakter jak późniejsze maskarady, bo tylko mężczyźni mogli wchodzić bez masek, płęć pigna bez wyjątku występowała w maskach, w dowolnych kostiumach lub *dominach*, w które się téż przebierała i młodzież nasza, gdy miała jaką intrygę zawiązać. Była to zabawa miła i pożądana dla naszych pań i panien, jak dla młodych Warszawiaków i oficerów armii Księstwa Warszawskiego, a następnie Królestwa. Nieraz zabawne bywały zdarzenia.

Młody, szczupły, zwinny porucznik Walenty Czekierski, mający wielkie łaski u pći pięknej, bez urlopu przybywszy do Warszawy, przebrał się w domino i zaczął po reducie myszkować, a że zręcznie udawał kobietę, koledzy zaprosili go do bufetu i wyborym uraczyli ponczem. Szła szklanka po szklance, smakowało dobrze, więc się nie zważało na liczbę. Koledzy go odeszli, a pan Walenty, zapomniawszy maski, wychodzi z bufetu, i piskliwym głosem zaczepia swego pułkownika, Żółtowskiego, dziada Deotymy.

— A porucznik co tu porabia?—zapytał go surowo.

— Ja nie porucznik, piszczy pan Walenty.

— Dajże pokój mój poruczniku, drugi raz lepiej pilnuj swojej maski i bez urlopu nie wyjeżdżaj, bo się z kozą zobaczysz!—odrzekł znany z dobroci, a ukochany przez swoich oficerów pułkownik.

Czekierski machnąwszy się po twarzy, poczuł, że maskę zostawił w bufecie; poszedł więc jak zmyty i corychlej redutę opuścił.

Później wprowadzono maskarady, na które wchodziły kobiety bez masek, ale te zatartyły charakter pierwotny redut warszawskich, na których nie jeden dramat romansowy wybornie się odegrywał.

Miasto przez cały ciąg zapust oddychało pełnym swobody życiem; we wszystkich domach bawiono się ochoczo i wesoło. Nie brakło młodzieży dorodnej, składnej i dzielnych tancerzy. Wieczory te zaczynały się zwykle po domach obywatelskich pomiędzy piątą a szóstą godziną.

Za zebraniem się roznoszono kawę z sucharkami, lub dawano bułeczki z masłem i zaraz zaczynało tańce. Gdy się na dłuższą zabięrało zabawę, gospodyni przyrządzała kolacją, złożoną z pieczeni wołowej, wieprzowej, baranięj lub cielęciny z kapustą kwaśną gotowaną albo surową, z kartoflami, czy burakami. Stawiano i zrazy polskie z zawiesistym sosem, a do nich kaszę drobną, jaglaną lub tatarczaną. Całym trunkiem było piwo dubeltowe, a to już za wystawny

liczono wieczór, gdy na dobitkę po kolacyi podano po szklance ponczu.

Światła innego nie znano jak świeće łożowe i przy nich wszystko co żyło, tańcowało serdecznie z młodzieńczym zapałem. Młodzież nie ustawała, bo żaden z nich nie śmiał palić na uboczu fajki, gdyż cygar i papierosów wcale nie znano.

Muzykę stanowił klawikord, często z towarzyszeniem skrzypców, bo grajków gotowych pomiędzy młodzieżą niebrakło, którzy ochoty dodawali. Tańce ówczesne w powszechném użyciu będące, rozdzielały się na narodowe i cudzoziemskie. Do pierwszych należał *Polonez*, *Mazurek*, *Krakowiak*, *Oberok*, albo po kurpiowsku zwany *Wyrwas*, *Kozak* i *Drabant*; do drugich: *Gawot*, *Kontredans*, *Walc*, *Anglez* a z późniejszych *Kotyliion*. Do solowych tańców *Szal* i *Tamborino* u panien, u młodzieży *Matelot*: w tych ostatnich obiedwie płcie miały szerokie pole ukazania wdzięku, powabu i zręczności. Lubośmy mówiąc o balach w ratuszu miejskim, wspomnieli o tańcach ówczesnych, tu szerzej wszystkie ich rodzaje wymienić musimy.

Każda zabawa większa i publiczne bale rozpoczynały się od *poloneza*, ale nie na nich można było widzieć taniec ten poważny we właściwej charakterystyce. W domach tylko obywatelskich, gdzie gościły jeszcze kontusze i żupany, a stara tradycja wygrzewała się swobodnie i wesoło przy ognisku kominka, zobaczyłeś polonez prawdziwy. Melodya też właściwa, miała swoje wyjątkowe cechy; te zachowały nam tylko polonezy Ogińskiego, Kurpińskiego i w naszych już teraz czasach Moniuszki. Taniec ten, zabytek starożytnego koła, o którym pisarze nasi z XVI wieku wspominają, melodyą wziął z wielu pieśni pobożnych. Jakoż ze znanej pieśni kolendowej: *W żłobie leży* zmieniwszy takt tylko, wytworzył się w dawnym duchu prześliczny polonez.

Spojrzyjmy na ten taniec majestatyczny w pierwszych latach naszego stulecia.

Najpoważniejszy wiekiem kontuszowiec, gdy muzyka zabrzmiała, zbliżał się do otoczonej powszechnym szacunkiem matrony, skłaniał głowę, całował ją w rękę i stawał w pierwszej parze na środku pokoju, spoglądając w około, jakby dawał hasło innym. Natychmiast w jego ślady stawało liczne grono. Jeżeli Polonus miał szablę przy boku, co się nieraz zdarzało przy większych uroczystościach rodzinnych, wówczas na jej rękojeści zawieszał swoją aksamitną rogatywkę. Kiedy jednakże zaczynał pochód wspaniały, zdejmował ją, wkładał na dłoń prawą, bo rękawiczek kontuszowcy nie używali, a dama jego na tój miękkiej podkładce, rękę swoją składała. Przy pierwszym takcie posuwistym, pochylał głowę na znak uszanowania dla swój towarzyski, wyrzucał wyloty od kontusza na ramiona, uderzał nogą w but safianowy odzianą i podkuty i zawodził taniec. Obszedłszy pokój kilkakrotnie, stawał na środku, gdy wszystkie następne pary tworzyły koło. Wówczas przyklękał na jedno kolano,

a gdy go kilka razy tancerka obeszła, całował ją w rękę i wychodził na stronę; pozostawiona towarzyszka wybierała sobie tancerza i równym sposobem pożegnana opuszczała koło, poczem ten wybierał sobie damę. Tak szedł taniec niemal do ostatniej pary.

Ini rodzaj poloneza był *odbijany*. Każdy na uboczu stojący miał prawo kłaśnięciem w rękę odbierać damę z pierwszej pary, a towarzysz jej przechodził do następnej i tak aż do ostatniej; zawsze przecież, jak poprzednio opisaliśmy, zataczano koło i podług powyższego zwyczaju kończył się ten taniec.

Trudno wyrazić ile polonez miał wdzięku i majestatycznej rycerskiej powagi, gdy był należycie zachowany we wszystkich swoich szczegółach. Polonez zwykle wyniosłej, topolowej postaci, albo zsiadły i krępy, wyrzucał wyloty od kontusza na ramiona; pokręcał sumiastego wąsa i dumnie patrzył w około, spoglądając z częścią i uszanowaniem na swą towarzyszkę, która z godnością prawdziwie polskiej niewiasty, jakby z łaski podawała mu dłoń swoją, kładąc ją na aksamitnej czapce i posuwała się powolnie. Widok tak dostojnej pary wzbudzał w całym zgromadzeniu zachwyt i uwielbienie; w tém też tańcu odbijał się wyraźnie cały szacunek, jakim otaczali starzy Polacy płeć piękną.

Zawołany tancerz w polonezie nietylko wkoło obchodził kornatę, ale rozwijał węza w rozmaite sploty, któremi kierował wszystkie pary idące za nim. Polonez taki trwał nieraz po godzinie całej.

Zaraz po nim ochocza młodzież wybiegała do skoczego *Mazura*. Uważano na to, ażeby w pierwszej parze stawała zawsze mężatka młoda, szanowana ogólnie. Towarzyszem jej bywał zwykle dzielny młodzieniec, znany zwinny tancerz i umiejący dobrze wszystkimi kierować. Inaczej w owe czasy tańczono mazura: zachowywał on bowiem pierwotną, a właściwą sobie charakterystykę. I tu, jak w polonezie wyrażała się dobitnie cześć dla kobiety. Ruszając z miejsca, każda para wysuwała się na środek wśród koła par zebranych. Tancerz prowadził zawsze, chociaż w rzeźwych poskokach tak swoją towarzyszkę, że ta przodowała zawsze, fruując jak ptaszę swobodnie. Tu obu nogami uderzał silnie w posadzkę; stawał pochylając się z *gracyą* w jej stronę i wiodąc wzrok za swą tancerką, która go lekkim biegiem jak jaskółka okrążała, po kilku obrotach chwycił ją i łącznie w kółko się zwracali rzeźwo i radośnie. Przyjęty był nawet zwyczaj, że młodzieniec, gdy miał tę figurę robić, jak tylko dał ostrego hołubca, przyklekał i trzymając za rękę swoją towarzyszkę, swobodnie dozwalał jej krążyć w około siebie. Cześć tę oddawano młodym mężatkom, które potrafiły wyrobić sobie ogólne uwielbienie z cnót domowych jako żony, matki i obywatelki, zarówno jak pięknym i zacnym dziewczynom polskim. Zalotnik zakochany w swojej bogdance, lub już narzeczony, nie wahał się tym sposobem składać hołdu swojej wybrance, a obecni spoglądali z upodobaniem na te rzewne objawy prawdziwej miłości.

Z mężczyzn w mazurze najpiękniej wyglądali nasi hułani w mundurach. Krótka kurtka, strój obcisły, postać składna i zgrabna, brzęczące ostrogi, wąsik zakrecony w wdzięcznym uśmiechem, wszystko składało się na podniesienie uroku tancerza. Jakże przy nim cudnie wyglądała jego towarzyszka, czy biegnąc z nim łącznie w parze, czy obiegając go w około. Nie dziw, że w obec tak zgrabnego tancerza młode serduszka tajały jak śnieg przed słońcem, że rumieńce wybijały większe na uroczu ich oblicza, że oczy jaśniały niezwykłym blaskiem. Dzielność mężka jak urok niewieści, rozwijały się w tym tańcu w całej pełni swojej.

Znałem jedną Warszawiankę córkę obywatelską, pannę już nie młodą, która zachwycała wszystkich, ale tylko w mazurze. Wysokiego wzrostu, wiotka, składna, odznaczała się małą i zgrabną nóżką jak kształtnymi rękoma. Oblicze miała pociągłe, śniade, regularnych rysów, ale nie uderzająca wdziękiem. Gdy stanęła do mazura zmieniała się w całej postawie i twarzy do niepoznania. Zaledwie przetańczyła do połowy sali, już wszystkich oczy przylegały do niej z zachwytem. Urok nieopisany otaczał ją zaraz, oczy spuszczała w ziemię, a gdy czasem spojrzała czy na swego towarzysza, czy na obecnych, bił z nich blask ognisty, zapalony wzruszeniami jęj duszy. W jęj ruchach, w jęj tańcu nie było żadnego podskoku, zdawało się, że płynie po powierzchni wody, pchana żartkim nurtem rzeki: tak to szło równo, gładko, zgrabnie, z nieokreślonym powabem i wdziękiem. Z mazura téż, równy jęj wiekiem, a może i nieco młodszy dorodny oficer naszję piechoty, zakochał się w nięj szalenie: niedługo téż powiódł ją do ołtarza, ale krótko, bo zaledwie kilka miesięcy żyli z sobą, gdyż zginął na polu bitwy od kuli armatniej.

Po dziarskim mazurze jakże nie wspomnieć równie dziarskiego *krakowiaka*, połączonego z piosnkami. Na wesolych *kułigach* taniec ten rej wiódł, odbierając pierwszeństwo mazurowi: w Warszawie był téż ulubionym. Liczne pary po przetańczeniu wkoło kilkakrotném stawały przed muzyką, i albo wcześniej przygotowane piosnki śpiewano, albo téż na razie układano, a nie brakło improwizatorek potemu i improwizatorów. Tu pole otwarte mieli akademicy warszawscy i świetny nieraz składali popis, jak i młode mężatki, bo panny nieśmiałe, rzadko z krakowiakiem swego układu występowały, lubo musiały śpiewać, gdyż każda para do tego była zobowiązana. Odcieniem mazura był *Oberek* tańczony na *odbitkę*, od prawego ramienia ku lewemu szybko i wkoło. Potrzeba tu było krzepkiego i zgrabnego tancerza, ażeby spełnił swoje zadanie bez szkody swęj towarzyszki. Melodyą do niego bywał zwykle dziarski *Kujawiak*. Do tańców narodowych zwykle w jednę tylko parze należał *Kozak*. Był to popis dziewczątka *podlotki* i w równym prawie wieku młodzieniaszka. Panna mogła w nim ukazać zgrabność i wdzięk, jak kawaler siłę i zręczność. Starzy Polonusy ze szczególném upodobaniem przyglądali się temu tańcowi, a gdy dobrze był oddawany,

klaskali radośnie w dłonie i głosem wtórzili muzyce. Przypominało to im ich młodzieńcze lata! Nieraz gdy *madziar* albo *miód Piastowski* zagrzał głowę, a krew po wiosennemu zagrała, sami w nim rozochoceni przyjmowali udział. Pamiętam jak przez mgłę dziada mego Stanisława Zieńkiewicza, Litwina, ojca mojej matki, jak dzielnie w *prysiudach* wywijał, a liczył z okładem lat sześćdziesiąt. Była jakaś u nas uroczystość rodzinna, przyjaciel mojego ojca z Podola przywiózł z sobą młodego kozaczka, który nie tylko wybornie tańczył Kozaka, ale równie grał na teorbanie. Owóż gdy ten zaczął wywijać i w *prysiudach* grał i śpiewał ukraińskie piosenki; dziadek mój kazał mu grać a sam zrzuciwszy kontusz, w krótszym żupanie równie gracko się popisował z oklaskiem i okrzykami licznie zgromadzonych gości, pijących zdrowie siwego kozaczka.

Kozaków z Podola, Wołynia i Ukrainy, miała Warszawa w owe czasy podostatkiem, bo każdy obywatel z tych prowincyj przywoził z sobą nadwornego kozaczka młodego, dla którego teorban i śpiewki ruskie były głównym żywiołem. Był to ulubiony sługa, przyjaciel, a nieraz i powiernik swego pana; nieraz przygrywką na teorbanie i dumką, osładzał jego ciężkie troski.

Sławny rysownik Orłowski, w przepysznej akwarelli zachował nam wierny wizerunek takiego Kozaka. Artysta przedstawił gro- no kontuszowców dobrze podochoconych, jak wracając ulicą Warszawy do domu na spoczynek, szablami krzeszą ognia z bruku miejskiego i chórem śpiewają, a wtóruje im teorbanista skacząc w *prysiudach* przed nimi.

Lubo nazwę ma obcą, *Drabant* był jednakże tańcem narodowym, bo w nim łączył się Polonez, Mazur, Oberek i Krakowiak razem i zwykle na zakończenie zabawy występował.

Poważnym marszem, w takt poloneza posuwały się pary za sobą i stawały w dwóch rzędach naprzeciw siebie: tancerki po jednej stronie a po drugiej ich towarzysze. Wtedy zabrzmiał oberek, lub mazur naprzemiany, a kończył się wesołym krakowiakiem. Nieraz dzień świtać zaczął a *Drabant* huczał, bo gospodarz wnosił wino węgierskie, a gospodyni dla kobiet przygotowywała ulubioną kawę, dla mężczyzn zastawiano *bigos hultajski* wcześniej, bo od tygodnia przygotowywany, z dodatkiem za każdym razem rozmaitego mięsiva i sosów. Była to wyborna potrawa orzeźwiająca po znużeniu, a zakropiona gdańską wódką i doskonałym piwem dubeltowym.

Z cudzoziemskich tańców był najdawniejszym *Gawot*, ale poszedł już w zapomnienie w pierwszych latach Królestwa po traktacie wiedeńskim 1815 roku. Zjawił się po nim *Kontredans*, do którego potrzeba było wielce zgrabnych tancerzy, gdyż każdy ruch odznaczać się musiał *antrszami* i *piruetami*. Pamiętam naszych oficerów z piechoty w ogromnych butach z cholewami powyżej kolan, jak sadzili niemi tańcząc z wdziękiem wybornie wśród podziwu obecnych.

Był to w owe czasy taniec pełen życia dla płci obu, bo i kobiety miały w nim pole do pokazania powabu, wdzięku i prawdziwej umiejętności.

Ulubionym był i *Anglez* w liczne pary tańczony; do solowych tańców dla młodych panien, należał *Szal* i *Tamborino*, które, jak utrzymywano, kształciły figurę i rozwijały wdzięk dziewiczy, jak dla młodzieży *Matelot*: w nim trzeba było dobrze wyłamywać sobie nogi.

W ostatnich latach wszedł w modę *Kotylion* z figurami: było to połączenie w części kontredansa z walcem.

W ostatku wspomnieć należy o niemieckim *walcu*. Od roku 1797, po zaborze Warszawy z częścią kraju przez Prusy, taniec ten coraz się upowszechniał. Lud naszego miasta nazywał go *sztajerem*; tańczono go powoli na dwa *pas*. Do końca roku 1806, dopóki nie uciekli przed Francuzami oficerowie pruscy, którzy nosili z tyłu głowy długie *herbajtle* (warkocze), na końcu zdobne w kokardy wstążkowe, tańczyli wolno, prawą ręką trzymając w pół tancerkę, lewą trzymając ową kokardę. W tak pięknej postaci przewijali się po sali wśród śmiechu i drwin Warszawiaków.

W tańcu tym jednak upodobał sobie nasz ogół i przyswoił go sobie z tą oczywiście zmianą, że tańczył go prędkiej i żywiej; w końcu doszedł do szalonego wiru, w ostatnich latach gdy mu tak zwana galopada towarzyszyć zaczęła. W Mazurku, Krakowiaku, Kontredansie i Walcu jak w Kadrylu i Kotylionie brały udział i starsze wiekiem mężatki: nikogo nie gorszył widok, gdy obok młodej i pięknej córki stanęła dorodna, w sile niewieściego wieku matka. Ochocka zabawa szła z serca, bawiono się wesoło i sama młodzież nasza starała się usilnie, ażeby matki brały w nich udział: wzdragające się, gorącemi prośbami umieli zjednywać sobie: wszyscy wśród pogodnej i radosnej atmosfery, brali chętny udział przy szczerości otwartej i we wspólnem uczuciu braterstwa i miłości.

Trzy dni tak zwane „szalone” licząc do nich i ostatni wtorek, dobrą miały nazwę, bo we wszystkich warstwach społeczności Warszawy, czy to pomiędzy bogatszymi obywatelami, w kole pracowitych rzemieślników wszystkich cechów, czy w legii nadwiślańskiej, stosownie do zamożności bawiono się zapamiętale: ale gdy dwunasta o północy uderzyła, milkła muzyka, gasły wszędzie światła, bo post wielki się zaczynał. Po wielu domach, gdy ta doba nadeszła, gospodarz na lasce wnosił wiązkę śledzi przywiązanych, obnosił w około, zapowiadając koniec dniom szalonym. Po zamożniejszych rodzinach śledzie robione z *marcepanów* przynoszono na półmisku i rozrzucano pomiędzy panny, które sądząc, że to prawdziwe, z okrzykiem wstrętu od tego daru uciekały, lubo następnie przekonane o żarcie, chętnie w nich smakowały. Nazajutrz w dzień *popielcowy* od rana kościół był przepełniony tłumami mieszkańców pobożnych, którzy przychodzili na modlitwę i po garstkę święconego popiołu na głowę. W dniu tym przechowywał się stary zwyczaj przyczepiania tak zwanych *klocków*

pannom i kawalerom dla wyszydzenia ich, że w upłynione zapusty nie stanęli na ślubnym kobiercu. Pierwotnie, kawałki tylko drzewa na nitce w kształt *klocka* wystrugane przyczepiano; później swawola uliczników warszawskich starała się to urozmaicić. W miejsce *klocków*, pęki skorup jaj, kurze lub indycze nogi, tak zręcznie przyczepiali, że żaden z wystrojonych elegantów ani się spostrzegł, jak się stawał celem pośmiewiska na ulicy, dźwigając na własnem ubraniu tego rodzaju przystroj.

Od południa ruch prawie karnawałowy ukazywał się na ulicy, albowiem Warszawianie wybierali się na zwykłą pielgrzymkę i przejażdżkę w *popielec* do Willanowa. Rzeźnicy warszawscy dali początek temu zwyczajowi jeszcze w ostatnich latach XVIII stulecia. W owe czasy post ściśle zachowywano, wiele przeto w *jatkach* pozostawało się mięsiwa; żeby się przeto nie zepsuło, cech rzeźniczy zbierał się do Willanowa i tam je spożywał. Ten zjazd cechowy zaciekał drugich, dla przypatrzenia się *uczcie popielcowej*, wielu mieszkańców Warszawy śpieszyło za nimi i powoli weszła w obyczaj przejażdżka do Willanowa. Rzeźnicy niedługo już uczt dawnych nie odprawiali, bo mięso i w post wielki dobrze sprzedawali, ale arystokracja polska i obywatele miasta miejsce ich zajęli. Pierwsi sadzili się tu na przepych, gdy sanna potemu dopisała. W roku 1821 z podziwem spoglądała Warszawa na ogromne sanie w ośm białych, dzielnych koni zaprzężone, w które wsiadły słynne piękności arystokratyczne w towarzystwie najpiérwszych z eleganckiej młodzieży posiadającej ich względy. Do pięciuset sanek pognało za nimi i Willanów niespodzianie ujrzał naraz kilka tysięcy gości!

XI.

Wielki post.—Gorzkie żale.—Środopóście.—Garnki z popiołem.—Niedziela Palmowa.—Wielki czwartek.—Obmywanie nóg starcom ubogim.—Pieczenie ciasta.—Zabicie Judasza.—*Groby*.—Święcenie ognia.—Rezurekcyja.—Alleluja.—Święcone.—Dyngus albo Śmigust. Dzień Św. Józefa.—Odpust w Czerniakowie.—Zielone Świątki.—Boże Ciało.—Procesye.—Sobótki.—Puszczanie wianków w wigilią św. Jana.—Heca.—Objazd po mieście.—Towarzystwo Chiarinich.—Aloizy Żółkowski.—Bandy Cyganów.—Święto Matki Boskiej Zielnej.—Zaduszki.—Dnie św. Katarzyny i św. Andrzeja.—Wróżby.—Adwent.—Przysłowie miejskie.—Post.—Roraty.—Stado gołębi.—Mikołaj Chudziński.—Dominik Borakowski.—Jan Kiliński.—Sierakowski.—Ignacy Plichta.—Franciszek Ziemięcki.

Wielki post ściśle obchodzono: przez dni czterdzieści, po wielu domach nietylko nigdy mięso niepostało na stole, ale nawet olój zastępował masło. Praktykowało się to nietylko w rodzinach rzemieślników, i pracowitego ludu, ale po domach zamożnych obywateli.

Rozpocynały się po kościołach nabożeństwa pasyjne, na których odśpiewywano „Gorzkie żale,” tak zwane pieśni, opisujące historią mgki Jezusa Chrystusa. Całe miasto niemi brzmiało, bo śpiewano je po domach, zarówno rano jak i wieczór, przy pracy domowej lub w warsztatach rzemieślniczych. Po straganach przykościelnych, tysiące broszurek obejmujących zbiór zupełny Gorzkich żalów rozkupowano chciwie.

W Półpoście, czyli w środopoście, jako w połowie wielkiego postu, gdy o godzinie 12 w południe dzwony uderzyły po kościołach dla obwieszczenia wiernym o tém, chłopcy uliczniki, garnki napełnione popiołem, rozbijali o drzwi mieszkań po domach. Łomot był wielki, i krzyk niemniejszy wystraszonych nagle kobiet i dzieci.

Niedziela szósta wielkiego postu, nazwana *Palmową* albo *Kwiecniową*, obchodzona zawsze po kościołach uroczystością na pamiątkę tryumfalnego wjazdu Zbawiciela do Jerozolimy, poruszała żywo mieszkańców wszystkich Warszawy. W dniu tym po świątyniach poświęcano gałązki tak zwane *palmowe*, chociaż u nas były to gałązki wierzbowe lub z innych drzew, przystrojone polnemi kwiatami. Przy uroczystej procesyi, pobożni z takimi palmami postępowali za celebującym kapłanem. Wspaniały i poważny ten obchód, wywierał głębokie zawsze wrażenie. Tłumy, powracające z nabożeństwa, niosły tysiące takich palm, które w domu przechowywano starannie za świętymi obrazami, do następnego roku.

W Wielki Czwartek odbywał się obrzęd obmywania nóg starcom ubogim. Stanisław August sam dopełniał tej ceremonii, hojnie nagradzając dwunastu starców. Po nim w Katedrze św. Jana (u Fary) arcybiskup spełniał ten obrzęd, na pamiątkę, że Chrystus przy ostatniej wieczerzy, apostołom swoim nogi obmywał.

Od tej chwili milkły dzwony po kościołach a ich miejsce zastępowały grzechotki i klekotki drewniane. Pełno ich było po straganach, a uliczniki bili w nie i grzechotali, obiegając całe miasto.

Tymczasem po wszystkich domach, już od Wielkiego Poniedziałku, gospodynie niemałą pracą zajęte były w przygotowaniu pie-

czywa wielkanocnego. Co tu było zachodu, co troski, radości, gdy się udały baby placki i mazurki; smutku i płaczu, gdy nie wyrosły dobrze i straszny ukazał się zakalec! Kto nie widział z bliska tych rodzinnych dramatów, niemoże mieć wyobrażenia, jak oblicza w tych kółkach prędko przybierały wyraz wesoły lub oswiałości.

W Wielki Piątek całe Stare-Miasto, wraz z bocznymi ulicami, wybiegało pod kościół Panny Maryi na Nowém-Mieście, dla widzenia *smierci Judasza*. Chłopcy od szewców, w towarzystwie pacholąt rybaków, dużą ze słomy lalkę, dziwacznie przystrojoną, wciągali na wysoką wieżę pomienionego kościoła: miała to być postać Judasza. Ztamtąd zrzucali ją na bruk wśród okrzyków przekleństwa, poczem bito kijami; gdy przywiązano do szyi duży kamień, gromadnie ciągniętą na sznurze, topiono w białych nurtach Wisły.

Przez Wielki Piątek i Wielką Sobotę obchodzono *groby*. Do najświetniej przystrojonych należał grób Zbawiciela w skromnym kościółku księży Kapucynów na Miodowej ulicy. Zakonnicy tego klasztoru, troskliwie hodowali kwiaty i zielone krzewy na ten cel głównie; to też mieli czém przybrać grób Chrystusa w bocznej kaplicy, która wyglądała jakby ogród piękny.

Zachowywał się jeszcze starodawny obyczaj, że gdy po kościołach, pogaszono wszystko światło, wykrzesywano ogień, a po poświęceniu go na nowo zapalono świece i lampy; wielu mieszkańców Warszawy zapalali nim przyniesione świece woskowe, i chroniąc je od zagaszenia, przynosili do domu, zapalając nowym ogniem lampki przed obrazami świętych.

Kończył post wielki, wspaniały obchód *Rezurekcyi* po wszystkich kościołach, który w tym okresie rozpoczynał się między 9 a 10 godziną wieczorem, i trwał do północa. Kiedy zabrzmiał wesoły śpiew *Alleluja*, zwiastujący zmartwychwstanie Zbawiciela, gdy kir żałobny ustąpił, gdy dzwony po milczeniu kilkodniowém uderzyły, radość serdeczna poruszała do głębi duszy wszystkich, żaławione oczy wznosiły się w niebiosa z podzięką, że każdy z obecnych doczekał téj pełnej majestatu chwili.

Stoły ze święconém już były w pogotowiu; oprócz ciasta, pomiędzy którym królowały *baby* szafranowe, i *mazurki* strojne, na środku stołu stał baranek z chorągiewką, z cukru, masła, lub z gipsu, jako godło téj uroczystości, a w około szynki, kiełbasy, jaja, prosięta pieczone, tuczone indyki i pieczyste w rozmaitym gatunku, przy dostatku wina, miodu, wódek i piwa. Wracający wszakże z rezurekcyi nieśmieli tknąć téj zastawy, bo dopiero nazajutrz w pierwszy dzień Wielkanocy, do niej przystępowali. Przez trzy dni po Wielkiej Sobocie, odwiedzano się wzajemnie, winszując *wesołego alleluja*, i spożywając święcone. W poniedziałek jako w dzień *dyngusu* albo *śmigusu*, słyhać było gwar i okrzyki wesołego śmiechu lub gniewu, bo oblewaa panny i dziewczęta, wodą studzienną, albo téż pachnącą. Zwyczaj ten zachowywano ściśle po wszystkich rodzinach, zacząwszy

od dworzków na powiślu, do kamienie w samém mieście. W tenże sam dzień u księży Bonifratrów bywał odpust zwany *Emaus*, na który cały lud Warszawy ciągnął. Przy tym klasztorze mieścił się (jak i teraz) zakład obłąkanych mężczyzn. Po nabożeństwie dozwolano przyglądać się waryatom, bo tak zwykle tych nieszczęśliwych zwano. Nierozważna gawiedz bawiła się smutnym widokiem, ale w połowie naszego okresu, pozostawiając sam odpust, zamknięto, i słusznie, podwoje od obłąkanych. Szczególne tu postrzeżenie zapisać muszę z roku 1821. Zrobiono wówczas doświadczenie, że jeden z obłąkanych, ujrawszy kolor *lila*, uśmiechał się radośnie i zaraz wracał do zupełnej przytomności. Kobiety obłąkane mieściły się w szpitalu *Dzieciątka Jezus* pod opieką Sióstr miłosierdza i do tych przystęp był wzbroniony.

Dzień Św. Józefa, zawsze obchodzono uroczystie, nawet wtedy, kiedy w wielki post przypadał. Za czasów Księztwa Warszawskiego obchodziła Warszawa w dniu tym imieniny księcia Józefa Poniatowskiego. Prócz parady wojskowej na placu Krasińskich, bywały bale, baliki przyjacielskie, wieczory tańczące: dawano śluby. Karnawał z uśmiechniętą twarzą, zaglądał wesoło w surowe, poważne oblicze postu; przez dzień cały od świtu prawie do samej północy zapustne szaty przybierało nasze miasto.

Z ciepłą i pogodną wiosną, mieszkańcy radośnie wychodzili za mury miasta, w okolice poblizsze, ażeby odetchnąć świeżem powietrzem pól i lasów, a zarazem rok rocznie uroczystość święcić.

W połowie maja wypada odpust w Czerniakowie, zaczynający się od św. Bonifacego; dalej Zesłanie Ducha Świętego czyli Zielone Świątki z odpustem u Kamedułów na Bielanach. Na dni kilka przedtém, przez wszystkie ulice Warszawy ciągnęły liczne fury Mazurów, wiozących gałęzie zielonej brzeziny, różnej wielkości i pęki ogromne tataraku, które rozkupowano skwapliwie, bo od niedzieli rano, brzezina przystrajano drzwi wchodowe i bramy, w szynkach izby gdzie goście bawili, a okna i podłogi przez obadwa święta suto tatarakiem zaścielano.

Po nich jedna z największych uroczystości dla całej Warszawy, *Boże Ciało* i uroczyste procesye we wszystkich kościołach, w dniu czwartkowym. Jak zapamiętam, pierwotnie w naszym okresie, odbywała się najwspanialsza procesya wychodząca z katedry św. Jana na Rynku Starego-Miasta. Był to widok zaprawdę pełen majestatyeczności. Dwa szeregi wojska stanowiły szpaler, od Fary i w około rynku, w środku którego stał starożytny ratusz, jeszcze z czasów udzielnych książąt Mazowieckich z rodziny Piastów. Arcybiskup i prymas celebrował w otoczeniu licznego duchowieństwa. Pierwsi dygnitarze kraju, jak senatorowie, wojewodowie, kasztelani lub ministrowie, unosili pyszny baldachin. Za nim liczny orszak dostojników Księztwa, a później Królestwa postępował z gronem obywateli miasta. Wszystkie cechy występowały z chorągwiami swemi, a starszyzna ich

przybrana w kontusze i żupany, w czapkach z rogatywkami, malowniczo przedstawiała widok. Cztery ołtarze gustownie przybrane stały z czterech stron rynku, przy których odprawiano nabożeństwo ze śpiewem czterech Ewangelii. Za czasów Księztwa Warszawskiego, według zwyczaju Napoleona I, wojsko przy każdym *podniesieniu* prezentowało broń, a dobosze uderzali w bębny. Za czasów Królestwa już ten zwyczaj zniesiono. Głęboko w pamięci mojej młodzieńczej wyrzył się ten obchód poważny, który stracił niemało, gdy się przeniósł na szersze Krakowskie-Przedmieście. W Rynku Starego-Miasta, tłum ten zbity w jedną prawie masę, wśród starodawniej struktury kamienic, nabierał większego daleko uroku. Śpiew rozlegał się wyraźny, a dym kadzideł przepełniał wonią swoją całą atmosferę. Ratusz dawny z oczernionymi murami wyglądał jak starzec z grona praojców, który spoglądał na te nowe, co pół wieku zmieniające się zastępy obywateli Warszawy.

Do uroczystych obchodów należały *Sobótki* i *puszczenie wianków* na Wisłę. Brały w nim udział przeważnie wszystkie cechy, zarówno jak obywatele i najuboższe rodziny, gdzie tylko było młode dziewczę. Już od godziny czwartej po południu tłumy ciągle przepełniały ulicę Bednarską, most pływający na łyżwach, całe wybrzeża powiślańskie tak od strony Warszawy jak i Przedmieścia Pragi. Dziewczęta z bijącym sercem puszczały wianki na fale rzeki, z tą wróżbą, że gdy schwytny zostanie, w następne zapusty czepiec męzatkę włoży, gdy zaś popłynie z wodą, długo jeszcze czekać będzie musiała na męża. Niektóre cechy, jak szewców, stolarzy, rybaków i rzeźników, ogromne wieńce puszczały na Wisłę, i za unoszonemi biegiem wody, młodzież upędzała się na łódkach wśród radosnego okrzyku zebranych widzów.

Zabawa trwała do późnego wieczoru: przy pierwszym zmroku, zapalano ognie Sobótkowe, najprzód na piaszczystych wzgórzach Przedmieścia Pragi, później od strony Warszawy. Najwięcej malowniczo wyglądały ogniska na tratwach flisów i galarach gorejące, bo wydawały się wówczas tak, jakby z fal rzeki buchały płomienie.

Późno wieczorem powracano do domów.

W letniej porze zajmowała całą ludność Warszawy *heca*, czyli sztuki pokazywane na linie i na kouiach. Przedstawienia odbywały się w wielkiej trzy piętrowej budowli drewnianej, zwaną *Szczwałnią*, gdzie za panowania Stanisława Augusta szczwano dzikie zwierzęta. Mieściła się na placu Brackim, a wchód do niej był w tym miejscu, gdzie dziś stoi dom muiowany pod nr. 17.

Całe miasto wcześniej wiedziało o przybyciu tych skoczków na linie i jeźdźców, bo przed pierwszém przedstawieniem, liczne ich gromno w strojnych kostiumach z własną muzyką, objeżdżało konno wszystkie ulice i rynki miasta. Każde takowe ukazanie się ich, ścigało licznych widzów, którzy tęskliwie wyczekiwali pierwszego przedstawienia. Zwracali uwagę w tych widowiskach szczególniej skocz-

kwie z trampolinu, bardzo zręczni. Gdy gmach ten przez czas coraz więcej niszczał i groził zawaleniem, rozebrano go przed rokiem 1830 i sztuki na linach, przedstawiano na Teatrze Narodowym. Po między wszystkimi kompaniami, odznaczało się towarzystwo *Chiarrynich*, w którym na wyprężonych dwóch linach ze sceny na wysoki paradyz, odbywali dwaj bracia Chiarinowie z siostrą, swobodną przechadzkę. Po pierwszym takim przedstawieniu Alojzy Żółkowski redaktor *Momusa*, założył się że po linie pójdzie także z parteru na paradyz. Gdy nadeszła chwila naznaczona, Żółkowski zaprosił przeciwników swoich i przyjaciół do pobliskiej teatrowi traktierni i zjadłszy najspokojniej porcyą ryby, *linu* smażonego, z parteru, zwyczajnemi schodami, poszedł wygodnie na paradyz i wygrał zakład.

Zbierała się gromadnie gawieź ciekawa, przy pogrzebach zamniejszych rzemieślników; pociągała ich bowiem orkiestra, przygrywająca marsz żałobny, idąc przed karawanem. Pamiętam, że ta muzyka, głębokie wrażenie na zgromadzonych wywierała.

Niemniejsze tłumy zgromadzała każda banda Cyganów, odwiedzających często Warszawę.

Na ulicy Podwale, gdzie stał gmach komisji województwa Mazowieckiego, bandy te przyprowadzano, z kąd wyprawiano dopiero za mury miasta. Przez czas ich spoczynku, niedźwiedzie, które wiodli z sobą, pokazywały sztuki swoje, a stare Cyganki rozbiegały się dla wróżenia i hojny zarobek zbierały. Tak wierzoło w przepowiednie ich, że nieraz bandę po kilka dni przetrzymywać musiano, ażeby rozproszonych po domach wszystkich Cyganów i Cyganki wyprowadzić z miasta.

Świątecznie wyglądała Warszawa w połowie sierpnia, gdy nadeszła uroczystość *Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny*. Lud ten dzień nazywa: *Matki Boskiej Zielnej*, gdyż z całych okolic miasta, wieśniaczki przynosiły zioła i kwiaty polne do poświęcenia. W kościołach przy wnijsciu do każdej świątyni Pańskiej, stopy ziół pełnych balsamicznej woni, w dużych wiązках leżało, które mieszkańcy Warszawy rozkupowali i przynosili do domów.

W pierwszych dniach listopada przypada uroczystość Wszystkich Świętych a po niej Dzień Zaduszny czyli Zaduszki.

Najrzewniejszy widok dnia tego wieczorem przedstawiały zawsze cmentarze warszawskie, jak Święto-krzyski tak i Powązki. Smutna to doba grubiej jesieni, zimna, często i śnieżna. Wedle dawnego zwyczaju, na grobach zapalano lampki i świece w pomroce wieczornej, a prawie przez noc całą błyszczała świetna iluminacja w tych grodach zmarłych. Dziwny, przejmujący do głębi, przedstawiał się wówczas obraz! Te migotliwe światełka lamp różnobarwnych, te migające świec płomyki, co rozświecają ciemny horyzont, i w drżących cieniach się rozścielają, zdaje się jakby z otwartych mogił, podlatywały duchy tych, co tu oddawna kośćmi użyźnili te nie-

plenne wydmy piaszczyste. Cisza wokoło głęboka, zaledwie przerywana skrzypem piasku lub śniegu pod nogami przechodnia, czasem przytłumionym szeptem modlitwy, jękiem z piersi, płaczem i łkaniem, łączyły się zgodnie w jeden obraz pełen niewysłowionej rzetności!

W tymże miesiącu listopadzie, dwa dni przy końcu jak 5-tój Katarzyny i Andrzeja Apostoła, niezwykle ruch obudzały głównie pomiędzy Warszawiankami; panny bowiem ze wszystkich warstw społecznych, w tych dniach brały wróżbę o swojej doli w przyszłości, jak prędko też za mąż pójdą? W dzień 5-tój Katarzyny kładły sobie kamień pod poduszkę, i ze snu tej nocy wysnuwały przepowiednie dla siebie; w dniu zaś 5-go Andrzeja używano innego sposobu: stawiano zwierciadło i wpatrywano się w nie pilnie, a w niem ukazywać się miała postać przyszłego małżonka.

Nie zapomnę nigdy tej chwili, gdym był świadkiem tego rodzaju wróżby. Jedna z dwóch moich sióstr starszych, namówiona przez przyjaciółki, postanowiła, wedle dawnych przepisów spróbować, czy też się ziści ta przepowiednia. W sali, około północkska ustawiono zwierciadło, przed niem dwie świece woskowe, które w niem po sześć razy każda powinna się odbijać. Gdy to już urządzono, stanęła przed niem, wpatrując się pilnie. Ja niedostrzeżony, a ciekawy końca tej sceny, usiadłem sobie w kąciuku: cała rodzina była zgromadzona w ubocznym pokoju.

Cicho było jak makiem zasiał: sala pusta, północna doba, cisza wokoło, dziwnie nastrojało ducha. Przeliczyła już świec dwanaście w zwierciadle, gdy staroświecki zegar zaczął bić godzinę dwunastą. Jeszcze jego dźwięk powtarzało echo, gdy nagle krzyknęła i odskoczyła przerażona od zwierciadła. Wpada matka, siostra i przyjaciółki z drugiego pokoju, dopytując co zobaczyła? Długo mówić z przestachu nie mogła, wreszcie ochłonawszy wyrzekła:

— Stałam śmiało przed zwierciadłem, ale gdy zegar dobijał dwunastą z północy, dreszcz zimny mnie przeszedł i nagle ujrzałam rosnącego mężczyznę, ale łysego! Wyszedł z cienia i spojrzął mi w oczy z uśmiechem.

Zaczęli się śmiać wszyscy, zaglądać za zwierciadło; wróżba jednak się sprawdziła, bo we dwa czy trzy lata później, oddała swą rękę Antoniemu Białkowskiemu pułkownikowi, dzielnemu wojakowi z pod chorągwi Napoleona I-go, który w bitwie z Austryakami 1809 roku pod Jedlińskiem, cięty szabłą w głowę od huzara węgierskiego, był rzeczywiście łyсы.

W dniu tym zachowywano także zwyczaj, że panny z ciasta ulepione gałki, znaczone literami swoich imion w rząd układały i wpuszczaly psa wygłodzonego dobrze; której gałkę najpierw schwytył, ta najprędzej spodziewała się pójścia za mąż.

Teraz nadchodził zaraz Adwent, wedle powszechnego w mieście przysłowia:

Święta Katarzyna,
Adwent zaczyna;
Święty Jędrzej,
Jeszcze mędrzej.

Po wielu rodzinach zachowywano staropolski obyczaj postu, aż do pierwszego święta Bożego Narodzenia.

Zwróćmy teraz spojrzenie na ostatnie postacie kontuszowców, którzy przypominali młodemu pokoleniu jeszcze dawną Rzeczpospolitą w pośród murów Warszawy. Była już tylko ich garstka, słusznie zwana: „stadem gołębi.“ bo wszyscy już dobrze siwizną przypruszeni. Powiemy o nich idąc po starszeństwie wieku.

Na czele tego „stada gołębi“ stał Mikołaj Chudziński, urodzony w pierwszej połowie okresu panowania Augusta III. Dożył lat dziewięćdziesiąt i do ostatniej chwili przed kratkami sądowni, jako mecenas sądu Najwyższej Instancji Królestwa Polskiego, w kontuszu i żupanie stawał, z całą przytomnością umysłu, a gdy w obronie zapalił się, wyrzucał w tył wyloty od kontusza i gładził się po czuprynie jako dawny *palestrant*, co pamiętał dobrze trybunały lubelski i piotrkowski.

Szczupły, niskiego wzrostu, ruchliwy jowialista, umiał się dzielnie odcinać młodym i niewinnie z niego żartującym prawnikom. Powszechnie od nich *ojcem* nazywany, chętnie nieobecnych zastępował kolegów. Tabaki nie lubił, bo tabaka zdaniem jego, była niemiecki wynysł, a Niemców niecierpiał. Bywało, że koledzy namówiwszy się, jeden po drugim częstowali go tym specyalem; rozumiał sędziwy starsuszek te żarty, jednak nie uchybił żadnemu w grzeczności i palcem dotykał się tabakierki.

Kiedy już wiek i praca pochyliły zgrzybiatego, i mniej mu w końcu powierzano obronę, gdy słynni mecenasi ściągali wszystkie ważniejsze sprawy do siebie, wspomagali go młodszy, nadsyłając mu lżejsze sprawy. Godny wspomnienia żart był, kiedy koledzy jego, krótko przed śmiercią, przystali mu nieznanego człowieka jako klienta, z podrobionymi dowodami i dobrą wynagrodzeniem. Wyświecił on piękną duszę tego weterana sprawiedliwości.

Przejrzał starowina skwapliwie przyniesione papiery, a dostrzegłszy w nich krzywdę przeciwniej strony, uniósł się gniewem, i zwracając je klientowi wraz z pieniędzmi wyrzekł z oburzeniem:

— Mospaniel! mnie już dymisyą dano, ale idź do szatana, on ci się chyba téj sprawy podejmie.

Znany z prawości doczekał się téż rzadkiego, a może jedyne go dla obrońcy zaszczytu, kiedy całe sądownictwo, wszyscy prawie ówczesni dygnitarze obchodzili pięćdziesięcioletni jubileusz, jego obrończego zawodu, a on na pierwszym miejscu posadzony odbierał hołd należny cnocie i starości i błogostawił młodszemu pokoleniu.

Po Chudzińskim, co do wieku następował Dominik Borakowski; urodził się także za Augusta III w roku 1750. Od 1774 rozpocząwszy zawód służby publicznej, jako plenipotent miasta stołecznego Warszawy, do pilnowania spraw ekonomicznych, wreszcie został pisarzem m. Warszawy. Kiedy po zdobyciu Przedmieścia Pragi d. 4 listopada 1794 r., przez sławnego generała Suworowa, stolica poddać się zwyciężkiemu wojskom musiała; Borakowski przez jednomyślne głosy obywateli, wraz z delegowanym miasta Makarewiczem, został wysłany dla ułożenia warunków kapitulacji. Most był zerwany, gęste kry już płynęły po wzburzonej Wiśle, gdy wsiedli dwaj delegaci w łódź i pomimo niebezpieczeństwa, dobili do przeciwnego brzegu, niosąc białą chorągiew, znak parlamentarzy. Borakowskiemu porwano zegarek, stanąwszy więc w głównej kwaterze, uskarżył się śmiało Borakowski na ten rabunek. Generał Suworow ofiarował mu swój zegarek w miejsce straconego. Sprawozdanie ich, z odbytego poselstwa, wielce ciekawe, znajduje się w archiwum miasta Warszawy. Po ogłoszeniu Księstwa Warszawskiego przez Napoleona I i wprowadzeniu jego kodeksu, mianowany przez ministra Feliksa Zubieńskiego sędzią apelacyjnym, a po utworzeniu Królestwa Polskiego, sędzią najwyższej instancji; po pięćdziesięciu latach służby publicznej, zapragnął cichego spoczynku, usunął się jako emeryt w domowy zakątek i w sędziwiej starości, dożywszy lat 85, po krótkiej chorobie umarł.

Przez ciąg niemal całego żywota, stały mieszkaniec, jako dziecko Warszawy, patrzył na częste zmiany losu, jakim to miasto ulegało! Zebrał więc w swojej pamięci wielki zasób wspomnień zajmujących o tym grodzie. Żył w ścisłych stosunkach przyjaźni z Bacciarrellim nadwornym malarzem króla Stanisława Augusta, który wymalował tak Borakowskiego jak i jego córki Maryi portret. Gdy w roku 1795 Prusacy zajęli Warszawę, przez gubernatora miasta generała Buxhewden'a wezwany został do administracji publicznych dochodów.

Za wnijściem zwyciężkiej armii francuzkiej, gdy mieszkańcy Pragi w skutek wypadków wojennych zniszczeni zostali, Stanisław Małachowski marszałek sejmowy, w r. 1807 wyznaczył Borakowskiego za kolektora do zbierania składek dla biędnych Prażanów. Sumiennie i zaszczytnie wywiązał się z tego obowiązku. W roku 1809, po napadzie armii austryackiej granic Księstwa Warszawskiego, stoczona została pamiętna bitwa pod Raszynem, o dwie małe milki od naszego miasta. Od samego rana huk dział i ręcznej broni odbijał się w sercu każdego mieszkańca Warszawy. Po zaszczytnej a krwawej walce, książę Józef Poniatowski cofnął się na Pragę; z wyboru obywateli Borakowski musiał przyjmować u rogatek miasta, głównego wodza księcia Ferdynanda d'Este, wkraczającego z wojskiem w mury Warszawy.

Następnie był świadkiem wyprawy do Moskwy 1812 r., klęsk doznanych i dopiero od r. 1815 w spokoju, wraz z tym grodem odetchnął.

Na lat kilka przed zgonem już nie wychodził na miasto, jedynie tylko na mszę poranną do Bernardynów; mając własną kamienicę na Krakowskim-Przedmieściu (gdzie dziś cukiernia Kocha), zamieszkał na pierwszym piętrze, zajmując obszerny pokój z dwoma oknami na ulicę. Z nich przyglądał się ruchowi ukochanego miasta, zajęty wychowaniem wnuków swoich po córce; Dominika Magnuszewskiego znanego poety, który się w tym domu urodził i dwóch sióstr jego i przyjmowaniem licznych przyjaciół. Sędziwy starzec, wysoko wykształcony, dla agitacyi karabelę brał w rękę i wywijał nią na wszystkie strony. Czytał wiele umiejac iść z postępem czasu, rozumiejąc dobrze jego rozwój konieczny. Gościnny, uprzejmy, łagodny, przyjemnie zajmował swoją rozmową, zarówno starszych jak i młodzież. Fryderyk Szopen bywał tu często, jako przyjaciel Magnuszewskiego i nieraz grał improwizując w pomroce wieczornej, dla uciechy starca, który przysłuchiwał się z rozkoszą w bocznym zaraz pokoju, przy drzwiach roztwartych: nieraz łza rzewna zrosiła jego zmarszczone oblicze.

O lat dziesięć młodszy, Jan Kiliński szewc damski, był postacią wydatną w Warszawie, znaną całemu miastu; urodzony w Poznaniu w r. 1760. Pamiętam go dobrze, bo skończyłem lat dwanaście wieku, kiedy umarł w 1819 roku; byłem na jego pogrzebie. Całe życie nosił się po polsku, czysto, gustownie, nawet elegancko przybrany, w kontuszu, żupanie i czerwonych safianowych butach. Dobrego wzrostu, piękny wąs zdoił wyraziste, dorodne i mówiące jego oblicze; postać składowa, ruchawa i pełna życia. Nieprzyjaciel prozy, nieraz dowcipnie układał wierszyki, gdy brał miarę na trzewik u jakiejś magnatki albo pierwszej piękności, a słynął ze swego kunsztu i tylko obuwie damskie Kilińskiego było jedynie poszukiwane i w modzie. Lubił i wiele pisać tych wierszyków, które czytając J. U. Niemcewicz podał mu przyjacielską radę, aby porzucił te *bajedy* a wziął się do napisania swoich pamiętników. Usłuchał jej i w samej rzeczy mają one swoją wysoką wartość, jako malujące wybornie czasy właściwe i osoby w nich działające.

Mianowany poprzednio pułkownikiem, po utworzeniu Królestwa Polskiego, 1815 r. miał ten stopień sobie przyznany.

Najstarszy z synów Kilińskiego, Franciszek wstąpił do wojska i dosłużył się stopnia porucznika gwardyi Napoleona, odznaczony się męstwem i zuchwałą nawet odwagą. Jakąż miał radość serdeczną pan majster, gdy otrzymał list własnoręczny od pułkownika i szambelana cesarza Napoleona I-go, téj treści:

„Pułkowniku! Miło mi jest donieść pułkownikowi, iż Najjaśniejszy cesarz, chcąc nagrodzić syna jego za danie dowodów męstwa pod Santa-Crux, Frias, Madrytem, Wagram i Castro-Herix, raczył nominować go oficerom w swoim regimencie gwardyi, którym mam honor komenderować. Jego postępowanie pełne honoru i uczciwości, złączone z wiadomością sztuki wojennej i męstwem wartém pochwały,

zapewne otworzą dla niego drogę do dalszych nagród. Proszę przyjąć oświadczenie mego szacunku.

Paryż, dnia 18 februaryi 1811 roku.

W. hr. Krasiński."

Na wiadomość o tém piśmie, cały cech szewców warszawskich zbiegł się do pana Kilińskiego pułkownika, na Dunaj, gdzie miał swoją kamieniczkę (pod nr. 145), ażeby zobaczyć list słynnego na owe czasy i lubionego powszechnie Wincentego hr. Krasińskiego. A był pisany na blankiecie ozdobnie sztychowanym. Szacunek i poważanie pana majstra teraz się zdwoiło nietylko w samym cechu, ale i w całej Warszawie. Franciszek dzielnny oficer, nie długo przeżył ojca swego, bo w rok po jego zgonie poszedł za nim. Z trzech synów Kilińskiego żaden nie trzymał się ojcowskiego rzemiosła, które mu dało dostatek i dobre imię. Troskliwa familia, wszędzie nawet chciała zatrzeć ślad, że był majstrem kunsztu szewskiego. Na karcie pogrzebowej ojca Jana, podano tylko stopień jego wojskowy, na grobach dwóch jego synów młodszych, troskliwie wypisano, że to byli *urzędnicy*, oficer bowiem ze szwadronu Krasińskiego nie miał żadnego pomnika grobowego na Cmentarzu Powązkowskim.

Przyjacielem od serca i wiernym towarzyszem Kilińskiego był starszy cechu rzeźników warszawskich Sierakowski, także wielce wydatna postać naszego miasta. Kiedy we dwóch sprawowali władzę municypalną, pani Krasińska żona oboźnego, potrzebująca paszportu do wyjazdu, zaprosiła ich do siebie. Obaj jak zwykle przybyli w kontuszach i żupanach.

Po odbytej konferencyi wstaje Kiliński i łączy w rękę odkrytą rękawiczką, gospodynią domu. Sierakowski zabiera się do złożenia podobnegoż hołdu poważnej niewieście, ale jako człowiek dowcipny i humorysta, staje i z ukłonem przemawia:

— Mój kolega szewc łączy w rękę przez skórę, ja zaś rzeźnik biorę się do mięsa: proszę zdjąć rękawiczkę.

Pani Krasińska z uśmiechem spełniła jego żądanie, a Sierakowski zakręciwszy wąsy, pocałował w białą, gładkości aksamitnej i drobną rączkę.

O jedenaście lat młodszy był Ignacy Plichta od Borakowskiego, z którym żył w ścisłych stosunkach przyjaźni i częstym bywał gościem u niego. Obaj kolegowali z sobą razem jako sędziowie najwyższej instancyi Królestwa Polskiego i chociaż w charakterze różnili się nie mało jak i zewnętrzną postacią, kochali się serdecznie. Gdy Borakowski niskiego wzrostu, otyły, rysów twarzy okrągłej, był łagodny i wyrozumiały; Plichta odznaczał się wysokim topolowym wzrostem, dobrą tuszą i więcéj wydatnem obliczem: mniej łagodny, surowym był nawet ojcem w swojej rodzinie. Jedna z jego córek pokochała młodego i dzielnego wojaka, ale Plichta wybrał sam dla niej męża; gdy opór stawiała zmusił do ślubu, z tym którego wybrał. Nieszczęśliwa a szlachetna dziewczica, uległa niezłomnej woli, była zacną żoną i mat-

ką, ale Bóg ją pocieszył w późniejszych latach, gdy już odhodowała swe dzieci, bo ten którego kochała, po jej owdowieniu, wierny swemu słowu, jako osiwiwały już kawaler, powiódł ją do ołtarza jako swoje małżonkę.

Plichta pomimo téj surowości był prawego charakteru, nieugiętych przekonań, w całym znaczeniu tego wyrazu „mąż prawości.” Od lat młodych do grobu nie porzucił ubioru polskiego: nosił kontusz jasno kawowego koloru, żupan, pas lity i rogatywkę, zawsze barwy żupana. Po ukończeniu szkół pijarskich w Żowiczu, wszedł do *palestry* w Sochaczewie; był *susceptantem* (czyli rejentem) aktów grodzkich ziemi Sochaczewskiej, następnie *burgabią* (to jest komornikiem) sądowym téżże ziemi. Jako palestrant był pełnomocnikiem zamożnych obywateli, ale od żadnego ofiarowanych darów pieniężnych ani dla siebie ani dla dzieci swoich nie przyjął, tak troskliwie dbał o czystość imienia swego, chociaż sam posiadał szczupłą fortunę i oszczędzać się musiał przy licznej rodzinie.

Borakowski miał w piwnicy swojej beczkowe wino węgierskie, czyste i wytrawne; gdy już zaprzestał z domu wychodzić, Plichta codziennie niemal przychodził do niego i razem przy kilko-godzinnej gawędce, wypijali buteleczkę. Ileż wtedy nie przewijało się wspomnień tak rodzinnych, jak krajowych. Urodzeni obaj za czasów Augusta III, przeżyli całe panowanie Stanisława Augusta, ostatni rozbiór kraju, istnienie Księstwa Warszawskiego, wzrost sławy i potęgi Napoleona I-go, jak jego klęsk i upadku i doczekali nowego dramatu. Borakowski umarł już w drugiej połowie 1831 roku, a w lat siedem Plichta zakończył życie. Nie brakło więc nigdy dwom przyjacielom osnowy i wątku do pogawędek, które dobrze podłuchane i spisane, mogłyby stanowić zajmujące pamięt niki z XVIII wieku, jak i trzydziestu lat pierwszych naszego stulecia.

Do tego *stada gołębi* liczył się Franciszek Ziemięcki, dawny palestrant i mecenas jeszcze w trybunale piotrzkowskim. Za czasów Księstwa Warszawskiego mianowany adwokatem przy sądzie apelacyjnym, za czasów Królestwa Polskiego został mecenasem sądu najwyższego. Wzrostu średniego, postaci zsiadłej a krzepkiej, rysów wydatnych, pociągłych, surowego a męskiego i szlachetnego oblicza, udatnie w polskim stroju wyglądał. Twarz jego i głowa przypominały starych hetmanów z XVI wieku, Jana Tarnowskiego i Koniecpolskiego: taką typową miał charakterystykę; nią się téż odznaczał wydatnie pomiędzy wszystkimi kontuszowcami.

Kiedy za wprowadzeniem Kodeksu Napoleona i nowój organizacji sądowej zapomniano o dawnych prawach polskich i postępowaniu sądowym, a zdarzały się nieraz sprawy, które na mocy owych praw rozstrzygane jedynie być mogły, zasięgano zawsze wytrawnego zdania i objaśnień od Ziemięckiego, który, jak wspomnieliśmy, był mecenasem w trybunale piotrzkowskim. Prezes sądu apelacyjnego, świątły Onu-

fry Wyczechowski, na drodze urzędowej zażądał, ażeby do wyjaśnienia tak mało znanego przedmiotu zawezwać pomocy Ziemięckiego.

„Wiadomą jest rzeczą (pisze Wyczechowski w swoim przedstawieniu), że za czasów Rzeczypospolitej nie było ani Kodeksu Cywilnego, ani *procedury*, czyli raczej systematycznego zbioru praw, przez władzę najwyższą prawodawczą usankcjonowanego, wyjąwszy niektórych *statutów* tudzież *korrektury*, które w części niedostateczne, w części dotyczące tylko niektórych prowincyj, nie stanowiły prawa powszechnego krajowego. Co się jeszcze tyczy *procedury* i wewnętrznej organizacji sądów, niemniej sposób postępowania w izbach, więcej na *empirycy*, aniżeli na prawie pisaném, uwzględniały sądy swe postępowanie. Niewątpliwą rzeczą jest, że zbiór praw wszelkich i sposobu postępowania w tym kraju, wielce jest zajmującym. Nie zbywa wprawdzie na autorach, którzy tej mozolnej, lecz arcyważnej podjęli się pracy w usystematyzowaniu rozrzuconych po rozmaitych pismach prowincjonalnych i zwyczajowych; lecz nikt dotąd nie podjął i nie jest w stanie podjęcia się zbioru prawideł tych postępowania sądowego, które na samą tylko praktyce uzasadnionemi były, kto sam za czasów polskich nie praktykował, osobliwie w Koronie.

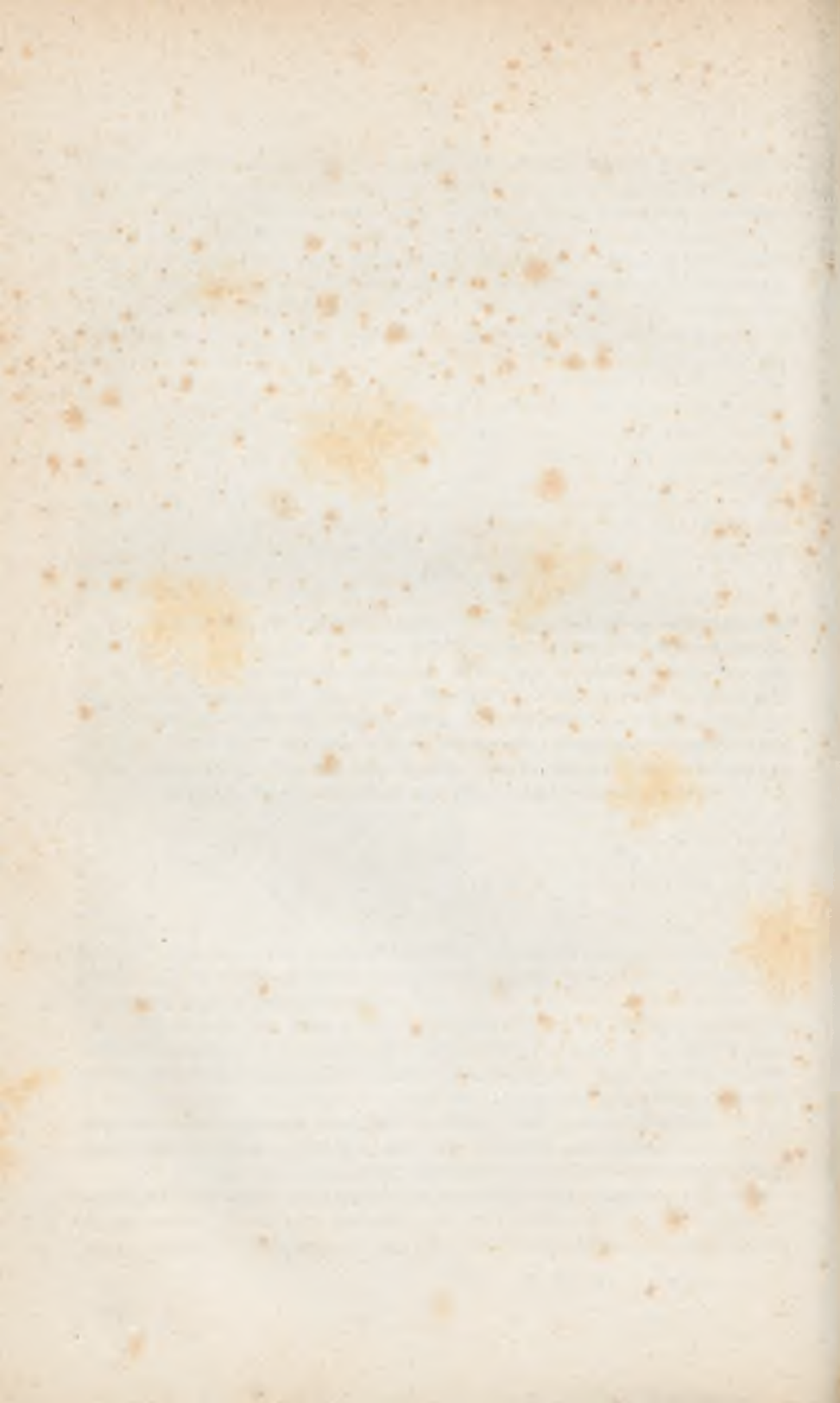
„Pomiędzy prawnikami polskimi, których miałem sposobność poznać, przez cały czas urzędowania mego, nie zdarzył mi się żaden, któryby tyle okazał wiadomości i zdolności wyjaśnienia rzeczy, jak żyjący mecenas Ziemięcki, który w trybunale piotrkowskim jako mecenas praktykował. Człowiek ten, pomimo podeszłego wieku, praktykuje na nowo w sądach tutejszych krajowych od r. 1812 i okazuje dotąd tyle przytomności i daru wytlumaczenia i wypisania się, że prawdziwie uważać go można za jeden, jedyny jeszcze pozostały *autentyk* dawnej *procedury empirycznej*. Ten, obeznawszy się zarazem z tegoczesną procedurą sądową, jest w stanie poczynić porównanie lub wyszczególnić odmiennosć prawideł terażniejszych od dawnych, i zostawić nader ważną pamiątkę dla historyi prawodawstwa krajowego; z nim zaś obawiać się trzeba, że zaginie wiele objaśnień, których później nikt odgadnąć nie zdoła. Przy tych zdolnościach towarzyszy jeszcze temu starcowi cnota niezłomna, wzorowe postępowanie i gorliwość tak w obronie spraw mu powierzonych, jako i w rzeczach dotyczących dobra publicznego.”

Ziemięcki już wtedy miał opracowaną rozprawę pod napisem: „*Zbiór formalności prawnych do postępowania w sądach każdej instancyi, niegdyś Rzeczypospolitej Polskiej używanych, dla porównania ich z terażniejszym, ułożony*”. Pracę tę następnie zaczął rozszerzać, ubogacać szczegółami nowemi i zostawił obszerny rękopism, który dla historyi prawa polskiego jest nieocenionym nabytkiem.

W sędziwej starości, pochowawszy w grobie żonę i kilkoro wyrosłej już a dorodnej dziatwy, licząc lat 80 wieku zakończył życie.

XII.

Pan Skorochód metrykant koronny. — Tomasz Święcki. — Panna Hilarya. — Wieczór tańczący. — Panna Zanetta. — Miłość ukryta. — Zemglenie. — Antoni Magier. — Typowe postacie. — Krajewski dworzanin Stanisława Trembeckiego. — List poety do księcia Józefa Poniatowskiego. — Pani Słończyńska Ochmistrzyńni baletu nadwornego Stanisława Augusta. — Pani Żółtowska. — Joanna Żubrowa. — Kuźma. — Szlachetka kontuszowy. — Pan starosta Kaniowski. — Bartnik i pokurcze. — Pan Jacenty z pod miecza katowskiego. — Kapelmistrz dworu księcia Siewierskiego. — Jego opowiadanie. — Lira i skrzypki.



Od pierwszego roku naszego stulecia, z jednego domu piętrowego, głównej naówczas ulicy Święto-Jańskiej, ukazywała się codziennie wyniosła postać polonusa, w poranne godziny, w kontuszu i żupanie, przechodząca poważnie do kościoła katedralnego Świętego Jana na mszę świętą, w rogatywce aksamitnej lub sukienniej, siwym lub czarnym barankiem obszytej. W dniu uroczyste, zawsze wisiła przy lewém biodrze karabela w jaszczur oprawna, z bogatą rękojęścią.

Postać ta, gdy tylko wychyliła się z sieni owiej kamienicy, zaraz odbierała ukłony od wszystkich przechodniów, zwracając oczy każdego na siebie, nie tylko pięknym ubiorem, ale całą postawą poważną.

Był to Walenty Skorochód Majewski, zwany powszechnie „panem Skorochodem metrykantem koronnym.”

Urodzony na Podlasiu w tym samym roku, gdy Stanisław August na tron wstąpił, z młodu zakosztowawszy wojaczki i obozowego chleba, mając wrodzony zapał do nauki, wykształcił się w szkołach pijarskich i jako znakomity badacz sanskrytu i języków wschodnich zasiadł w gronie Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk od roku 1809. Jeszcze za rządów Stanisława Augusta powołany na główno-krajowego archiwaryusza metryk koronnych, idąc drogą zasługi, został następnie metrykantem koronnym Królestwa Polskiego. Że znał ten przedmiot gruntownie, dowodzą najlepiej rozprawy, które ogłosił drukiem w r. 1809: *Rzecz o Archiwach*, a w r. 1814 *Rzecz o sztuce dyplomatycznej, czyli umiejętności rozpoznawania dyplomatów i rękopismów*. Jego też staraniem rozpoczęto porządkować dawne akta, spisano inwentarz i całe archiwum w ład należyń ustawiono.

Położywszy sobie za główną i jedyną myśl dowieść pochodzenia Słowian od Indów, skierował ku temu wszystkie swoje badania, całą usilność i pracę, i tak na drodze dziejów, jak studjami językowemi, zwolna przystępował do zamierzonego celu, ale ogromowi pomysłowi tego wydołać nie zdołał. Poświęcił mu nie tylko cały swój czas, ale i znaczny majątek, bo przeszło 200,000 złotych polskich, założywszy własną drukarnią.

Ale trafił na czas dla siebie niewłaściwy, społeczność na jego badania pokazała się zupełnie obojętną. Drukowane dzieła swoje darmo rozdawał, nikt ich jednak nie czytał.

„Ze smutnym doświadczeniem (pisze sam Majewski) przekonał się wydawca, że wielu rodaków, niesmakując w tym przedmiocie, na pokupne romansiki pozamieniali, lub za marną cenę handlującym

niekompletnými książkami, posprzedawali. Wzywa więc wszystkich tych posiadaczy, aby mu czytane lub nie, raczyli zwrócić; albowiem początkowo ogłoszonych, i w większej połowie zmarnowanych, na nowo wydawać nie myśli.“

Po tylu latach zawodu, marzył jeszcze zacny starzec, że znajdzie miłośników tego przedmiotu, któremu całe życie od lat młodych poświęcił; że prenumerata wesprze go, aby mógł pozostałe rękopiśma drukiem ogłosić: ale odezwa jego nie znalazła przyjaznego echa.

Ubioru polskiego do końca życia nie zmienił.

Kiedy zwalono *Krakowską bramę* wraz z kamienicami pod zamkiem królewskim i otworzono plac obszerny, po jego urządzeniu i ozdobie, wprowadził się do jednego domu kupiec Thugut utrzymujący handel win i korzeni. U niego pan Skorochód obierał sobie beczkę *madziara* i codziennie na wytchnienie po ranniej pracy umysłowej, tu przychodził; wypijał małą buteleczkę swego wina, pogawędził ze znajomymi, nowinki miasta usłyszał i wracał do domu na obiad. Codziennie więc ta postać przewijała się w téj stronie miasta to rano do *Fary, gdzie Pan Jezus stary*, to do Thugutta.

Miał dwie córki młode, panny, ztąd bywały wieczorki tańczące u pana metrykanta, na których bywałem; uczęszczały też na zabawy tego rodzaju u Tomasa Świąckiego autora *Starożytnej Polski*, z którym żył w stosunkach zażyłej przyjaźni Majewski.

Świącki straciwszy żonę, którą wielce kochał, już nie powtórzył związków małżeńskich, jakkolwiek w 32 roku życia został wdowcem, oddając się cały wychowaniu i pielęgnowaniu swój jedynaczki Hilaryi. A dziecina wstawała hożo, i wyrosła w ślicznej urody dziewicę. Wzrostu wysokiego jak ojciec a składnego, płci alabastrowej ze świątym rumieńcem; oczy czarne, pełne życia i ognia, i włos kruczy, przy wdzięku całej postaci, stanowiły prawdziwie polskiej dziewicy urodę.

Świącki sprowadził siostrę swoją już w latach pannę, aby czuwała nad wychowaniem ukochanej jedynaczki, a gdy wyrosła, zawsze dawał w czasie zapust kilka wieczorów, gdzie zebrana młodzież akademicka i oficerowie wojsk polskich, podejmowani gościnnie i po staropolsku, ochoczo do świtu tańczyli. Mieszkał wówczas przy ulicy Podwale na pierwszém piętrze; ja jako uczeń czwartej klasy szkoły księży Pijarów, wszedłem wraz z siostrami na taki wieczór i po raz pierwszy poznałem Świąckiego.

W obszernym salonie już się zebrało dosyć młodzieży, boczne drzwi od przyległego pokoju były zamknięte, pokój obejmował bibliotekę naszego literata. Kiedy już niemal wszyscy zaproszeni goście zebrali się, przed zaczęciem jak zwykle poloneza, otwierają się drzwi tajemniczego pokoju dla mnie i ukazuje się wyniosła postać Świąckiego. Wzrostem nie wyrównywał wprawdzie Skorochodowi Majewskiemu i Plichcie, ale mało co był niższy i za to więcej smaglejszy, topolowej postawy. Głowa do wzrostu była nieco zamała, oblicze szczupłe, ale wyraz twarzy ujmujący i wdzięczny. Po raz to pier-

wszy ujrzałem tak blisko uczonego literata, bo chociaż mieliśmy świątłych iuczonych profesorów, ci wszakże spowszechnieli codzien-
nym widzeniem. Święcki już był wtenczas wydał: *Opis Starożytnéj
Polski*, w dwóch tomach; czytałem z zajęciem to dzieło, słyszałem
chlubne pochwały. Przypominam sobie dobrze, z jaką czcią odda-
łem mu pokłon, bośmy wychowani byli w szanowaniu zasług i star-
szego wieku; z jaką ciekawą nieśmiałością zaglądałem do téj bibliote-
ki, a następnie odważyłem się do niej wstąpić.

Niedługo szmer powstał w sali, wszedł mecenas Ziemięcki, oto-
czony trzema dorodnemi córkami, wśród których najmłodsza panna
Zaneta celowała wdziękiem, białą płcią i czarnemi oczyma, które jak
brylanty przyświecały. Za nim niedługo ukazał się drugi kontuszo-
wiec, p. metrykant Skorochód, którego dwie córki z matką już były
w gronie bawiących. Obaj z gospodarzem weszli do biblioteki,
gdziem zasiadł ukryty w kąci, patrząc na hasające pary. Nogi mi
drżały do tańca, bo taniec szalenie lubiłem, wszelako chęć usłyszenia
gawędy tych kontuszowców przemogła. Święcki chociaż nie chodził
w kontuszu, używał *kapoty polskiéj*, kroju surduta, ze stojącym kołnie-
rzem zwanym *kościuszkowskim*: nigdy fraka nie nosił.

Na małym stoliczku stały butelki ze starym węgryzmem, ulubio-
nym przez Majewskiego, był on bowiem wybornym jego znawcą.
Święcki w użyciu wina bardzo skromny, w późniejszych czasach cał-
kiem go zarzucił, gdy zaczął zapadać na oczy. Ziemięcki, jako da-
wny palestrant znał się na wartości *madziara*, lubo go wielce umiar-
kowanie używał; wszyscy trzej oceniali dobrze wartość tego trunku,
gdy odznaczał się wedle wyrażenia starych kontuszowców: *odore*
colorem et saporem, o którym Węgrzy mawiali, że „u uich rodzi się
wino, a w Polsce wychowywa.“

Muzyka brzmiała na sali, ochoce pary żwawo wywijają mazu-
ra, wśród których śliczna panna Hilarya, córka gospodarza królowa-
ła, a trzech polonusów wiodło zajmującą gawędę o przeszłości. Tu
górował głos silny pana Skorochoda metrykanta, kiedy wpadał w za-
pał i malował sceny boju, w którym brał udział. Ziemięcki cichszym
przemawiał tonem, przypominając głośnie sprawy toczone w trybuna-
le piotrkowskim, Święcki wspomnienia z lat młodych.

Wtedy zasłuchany w ich rozmowę, głuchłem na tony rzeźwe
muzyki, w przerwach tylko na salę rzucając okiem. Właśnie wywi-
jała dziarskiego mazura panna Zanetta Ziemięcka; ona po panie Hi-
laryi Święckiej zwracała urodą, wdziękiem i powabem wszystkich
oczy na siebie! Niestety! niedługo potem w mirtowym wianku, poło-
żoną w trumnę, powiedliśmy na Cmentarz Powązkowski.

Do jéj pamięci przychodzi mi szczególnie wspomnienie.
W starszój siostrze kochał się młody oficer-artysta i był już po sło-
wie; ale wedle ówczesnego zwyczaju, zaloty trwały po lat kilka: wre-
szcie pan oficer czekał na wyższy stopień, którego się spodziewał,
a tymczasem panna Zanetta z dziecinki pięknej wyrosła w zachwyca-

jącą dziewicę. W niej się też nasz artysta zakochał szalenic, ale miłość swoją, przez sam punkt honoru, w głębi serca zachowywał. Ubóstwiona przez niego ta istota, zaziębiwszy się, wpadła w suchoty i wprędce zmarła. Właśnie przyszedł w odwiedziny i z drżeniem duszy, pyta o jej zdrowie, gdy się dowiaduje, że przed chwilą skonała. Mężny żołnierz uległ pod tym strasznym ciosem padł i zemnął. Narzeczona, starsza siostra przybiega; trzeźwi, przychodzi do przytomności, rozgląda się i mówi patrząc na nią:

— Myślałem żeś to ty, moja droga, umarła!

Ale i téj nie powiódł do ołtarza, bo niedługo po zgonie Żanety, spoczęła obok niéj w jednym grobie!

Do wydatnych postaci, chociaż nie kontuszowców, ale znanych całej Warszawie, należał Antoni Magier professor nauk przyrodzonych, członek b. Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Urodzony w ostatnich latach panowania Augusta III, umarł licząc lat 75 wieku.

Lud naszego miasta, patrząc codziennie na szczycie dachu domu jego na *Piwnéj* ulicy pod nr. 95, na wystawione stopnie i zimna i ciepła, wspominał go z owém uszanowaniem, jakiémby się wyrażał o przemożnym czarodzieju. Sam w młodych latach nieraz słyszałem pogawędki starych mieszczan i naszych przekupek ze Starego-Miasta, które pojąć nie mogły, jakim sposobem Magier, może wiedzieć, wiele Bóg dał stopni *mrozu* czy *gorąca*? Blizcy sąsiedzi przyzwyczajeni do téj figury chudéj a wysokiéj, w zapiętym surducie, patrzéli ciekawie za wychodzącym na ulicę; a jeżeli w czas pogodny szedł z parasolem w rękę, pewni byli i wierzyli w blizką zmianę powietrza, że deszcz będzie padał i podług tego w niedzielę i święta zastosowywali swoje zamiary do wycieczek za miasto. Magier urodził się w Warszawie: ojciec jego miał handel win, a wuj był Jezuitą. Po ukończeniu szkół po-jezuickich, bawił jakiś czas na dworze Franciszka Bielińskiego marszałka wielkiego koronnego, a po rozbiórce kraju, gdy utworzono Liceum Warszawskie, mianowanym został profesorem fizyki i astronomii. Słynął ze swych spostrzeżeń meteorologicznych, które w gazetach umieszczał, a nad którymi w domu swoim na samym szczycie ponad trzecie piętro, w osobném do tego urządzoneń miejscu spostrzeżenia czynił, i ztąd od roku 1803 przez lat 25 okazywał mieszkańcom Warszawy stopnie zimna i ciepła. Mieszkanie jego przez długie lata, po zgonie sędziwego starca, zachowało się bez żadnéj zmiany, jak było za życia Magiera. Ściany zdobyły obicia gdańskie malowane na płótnie. Umierając, szczipły majątek podzielił na potrzeby zakładów ukochanego miasta; zostawił fundusz na wystawienie *kompasu* w miejscu dla publiczności przystępnym; dla zakładów dobroczynnych i dla wysłużonych aktorów sceny warszawskiéj.

Próby, czyli miary do wódek i wszelkich spirytusów, za urzędowe uznane, w wiele lat jeszcze po jego śmierci nazywane były jego nazwiskiem. Kilka dzieł wydał w swoim zawodzie cenionych w owe czasy; pozostawił nadto cenny rękopism p. n.: *Estetyka miasta sto-*

lecznego Warszawy, obejmujący opis tego grodu od r. 1764. Opis ten, jaki właśnie mamy przed oczyma, do trzech liber papieru zapisany ręką Józefy z Czarnomskich Łuszczewskiej, siostrzenicy Magiera, poprawiony jego ręką i zubożony oddzielnemi kartkami, które sam doklejał, służyć może za bogaty materiał dla kronikarza Warszawy, głównie do okresu Stanisława Augusta. Były to czasy młodości Magiera, do nich rad wracał sercem i duszą.

Pełno było w Warszawie typowych postaci z czasów jeszcze Rzeczypospolitej. Nie mało znajdowało się dworzan nie tylko z dworów magnatów, ale i z dworu króla Stanisława Augusta.

Znałem szlachcica z pod Łomży, Krajewskiego, co długi czas służył jako starszy dworzanin u szambelana Stanisława Trembeckiego znanego poety. Bawił przy nim w Tulczynie aż do jego śmierci. Opowiadał mi o nim szczegóły: przywidzę tu mniejsze.

Pan szambelan (mówił mi) nigdy nie dbał o czyste ubranie: nieraz chodził i cały tydzień w jednej brudnej koszuli. Gdy wezwano go do *grafa* (Szczęsnego Potockiego) na pałac, to gdy nie chciał wziąć czystej bielizny, chociaż półkoszulek białe mu zakładałem. Często bardzo się zapominał: kiedy wpadł w zamyślenie, opuszczał głowę na piersi i wtedy mówił do niego, bywało, długo, słowa nie odpowiedział, a jeżeli co bąknął, to jakby coś sobie z dawnych lat przypominał. Miał tam należyłość jakąś u nieboszczyka króla (Stanisława Augusta); dopominał się a dopominał daremnie; napisał więc list do synowca króla Jegomości księcia Józefa Poniatowskiego. W kilka tygodni otrzymał odpowiedź, nie wiedziałem wówczas co w niej było, ale wpadł w straszny gniew i uniesienie: czytał go kilka razy, a potem podarł w drobne kawałki, podeptał i rzucił na kominek. Usiadłszy przy swoim biurku, pisał w noc późną długo. Nazajutrz jeden z dworskich grafa przepisał bardzo ładnie, a mnie polecił oddać na pocztę. Ja kopia ręką pana szambelana napisaną zachowałem i mam jako miłą pamiątkę po moim panu.”

Uprosiłem Krajewskiego, że mi pokazał on list: charakter był drobny z wielkim pośpiechem, nawet drżącą ręką pisany; ale żadnych poprawek w nim nie było: śnać od jednego pociągu pióra skreślony. Oto jest cały.

Monseigneur!

„Stylu do mnie użytego nie przewidziałem i nie mogłem się spodziewać; kiedy komu dystyngowane ciągle oświadczają względy, jest w tém trochę barbarzyństwa, chcieć rozmyślnie takowe serca odpychać i obrażać. Rzecz o którą chodziło jest takowa. Mnie, zrujnowanemu zupełnie, król naznaczył tysiąc dukatów na opłacenie części moich długów i nieuskuteczniejszy umarł. Udaje się do jego synowca i prosi go samego rozpoznać tę pretensją. Jeżeli mi ją sam przysądzi, dobrze jest: jeżeli nie przysądzi i tém się kontentuję, bez żadnej apelacji. Już na tém wszystkoby się skończyło, i nie potrafię zgadnąć czemu się nie skończyło?

„Oddaję pod sąd którejkolwiek osoby, czy z grubych, czy obyczajnych narodów, czyli tu w czémkolwiek uchybiłem? Książę synowiec życząc sobie zatrzymać to, co mi stryjowska destynowała sprawiedliwość i nie chcąc sam być sędzią, choć go o to proszono, odsyła mnie do komisji. Aż póty, nie mam na to nic odpowiedzieć, wszystko to jest w naturze. Jedna ztąd dla mnie wynika szkoda, że nie mam szczęścia, jako widzę, od księcia być znanym. Żeby więc o mnie błędnej nie miał opinii, obiecuję mu i niechybnie dotrzymam, iż jeżeli przypadkiem komisja tę kwotę przysądzi, tegoż samego dnia, którego się jój dotknę, rozdaję ją na uboższych odemnie, aby prosili Boga, żeby On tym, którym znakomite zwykł dawać męstwo, wszelkich także innych udzielać raczył darów. Tu koniec interesu.

„Teraz niech spytać mi się godzi, jaka przymuszała potrzeba, aby bilet książęcy do mnie, napełniony był *persyflazem* od początku do końca? Ustupując w każdej innej mierze, mam sobie za obowiązek przestrzedz, że z takowej strony ja mocniejszy jestem, ale do osób, którym cokolwiek należy względu, używać go nie zwykłem, a nawet ani do mnie używanego nie lubię, a czasem i niecierpię. Jestem z profesji miłośnik prawdy, wyraziłem był, iż nie wiem czy kto więcej nademnie dla króla podjął *hazardów*, i to jest najczyściejszą prawdą. Na to książę odpisuje, iż wie, że ja dla króla *robilem wiersze*.

„Były niegdyś wieki tak grube, tak ciemne, w których rozumiano, iż człowiek umiejący pisać albo czytać, niewieściuch jest i do niczego więcej zdać się nie może. W naszych czasach inne jest zdanie, i gdyby świadectwo za sobą samém nie było podejrzanę, powiedziałbym, iż ani mniej, ani więcej, ale właśnie tyle znam się z ruszniczym prochem, ile z piaskiem do posypywania. Jeżeli to być może, na kolanach proszę, aby temu książę na gołe słowa uwierzyć raczył.

„Nie chcę podnosić wiele innych nieprzyzwoitych i przykrych wyrazów biletu, bo to mogłoby zaprowadzić dalej, niż pragnę. Zostaje mi najpokorniej suplikować o jedną łaskę i już nigdy więcej o żadną drugą, a ta jest, aby książę Jegomość wszelkiego do mnie pisywania, łaskawie przestać raczył na zawsze; gdyż to mogłoby mnie uczynić nieszczęśliwszym niż jestem dotąd, co byłoby przeciwko wspaniałości i słuszości.”

Owóz list co do słowa: na końcu położył tylko Trembecki cyfrę swoją *S. T.*

Opowiadał mi Krajewski, że po otrzymaniu biletu księcia Józefa Poniatowskiego, szambelan ze dwa tygodnie chodził jak obłądny, że słowa nie można było dobyć z niego. Nieraz się tak zamyślił, iż chodząc po ogrodzie *Zofjówki* uderzał się o drzewa, albo mało co nie wpadł w wodę.

— Strzegłem go, panie, jak oka w głowie, zawsze pilnując jak wychodził do ogrodu. Później orzeźwił jakoś, ale nie długo umarł, i o! jedyna pamiątka!

A to mówiąc ze łzami w oczach zawijał w biały płócienny płatek on list Trembeckiego, który niemało dodaje nam rysów do charakteru słynnego poety, który najwyborniejszym odznaczał się językiem ze wszystkich poetów okresu Stanisława Augusta.

Książę Józef słusznie go nie lubił, bo jako człowiek, nie zasługiwał bynajmniej na szacunek; *pretensye* jego sprawiedliwie odsyłał do *komisyi*, która zajmowała się po śmierci króla, niepozostającym majątkiem, ale długami, których pozostawił mnóstwo. Zdziwił się więc niepomału, gdy otrzymał list Trembeckiego z żądaniem zrealizowania na brzęczące złoto obietnicy swego stryja. W oburzeniu usprawiedliwioném odpisał mu, że wieć tyle, że szambelan dla niego *robił wiersze*. Tak też było w istocie, a mnóstwo tego rodzaju utworów zalecających się werwą i potęgą języka, które były najwyższą pociechą Stanisława Augusta, wstyd publiczny skazał na wieczne zatracenie, druk nieśmiał ich powtórzyć i rozpowszechnić. Jakie *hazardy* dla króla Trembecki robił, o których z takim naciskiem pisze, nie wiemy; chyba tylko usługi szambelańskie dotyczące osobistych interesów jego, albo przypomina, że był agentem Stanisława Augusta i jeździł do obozu konfederatów barskich, ażeby przemawiać na stronę królewską. Zawsze naszym zdaniem, na ostrość wyrażen księcia Józefa zasłużył, a śmieszna jest szambelana wspaniałość, gdy zapowiada, że gdyby odebrał owe tysiąc dukatów, biedniejszym je rozda! Nie miał więc potrzeby upominać się o takowe.

Krajewski wyjechał później do rodziny w okolice Zambrowa, gdzie w kilka lat skończył życie. Poznałem go u pokrewnych jego w Warszawie, były to matka i córka, wierne typy naszych prababek. Matka pani Słończyńska liczyła ośmdziesiąt lat z górą, ale na pomarszczoném obliczu żywy jeszcze rumieniec pozostał. Córka jej pani Krajewska, chodząca w starym robionie, pod którym miała kilka torebek i poduszeczek do śpilek i igieł, miała lat sześćdziesiąt kilka.

Słończyńska była przełożoną niegdyś nad baletem nadwornym króla Stanisława Augusta, ochoczo też opowiadała o tamtych czasach. Pobożna i surowej enoty matrona, w szczególnym rygorze trzymała swoje tancerki, a wszystkie były to młode i urodne panny.

Raz schwytała bilecik pafia królewskiego, zapraszający jedną z najpiękniejszych tancerek na schadzki.

— Tak zaraz, moje dziecko (mówiła mi) pojechałam kareta do króla Jegomości, prezentowałam się sama i prosiłam o surową karę. Paż poszedł na trzy miesiące do aresztu, a pannę zaraz fora! z baletu. Płakała, prosiła, ale daremnie. *Fora ze dwora!* musiała być kara dla przykładu. Zaszlochana tego samego dnia zabrała swoje *manatki*. I niedługo zmarniało biędaćwo! Ów paż, znowu zaczął *harować*, mając więcej swobody. Ot! co gadać, moje dziecko, poszło na marność śliczne dziewczę i w szpitalu skończyło! Byłam przy jej skonaniu, a to wiórek suchy został, z takiego jak róża dziewczęcica. Umarła na moich rękach, żałując za błąd swój i niesłuchanie rad star-

szych: zapłakałam gorzko i moim pannom stawiałam ją zawsze na smutny przykład.

Pod takim dozorem ostrym pani Słończyńskiej sływały tancerki ze skromności, to też wielu młodzieży ubiegało się o ich rękę. Dość nam tu przywieść panią Żółtowską, późniejszą generałową. Oddawszy rękę kapitanowi Żółtowskiemu, dzieliła z nim trudy dalekich marszów po Europie. Piękna i powabna niewiasta, strzegąca swój godności, była celem czci i wielbienia wszystkich co ją bliżej znali.

Wspominając kobiety tego okresu, trudno zapomnieć dzielną postać Joanny Żubrowej, sierżanta 17 pułku piechoty liniowej armii Księstwa Warszawskiego. Poznałam ją w roku 1816 czy 1817. Oblicze jój śniade, oczy czarne, rysy wydatne, grube, lekki zarost, mina marsowa, wzrost dobry, ruchy śmiałe, nie łatwo dawały domyśleć się płci pięknej.

Już od kampanii austriackiej zasłynęło jój imię pomiędzy żołnierzami, gdy pierwsza z odwagą bohaterską wdarła się na szanice Zamościa, przy zdobywaniu téj twierdzy. Tu otrzymała krzyż srebrny *virtuti militari*, który nosiła na piersiach. Mówiono że porucznik Maciej Żubr, zachwycony jój walecznością rozkochał się i ożenił, ale Grzegorz Pluciński kapitan w którego kampanii oboje służyli, i znał ich zbliska, pisze w swym pamiętniku, że razem z mężem zaciągnęła się do wojska: nikt nie wiedział, że Joanna jest kobietą, i udawała się za młodszego brata swego męża: postawa jój, rysy grube, i obejście żołnierskie, pokrywały dobrze jój płeć niewieścią.

Na wyprawie 1812 roku pod Bychawą nad Dniestrem, porucznik Żubr podczas ciemnej nocy wysłany na zwiady, oskoczony został zniecka przez liczny zastęp kozaków: już sądził, że spotka go śmierć lub niewola, gdy Joanna posłyszawszy strzały, zmiarkowawszy o niebezpieczeństwie męża, bierze z sobą kilkunastu zuchów i pośpiesza mu na pomoc. Niespodziana pomoc zmieszała nieprzyjaciół tak, iż po krótkim oporze, straciwszy kilku ludzi, pierzchnęli. Skoro wiadomośc ta do sztabu dywizyi przysłała, generałowie wyprawili dla dzielnego sierżanta obiad suty, na pierwszym miejscu Joannę posadzili, pijąc z zapakem jój zdrowie ¹⁾.

Maciej Żubr wesoły, towarzyski, wylany dla kolegów, częstokroć nietylko swój ale i żony żołąd przehulał: ztąd naturalnie powstawały małe małżeńskie swary. Sierżant Żubr czynił ostre wymówki porucznikowi Żubrowi, a ten, żeby mieć rychlój spokój, uciekać się niekiedy musiał do powagi swojego stopnia, to jest po prostu aresztował sierżanta Żubra, za brak subordynacyi i za okazane nieuszanowanie dla porucznika Żubra. Ale to tylko były małe chimurki w pożyciu; bo nie było przykładowiejszego nad Żubrów małżeństwa: on odważny

¹⁾ Sędziwy Prot Leleweł (brat młodszy Joachima), który w téj kampanii miał stopień kapitana, żyjący dotąd opowiadał mi, że był obecnym na téj uczcie.

wiarus, Joanna dzielna i zająca kobieta i wszyscy ją szanowali. Po wyjściu z wojska zamieszkali w Wieluńskim, gdzie pan Maciej otrzymał posesję w lasach rządowych. Tu gdy mu pan komisarz obwodowy ostrém słówkiem dociął, a Żubr, jako podwładny, zmilczeć musiał, dawny sierżant wyzwał go na pojedynek na pistolety, do którego stanąć musiał i zaledwie przyjaciele to zajście zgodnie załatwili. Kiedy zrzuciła mundur, przywdziała suknię kobiecą czarną, pod szyją zapiętą; ale i w tym stroju była zamaszystą: błyszczący krzyż wojskowy na piersiach, i postawa żołnierska zwracały na nią każdego spojżenia.

Poznałem wtedy już w ubraniu kobiecém sierżanta Joannę, która z każdym ze znajomych witała się po wojskowemu. Przedtem mieszkała jakiś czas w Warszawie, następnie bywała w naszym mieście, a wszyscy na ulicy ustępywali jój miejsca z uszanowaniem ¹⁾.

Wiele w murach Warszawy spotykać można było konfederatów barskich i kaleków z dwóch ostatnich wojen 1792 i 1794 za Stanisława Augusta. Gdziekolwiek znajdowałem jeszcze starców, co dobrze zapamiętali czasy Augusta III, a zwyczajną ich gawędką były opowieści o wyprawach Sobieskiego, którego pieśczośliwie nazywali królem *Sobkiem*; o wojnie niszczącej kraj cały za Augusta II z Karolem XII królem szwedzkim i pełne życia porwy konfederatów.

Jużem był w drugiej klasie u Pijarów, gdy raz będąc na mszy świętej z matką moją u Fary, wprost kaplicy *Pana Jezusa*, poczułem lekkie jój ręką dotknięcie i słowa pocichu wyrzeczone:

— Patrz na tego wysokiego co idzie: to Kuźma, co porwał króla!

Nasłuchałem się dosyć o tym głośnym wypadku, więc patrzałem na wskazaną osobę ciekawie ²⁾. Ukłąkł pobożnie na schodkach do kaplicy wiodących i całą mszę z wielką się skruczą modlił. W parę dni przyszedł do rodziców moich. Ojca mego znał dobrze z dworu królewskiego, na którym jakiś czas bawił, ale go nie zastał. Właśnie wróciłem z klasy: wziął mnie na kolana, huśtał i opowiadał o czarodzieju Twardowskim, jak porwany przez dyabła z karczmy *Rzymem* zwanéj i niesiony w powietrzu do piekieł, zaśpiewał jedną z godzinek, które układał w młodych latach. Dyabeł odskoczył od niego a Twardowski zawieszony w obłokach wisi tam do *dnia sądnego*.

— Wieczorem tylko uważaj, mój paniczku (mówił Kuźma do mnie) jak księżyc na nowiu, to poniżej jego, jest gwiazdka i ciemna smuga: to gwiazdka Twardowskiego, a czarna smuga to cień od jego ciała!

¹⁾ Maciej Żubr umarł w r. 1849, Joanna w 1852. Prawy obojga charakter, dobroć serca i miłosierne uczynki, znane były powszechnie i zjednały im wdzięczną pamięć.

²⁾ Całą postać Kuźmy szczegółowo opisałem w pierwszej części: *Warszawa i jój Społeczność*, 1875 na str. 138.

Kuzma brał pensją roczną od króla, później płacili mu jeszcze czas jakiś: mieszkał spokojnie we Włoszech, skazany na wygnanie z kraju. Ale gdy od lat dwóch nie odbierał należności swojej, przybył w tym interesie do Warszawy, starał się długo, był kilka razy w domu moich rodziców, i umarł w témże mieście dnia 12 czerwca 1822 roku. Byłem z ojcem moim na jego pogrzebie, zaledwie sześć osób szło za ubogim karawanem: pochowano go na Powązkach. Legioniści nasi we Włoszech unikali go starannie: uczuł to boleśnie i nieraz się skarżył na tę obojętność rodaków na obcej ziemi.

W tym czasie prawie poznałem starego szlachcica, niskiego wzrostu, szczupłego; nosił się po polsku i szczególniejszym sposobem utrzymywał się porządnie. Biegły heraldyk, znał niemal wszystkie rodziny polskie, chodził więc po hotelach i domach zajezdnych od rana do wieczora, wyczytywał z listy nazwiska przyjezdnych gości i zaczynał swoje odwiedziny.

Kłaniał się z przyzwoitą godnością i zaraz rozwodził z genealogią, w końcu której okazawszy że był bliskim krewnym ojca lub matki, zamykał rzecz swoją przymówką do kieszeni. Kiedy szczęśliwym trafem znał kogoś rzeczywiście z rodziny tego, kogo nawiedzał, umiał tak zręcznie poprowadzić gawędkę swoją, to śmieszac to rozkwilając słuchacza, że suty nieraz datek otrzymał. Zwyczajną jego opowieścią a prawdziwą, było szczególne zdarzenie, które go pozbawiło całej fortuny.

Mikołaj Potocki, znany pod imieniem *starosty kaniowskiego*, pożyczając pieniądze, wystawiał rewersa, ale nikomu płacić nie myślał. Nasz szlachcic, palestrant z trybunału piotrzkowskiego, za marną zapłatę ponabyczał ich wiele, a ufny w znajomość prawa i czystość sprawy, kupiwszy parę koni i przyjąwszy pacholika, wybrał się do Kaniowa.

Właśnie wesoła była pohulanka u pana starosty, kiedy przed pałac zajechał. Wszedł z pokorną miną na pokoje, przedstawił się panu kaniowskiemu wyłuszczając treść swego interesu. Wkrótce usłyszał jak pan starosta zawołał:

— Hej! moiści marszałku! a przyjmij waszeć należycie tego szlachcica!

Podniósł rękę w górę, i palcami dał jakieś znaki. Marszałek wziął go pod swoją opiekę, sutą zastawił wieczerzę, ale potem rzekł do niego:

— Żleś waszeć zrobił coś tu przyjechał, wlażeś wilkowi w paszczę, bo nie wiem, czy wyjdiesz ztąd cało. Najprzód oddaj wszystkie, jakie masz rewersa a cyrografy pana starosty, bo muszę mu je zaraz odnieść: opór byłby daremny, taki mam rozkaz, a on kpi sobie z prawa i ze wszelkiej władzy.

Szlachcic dobył z zapazuchy papiéry i wręczył je marszałkowi: wynosiły sumę przeszło 60,000 złp. Ten je zabrał, niedługo powrócił i objawił dekret starosty. Szlachcic aż cały spotniał, płakał,

wypraszał się: marszałek człek litościwy przyrzekł, że co tylko będzie w jego mocy, wszystko zrobi, aby mu tylko życie ocalić. Biedny szlachetka, przemodlił noc całą na kolanach i przepłakał rzewliwie.

Nazajutrz starosta kaniowski około południa zaprosił swoich gości na widowisko, jak jego młode *pokurcze* będą *brały* niedźwiadka z gatunku dobrych *bartników*, co mu szkody niemało narobił w lesnych barciach, bo wydziérał miód i pszczoły niszczył.

Zasiedli goście pod wystawą pałacową: z klatki wybiega ou niedźwiadek na czworakach, ale zaraz stanął na dwóch łapach i zaczął biedz ku wystawie.

— Puszczaj psy!—krzyknął z gniewem starosta.

I dwa pokurcze rzuciły się wściekle na dzikiego zwierza: ale niedźwiadek zamiast się bronić, gdy go pierwszy pierściami uderzył i przewrócił, w głos zaczął krzyżeć:

— Jezus! Marya! Józef! ratuj mnie grzesznego!

Tym niedźwiadkiem był on szlachcic, z rozkazu starosty obszyty w skórę niedźwiedzią; litościwy a zacny marszałek otulił go jak mógł grubą podściółką, ażeby go psie zęby niełatwo dojęły.

Na wrzask ludzki *bartnika*, kobiety przerażone mdleć zaczęły, goście błagać starostę, bo marszałek zaufanym szepnął na ucho, kto to był w skórze niedźwiedzia. Przecież umitygował się pan starosta, darował biedakowi życie, ale zabrał mu oprócz rewersów bryczkę, rzeczy i konie, tak, że wrócił z pacholikiem pieszo w tém tylko jak stał, i gdyby nie marszałek, co mu wsunął na drogę trzydzieści złotych, chyba o zebranych chlebie doszedłby do domu. Tak, co miał gotowizny wydał na skupywanie rewersów, na bryczkę i konie; małą *fortunkę* po rodzicach zadłużwszy musiał sprzedać, a zamieszkałszy na bruku w Warszawie, własnym się przemysłem utrzymywał. W rozmowie był miły, zasobny w dykteryjki dowcipne i zabawne: była to kronika chodząca, co znała nawet tajemnice wielkich domów w Polsce. Pamiętam dobrze jego kontusz jasno szaraczkowy, żupanik perłowy, i zszarzaną rogatywkę z białego sukna czarnym barankiem obszytą; pas niegdyś srebrzysty, podarty opasywał ten żupan: w ręku nosił trzcinę z toporkiem, którą *czekanem* nazywał.

Przeciwnieństwo w tym malutkim polonusem, stanowił szlachcic olbrzymiego wzrostu, ogromnej siły, barchysty, szerokich pleców, na których nosił głęboką bliznę, jak opowiadał głośno: „od katowskiego miecza.“ Nazywano go panem Jacentym, nazwiska jego nie pomnę. Skazany, jak utrzymywał, niesłusznie i pod naciskiem przemocy, za panowania ostatniego Sasa na ścięcie, niedozwoliwszy sobie ręk związać ani oczu zasłonić, ukląkł, oddając głowę pod miecz kata. W téj chwili słońce zajaśniało, po cieniu ułrząwszy jego zamach, bojaźnią niesłychaną zdjęty, porwał się na nogi, a miecz zamiast w szyję, w szerokie go ugodził plecy, aż się zatoczył Jacenty; ale strachem gnany poskoczył i nim się opatrzone, wpadł do poblizkiego

kościół, rzucił się na stopnie ołtarza i omdlał. Proboszcz miłosierny kapłan, kazał drzwi świątyni Pańskiej zamknąć, przeniósł go do zakrystyi, gdzie mu opatrzono głęboką ranę, a gdy minęło niebezpieczeństwo, na plebani przetrzymał, dopóki się zupełnie nie wygoił. Nikt na niego nie następował, każdy stawał w jego obronie, bo wiadano, że egzekucya odbyła się przez zemstę miejscowego panka. Nie mając po co wracać do swój zagrody, służył później wojskowo w konfederacyi Barskiej; następnie należał do najlepszych sejmikowych rębaczy hetmana Branickiego: w ostatku zubożony, chodził prosząc o zasiłek i każdemu opowiadał swój wypadek, zaczynając od tych słów:

— Jestem ten, co mnie kat ciął, a nie ściał!

Ciekawym pokazywał potężną na plecach bliznę.

W ogrodzie Krasińskich, na ławeczce, gdzie nie dochodziło słońce, siadywał staruszek zgarbiony, już dobrze w lata zaszyty, z torebką u boku, w której chował małe skrzyпки. Widywałem go często rano i wieczorem, czasem grywał na nich, wydobywając z tych skrzypek rzewne tony, a grał biegle i umiał smyczkiem swoim płakać! Przechodzący darzyli go, za co spojrzaniem zażawioném dziękował. Widywałem go tam jednak tylko wiosną i latem do późnej jesieni. Raz w téj porze, wśród przenikliwego zimna i szronu, przed samém mojem mieszkaniem upadł i zranił się lekko w głowę. Orzeźwiał w ciepłym pokoju, patrząc na rozpalony suty ogień w piecu. Posilony gorącym piwem i resztkami obiadu, z chciwością pochwycił podaną sobie fajkę i z wyraźną rozkoszą puszczał kłęby dymu.

— Niech ci Bóg, mój paniczu, nagrodzi—przemówił drżącym od wzruszenia głosem—ja tak rad dawno nie byłem, chyba na zamku ksiąząt Siewierskich w swojej izdebce.

— A cóżeście tam robili?—zapytałem.

— Ha! ha! ja byłem kapelmistrzem nadwornym; bo ja skrzypek, panie i niezły skrzypek! dodał z pewnym rodzajem dumy. Miałem dwudziestu grajków, których wyuczyłem tak, że jak urzęgli, panie, to jak orzech zgryzł, aż się dusza śmiała! Ho! ho! był dostatek w domu niemały, człowiek w takich łątach nie chodził, ale Bóg dotknął i przysłał biędę, a potem nędzę.

Stary się zadumał, głowę opuścił na piersi i dwie łzy spadły na wywiędłe oblicze; lecz wkrótce orzeźwiał napowrót, drobna jego twarz rozweselała, uśmiech radosny przeleciał: to wspomnienie dawnego szczęścia wywołało ten spokój na oblicze starca.

— Żyło się, panie, wesoło. Bywało, zjazd spodziewany, to my już czekamy na przybycie pana! Zajeżdża, witamy huczną muzyką; odjeżdża, żegnamy! Pan dobywa sakwy złotem nadzianej, a hojny dątek czuje kapelmajster w ręku. Imieniny naszego pana, bywało, komponuję jakiego marsza lub poloneza; to panie 30 i 50 dukatów w darze, zegarek, do tego tytuniu tureckiego worek i wina antatek.

Tak rok za rokiem trzos mój pęczniał nie żartem, więc człowiek pomyślał o żonie, boć to i siwizną zaglądała; one kwiatki cmentarzowe, nieproszone, zaczęły śnieżyć półtrochu czuprynę.

Sliczna i młoda była na zamku córka kamerdynera Niemca; wyuczył się niezłe po polsku, a Krystyna tu urodzona, doskonale mówiła naszym językiem. Zakochałem się w niej po uszy, choć przyjaciele odradzali: nie żeń się z niemką, bo to ladaco; szukaj polskiej dziewczoi: nie słuchołem na moję niedołę. Z ochotą oddała mi swoję rękę, byłem bardzo szczęśliwy, mozesz mi pan wierzyć. Książę biskup (Sołtyk) abym był bliżej na zawołaniu, dał mi wygodne mieszkanie w zamku. Panicz wie, co to był za wspaniały zamek, z wyniosłą wieżą nad *Czarną-Przemszą!* To gmach prawdziwie pański, obszerny i dostatni. A jakie tam życie bywało, jakie wesele i radość, kiedy książę pan zjechał! Nasza kapela rywalizowała, panie, z częstochowską, i ja, jak mnie panisko widzi, podniosłem siewierską kapelę tak wysoko, że częstochowska w kąć poszła! Brałem zdolniejszych chłopców ze wsi okolicznych, synków mieszczańskich i urządziłem wyborną kapelę, taką, kochany panisku, że książę biskup zabierał z nich lepszych grajków do Krakowa, do biskupięd rezydencyi. Mój Boże! książę nasz, dobry pan, daleko się najprzód odbił od nas; nie mieliśmy grać komu; potém gdy wrócił i przed światową wichurą schronił się do swego zamku, graliśmy tylko przy Mszy świętėj, ale już nigdy we wspaniałej sali! Książę pan osowiał, potém umarł. Siewierski zamek, wraz z całym księstwem Austrya zabrała; spustoszała gmach, dwór się rozbiegł, a gdy go ludzie opuścili, zaraz ruina zajrzała do niego.

Przed kilkunastu laty szedłem tamtędy, wstąpiłem do zamku. Miły Boże! zapłakałem gorzko, ani żywęd duszy nie znalazłem! Wielka sala stała pusta, nasz ganek, na którym z kapelą przygrywałem, nadgnił, spróchniał; już zaczęła siekiera łupieżców wyrębywać słupy, co go podpięrały. W żadném oknie ani ram, ani szybki! Utrzymały się tylko marmurowe kominy z herbami książąt; zajrzałem do sypialni dobrego naszego pana: strach mnie zdjął na takie pustkowie! Zdało mi się że widzę poważną, świętą postać naszego księcia biskupa! Zbiegłem po schodach już zniszczonych, jakaś siła ciągnęła mnie zajrzeć do mieszkania naszego, gdzie z moją Krysią był lat kilka tak szczęśliwy! Niedaleko to od bramy zamkowej, okna wychodziły na *Czarną Pszemsę* i piękny ogród. Miałem tam małą komnatkę, w niej mogłem komponować swobodnie, bo nic nie przeszkadzało i natchnienie bywało wtedy na zawołanie, bom słyszał głos moję Krysi. Tu urodziło mi się dwoje ukochanych dzieci, moje duszki miluchne; tu płakałem tylko w radości, zanim zapłakałem z rozpaczy. Wchodzę, zimno mnie dreszczem przejęło: sufit zawalony, bo dachu oddawna nie było, wiatr w pustce tēj świstał przeraźliwie! Daremnie szukałem śladu naszej sypialni, gdzie kołyski moich gołąbeczków stały! Patrz panisko! dwie tylko było izb, a do tych już w tēj ruderze trafić nie mogłem! Dobyłem z torby podróźnej mo-

je ukochane skrzypki, siadłem na progu i płacząc grałem, a skrzypki tonami swojemi szlochały. Płakałem starzec niedołężny, bo mnie Krysia zwiodła: uciekła z jakimś paniczem. Dzieciątka moje zmarnowały się, pomarły, a ja zostałem sam ze skrzypkami, z których już czystego głosu skostniałe palce i drżące teraz wydobywać nie mogą. Jak długo grałem nie wiem, ale kiedy zmęczony ustał, ujrzałem starca jakiegoś w łachmanach, opartego na kiju i słuchającego moich skrzypek.

— Pan Antoni!—zawołał.

— Tak! to ja! odrzekłem i poznałem znajomego szatnego księcia biskupa, co w miasteczku zamieszkiwał. Zawiódł mnie do siebie, nakarmił, napoił, nie puścił nawet od siebie. Bawiłem u niego z parę tygodni, nie miałem się po co śpieszyć, wyszedłszy na żebrzącego muzyka! O! bo Krysia widząc, że coraz gorzej koło nas, zabrała wszystko czém się ratować w biedzie mogłem, zostawiając drobne i małe sierotki! Stefan (tak się zwał pocziwy szatny, co mi dał chwilowe przytulisko), widząc jakem ją kochał, dopiero po kilku dniach mi powiedział, że nie uszła ona strasznej kary Bożej! Opuszczona przez tego dla którego dom, męża i dziatki swe porzuciła, odarta ze wszystkiego, co odemnie wyniosła, biedna i blizka śmierci, przywlokła się w dawne strony! Widział ją siedzącą na progu naszego mieszkania, płakała rzewnie jak bóbr zalewając się łzami, pod krzyżem, com go postawił nad mogiłą dwojga dzieci. Poszła ztąd do Krakowa, ale zmarła gdzieś w drodze! Ot i wszystko, mój panisku. Już czwarty rok jak przywlokłem się do Warszawy, grywam czasem na skrzypkach i coś zarobię; czasem pozebrzę oczyma, bo nie mogę słów do żebraniny wymówić. Tak żyję, choć nieraz suchy kawałek chleba rozmoczony w wodzie, połykam i kruszę dziąskami, bo zębów nie mam! Niedziwota! ośmdziesiąt lat, człowiek biedny nosi ciężar życia!

I starzec zmęczony opowiadaniem, oparł głowę o poręcz krzesła i zaczął drzémać. Wpół godziny obudził się, powstał i zabrał się do odejścia.

Złożyliśmy składkę na nieszczęśliwego kapelmistrza dworu książąt Siewierskich, za którą miał przyodzieżek, ciepłą stancyjkę i żywność na rok cały. Nie dożył jednakże roku, bo w piękny dzień majowy odbył ostatnią pielgrzymkę swoją do mogiły, gdzie równocześnie spoczął tak zwany ów *plaszcz niebieski*. I ogród Krasińskich utracił odrazu dwóch swoich gości codziennych, którzy w przeciwnych alejach, wśród cienia drzew gęstych nieprzeszkadzając sobie, wabili słuchaczy do siebie: Dziubiński tęsknemi tonami rzewnej liry, a stary Antoni kapelmistrz księcia biskupa Sołtyka, strunami skrzypek swoich, które serdecznemi łzami odwilżał.

XIII.

Okolice Warszawy.—Wola.—Pałacyk.—Brühl i Poniński.—Cagliostro.—Pole elekcyi królów.—Szopa.—Czerniaków.—Stanisław Lubomirski.—Widzenie.—Relikwie św. Bonifacego.—Cud w sądzie.—Odpusty.—Kramy.—Kazimierz Brodziński.—Grobowiec towarzysza Beniowskiego.—Bielany.—Dawna tradycja.—Kazimierz książę Mazowiecki.—Knieje.—Przejażdżka na Zielone Świąta.—Król Stanisław August.—Wieś Gołędzinów.—Obrzęd weselny.—Pustelnik z Krakowskiego-Przedmieścia.—Poemat Bielany.—Pan Stefan.—Państwo sędziowstwo.—Amelia i Adolf.—Staniszewski przeor Kamedułów.—Ulewa i przygody.—Komornik i lichwiarz.—Spotkanie po wielu latach.—Grób Stanisława Staszica.

Ludność Warszawy tak różnobarwna, a ciągle wzrastająca, miała swój właściwy kalendarz, dni i pory roku oznaczone, w których obchodziła uroczystości stałe, wraz ze zwyczajami z dawnych wieków przechowanymi; miała miejsca w różnych okolicach miasta bliższych i dalszych ulubione, w których się na nie gromadnie zbierała.

Równy z wiosną pogodną a ciepłą zaczynali mieszkańcy naszego grodu wycieczki swoje. Rozpoczynały się one w początkach maja każdorocznie od odpustów w *Woli* pod Warszawą. Wieś ta, właściwie zwana *Wielka-Wola*, z murowanym kościołkiem parafialnym, należała za *Wazów* do starostwa warszawskiego. Za króla Jana Kazimierza liczono jej odległość od miasta na milę. Spalili ją Szwedzi za Karola Gustawa; w czasach panowania Augusta III posiadał ją Fryderyk Brühl, jako starosta warszawski, gdzie często w pałacyku ozdobnym, który zbudował, świetnie wyprawiał uczy. Na mocy zezwolenia stanów sejmowych, nabył tę włość na własność (i wtedy przeszła w dobra ziemskie), książę Poniński podskarbi koronny, obłożony klątwą narodu. Gwarne tu nie ustawały zabawy, bo pan podskarbi lubił hulaszczę życie. U niego w pałacyku tym przemieszkiwał długo Józef Balsamo Cagliostro, sławny w Europie kuglarz, obiecując Ponińskiemu że odkryje mu tajemnicę robienia złota. Podskarbi, który dla posiadania go duszę byłby oddał, hojnie tego szalbierza podejmował; mnóstwo pań z koteryi zamkowej odwiedzało Cagliostra i hojnie go opłacało, nabywając od niego cudowne *eliksiry i balsamy* mające odmładzać twarz i płeć zachowujące czerstwo.

W czasie oblężenia Warszawy 1794 roku, Wola na linii strażów będąca, od oblegających Prusaków spalona została, a wspaniale i kosztownie ozdobny wewnątrz pałacyk zgorzał i rozsypał się w gruzy.

Rozległe równiny poza Wolą, głośnie są w dziejach naszych wyborem królów od śmierci Zygmunta Augusta w 1572 r. W środku nich, na tém, jak zwano, *polu elekcyjnym* stawiano obszerną szopę drewnianą, w której prymas wraz z panami rady i senatorami, przyjmowali postów zagranicznych z całej Europy, dawali im posłuchanie, przyjmując listy wierzytelne, gdy szlachta, konno i zbrojnie, porządkiem województw ustawionym pod ich i ziem swoich chorągwiami, oczekiwała na wybór nowego króla. Inicytywa wychodziła z owiej szopy, i szła pod zatwierdzenie koronnych wyborców. Zdarzało się nieraz, że wbrew woli panów senatorów, ogłoszonym przez szlachtę został

ten, o którym wcale w *szopie* elekcyjnej niemyślano, jak było z Michałem Korybutem, a później ze Stanisławem Leszczyńskim wyniesionym na tron wołą Karola XII i w ostatku ze Stanisławem Poniatowskim. Z powodu elekcyi na tych polach i tłumnie zbierającej się szlachty do wyboru króla, jak panów i duchowieństwa, powstało przysłówie licznego zgromadzenia: „*Gromadnie jak pod Wola.*”

Od połowy maja, cała ludność Warszawy tłumnie rozpoczynała wędrowniki, w przeciwniej od Woli stronie, do wsi *Czeraniakowa* na odpust, o małą milkę od miasta położonej. Wieś ta należy do tych osad szlacheckich starych, które już istniały w czasach udzielności książąt Mazowieckich. Była wówczas własnością i gniazdem rodziny Czerniakowskich herbu *Łada*, przechodząc następnie przez rozmaite ręce, została własnością koronną. W roku 1683 Ujazdów pod Warszawą wraz ze wsią Czerniakowem konstytucya sejmowa nadała Stanisławowi Herakliuszowi księciu Lubomirskiemu marszałkowi wielkiemu koronnemu. Był to mąż dobrze zasłużony Rzeczypospolitej, światły i pobożny, a przytém pisarz na owe czasy znakomity. Pozostawił wiele prac w językach łacińskim i polskim; z ostatnich najważniejsze są: *Rozmowy Artakserksesa z Ewandrem* r. 1694—1718, jak Stanisława Lubomirskiego, *Próżność i prawda* (1705 r. wydane), pełne zdrowego sądu i czystym ojczyzym językiem napisane.

Wedle miejscowego podania był tu przed laty las gęsty, pełen starodrzewu: dębów, lip, modrzewiu i wiekowych sosen; w nim po pracy lubił używać Lubomirski swobodnej przechadzki pod ich cieniem, wśród skwaru słonecznego. Chodził raz zadumany, rozmyślając o nieśmiertelności duszy, gdyż powątpiewanie zakradło się w jego umyśle. Nagle, z najgęstszego boru ujrzał wychyloną, jakoby z mgły, ale wyraźną postać swego przyjaciela, co zginął w obronie Wiednia 1683 roku, przy boku króla Sobieskiego. Duch ten przemawiał do niego:

— Stanisławie! dusza człowieka jest nieśmiertelną!

To widzenie utwierdziło go w wierze, odtąd wszelka wątpliwość zniknęła. Kiedy niedługo wybrał się do Rzymu, przyjęty uprzejmie od papieża Innocentego XI, otrzymał w darze kości świętego Bonifacego, 1694 r. W miejscu przeto, gdzie się pojawił zabity towarzysz broni i dał mu niezachwianą wiarę w nieśmiertelność duszy, wymurował kościół i klasztor, w którym osadził OO. Bernardynów z Warszawy. Relikwie podarowane, z wielkiem nabożeństwem do Polski sprowadził, które Stanisław Witwicki, biskup poznański, przy wspólniej uroczystości, pod wielkim ołtarzem złożył; tutaj też i zwłoki Lubomirskiego spoczywają.

Od téj chwili Czerniaków zrosł się z sercem mieszkańców naszego grodu. Każde dziecko Warszawy zna go dobrze i on zajmuje w pamięci jego najmilsze wspomnienia, które towarzyszą mu do grobu.

I rodzina moja wybierała się na odpust do Czerniakowa, gdy na dni kilka przedtém przybył ze wsi sędziwy *pan skarbnik*, przyja-

ciel ojca mego, a na wspomnienie o naszój pobożnej pielgrzymce, opowiadał mu zdarzenie przywiązane do tego miejsca. Jeszcze pomnę szanowną postać starca, jak, to gładząc czuprynę podgoloną, to pokręcając w zapale sumiastego wąsa, mówił:

— Miałem przyjaciela, ba i *sodalisa*, bośmy w jednej chorągwi służyli, pana Tadeusza Czernielewskiego porucznika kawalerji narodowej. Jak był tęgi do korda, tak i pobożny; nie opuścił żadnego do Czerniakowa odpustu, bo szczególne miał do św. Bonifacego nabożeństwo. Było to w roku 1786, bo dobrze pomnę; panował z górą już lat dwadzieścia król Poniatowski, gdy kilku hultai wiedząc, że Czernielewski ma w trzosie nie mało złota, napadło go w mieszkaniu i przemocą ztupili. Bronił się porucznik jak mógł, ale wiele złego dwóch na jednego: pocięli go szablami, pobili i zabrali. Pan Tadeusz znał rabusiów, zaczął więc w sądach grodzkich warszawskich poszukiwać sprawiedliwości w pokrzywdzeniu swojém. Żył w przyjaźni z patronem Kozłowskim, który przeciwnój strony, *alias* łotrów bronił. Niespodziewając się ani podejścia, ani zdrady, ważne papiéry, któremi miał się bronić we własnej sprawie, owemu patronowi powierzył. Kozłowski dobrze zapłacony od rzezimieszków ztupionemi od porucznika pieniędzmi, użył tych samych dowodów na pogwałcenie niewinnego. Pan Tadeusz spostrzegłszy oczywistą zdradę, stojąc przed kratkami sądowemi, zdziety żalostí, w głos wobec sędziów, mecenasów i licznie zgromadzonych zawołał:

— Święty Bonifacy! pomścij się mojej krzywdy!

A w tój chwili Bóg Kozłowskiego ukarał pomieszaniami zmysłów. Krzyknął przeraźliwie, oczy w ślup stanęły, wił się jak palec. Cud tak widoczny mocou pobudził sędziów do wydania sprawiedliwego wyroku. Czernielewski dziękując Bogu za wyświadczoną sobie cudownie łaskę, i św. Bonifacemu za przyczynę, wezwał mnie, pana Chrzanowskiego podśędka i Ciaglińskiego namiestnika kawalerji narodowej; razem przy grobie tego męczennika zeznanie tego cudu zrobił, na co się każdy z nas własną ręką podpisał ¹⁾!

Głęboko w umyśle dziecinnym utkwіło to opowiadanie i zastrzyło ciekawość ujrzenia relikwii i odpustu. Odtąd rok rocznie z rodzicami i siostrami zwiedzałem Czerniaków w czasie uroczystości kościelnych; później sam odbywałem pobożną pielgrzymkę, a następnie w gronie mojej rodziny.

Któż z nas na wspomnienie tego ustronia i skromnego kościółka, nie przypomni sobie owego poemaciku, pełnego prostoty i rzetelności, Kazimierza Brodzińskiego:

„Weselna była pora majowa,
Na odpust szedłem do Czerniakowa...”

¹⁾ W aktach kościoła Czerniakowskiego zapisaném było ze wszystkiemi szczegółami to zdarzenie, a w podaniu ludowém zachowywało się zarówno u ludu Warszawskiego.

któryśmy wszyscy na pamięć umieli. I on nie zaniedbywał nigdy w tój porze do tój wioski przechadzki.

Gdy porzucił mury Warszawy, gdy ujrzał niwy falujące kłosa-
mi, uczuł woń balsamiczną w powietrzu rozlaną: oddychał swobodną
piersią; wyraz duchowej radości wybijał na jego drobną a szlachetną
twarz, cieszył się jak dziecię! Niedziwota! wychowany w pośród lu-
du, widok pól i chat wieśniaczych obudzał w nim wspomnienia czaro-
wne młodości! Kochał on całym sercem kmiotków, kochał rolni-
ctwo i nieraz rad powtarzał:

— Rolnictwo jest jedno zajęcie człowieka, które sam Bóg mu
wskazał; przetrwa wszystkie przemysły ludzkie, ocali w robotniku
przyrodzony rozum, i od ostatecznego zepsucia lud uchowa.

Z nieopisaną rozkoszą słuchał ludowych pieśni, skrzętnie się
ich uczył, zapisywał sobie. Jak go tylko owiało świeże wiejskie po-
wietrze, rzeźwił, jak ptak z klatki wypuszczony na swobodę! Oko
przymglone zadumą, jaśniało nowém życiem, ochoczo słabym głosem
przypominał sobie jakieś melodey ludowe do pieśni z czasów swój
młodości. Nasłuchiwał z zachwytem piosnki skowronka, co fruwał
wysoko nad miedzą, a gdy słyszał kukanie kukułki z cienia dąbrowy,
dobywał zaraz woreczka z pieniędzmi i liczył troskliwie, ażeby grosz
się trzymał, wedle przepowiedni wieśniaków naszych!

Patrząc na niego, nie mogłem podziwu zataić, odkrywając
w śpiewaku *Wiesława*, tyle jeszcze niewinności dziecięcej myśli, tak-
ką prostotę, tak niepokalane uczucie, które potrafił uchronić od rdzy
lat ubiegłych i od kału ziemskiego! Z jakążto wiarą w tym małym
a natłoczonym kościółku wznosił szczerą a pobożną modły, jak szedł
do szklanój trumny, gdzie spoczywają kości błogostawionego Bo-
nifacego, ocierał ręką po szybie i niósł do czoła, do oczu, wraz
z pełnym wiary ludkiem, aby je uchronić od bólu i cierpień wszelkich.
Ochotnie, po nabożeństwie obchodził kramy, rozstawione pod murem
cmentarza, przeglądając ciekawie rozwieszona cacka dziecinne i świę-
tości, na tłumy pielgrzymów, których coraz większe gromady napły-
wały z Warszawy; skupował figurki woskowe i niósł na ołtarze, jako
skromną swoją ofiarę. Kiedy się już utrudził, rad siadał pod cie-
niem drzewa na murawie, a pożywając skromny posiłek, wesoło od-
dawał się rozmowie w małym kółku przyjaciół i znajomych, których
spotkał w Czerniakowie.

Raz, pamiętam, spotkałem Brodzińskiego już przy ogrodzie
w *Mokotowie*: odtąd szliśmy razem. Całą drogę piaszczystą obsiadło
liczne żebractwo, pomiędzy którym odznaczały się siwi i ślepi lirnicy
i kaleki grajkowie. Słuchał ich gry i pieśni z upodobaniem, hojnie
obdarzając każdego. Niebo z porania pogodne zachmurzyło się na-
gle: zasiedliśmy w stodółce czerniakowskiego kmięcia, do przekąski
przedobiedniój.

— Siedząc tu pod tym dachem słomianym, na sosnowym *zydlu*
(mówił pożywając chleb razowy i mleczywo), czegoż więcj żądać mo-

gę, przy swobodzie myśli i czystości sumienia? Przemysłowiec szydziłby ze mnie, że wygodniej rozpierać się w fotelu na sprężynach pokrytych aksamitem, jeść chleb pszenny, zjadać wykwintne przysmaczki, popijając wyborne wina! Powiedziałyby mi: „Ludzkość coraz musi się doskonalić, jest to czas dla niej postępu. Zadaniem przemysłu jest uwygodnić jej potrzeby, mnożyć je nawet, bacząc pilnie, aby bogatego zmusić, na drodze dobrej woli, do tych potrzeb codziennych, które nabywając z rąk pracowitych, daje wielu rodzinom byt dostatni. Ileżto przedmiotów dawniej nieznanych weszło już w potrzeby stałe, codzienne, a tak konieczne, jak chleb powszedni! Tym sposobem cyrkulacya pieniężna, przenika wszystkie warstwy społeczne i gdy zamożniejszej daje zaspokojenie zbytkowych nawet wymagań, niższym daje zarobek godziwy na utrzymanie życia.”

Patrzcież! do czego przewrotny rozum wiedzie! Rzecz prostą ujmuje w systemat nauki i tym chce mydlić nam oczy! Mój Boże! (mówił dalej wznosząc oczy w górę), jakżebym chętnie wyrzekł się wszystkich, chociaż skromnych wygod, do których już słabe ciało nawykło, abym w zamian zyskał to, czego pragnę nie dla siebie tylko! Na prostej ławie dębowej, przy zbitym z nieoheblowanych sosnowych desek stole, z glinianej misy, więcéjby mi smakowały przy swobodzie proste, domowe potrawy, niżeli przy mahoniach i suto zastawioném srebrze Lukullusowa uczta! A przemysł, z nim zbytek ze słabiej strony schwycił nas prostaczków! Z góry zaczął schlebiać naszym namiętnościom i wygodkom ciała. Osnuwszy się jak jedwabnik w długą przędzę deklamatorskich wywodów, dostał się do skromnych dworzków ziemian naszych i zabrudził ich myśl rolniczą; z katedry nawet w poważnej todze wpływ swój rozszerzał! Nikt nie śmiał bąknąć słówka przeciw niemu, chociaż na spodzie leżała prawda, że on to szychem swoim chce stłumić prawdę Bożą w naszych sercach i myśli, a wabiąc ku sobie, jak piękna zalotnica, unurzyć je i zbrudzić w kale cielesności. Spójrzycie bo na ludzi, którzy idąc za jego głosem rozmnożyli swe potrzeby! Jakież to małostki, jacy niewolnicy potrzeb tylko ciała, pod których natłokiem dusza jęczy bojaźliwie, myśl niezdolna do polotu i serce marnieje! Sybaryta, całe piętno bóstwa, zatracca sobie wieczycie; nic wielkiego, nic pięknego, nic szlachetnego wzruszyć go nie może, co wprost nie dotyczy zaspokojenia smaku, woni i cielesnej pożądlivości. Był czas gdyśmy wiedzeni myślą Bożą, dalecy od hołdownictwa wyłącznie ciała, hartem woli silnej rozkazywali mu jako panowie, a dziś dawnego sługi stajemy się niewolnikami!

I wyrzekłszy te słowa, smutnie opuścił głowę na piersi.

Kościół otacza mały cmentarzyk murem dookoła, na nim odbywają się procesye tak w dnie odpustu, jak w czasie obchodu Bożego-Ciała; wtedy kmiecie czerniakowscy, ich kobiety i dziewczęta wiejskie niosą chorągwie i ołtarzyki. Wiele nagrobków mieści się w ze-

wnętrznych ścianach kościołka, najwięcej zajmującym, bo przypominającym wiek ubiegły jest następny, tuż przy podwojach do świątyni:

„Przechodniu! stań, czytaj i ty gościu miły
Zmów pacierz, idąc wedle tój mogiły.

Tu leży Walenty Antoni Straszewski rewizor policyi, były kapitan w wojsku polskiem, współtowarzysz niewoli znanego Beniowskiego w Kamczatce w 1771 r. Żył lat 72, umarł d. 2 maja 1822 r.”

Straszewski urodzony w r. 1750, w dwudziestym roku życia stanął pod chorągwią konfederacyi barskiej, a służąc w oddziale jazdy sławnego Maurycego hr. Beniowskiego, razem z nim dostał się do niewoli, i jak domyślać się należy uszedł ze śmiałym dowódcą swoim z Kamczatki, dostał się do Francyi, z kąd wrócił do ojczyzny. Gdy emerytury w wojsku naszym nie znano, Straszewski w służbie cywilnej szukał utrzymania.

Po odpuście w Czerniakowie, w kilkanaście dni wywabił również całą ludność Warszawy odpust na Bielanach, o dobrą milę oddalonych od Warszawy.

Za dawnych czasów, mówiła stara tradycya sędziwych mieszczan naszego grodu, las Bielański był wielką puszczą i pochłaniał w sobie całą okolicę Warszawy wciąż i bez przerwy aż do Willanowa, czyli drugiego wybrzeża Wisły! W kniei tój ogromnej, gdzie tury bujały stadami, jak wilki, niedźwiedzie, łosie, jelenie, sarny i rysie, gdzie bobry miały liczne legowiska: książęta Mazowieccy udzielnicy, polowali często. Jeden z nich imieniem Kazimierz, a imię tego książęcia często jest powtarzane w podaniach ludu Warszawy, w tym okresie, zapędzony za zwierzem, zabłąkał się i nie mógł trafić do swego orszaku. Strudzon wielce, pod wysoką górą natrafił na zdrojowisko i zaspokoił wielkie pragnienie, a wdartszy się na szczyt poblizkiej góry, usnął pod starą sosną. Jak długo spał nie pamiętał, ale gdy się obudził, otrzeźwiony promieniem słońca, usłyszał najprzód brzęk rojów pszczoł dzikich, co liczne barcie miały, a niedługo potem i śpiew pobożnej pieśni. Zerwał się na nogi i niedaleko ujrzał małą kapliczkę z modrzewia, a na jej progu modlącego się pustelnika, co w tój puszczy oddawna zamieszkał. Pomodlił się z nim razem, za jego przewodem wyostał się na drogę i wrócił szczęśliwie do Warszawy, gdzie dwór oczekiwał go na zamku przestraszony, bo domyślano się, że go zwierz srogi gdzie pożarł. Książę opowiedział rzecz całą: zaraz nazajutrz z dworem ruszył napowrót do puszczy, trafił łatwo do kaplicy, znalazł pustelnika, którego hojnie opatrwszy, kazał naprawić kapliczkę chylącą się do upadku. I odtąd Warszawianie zaczęli od wiosny do jesieni nawiedzać Bielany, a te pobożne pielgrzymki rozpoczynali od *Zielonych Świątek*. Zwyczaj ten odwieczny spowodował króla Władysława IV, że tu, a niegdzieindziej wybrał miejsce na kościół i klasztor księży Kamedułów.

Nie wiemy, czy miejscowość ta nosiła dzisiejszą w tym okresie nazwę, czy też wówczas ją nadano, z powodu niejakiego podobieństwa do *Bielan* pod Krakowem. Ale jakaż różnica w malowniczości krajobrazu. Naszych *Bielan* całą ozdobą las sosnowy i widok na Wisłę; taż sama Wisła węższém korytem spływa pod *Bielanami* krakowskimi, ale za to jaki uroczy daje obraz w około!

Kraków cały z zamkiem i katedrą na Wawelu, z grobami królów naszych, z tyłu świątyniami, z dwoma mogiłami Krakusa i Kościuszki; naprzeciw on *Tyniec* po nad Wisłą, którego początek ginie we mgle przedchrześcijańskich wieków; dalej sioła i miasteczka do okoła, a tłem tego obrazu wyniosłe Tatry, zielenią lasów i śniegiem poważnie okryte.

Nasze *Bielany* na piaszczystém wzgórzu, otoczone sosnowym borem, piękniej się dopiero wydają, gdy spoglądamy na nie z przeciwnego wybrzeża Wisły, bo wyniesione na górze przypominają i wysokimi wieżycami i cieniem drzew, i taż samą rzeką, krakowskie *Bielany*.

Lasy *bielański* i *marymoncki* połączone z sobą, stanowiły jeszcze dobrze *podszytą* knieję w XVII stuleciu, pełną grubego zwierza; były tu i *dziewicze* ostępy, gdy w niej lubił polować oswobodziciel Wiednia król Jan Sobieski. August II i August III za bytności swojej w Warszawie odwiedzali *Bielany* w drugi dzień *Zielonych Świątek*; tylko brat założyciela ich, nieszczęśliwy Jan Kazimierz, zaledwie kilka razy w tę ustron pustelniczą zajrzał z korną modlitwą, uchodząc po dwakroć z naszego grodu, który opanował król szwedzki Karol Gustaw.

Stanisław August, który nadzwyczaj lubował się w naśladowaniu chociażby najdrobniejszym dworu i zwyczajów wersalskich, starał się uświetnić tę przejażdżkę, bo to przypominało *Longchamp* paryzki. Występował więc okazale i uroczyście, na ten dzień jadąc do *Bielan*, a panie i panowie polscy przesadzali się w zbytowych strojach, pojazdach i uprzęży. Ale wtedy damy jechały w pojazdach, mężczyźni wszyscy konno, wyjąwszy króla i sędziwych senatorów. Był to widok nie bez powabu, jaki dawało tak licznie zebrane grono. Rozmaitość ubiorow: to cudzoziemskich, to polskich, mundury wojskowe i pyszne stroje pań; *laufry* w kołpakach, w różnokolorowe pióra przybrani, biegnący przed pojazdami, ogromnego wzrostu *hajduki*, *pajuki* i służba dworska; świta i straż otaczająca króla, wśród tłumy ludu: wszystko to dawało obraz godny pędzla malarza.

Stanisław August wchodził najprzód do kościoła, po wysłuchaniu nabożeństwa nieszpornego odwiedzał pustelniczych zakonników domki, a następnie przypatrywał się rozmaitym zabawom ludu.

W dzień *Zielonych Świątek*, wówczas był jedynie wolny wstęp do kościoła kobietom; w inne dnie tylko w kruchcie mogły się modlić: z czasem zwolniono tę surowość kamedulską.

Pomienione święta zgromadzały tu całą ludność Warszawy, bez różnicy płci, stanu i wieku: tylko uboższa publika zbierała się od poranku niedzielnego bardzo wcześnie dla nabożeństwa i bawiła dzień cały, albo w poniedziałek do południa, gdy świat elegancki, dopiero od czwartej lub piątej po obiedzie, zaczynał przepętniać lasek Bielański.

Nigdzie tak gwarnie, strojnie i licznie nie zbierała się ludność ze wszystkich warstw Warszawy, łączyły się tu bowiem dwa cele razem: pobożnej pielgrzymki na odpust w kościele Kamedułów i przechadzki eleganckiej, po sosnowym lesie, oddawna uświęconej starym zwyczajem.

Zwyczaj ten, wedle śladów historycznych i tradycyj sędziwych mieszczan warszawskich, powstał za czasów Jana Kazimierza. Przedtém poniedziałek *Zielonych Świątek* był dniem ślubu jednej ubogiej lecz cnotliwej córki ubogiego mieszkańca Starego-Miasta, losem z grona innych wybranej; ale obrzęd weselny odbywał się we wsi Gołędzinowie (dziś ulica z tąż nazwą na Pradze), na drugiem wybrzeżu Wisły. Promy ozdobione gałązkami zielonej brzozy i mnóstwem różnobarwnych wstążek, przewożyły całą drużynę weselną. Po ukończonym obchodzie i zabawie, wójt staromiejski zbierał posag dla nowo zaślubionej i ten bywał niekiedy znaczny. Ale za panowania ostatniego Wazy, dla obecności srogich Szwedów za Wisłą (jak pisze Stanisław Duńczewski sławny wydawca kalendarzy) nie popłynęli do Gołędzinowa, i drugi dzień tych świąt i obyczaj starodawny, w lasku Bielańskim dopełnili. Odtąd zaczęto odwiedzać Bielany, nie dla samego tylko nabożeństwa.

Jak zapamiętam nieosobliwością było, gdy do 60,000 mieszkańców Warszawy używało przechadzki na Bielany. Ludność miasta dzieliła się wówczas na dwa obozy: ci, którzy nie pragnęli świecić elegancją, po rannych wycieczkach zasiadali w oknach, lub wychodzili na chodniki ulic, przypatrując się jak wielki świat występował. Ulice Długa, Freta, Zakroczymska i Nowe-Miasto napchane było tłumem ciekawych widzów, na szereg długi a nieprzerwany bogatych pojazdów z przepysznyim zaprzęgiem, przeciągający wolnym korowodem do rogatek Marymonckich. W tej ciąglej procesyi, dziwna sprzeżność nieraz uderzała. Za karetą lub koczem z żokiejami i strzelcami w galonach i stosowanych kapeluszach, ciągnęła się obszerna dorożka warszawska, to bryczka polówka jednokonna, to jakaś kolesa jak arka Noego!

Żył wtedy i pisał *pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia*, człowiek malutkiego talenciku, ale który sobie jak i wielu mu podobnych zrobił imię, ogłaszaniem najprzód w „Gazecie Warszawskiej, owęj stariej prababce naszych gazet, artykułami, których celem miało być pochwycenie zarysów z życia codziennego społeczności warszawskiej. Przekożył on nawet kilka komedyj z francuzkiego gładkim wierszem; owoż ten pustelnik tłumaczył *Pustelnika paryzkiego*, przykra-

wał dla nas z pewnym względem, rozprawki Francuza. Pomimo to, czasem zdarzało mu się uchwycić jaki typ miejscowy, jakąś naszą drobnostkę. Opisał on Bielany między rokiem 1816 a 1818, podał dzieje założenia klasztoru, a cały szereg długi pojazdów, dorożek i bryczek, ciągnący ulicami Warszawy, tak trafnie zcharakteryzował:

„Wesołość na twarzach jadącej publiczności, malowała się w stosunku do ubóstwa pojazdów. Osoby, które siedziały w bogatych ekwipażach, z małym bardzo wyjątkiem, miały twarze znudzone i poziewające; wesołość najżywsza jechała na wózkach łożem opłatanych i strojnych w brzezinę. Średni udział dobrego humoru, otrzymali ci pracowici i przemyślni kupcy, którzy w zyskach tygodniowych i nie-tamując bynajmniej biegu fortunie, znaleźli kilka czerwonych złotych zbywających, aby ich użyć swobodnie na najęcie furmana.“

I jako najwyraźniejszą Bielan charakterystykę dołączył do powyższego opisu rycinę dorożki umajonój, którą z tej wycieczki do miasta, radosna rodzina warszawska powraca ¹⁾).

Gród nasz w to święto, przystrajał się zaprawdę w godowe szaty. Ulice czysto zamiecione, każde drzwi, okna, każda brama ocieniona w gałęzie zielonój brzeziny, przedsienia i chodniki wysypane tatarakiem.

W dziesięć lat po pustelniku naszym, zjawił się i śpiewak Bielan. W roku 1827 wydrukowanym został poemat p. n. *Bielany*, w trzech pieśniach z obszerną przedmową, w którym zaczepiając czasy przedchrześcijańskie, a z niemi i mitologią słowiańską, złożył pieśń pierwszą wymarzonych starożytnych Bielan. Pieśń druga malować nam miała Nowe Bielany. Otóż parę ustępów z wrażeń świeżych, jakie ów śpiewak pochwycił w poniedziałek *Zielonych Świątek* w roku 1827, podajemy.

„Ledwo świt po nad Pragę wzniesie płaszczy jaskrawy,
Już tłum pieszych przebiega okopy Warszawy;
Dla jezdnych, majątniejszych, dojrzałych, czy młodzi,
Da znać pora, co upał południa ochłodzi.
Już pierwszych, modły korne przyjęła Błagalnia,
Tych jeszcze więzi miasto i mdła gotowalnia.
Ileż się świeższych wpływów nie nastrecza oku,
W tym przepychu możniejszych stolicy natłoku?
Lśni się las wdziękiem dziewic i dostatkiem złota!

.
Jakież grono niebianek uderzyło oczy?
Poigrywa wiatr płochy z splotami warkoczy,
To musnie ust koralki, tkane brwi potrąci,
To u źródła rumieńca, krew z młkiem zamaci.

¹⁾ Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia czyli charakterzy ludzi i obyczajów. Warszawa. Dwa tomy, z rycinami w 8-ce.

O! lepiéj na tém miejscu pozostańmy jeszcze,
Niechże wzrok upragniouy, raz przecie napieszczę!
Anim poczuł, jak chwilka zbiegła mi za chwilką,
Złudziły mnie niebianki! Nie! to Polki tylko!“

W trzeciej i ostatniej pieśni, śpiewak bielański puścił myśl swoją w *Dumanie* i takim ustępem zamyka cały poemat:

Żegnajcie sępne miejsca! O! Bóg daj, bym przecie
Po chwilce tych podumań, w pełnym cierni świecie
Znalazł westchnień współnika, lotny wiatr w powiewach,
Strumień łez towarzysza, a przyjaciół w drzewach.“

Od tak poetycznego obrazu zwróćmy spojrzenie na tamte czasy ze strony prozaicznej!

Zbliżające się *Zielone Świątki* elektryzowały zarówno piękne panie w buduarach z przepychem strojnych, jak młoda i powabną szwaczkę czy haftarkę na trzecim i czwartym pięttrze ubogo mieszkającą i pracowitego z poddasza rzemieślnika z rodziną.

— Jedziesz na Bielany? Jadę.—Konno, w pojeździe?—Idziesz na Bielany?—Płyniesz na Bielany (bo krypy i łodzie rybaków i przewoźników warszawskich napełniały Wisłę). Masz wierzchowca?—Mój angielski precudny!—A panie w kocu, czy w karecie otwartéj?—Jest żokej?—A strzelec?—A wzięłaś węzełek?—pyta szewc, czy krawiec ze Starego-Miasta, z Piekarskiej, Piwnéj, Gołębiéj ulicy, z Zapiecka albo z Dunaju, swój żony albo córki.—A jest flaszka anyżówki, chléb, sér, kiełbasa? A nie zgub gęsi lub cielaka!

Takie głosy, gdzieś się obrócił, słyszałeś w całej Warszawie przez te dwa święta.

Magazyny modniarek i krawcy ledwie nastarczyć mogli robocie: kupcy umyślnie sprowadzali najświeższe towary, i nieprzesadzimy bynajmniej, gdy powiemy, że o kilkakroć stotysięcy złotych polskich cały ten tłum wracał uboższy po przechadzkach dwudniowych.

Świat wielki rzucał tysiące na stroje i pojazdy; *mały światek* liczniejszy mieszkańców Warszawy, złotówkami i groszakami składał tysiące za trunek, jadło i muzykę: a i hojna jałmużna dla ubóstwa i żebraków, i ofiara dla kościoła liczyła się tu do wydatków, czego świat elegancki nie znał wcale.

Zdała Bielany grzmiały wrzawą i odgłosem muzyki. Szafasy, namioty dla ludu, mieściły się po lewej stronie kościoła. W nich, kilkadziesiąt katarynek wygrywało rozmaite tańce. Pod murem kościelnym, chociaż wiejski skrzypiciel ciął ochocze kujawiaki i mazury, głucho tony grajka pod wrzaskiem kręconych mazzynek.

Darń leśna służyła ochoczym do tańca, gdy *świat wielki* deptał tylko strojną nogą, ścieżki wysypane piaskiem w pośród lasu sosnowego. Świat ten nie przybywał tu ani dla nabożeństwa, ani dla odetchnienia świeżem powietrzem, nie dzielił téż radości ludu miejskiego i ze wsi pobliskich: zjeżdżał tu pod pozorem starego zwyczaju,

a rzeczywiście *damy*, dla pokazania najzwyklejszych strojów; poważniejsi wiekiem panowie, dla ukazania *ekwipażów* przepysznych i zajmowania *holocie*; młodzież, aby pół dnia pohulać, ciągnąć jak słomki na błota, za oczyma swych bogdanek, które się do nich mile i wdzięcznie uśmiechały. Pomnę jedne Bielany, na których wszystkich zakasowała przepychem ubioru, żona warszawskiego piwowara. Jak same kobiety oceniały to, licząc salopę *koronkową*, brylanty, przystroj na głowę z ogonem *ptaka rajskiego*, dźwigała na sobie wartość przeszło dziesięciu tysięcy dukatów!

Szynkarze, kramarze, na tydzień wprzód już zajęci byli i ożywiali lasek sosnowy. Stawiali szafasy, rozbijali płócienne namioty, zwozili trunki i jadło. Katarynkarze i *kapele* nocowały już w sobotę na Bielanych, krętaniny i zajęcia było wiele, chociaż tylko na dwa dni Świątek, bo po poniedziałkowym spacerze, który dla ludu warszawskiego kończył się dopiero z poranną zorzą wtorkową, Bielany pustoszały, a miasto się zaludniało, powrotem w jego mury zbiegłych mieszkańców.

W roku 1828 przychodzę w poniedziałek *Zielonych Świątek* około godziny trzeciej po obiedzie do pana Stefana, z którym żyłem w przyjaźni.

— Jest pan?—pytam służącego.

— Jest, ale w sypialnym pokoju zamknięty.

— A to dlaczego?

— Albo pan nie wie, że to dziś Bielany?

Nie zrozumiałem tego objaśnienia i zacząłem szturmować do drzwi sypialni.

— Czegoż chcesz, moja duszko?—zawołał obudzony z drzemki pan Stefan—wypędziłaś mnie, żebym ci nie przeszkadzał do ubierania, poszedłem zdrzemnąć się nieco; teraz znów mi nie dajesz pokoju. Czy już czas na Bielany?

Stłumiłem śmiech serdeczny w sobie, a zmieniając głos przemówiłem:

— To, panie, już szósta dochodzi!

— A! do dyabła, a ja nieubrany! Daj mi buty, i powiedz pani, niech mi przyśle biały kołnierzyk i chustkę na szyję.

— Buty już niosę!—odrzekłem na to.

Pan Stefan otworzył drzwi zamknięte, i z wielkim podziwem ujrzał mnie zamiast lokaja. Uśmieliśmy się szczerze, i po fajeczce poszedłem do państwa sędziostwa na Krakowskie przedmieście.

Grobowa cisza zalegała i sień i zajęte przez nich mieszkanie: sądziłem, że już wyjechali, gdy służąca mnie objaśniła, że państwo są w domu. Wchodzę: w bawialnym pokoju znajduję całą rodzinę złożoną z państwa sędziostwa, dwóch córek dorosłych i trzech synków małych wystrojonych uroczyście. Pani sędzina w turbanie na głowie z barwistemi piórami, panny sędziauki w świeżych i gustownych kapelusikach z kwiatami, a pan sędzia wyfrakowany z ogromnemi aż po

uszy kołnierzykami, dmuchał w rękawiczki świeżo kupione, a nieco przyciasne. Pani sędzina rozjaśniła trochę pochmurne oblicze na mój widok, i zaczęła opowiadać swoją troskę, że od godziny już ubrana z córkami oczekuje na przyobiecany pojazd. Z trudnej wymowy i ciężkiego oddechu zmiarkowałem, że się nieco zamocono szanowna matrona usznurowała. Starąłem się pocieszyć strapioną, zapewniając, że jeszcze za godzinę będzie sama pora, a zyskawszy w nagrodę uprzejmy uśmiech sędzianek, pożegnałem je śpiesząc do hrabiego S., z którym miałem się zabrać na Bielany. Zastałem go już gotowego ale ze szpicrutą i ostrogami: przeproszał mnie, że nie mógł dostać pojazdu i jedzie na Bielany konno. Nie było co robić, zbiegłem ze schodów i po drodze wstąpiłem do młodej wdowy pani Amelii, słynnej z dovcipu i urody.

Pojazd zaprzężony w czwórkę dzielnych gniadoszów, oczekiwał na dziedzińcu: wbiegam na schody, i spotykam się z wychodzącym Adolfem, zawołanym elegantem i wielbicielem pięknej Amelii. Zchodząc wiele wzruszony i zasmucony, śnać nieprzyjemny musiał zgryść orzech od swej bogini.

W salonie siedziała Amelia sama na kanapie w głębokiem zadumanu, przedcudnie ubrana: stanąłem pełen podziwu i uwielbienia. Wspierając główkę na rękę, podniosła na mnie, pełne ognia i życia czarne oczy i z uśmiechem podała rękę.

Nie było wówczas zwyczajem ścisnąć rękę kobiety i pozdrawiać jak walecznego grenadyera; pocałowałem serdecznie i przyznam się z wielką przyjemnością, podaną mi dłoń śnieżnej białości.

— Jakież szczęśliwy traf, sprowadza cię, panie Władysławie i to jeszcze w drugim dniu Zielonych Świątek? Właśnie rozmyślałam z kim pojedę na Bielany i samo niebo zsyła mi pomoc. Pojedziesz z mną, wszak prawda? Zabawimy się wesoło.

Odurzałem radością: ja skromny literat, mam być pierwszej piękności warszawskiej kawalerem! Ha! cóż robić, pomyślałem; podałem rękę: schodzimy, siadamy i jedziemy!

Gwiazda szczęśliwa przyświecała mi odtąd, ze wszystkich stron kłaniano mi się, a nawet pan hrabia uprzejmie pozdrowił, pełen zadziwienia źle utajonego. Byłem w zachwycie, upojony radością i tém większą, że uprzejmość Amelii nie była przemijającym kaprysem.

Długie rzędy pojazdów, jakby w poważnej procesyi, wolno się posuwały jeden za drugim. Potrzeba było hamować rzeźkość dzielnych gniadoszów. Po godzinnej takiej jeździe, stanęliśmy szczęśliwie przeciw na Bielanych. Podałem rękę mojej piękności i zaczęliśmy przechadzkę po przepelnionym lasku światem eleganckim.

Nie miałem czasu do robienia jakichkolwiek spostrzeżeń, widząc ciągle zwrócone oczy na naszą parę. Nie uważałem, że pan Adolf postępował za nami; widziała go już dawno moja towarzyszka. Na zakręcie drogi, Amelia nagle dźwięcznym głosem przerywając milczenie, wyrzekła do mnie:

— Kochany panie Władystawie! uwalniam cię ale tylko na chwilę, od mego towarzystwa; widzę kuzyna: z nim dalszą przechadzkę odbęde. Tymczasem, przejrzyj szczegółowo zjazd dzisiejszy, a zdasz mi sprawozdanie dziś wieczorem, bo czekam cię z grokiem lub ponczykiem.

Zdziwiony, puściłem ję rękę, ukloniłem się i stanąłem nieruchomy w miejscu. Moja postawa musiała mieć coś pociesznego w sobie, bo Amelia parsknęła ze śmiechu, a uderzając mnie wachlarzem po ramieniu rzekł:

— No! no! do widzenia! do widzenia! podaj mi rękę kuzynku!

Ja stałem na miejscu i widzę jak z poza sosny, z za pleców moich, wysunął się ktoś nagle i kto.... pan Adolf. Odurzałem, a gdy Amelia zniknęła w tłumie, powróciwszy do rozwagi, sam z siebie się śmiałem. Ja, co przed chwilą, rozpostarty w pysznym koczu, siedząc obok najpiękniejszej kobiety, budowałem sobie przepyszne zamki na lodzie; teraz samotny, opuszczony, miałem wracać *per pedes apostolorum*, aby za to wypić filiżankę ponczu czy groku! O! głupie urojenia; o nędzne nasze nadzieje! wykrzyknąłem mimowolnie.

Wśród tego uniesienia dolatuje mnie odgłos hucznej muzyki z pobliskiego namiotu, uciekam pod mury cichego i samotnego klasztoru Kamedułów.

Kto znał tak jak ja odosobnione ich życie pustelnicze, tę ciszę i milczenie, jakie otaczają codziennie to schronienie zakonników, nieprzerwane niczém, chyba cichym szmerem pochylanych od wiatru konarów i koron smutnych sosen; ten, tój wrzawy licznej gawiedzi, tego orszaku niesfornój muzyki mile nie przyjmował do ucha.

Przychodziłem tu często w dnie powszednie, kiedy cisza poważna napełniała całą okolicę klasztoru, bo w nim zamieszkał szkolny a ukochany mój towarzysz Staniszewski.

Od drugieję klasy u Pijarów, gdzie go poznałem, pokazywał szczególnie łagodny charakter. Każdy z moich kolegów przypomni sobie tę postać wysoką, wiotką, z drobną twarzyczką, to tęsknłem zamyśleniem, to uśmiechem rzewnym nacechowaną. Oczy miał niebieskie, usta małe, na których wieczny uśmiech spoczywał. Ale w tym uśmiechu, cały spokój duszy, cała łagodność i dziewiczość jego uczuć spoczywały. Kiedy na Mszy poranneję studenckieję ukląkł i zapatrzył się w obraz ukrzyżowanego Chrystusa w wielkim ołtarzu, to na tęp łagodnym, pełnym niewinności obliczu, widziałeś wyraz zachwytu, co jego duszę młodą unosił w nadziemską krainę.

Uczył się dobrze i pilnie, swawolne razy z wyrozumieniem przyjmował, a nigdy na żadnego kolegę nie podniósł ręki. Jeżeli silnym potrącony szturhańcem, uczuł ból dotkliwy, zmarszczył się, skrzywił na chwilę, ale w mgnieniu oka napastnika rozbierał swoim anielskim uśmiechem. Kochaliśmy go tęp szczerze i rzec można szanowali, bo ta uległość rozbierała nawet zawołanych swawolników. Po skończeniu trzecieję czy czwartęję klasy, opuścił szkoły i wdział habit. Mnie

tylko jednemu zwierzył się o zamiarze wstąpienia do klasztoru. Na kilka dni przedtém poszliśmy razem na Bielany; dzień był pogodny i ciepły jak zwykle w lipcu, a chociaż o piątą rano byliśmy w lasku, nie czuć było żadnego chłodu, mało nawet rosy. Szumiał bór sosnowy, ówym szmerem gajowym, co tak pieści nasze ucho, chociaż wiatr nie powiewał. Dzwonek z poblizkiego klasztoru odbijał się w dalekiem echu, a urwany wykrzyk albo piosenka z wybrzeżów Wisły, przerywały tylko milczenie poważne wokoło. Lekko było piersi oddychać, serce weseliło się jakąś nieopisaną radością.

Staniszewski długo siedział na wzgórzu, z kądem widok na Wisłę i przeciwne wybrzeża; długo w milczeniu nasyczał się ślicznym obrazem, jaki się nam przed oczyma rozwijał. Żaglowe berlinki przepływały wspaniale, tratwy z drzewem szybko przemykały, a uderzenia równne, w takt drygawek w krzepkich rękach flisów krakowskich, z szumem bałwanów, tworzyły jakby odgłos przygłuchłej z oddala muzyki.

— Jak tu pięknie!—przemówił do mnie.

— Zapewne!—odrzekłem—czasem przyjść i popatrzeć, to daje śliczny obrazek; ale codziennie patrząc wszystko spowszednieje.

— O, nie!—przemówił słodkim, dźwięcznym głosem, wznosząc oczy do nieba—nie sprzykrzy się jak to powietrze, którem oddychamy, jak ten szum boru, jak modlitwa codzienna i wierna służba Bogu.

W tydzień już go ukryły mury klasztoru Kamedułów.

Utrzymują, że młodziemca tylko miłość może zapędzić w habit mnicha: życie Staniszewskiego stawia dowód, że są wybrani, poświęceni na służbę ołtarza.

W kilka lat obrany przeorem, niedługo przewodniczył zgromadzeniu swemu, bo wkrótce umarł na suchoty i spoczął w katakumbach tutejszego klasztoru.

Ile razy spojrzę na te mury, zawsze mi staje widoma jego postać przed oczyma. On jeden, ze wszystkich moich towarzyszków szkolnych, najciszej przeżył tę pielgrzymkę ziemskiego żywota, niezakłóconą namiętnościami ani żadną żądzą; w ciszy też i spokoju przeżył kres dni swoich i spoczął w biały habit owiniony w podziemiach klasztoru, do którego tak gorąco wzdychał.

Z głębokiej mojej zadumy rozbudził mnie zgiełk wrzaskliwej muzyki i okrzyki dobrze podochoconych gości. Zwróciłem się więc na główny chodnik, gdzie elegancki świat warszawski, z całą przyzwoitością i powagą używał przechadzki po lesie. Nie wiem, czy każdy z obecnych tam serdecznie się bawił, bo wyjąwszy powabnych a zalotnych kobiet, na których ustach wieczny igrał uśmiech, a oblicze całe wesołością oddychało, reszta dość spokojnie się przechadzała. Przyzwoitość wymierzała tu krok każdy, jak każde ruszenie; przyzwoitość kierowała nawet układem rysów twarzy, spędzając z nich cienia troski i zgryzoty. Ale wkrótce ta przyzwoitość utrzymana być do końca nie mogła; słońce bowiem dotąd jasne, zaczęło się kryć za chmury, które coraz większe napływały. Nagle deszcz drobno kroplisty zamienił się

w ulewę; przeczniejsi, a była ich nie mała liczba, zaopatrzeni w parasole, rozwinęli je nad sobą, a rozmaite ich kolory i liczba do kilkunastu tysięcy, ubarwiła jakby pstro-chińskim obozem całe Bielany.

Piękne i wabne dziewczątka, nagle przemokłe zaczęły krzyczyć i hukać z przestachu; zaczęły szukać deszczochronów i tulić się obok ich właścicieli: elegantki, co nie zdążyły schronić się do pojazdów, z grzecznym ukłonem przyjmowały płócienną ochronę od deszczowej ulewy!

Niestety! i jam przemokły do nitki, przypomniał sobie o swoim parasolu, co spokojnie w kącie pokoiku mego spoczywał. O! ileżbym dał za niego w tej chwili.

Kiedy się tulię pod sosnę, patrzę, że jakaś dama szybkim krokiem biegnie pod toż drzewo; poznaję: była to śliczna Amelia, co także szukała ochrony przed ulewą. Jej kawaler pan Adolf biegł galopem szukać pojazdu. Stanęła przy mnie, powitała z uśmiechem, na co jej równym zapłaciłem groszem; musiałem zapewne wyglądać dość śmiesznie, ale i ona niezbyt poważnie. Suknie przemokłe straciły motylkowe kształty, szal na głowę zarzucony, włosy zwinięte przed chwilą w piękne loki, wyciągnięte teraz w długie, proste sploty, nadawały jej więcej postać jakiej flisowskiej niewiasty, niż pierwszej elegantki warszawskiej; oczęta wszelako wielkiego ognia, blasku i cudne oblicze, zawsze przecież swoim dawnym odbijały urokiem.

— Co za czas okropny!—wyrzekła do mnie po chwili.

— Okropny!—odrzekłem zcicha, bo musiałem śmiech tamować serdeczny, patrząc jak sędzina zdjąwszy dla ochrony turban z piórami, z gołą głową, szybkim uciekała krokiem, szukając ochrony przed ulewnym deszczem. Dwie córki biegły także z odkrytymi głowami, niosąc w rękę swoje kapelusiki; trzech małych chłopców, z płaczem trzymało się za suknie matki, a za całą rodziną, zdala nieco, nie mogąc podążać żwawo, siedł zasapany sędzia, ocierając coraz rumiane policzki ze zbyt bujnej rosy deszczowej.

Amelia napróżno oczekiwała Adolfa, znikł bez śladu; burza nieustawała: deszcz lał bez przerwy.

— Cóż będziemy tak stali i mokli—wyrzekła do mnie—nie widać ani pojazdu, ani kuzyna!

— Kuzynek — odpowiedziałem z przyciskiem—tego się spisał, niéma co mówić; pewnie gdzie się przesusza, gdy pani moknie. Ale niéma sposobu, chodźmy do oberży, tam pani spocznesz, ja poszukam pojazdu.

Przyjęła radę, podałem rękę; rozpoczęliśmy po ulewie przechadzkę, prawdziwie klapiącą po okropnym błocie; oberża była przepelniona, ale dzięki znajomości z gospodarzem, dostałem wygodny zakątek, gdzie Amelia spoczęła: ja wybiegłem szukać koni. Jakoż niezakładając nóg i trudu, wkrótce pojazd sprowadziłem i razem do miasta powróciliśmy: podróż była cicha i spokojna, bo oboje przemokli

siedzieliśmy jak *trusie*: Amelia nie wyrzekła słowa. Gdym ją wysadził przed mieszkaniem z pojazdu

— Dziękuję ci, panie Władysławie!—przemówiła uprzejmie.

Ja ucałowałem jęj rączkę i pobiegłem do stancyi. Przebrawszy się i przesuszywszy, pamiętny na zaproszenie sędziego, pośpieszyłem na wyborny ponczyk.

Szanowna matrona rozsznurowana, ze swobodnym oddechem i uśmiechem, z prawdziwie staropolską gościnnością mnie przyjęła: niedługo w szlafrok zawinięty ukazał się zacny sędzia.

— Jakże się państwo bawili? — zapytałem poważnie, tłumiąc śmiech w sobie.

— Wybornie!—odrzekł sędzia spokojnie.

— Ależ mój Jasiu!—śmiejąc się wesoło zawoła miła gospodyni—dlaczegoż prawdy nie powiedzieć? Zmokliśmy jak flisy do nitki. Chłopców zapędziłam już do łożka, a panny suszą się jeszcze.

Tu nie tając opowiedziałem, jak stojąc pod drzewem, widziałem ich pochód familijny wśród ulewy; niedługo nadeszły i sędzianki, przyjemne i ładne dziewczęta: dzieliły z nami ochoczo wesołość ze wspomnień przejażdżki Bielańskiej, co się zaczęła z błogą nadzieją przyjemnej rozrywki, a skończyła ulewą i burzą.

Przy smacznym ponczu, rozmowa żywa pociągnęła się długo w której i sędzia poważny brał chętny udział.

Nazajutrz odwiedzam pana Stefana! Biédak zakatarzony w wełnianej szlafmicy, chociaż było południe, leżał jeszcze w łożku. Tro-skliwa żona nalewała mu kwiat bwoy, i właśnie gdym wchodził do pokoju, usłyszałem głos tój przywiązanej małżonki:

— Pij, Stefanu! to się spocisz i lepiej ci będzie.

— Stefanek luby—zawołałem—wolałby szklanekę gorącego wina, z goździkami albo ponczu z ananasikiem, ale dobrego ponczu, a rączkę, że jutro wstanie zdrów i wesół.

Pan Stefan najczulszym wzrokiem podziękował za tę radę przyjacielską.

— Tak! tak! słuchaj go Maniu—przemówił do żony—on dwa lata chodził na wydział lekarski, to wie lepiej, co trzeba robić.

Mania dała się przekonać, a ja zostawiwszy przepis, ile cytryn i araku do dobrego kufła potrzeba, uściskany przez Stefana najserdeczniej, ruszyłem do Amelii kuzyna z *siódmą wodą po kisielu*, co znikł nam tak nagle z Bielan.

Pan Adolf mieszkał na Miodowej ulicy na pierwszym piętrze, zajmował salon i cztery pokoje, ze zbytciem przystrojone.

Wchodzę na schody, słyszę dość głośną wrzawę w przedpokoju; otwieram drzwi i ujrzałem najprzód łysego i tłustego komornika wraz z dwoma pomocnikami, obok nich chudego lichwiarza z ironicznym uśmiechem na twarzy, a naprzeciw stał Adolf blady, pomieszany, drżąc czy ze wzruszenia, czy z gniewu. Jan, wierny jego giermek z opuszczoną głową na piersi, smutnie wzdychał.

— Rób, panie komorniku, swoją powinność, a zawsze z powinnem uszanowaniem dla pana—wyrzekł piskliwym głosem lichwiarz i skłonił się grzecznie Adolfowi.

— Jużem wszystko—odrzekł mu na to dygnitarz sądowy—co prawo chce, wykonał; dziś termin do sprzedaży ruchomości ostateczny, nieodwołalny i po obiedzie zaczniemy licytacją; ogłoszenie we wszystkich gazetach już wydrukowane i na bramie domu przybite! Ja tu z moimi pomocnikami zostanę, zjem obiad, i wszystko na trzecią godzinę po obiedzie przygotowuję.

— Myślę—rzekł lichwiarz na ucho komornikowi—że należyłość odbiorę całą z procentami i kosztami.

— Bądź pan spokojny—odpowiedział równie cicho wykonawca prawa—będzie i wilk syty i baran cały!

Adolf z głębokim westchnieniem cofnął się w głąb sali i jakby zmęczony upadł na kanapę: wszedłem za nim.

— Cóż myślisz robić?—zapytałem go smutnie.

— Co! jak wszystko zabiorą, to w łeb sobie strzelę!—zawołał rozpaczliwie.—Dyabli nadali wczorajsze Bielany—dodał ciszej—przekłęty lichwiarz śledził moje kroki. Obiecałem mu, że żyć będę skromnie, że mu oddam pożyczkę; wczoraj miałem mu dać ostatnią ratę blisko stu dukatów, tymczasem trzeba było wystąpić, a w końcu na dobitkę złapali mnie koledzy; musiałem grać: przegrałem ratę lichwiarzką i spałem się jak bela.

Pojałem wtedy zniknięcie tak nagłe w Bielanych, i wytłumaczyłem sobie łatwo wchoczą wrzawę w oberży Bielańskiej, która tak raziła słuch Amelii.

— Ha! mój bracie! w łeb sobie wypalić, to najkrótszy sposób; ale to interesów nie poprawi w niczem, bo dlatego sprzedadzą ruchomości twoje: wiesz co, mam jeden tylko sposób, spróbuję, może mi się uda!

Adolf porwał się z kanapy, rzucił się w moje objęcia i ściskając serdecznie, ze łzami w oczach zawołał:

— Jeżeli mnie wyratujesz z tej biedy i tego nieszczęścia, całe życie będę ci wdzięczny...

Komornik zjadał właśnie najsmaczniej befszytk i popijał piwem wraz ze swymi pomocnikami, kiedym wybiegał na miasto. Na schodach potrąciłem się z lichwiarzem: zmęczony dobrze, wbiegłem do mieszkania Amelii.

Siedziała smętna z książką w ręku, właśnie czytała niedawno wydany romans Kropińskiego *Julia i Adolf*, wielkiej po naszych salonach używający sławy ze swój czułości i wydoskonalonego języka miłości.

Pzuciłem się na krzesło, aby oddechu nieco schwytać.

— Cóż cię tu sprowadza? mój panie Władysławie, tak nagle i śpieszenie?—zapytała zdziwiona.

— Śmierć, pani!—zawołałem tragicznie.—Jeżeli chcesz ażeby jeden człowiek żył na tym biednym świecie, potrzeba ażebyś zaraz pani

wyliczyła 1650 złotych polskich; inaczej ten jeden człowiek w łeb sobie wypali: tym sposobem śmierć...

— Co to za jeden człowiek?

— Jest to biedny młodzieniec... Ad...

Amelia zbladła, ale przecuciem kobiécém pojęła o kim chce mówić. Zatknęła mi usta śliczną rączką i wyrzekła:

— Nie chcę wiedzieć, kto woła ratunku; masz tu panie Władysławie 2000 złotych: idź, spiesz i ratuj!

Kiedym uczuł spory pakiecik w rękę, zerwałem się co rychlej i lepszym jeszcze kłusem pobiegłem, bo nie było czasu do stracenia: za pół godziny miała się zacząć licytacja.

Przed domem chmara żydów, jak stado wron i kawek na burzę i dészcz już się zebrało i szwargotem swoim zwracało uwagę przechodzących. Wpadłem na wschody: stał przed drzwiami lichwiarz patrząc niecierpliwie na zegarek. Komornik w pierwszym pokoju po smacznym obiedzie wykałał zęby, w drugim Adolf, bledszy niż piérwój, leżał na kanapie.

— Tryumf! zwycięstwo! pieniądze są: nieproszonych gości za drzwi!

Na mój okrzyk zerwał się Adolf, rumieniec radości wybił na blade przed chwilą lica; nadbiegł komornik z rozjaśnioném czołem, wszedł za nim potulnie lichwiarz z miłym uśmiechem i pokornym ukłonem. Adolf obliczył należytość i rzucił na stół: lichwiarz skrupulatnie przeliczył, zwrócił rewers; a ja zawołałem dumnie:

— Janie! otwórz drzwi tym panom!

Jan przywdział liberyą z galonami, włożył kapelusz na bakier, roztworzył drzwi od sieni i ręką poważnie wskazał na wschody. Komornik, pomocnicy i lichwiarz wyszli z ukłonami.

Zjedliśmy teraz razem obiad wesoło, a gdy Jan podał mi sułtanem nabitą stambułkę, Adolf z radosnym uśmiechem rewersem lichwiarza zapalił mi fajkę. W miesiąc później, jako družba prowadziłem do ślubu Amelią, szedł obok niej z rozpromienioném obliczem dorodny Adolf. Po obrzędzie religijnym zaszedł pojazd przed kościół Farny: trąbka pocztarska zabrzmiała, a szczęśliwi małżonkowie odjechali używać na wsi rozkosznej pory letniej. Posłałem za nimi szczére westchnienie za ich pomyślną dolę i przyszłość!

Po wielu latach, po wielu burzach życia, zajrzałem na Bielany w drugi dzień Zielonych-Swiątek. Jakaż tu zmiana: ani śladu dawnego życia i gwaru. Usiadłem na darni spoglądając na białe wody Wisły, co tak samo płyną jak za lat moich młodych, gdy ktoś mnie zleka uderzył po ramieniu i powitał:

— Jak się masz, panie Władysławie!

Odwracam głowę i z zadziwieniem spoglądam na nieznanomego: jakiś starzec z dobrze zmarszczoném obliczem, okryty gołębią siwizną, pochylony laty, wsparty na kijku stał przedemną.

— Cóżto? czyż mnie nie poznajesz? Zestarzałem się, prawda? Tak to uciekają lata, a wiek przyciska człowieka do ziemi.

Kiedym nie mógł sobie przypomnieć ktoby to był, po chwili dodał:

— A jednak ja ciebie miałem za wielkiego lekarza. Zapomniałeś, jakieś mi doradzał dobry ponczyk, gdym się na Bielanach zakatarzył.

— A! to ty, kochany panie Stefanie!

Uściskał mnie starzec z rozrzewnieniem.

— A jakże się ma żona, a syn, ów wesoly Tadeuszek?

Stefan odwrócił głowę, kzy mu się zakręciły w oczach.

— Żona, moja poczciwa i zająca kobieta, umarła dwa lata temu, syn zginął przy moim boku. Patrz! byłem szczęśliwy, miałem rodzinę, używałem domowego szczęścia i spokoju; dziś sam sierota, a starość i niedołęztwo to moje skarby.

Spojrzałem uważniej i spostrzegłem, że nalega na prawą nogę i lewa ręka bezwładna.

— Cóż ci to kochany panie Stefanie w nogę?

— To od skorupy granatu! Dawniej nie tyle mi dokuczało, bo moja kochana żona osładzała mi ból każdy. Dumny byłem mojem kalcetwem, ale teraz cierpię i cierpię coraz więcej, bo sam jestem i słowa pociechy z nikąd nie mam!

Westchnął boleśnie i usiadł przy mnie. Zapytałem o Amelię i Adolfa, bo znał ich z blizka i wszystkie szczegóły wypadku, w którym grałem niepoślednią rolę wybawiciela od komornika i lichwiarza.

— Amelia zawsze piękna i zachwycająca umarła przed kilku laty; używała prawdziwego szczęścia z Adolfem, chociaż wiesz że to był hulaka, ale miał poczciwe serce i kochał ją szczerze. Jednego mieli syna i dali mu imię *Władysława*, na twoją pamiątkę. Urodę miał ojca i matki, równie jak ich przymioty odziedziczył wraz z niemałym majątkiem, bo Adolf stał się odrazu rządym i oszczędnym gospodarzem. Po śmierci żony, którą ubóstwiał, długo nie przeżył téj straty: w półtora roku spoczął z nią w jednym grobie. Dom ich był w okolicy głośnym ze staropolskiej gościnności i przyjęcia. Z moim pułkiem odwiedziłem ich przypadkowo. Mój Boże! co to była za radość, jak mnie ujrzeli i mojego Tadeusza.

Na to wspomnienie boleśnie westchnąłem, pan Stefan zamilkł, odwrócił głowę, a wlepiwszy oczy w zaszumione bałwany Wisły, nie wyrzekł już ani słowa do mnie.

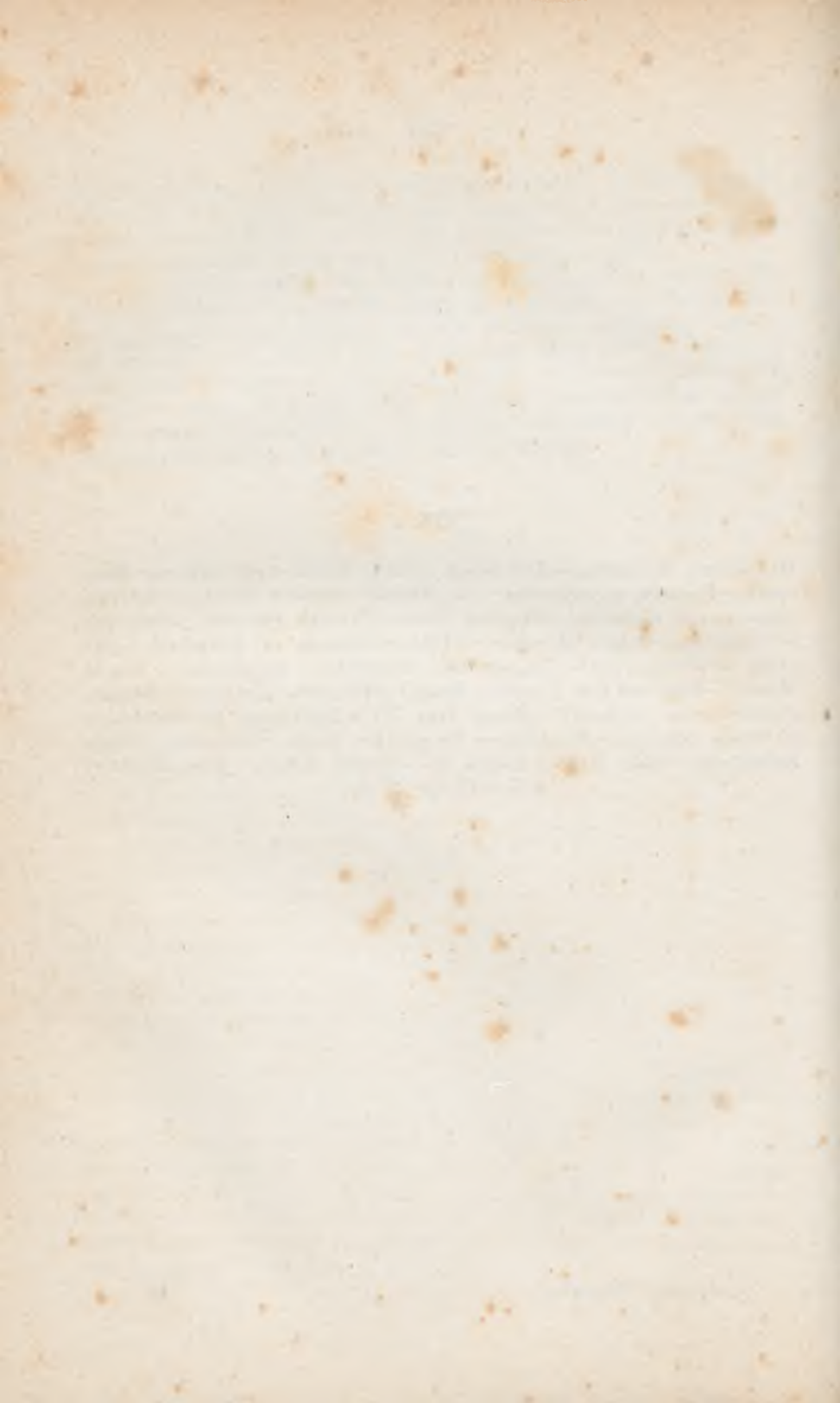
Siedzieliśmy właśnie w ulubioném miejscu wielkiego męża pod starym dębem. Tu w wolnych chwilach od zatrudnień urzędowych, w dni pogodne na wiosnę, przez lato do późnej jesieni, Stanisław Staszic w téj samotnej ustroni spoczywał, czytając książki i krésłąc w nich ołówkiem notatki. W dnie powszednie panowała tu cisza majestatyczna. Miał Staszic ztąd widok piękny i otwarty na Wisłę i dalekie jej okolice; słuchał szumu tych starych sosen i starszych dębów, do którego z rana i nad wieczorem łączył się głos dzwonu z klasztoru Kamodułów. Ukochał on to miejsce i polecił w testamencie, ażeby zwłó-

ki jego pochowane zostały przy tutejszym kościele. Spełniono to życzenie. Po lewej stronie kościoła, przy zewnętrznej ścianie, na niskim podmurowaniu leży duży prostokątny kamień piaskowy, z tym prostym napisem: *Stanisław Staszic ur. r. 1755 † 20 stycznia 1826.*

W młodych latach obaj byliśmy na jego pogrzebie, słyszeli wymowny głos żalu Fryderyka hr. Skarbka, a naszego ukochanego profesora; teraz razem poszliśmy na grób wielkiego obywatela, składając wieniec z ziół leśnych i liści ulubionego dębu uwity. Podaliśmy sobie dłoń w uścisku braterskim i nietając łez rzewnych pożegnali z sobą na zawsze, bo w rok potem niespełna pocziwy Stefan spoczął na cmentarzu Powązkowskim, przy zwłokach ukochanej małżonki. Syn Tadeusz miał daleko od Warszawy samotną mogiłę!

XIV.

Marymont.—Przysłowia.—Król Sobek.—Jakób Zaleski z pod Łukowa.—Rozmowa.—Przywilej na wójtostwo.—Hr. Wilczek.—Odsiecz Wiednia.—Instytut gospodarstwa wiejskiego.—Bogumił Flatt.—Fabryka wyrobów jedwabnych i wełnianych.—Szkola pływaków.—Obóz.—Cmentarz na Powązkach.—Cyprian Godebski.—Jakób Bogusławski.—Pojedynek.—Pojednanie.—Wanda Morska.—Cmentarz Ś-to Krzyżki.—Ruina.—Willanów.—Ursynów.—Natolin.—Królikarnia.—Mokotów.—Posąg Jana III w Łazienkach Królewskich.—Uroczyste odkrycie.—Wrażenie.—Panegiryk.—Praga.—Grobowiec Jakóba Jasińskiego.—Saska Kępa.—August II.—Zabawy ludowe.—Pola Grochowskie.—Wylewy Wisły.



Dwie drogi od rogatek Marymonckich wiodą na Bielany: jedna *dolna* wybrzeżem Wisły, ze źródłem wybornéj wody, pod górę Kamedułów; druga *górna* idzie około młyna głośnego w dziejach Warszawy: raz z wyrobu najdoskonalszój na kraj całej mąki, a powtóre, że król Stanisław-August, porwany z Miodowéj ulicy przez konfederatów, przywiedziony tu przez Kuźmę, znalazł spoczynek, nim nadbiegła jego gwardya i kareta. Król hojnie nagrodił starego młynarza, portret jego kazał wymalować, który przechował się do naszych czasów. Droga bita idzie górą, młynek w małym parowie leży, a wody dostarczają mu pobliskie od Marymontu i Bielán źródliśka i strugi.

W czasie panowania tego króla, zasłynęła mąka tutejsza z białości i dobroci swojéj, i stała się powodem do kilku przysłów, znanych prawie tylko w saméj Warszawie. Młynarze, chcąc pochwalić swój wyrób na wiatraku, albo z dalszój okolicy, zalecali że to „*mąka marymoncka*.” Młodzieńca, który z urody, jak grzeczności i gładkiego wzięcia pozyskał jakie uznanie, a przytem miękkiego charakteru i do wygódek nawykłego, nazywano „*chłopcem albo delikacikiem z marymonckiej mączki*,” co później zastosowywano i do panien pięknych, powabnych, zręcznych i umiejących się znaleźć.

Miejscowość ta otrzymała swoję nazwę od imienia królowéj Maryi Kazimiery Sobieskiéj, która na wybranym wzgórk, wśród gęstego lasu wystawiła pałacyk dla siebie na letnie mieszkanie i nazwała *Marie-mont*, gdzie rad przy niéj i jéj małżonek odpoczywał po trudach; ztąd wyjeżdżał na ulubione łowy do otaczających w pobliżu lasów, pełnych *grubego* zwierza, i odwiedzał niedaleki klasztor *Kamedułów na Bielaniach*, słuchając mszy świętój.

Żaden z panujących nie był tak popularnym u całej szlachty polskiéj, szczególniej też *zagonowéj*, czyli jak ją zwano *szaraczków*, ubogiej, o którój mawiano, że „jak pies usiądzie na dziedzictwie szlachcica, to ogon za granicą trzyma” jak król Jan III. Przez pieszczotę nazywano go *królem Sobkiem*: tak się o nim wyrażał lud warszawski, tak cała szlachta mazowiecka i podlaska.

Wkrótce, gdy królestwo piękny i kształtny pałacyk drewniany zamieszkali, a Jan III ruszył na polowanie, na siwym podjezdku, z przewieszonemi sakwami, jechał wąsaty szlachcic gościńcem od Podlasia do Warszawy. Kontusz z szarego sukna, pod nim z *czerwieni* żupan, pas podszarzany, czapka wytarta, karabela na rzemyku i rzę-

dzik na koniu skromny, zwiastował szlachcica z owych, których *szaraczkową szlachtą* nazywano.

Już trzeci dzień biędował w drodze, wyjechawszy z pod Łukowa.

Dzień jeden brnął piaskami, co od Siedlec do miasteczka Kałuszyna, jakby płachtą kilkomiłową rozesały się długo, dając znać, że coraz bliżej Mazowiecka ziemia, a piasek Mazurom rodzinny, wedle onéj staroświeckiej piosnki, chwalącój rozum Mazurów:

„Chociaż w piasku brodzą,
Lecz ostrożnie chodzą.

Na czwarty dzień dopiero wyjechawszy z lasów na wzgórze, ujrzał białą wodę Wisły a za nią we mgle, by w chmurze, stary gród Warszawy. Im bliżej podjeżdżał, wyraźniej dostrzegał wyraziste wieże, gmachy wysokie, miasto wielkie. Patrząc na nie, nie mógł się dosyć nadziwić; pierwszy raz bowiem oglądał stolicę państwa; z wlepionymi więc oczyma patrzył, a słońce właśnie wybijając wyżej, rozproszywszy mgłę ranną, w całej okazałości oświecało miasto, wyniesione nad rzeką, wspaniale.

Niewiedząc pan Jakób Zaleski dobrze drogi, jechał za drugimi, trzymając jedną ręką sakwy, by mu ich kto nie ściągnął; drugą wiodł konia, a gawroniąc się to na wielki gród, to na czeredy idących i jadących, stanął szczęśliwie nad przewozem wprost Mostowej ulicy. Sterczały tu jeszcze pale i kilka baszt z onego sławnego mostu, który rozpoczęty przez Zygmunta Augusta, a wykończony przez jego siostrę Annę Jagiellonkę, łączył przez długie lata oba wybrzeża rzeki.

Wysiadłszy z promu, wsiadł na swoją klaczkę, ruszył z kopyta i wskazaną drogą dojechał pod kolumnę Zygmunta III. Tu stanął zdziwiony i począł dumać nad tą świętą figurą, a tak wysoką w poród miasta; zdjął więc czapkę, przeżegnał się pobożnie i już wjeżdżał w *Krakowską bramę*, aby się dostać do zamku królewskiego, kiedy go natłok zatrzymał.

Przed bramą stały gęsto stragany sławnych przekupek warszawskich, zapełnione jabłkami, pomarańczami, cytrynami i wszelkim owocem odpowiednim porze roku, których strzegły niewiasty rosłe, w jupkach lisich lub sukiennych, w ogromnych czepcach, silnych ramion a czerstwego oblicza. Pan Jakób podjeżdżając bliżej, nie zważał na nałóg swój klaczki, że gdy stała, wierciła strasznie ogonem, i teraz stojąc tuż przy straganie, jak nim zakręciła, zrzuciła owoce i kwiaty.

— A ty *boćwiniarzu* przeklęty!—wykrzyknęła pani Marcinowa poszkodowana—czy cię tu *złe* naniósł! A potrafisz poganinie szkodę zapłacić? Tyś cały nie wart ze szkapą swoją tego, co mój stragan kosztuje.

Pan Jakób na słowa tak obelżywe, sięgnął do szablicy w węzówój pochwie, gdy nagle pchnięty z boku, spadł z siodła i potłukł się

na bruku. Spojrzał od kogo téj przysługi doznał i ujrzał trzy przekupki, które zrzuciwszy go z *wierchówki*, z ściśnionemi pięściami, z groźném obliczem okoliły go wieńcem. Pan Jakób zaledwie się podniósł, a junacze panie, widząc jak się z bólu krzywił, poczęły się śmiać głośno i gniew zamieniły co rychléj na krzykliwą radość. Szlachcic widzi, że to nie przelewki, wstyd dobywać karabeli na niewiasty, obrócił się więc do poszkodowanej i zaczął przemowę pokornie:

— Mościwa pani! wielce przepraszam za moję klaczkę, ale Pan Bóg mi świadkiem, że to z przypadku!

I skłonił czapką.

Pani Marcinowa na tak uniżone przeprosiny, przebaczyła wszystko, na znak swéj łaski dała mu kilka pięknych jabłek i zapytała uprzejmie:

— A dokąd waszmość jedzieta?

— Do króla jegomości *Sobka*.

— Żleś waszmość trafił, król *Sobek* na łowy wyjechał do pałacu swojéj pięknej pani.

Pan Jakób poskrobał się po głowie.

— Cóż ja biedny pocznę, nie wiem kędy się obrócić?

— Poczekaj waszmość: mój chłopak zna tę drogę, to was za miasto wyprowadzi, a ztamtąd łatwiej traficie.

Uradowany szlachcic pocałował w ramię pocziwą panią Marcinową, siadł na *wierchówkę* i ruszył za przewodnikiem. Chłopak wyszedłszy za miasto wskazał las ponad Wisłą, a Zaleski ruszył wolnego kłusa.

W drodze układał *koncept* do mowy, którą miał wypalić okrągłemi słowy do króla *Sobka*; dobierając słów gładkich, to gładził czuprynę podgoloną, to się po niéj drapał. Pokręcał wąsy, w głos deklamował, dwa razy przewinał pas na sobie, uradowany że już miał całą przemowę w głowie i ruszył galopa.

Ujechawszy spory kawał gościńcem, dojrzał na strzał rusznicy jeźdźca, co dążył drogą do pałacyku w lesie. Dogwał go wkrótce, a uchylając czapkę:

— Pomagaj Bóg waszój miłości!—zawołał—chciałem waszmości prosić, ażebyś dla miłości braterskiej pokazał mi króla naszego *Sobka*.

Nieznajomy obrócił się do szlachcica. Miał na sobie szary konusz sukienny, żupan takiz perłowy, czapka téjże barwy, buty czerwone ze srebrnemi ostrogami; przy boku kordelas myśliwski, na ramieniu rusznicę turecką, bogato nabijaną złotem. Dobréj był tuszy ciała, nawet otyły: oblicze urodne, szlachetne, czerstwe, wąs zawieszisty.

— To waszeć—odrzekł—chcecie się widzieć z samym królem Jegomością?

— Tak jest.

— A cóż to za ważny macie interes do niego?

— Wasza miłość wyglądasz na półciwego pana brata, opowiem więc rzecz całą. Brat mój starszy pan Malcher, miał dane *wójtostwo* w dożywocie, ale zmarło półciwe człeczysko tydzień temu i nie zostawił potomka; owoż ja chciałem wyprosić dla siebie toż wójtostwo.

— Jakież waszeci zasługi, aby król Jegomość mógł się przychylić do jego prośby.

— Ja zasług-ci żadnych w Rzeczypospolitéj, mówiąc prawdą a Bogiem, nie mam, ale mam z moich dziarskich chłopaków. Jeden Marcin służy w chorągwi nadwornej króla *Sobka* towarzyszem husarskim, był z nim wszędy, nawet pod Chocimem, a *wiktorya* dała naszemu kochanemu panu koronę; drugi służy w rocie królewicza Jakóba; obaj w potrzebie dobrzy: król sam raczył chwalić ich mężstwo, a czego znaki noszą na ciele własném od kulek z janczarek tureckich i strzał tatarskich.

— Jak się waszec nazywasz?

— Jakób Zaleski szlachcic z pod Łukowa, czystej krwi po mieczu i kądzieli, a wywieść się mogę z siedmiu pokoleń szlacheckich.

— Jestem dworzaniem króla, znam synów waszeci; może da łaskawe ucho. A jak odmówi?

Pan Jakób aż się zachwiał na siodle na ostatnie wyrazy.

— Co? nie da wójtostwa!—krzyknął nasrożony.—Ha! to niech w ogon moję kobyłę pocałuje!

I poprawił z gniewem pasa, a czapkę nacisnął na prawe ucho.

Dworzaniek roześmiał się szczerze i rzekł do szlachcica po chwili:

— Za godzinę na półzegarzu pałacu, król *Sobek* będzie widzialnym, wtedy waszec przybądź. Oto masz pierścień: jak go pokażesz, wpuszczą cię do króla.

I skłonił głowę, a szlachcic włożywszy sygnet za pazuchę, wjechał na dziedziniec pałacyku w Marymoncie. Tu zsiadłszy z klaczki, z jednej sakwy wysypał jej owsa na trawnik, a z drugiej dobywszy chleba i wędliny zajadał smaczno, oczekując wyznaczonego czasu.

Zegar bije oczekiwaną godzinę, pan Jakób ociera co duchu wąsy, gładząc je udatnie: dobywa sygnetu, ogląda go ciekawie.

Na dużym krwawniku była wyryta tarcza ¹⁾, nie wiedział co za herb; mało dbał o to wszakże, wiedząc że ten pierścień robi mu przystęp do króla.

Rusza więc żywo i wchodzi do pałacowej sieni. Żołnierz stojący na straży, zatrzymał go przy wniścieniu, ale gdy pierścień pokazał, skłonił głowę i pan Jakób wstąpił na wschody wskazane przez niego.

¹⁾ Herb rodziny Sobieskich.

Tu zatrzymało go znowu kilku dworzan, lecz za ukazaniem sygnetu, z ukłonem przepuścili szlachcica, otwierając mu podwoje na oścież do wielkiej komnaty; pan Jakób wchodzi, widzi stojących wielu panów z odkrytymi głowami, strojnie i bogato ubranych, oczekujących na króla. Ciekawie spozierał, czy gdzie nie ujrzy właściciela pierścienia, aż wtém wychodzi z bocznych drzwi w szarym kontuszu i perłowym żupanie on znajomy dworzauin, ale miał czapkę na głowie i nie zdjął jój wcale.

Szlachcic na jego widok uśmiechnął się radośnie, lecz gdy ujrzał że czapki nie zdejmą, a panowie schyleniem głowy witają go z uszanowaniem, zatrwożył się nieco, bo zmiarkował, że to być musi sam król *Sobek*.

Jan III z uśmiechem wesołym patrzył na pomieszanie Jakóba, wreszcie wyrzekł:

— A cóż waszeć poznałeś króla *Sobka*?

Szlachcic chciał ukłęknąć, król go podniósł.

— Jakże będzie—mówił dalej—jeżeli wójtostwa nie dostaniecie?

Pan Jakób w ciemie nie bity, uściskałszy kolana królewskie, odrzekł śmiało:

— Najjaśniejszy Panie! *słowo się rzekło: kobyła stoi u płotu!*

Król śmiał się serdecznie i rozkazał wydać mu przywilej na żądane wójtostwo, a słowa śmiałego szlachcica poszły w przysłowie, które dotrwało naszych czasów, dla przypomnienia iż słowo dane, powinno być dotrzymaném.

Wkrótce po tém zdarzeniu, które tak Jana III, jak i dwór jego ubawiło, w roku 1683 hr. Wilczek poseł cesarza austriackiego, błagał tego króla o pomoc zagrożonemu Wiedniowi; kiedy się Jan III wahał, niedając stanowczej odpowiedzi, upadł na kolana, a wyciągając doń ręce, zawołał rozpaczliwym głosem:

— Królu! ratuj Wiedeń!

A obecny temu nuncyusz papieżki, pochylając głowę przemówił:

— Królu! ratuj chrześcijaństwo!

I Jan III dał słowo pomocy, dotrzymał go; strasznym pogromem rozbił potęgę muzułmanów groźną Europie, ażeby nad swoim grobem, pełne goryczy przysłowie, na przedmiot niegodny poparcia: „*To tyle warto, co bić się za Wiedeń!*“ zostawił, jako smutne wspomnienie, smutnej, a krwawej ofiary, niegodnie po niemiecku odpłaconej.

Po zgonie bohatera a oswobodziciela stolicy austriackiej, wdowa jego i założycielka Marymontu, przemieszkiwała w tym pałacyku, dopóki Polski nie opuściła. Po jój wyjeździe opuszczony, poszedł w zapomnienie, gdy nabywszy August Mocny tę posiadłość, znów ten pałacyk podniósł i ozdobił po królewsku, że samém błyszczał złotem. Syn jego August III nowy gmach wymurował, założył park ze zwierzyńcem; przyjeżdżał z Warszawy strzelać do tarczy lub polując na wilki. W czasach panowania Stanisława Augusta, przemieszkiwał tu poseł angielski przy Rzeczypospolitej Polskiej, Tomasz Wroughton,

który utrzymując starannie dawny „dwór myśliwski“ króla Jana III i okalający ogród, otworzył oba dla publiczności. Wtedy Marymont stał się modną i ulubioną przechadzką dla Warszawian. Marymont będący własnością dworu saskiego, wydzierżawiany prywatnym, przeszedł następnie na skarb Księstwa Warszawskiego, a w końcu Królestwa Polskiego; wówczas wybrany został na pomieszczenie Instytutu gospodarstwa wiejskiego.

W roku 1818 nastąpiło nadanie na ten cel dóbr ziemskich, składających się z folwarków i wsi: Wawrzyszewa, Rudy, Marymontu z przyległościami, oraz wsi Buraków, mających stanowić klucz marymoncki. Instytut był przeznaczony na naukę gospodarstwa wiejskiego rolniczego, weterynaryi praktycznej i szkołę rękodzielniczą. W roku 1819 otworzony został Instytut Agronomiczny, który początkowo składał się z klasy niższej i wyższej do kształcenia parobków, owczarzy, gorzelanych, ekonomów i rządzców dóbr. Instytut weterynaryi otworzono w r. 1824; klasę niższą wtedy zamieniono na szkołę wiejską dla dzieci ubogich. W tym okresie po rok 1831, położył niezapomniane zasługi Bogumił Flatt, mąż odpowiednio wykształcony, jako pierwszy dyrektor.

Marymont, od 1800 roku był ciągle miejscem ulubionej przechadzki dla Warszawian: pałacyk zawsze zwano „dworem myśliwskim,“ bo do jego ścian przyrosło wspomnienie o królu Sobieskim.

W roku 1820 założono tu fabrykę jedwabnych i wełnianych wyrobów, która się świetnie rozwijała; przytém zwabiła licznych gości szkoła pływaków dla wojska polskiego, gdzie wyborowi pływacy dawali dowody zadziwiającej zręczności, gdy w stawie głębokim, poświęconym wyłącznie téj szkole, w postawie stojącej płynąc, nabijali broń i celnie strzelali. W téj sztuce, pomiędzy wielu innymi celował Konstanty Zaleski podoficer piechoty, z 8-go pułku, rodem z pod Zambrowa.

Droga do miasta szła pod Żoliborzem i w pobliżu kościołka Gwardyackiego. W Żoliborzu mieścił się konwikt księży Pijarów, dla zamożniejszej młodzieży, z którego wyszło wielu znakomych obywateli i uczonych mężów.

Wielka równina od Marymontu rozściela się aż do Mokotowa pomiędzy dwoma wybrzeżami Wisły; prawie w jój środku pod Powązkami stał obóz armii polskiej i część rosyjskiej konsystującej w Królestwie pod wodzem naczelnym Wielkim księciem Konstantym, bratem dwóch cesarzy: Aleksandra I i Mikołaja I. Wielki książę należał do najznakomitszych organizatorów i instruktorów wojskowych. Jakoż cała armia polska pod jego dowództwem, trzymana w żelaznej subordynacyi, wybornie była wymusztrowana i słuszny podziw wzbudzała w cudzoziemskich oficerach.

W dzień 8-go Antoniego, 13 czerwca, każdorocznie zataczano obóz, który trwał do 13 września, w którymto dniu rozchodziły się

wszystkie pułki w nim zgromadzone piechoty, jazdy i artylerji na zimowe leże.

Ożywiało się nasze miasto niezwykle w te dni, gdy odgłosy muzyki wojskowej i bębnow brzmiały po ulicach wszystkich. Na czele pieszych pułków postępowali przed doboszami i kapelą, rosły tamborażory, wywijając zręcznie długimi pałkami ozdobionymi w jedwabne sznury, lub rzucając je w górę i chwytając w powietrzu.

Chłopcy ze wszystkich warsztatów rzemieślniczych, gromady uliczników, otaczali zwykle maszerujących żołnierzy, w takt z nimi równy postępując, a jakkolwiek codziennie, nawet i zimową porą kiedy obóz zwinięty, powtarzały się te przechody wojskowe na plac Saski na paradę, zawsze nie brakło ochoczych widzów tam, gdzie muzyka wojskowa zagrała, lub bębny marsz wybijały.

Przez cały kwartał obozu na polach Powązkowskich, codzienne odbywali mieszkańcy Warszawy wędrówki w tę stronę, bo pod temi płóciennymi namiotami, w tych drewnianych barakach, zarówno żołnierze jak oficerowie, połączeni byli z niemi związkami serdecznemi krwi, braterstwa i miłości!

Na tej nieplennej glebie, na piaszczystej równinie, gdy oznaczono granice obozowiska, budowano baraki drewniane dla oficerów różnych stopni od podporucznika do generała, a w około każdego powstawały ogródki kwiatowe, darnią usłane i zasadzone drzewami, jak szopy drewniane na potrzeby obozującego wojska. Stosownie te ogródki zakładano do szczupłych lub większych rozmiarów miejsca, wszędzie odbijał smak estetyczny w ich przystroju.

Stosunki rodzinne i przyjacielskie zgromadzały w każdy dzień świąteczny roje gości z Warszawy do obozu, w którym liczne kapele wojskowe przygrywały po południu aż do godziny *capstrzyka*; albowiem gdy dobosze zaczęli go wybijać, obcy przybysze opuszczali gościnne obozowisko i grobowa cisza zalegała całą równinę, przerywana tylko czasem odgłosem czat rozstawionych wokoło.

Wesołe i radosne to były chwile dla wszystkich warstw społeczności Warszawy, które się z dniem 13 września 1830 roku skończyły, gdy obozująca armia rozesała się na leże zimowe.

Droga do obozu wiodła około cmentarza Powązkowskiego, który odwiedzano tylko w czasie *Zaduszek*. Smutny w tym okresie przedstawiało widok to schronienie zmarłych, bo nie było jak dziś zacienionym ogrodem, ale wydumą piaszczystą: rzadko gdzie drzewko ujrzałeś i zieloną murawę. Trzy tylko nagrobki, miłujących dawne wspomnienia zwabiały na ten cmentarz: dwa z nich były wojaków zasłużonych, Cyprjana Godebskiego poety-żołnierza, poległego w pamiętnej bitwie pod Raszynem w r. 1809 i Jakóba Bogusławskiego oficera legii polskiej we Włoszech, który walczył w dwóch kampaniach w kraju, w r. 1792 pod dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego, w roku 1794 pod Kościuszką, a następnie we Francji, we Włoszech i na wyspie St-Domingo. Odbył pamiętną wyprawę do Mo-

skwy 1812 r. i jako pułkownik i dowódzca korpusu Inwalidów i Weteranów, mając 60 lat wieku zakończył życie. Urodzony na lat pięć przed wstąpieniem na tron Stanisława Augusta, za Augusta III, przeżył całe panowanie Poniatowskiego i następne zmiany krajowe. Bogusławski nizkiego wzrostu, szczupłej postaci, człowiek łagodnego i cichego charakteru, nieustraszony w boju, miał pomimo woli sześćdziesiąt pojedynków i piętnastu przeciwników zabił. Z tych krwawych spotkań, przywiodę znany mi bliżej, jeden tylko szczegół.

Stojąc w Wenecyi, za urlopem, po cywilnemu przebrany, przybył do Padwy i wszedł do traktierni na obiad. Zaledwie zajął na ustroniu miejsce, wbiega kapitan i trzech niższej rangi oficerów francuzkich; siadają naprzeciw, a widząc niepoczesną postać Bogusławskiego, zaczęli szydzić z niego, różne mu dając przydomki. Spokojnie to znosił, ale gdy jeden z nich gałką z chleba uderzył go w czoło, powstał, zbliżył się do nich i rzekł:

— Panowie! jestem kapitanem w legii polskiej, żądam od was wszystkich zadośćuczynienia; na gałki chlebowe odpowiem wam ołowianą kulą.

— Służymy panu!—odrzekli wszyscy.

— Nie tu, moi panowie: ponieważ niejeden z was zginąć musi, nie chcę tego robić w ukryciu. Panowie macie garnizon w Weronie, tam jadę i czekam na nich.

Jakoż bezzwłocznie do Werony przybył i stanąwszy w mundurze swój legii przed dowódczą pułku, rzecz całą opowiedział, żądając dla siebie dwóch sztabś-oficerów na sekundantów.

Plac pojedynku wyznaczono za koszarami. W oznaczonej godzinie stanęło czterech przeciwników z sekundantami i Bogusławski; reszta oficerów z polecenia pułkownika pozostała z drugiej strony murów. Wkrótce usłyszano ośm wystrzałów w przerwach, a niedługo wyszedł blady i pomieszany pułkownik z sekundantami tylko, za nimi spokojny jak zawsze Bogusławski.

Każdy pierwszy strzał przeciwników wytrzymał z niewzruszonym okiem: pierwszego co go uderzył gałką z chleba, trupem położył; dwóch co szydzili, tak śmiertelnie poranił, że we trzy godziny pomarli: najmniej winnemu obie nogi przestrzelił.

Ogólne milczenie wszystkich z podziwieniem wyraźnym przyjęło Bogusławskiego, skłonił się obecnym i odjechał do Wenecyi ten *piekielny człowiek*, jak go wówczas nazwali Francuzi, ubiwszy w jednym pojedynku trzech oficerów.

W roku 1814, kiedy już był pułkownikiem i dowódcą korpusu Inwalidów, wchodzi do niego wracający z niewoli rossyjskiej, urodnej postaci pułkownik francuzki i zapytuje czy tu mieszka pułkownik Bogusławski?

— Ja to jestem—odrzękł sędziwy wojak.

— A ja jestem Lefevre, jeden pozostały z rodziny, z której kilku braci moich, pułkownik w pojedynku na tamten świat wypawiłeś.

— Mój pułkowniku—smutno odpowiedział Bogusławski, którego wzruszyło to wspomnienie—jużbym teraz tak celnie nie potrafił strzelać: ręka drży i oko nie dowidzi.

— Nie przychodzę tu wcale z zemstą, ale żebym cię poznał i zgodą serdeczną, stare zatarł niesnaski.

A widząc, spojrzawszy na ścianę dwa pistolety wiszące:

— To zapewne będą te same, których pułkownik używałeś w pojedynkach?

— Tak, też same.

— Daruj mi na pamiątkę: one to pozbawiły mnie braci.

— Chętniebym to zrobił, ale już je ofiarowałem memu siostrzeńcowi i żałuję, że jego prośbie odmówić muszę.

Długo, do późnej nocy zabawił gość ochoczo, uczęstowany przez naszego inwalidę ze staropolską gościnnością. Wyjechał wkrótce do Francji, pełen czci i przyjaźni dla sędziwego Bogusławskiego.

Nagrobek Bogusławskiego należał do najszlachetniejszych na cmentarzu Powązkowskim w owe czasy. Zbudowany w kształcie kapliczki, na ścianie wewnętrznej ma *armaturę* wojenną, a pod nią dużą marmurową tablicę, na której wyryty jest cały stan jego służby wojskowej. Umieszczony jest po prawej stronie cmentarnego kościółka, tuż przy jego ścianie. Z przeciwniej strony, ale już w samej ścianie tej świątyni, wmurowany kamień piaskowy z tym napisem krótkim:

Tu leży ofiara przesądu, Wanda Morska, umarła dnia 20 lipca 1807 roku.

Przy tym nagrobku zawsze stawała młodzież nasza płci obojg, gdy odwiedzała Powązki i ze smutnym go opuszczała westchnieniem!

Wedle pewnego podania, była to dziewica zarówno słynna z wdzięków i powabu, jak przymiotów duszy. Pokochała młodego oficera z legionów we Włoszech i poprzysięgła mu wiarę. Ale gdy stanął z prośbą o jej rękę, ojciec dumny herbem i majątkiem, gdy legionista za całe mienie miał tylko szpadę i dwa krzyże: legii honorowej i *Virtuti militari*, a do tego nie był szlachcicem, stanowczo mu odmówił i zmuszał córkę do ślubu z wybranym przez siebie żaltnikiem.

Boleśnie dotknięty tak szorstką odpowiedzią, pożegnał ukochaną Wandę i poprzysięgł że wiernym pozostanie jej do grobu: a biedne dziewczątka tonąc we łzach, ponowiło przyrzeczenie swęj stałości dla niego. Legionista powrócił pod swój sztandar na własną ziemię, gdy z tęsknoty za nim i z miłości Wanda usychała i więdła

iak kwiatek. Nadaremnie matka chciała ubłagać męża, patrząc na nienackane ukochane dziecię swoje, stary Morski zbywał ją upornym milczeniem, albo z szyderskim odpowiedział uśmiechem:

— Wszystko to minie, jak wróci ze ślubnego kobierca!

W tym czasie po bitwie pod Jena, gdzie Napoleon rozbił całą potęgę Prus, zwycięzkie jego chorągwie wstąpiły na ziemię polską. Ogłoszono *Księstwo Warszawskie* i nasz legionista, ciężko ranny wrócił do kraju, aby towarzyszyć pogrzebowi swój narzeczonej. Ojciec jej, dowiedziawszy się o jego ciężkiej ranie, z radością doniósł córce i matce, że już w szpitalu umarł. Był to cios śmiertelny dla nieszczęśliwej Wandy: cicho jęknęła, pochwyliła się za serce obu rękoma i skonała.

Dopiero teraz, na widok trupa jedynaczki obudziło się w Morskim ojcowskie uczucie. Rzucił się do jej stóp, rzewliwie płakał, i w rozpacz, co rychlej opuścił Warszawę, niechając być na jej pogrzebie. Matka śmiertelnie zasłabła, i w dni kilka umarła: nasz legionista zajął się pogrzebem ukochanej narzeczonej, i pod murem kościoła Powązkowskiego złożywszy jej zwłoki, w jego ścianie osadził kamień z powyższym napisem. Przeniesiony do korpusu inwalidów z powodu ran ciężkich, jakkolwiek młody, bo liczył dopiero lat 28 życia, nie pomyślał o związku małżeńskim, pozostając zawsze wiernym swój przysiędze, którą złożył pięknej Wandzie.

W pobliżu tego cmentarza, na tej samej równinie mieszczą się cmentarze parafii wyznania ewangelicko-augsburskiego, i ewangelicko-reformowanego, a zarazem i żydowski. Do najpierwszych zaś ustroni zmarłych w Warszawie należał cmentarz *Święto-krzyżski* przy ulicy Marszałkowskiej, na którym grobowce ozdobne pokryły zwłoki najznakomitszych postaci z końca XVIII stulecia. Tu spoczęła słynna z epoki panowania Stanisława Augusta Elżbieta z Szydłowskich Grabowska, tajemnie poślubiona temu królowi, wraz z córką; niecnęj pamięci Adam książę Poniński podskarbi wielki koronny, Józef Szymanowski poeta tłumacz *Świątyni Wenery w Knidos* i z literatów Piotr Świtkowski, Józef Epifani Minasowicz, Józef Lipiński, Wawrzyniec Surowiecki i w. i. a z najznakomitszych wojowników, generał dywizyi Michał Sokolnicki.

Cmentarz ten w niskim położeniu wodą zalewany, przepełniony trupami, w roku 1831 zamkniętym został. Wtedy w opuszczeniu będąc uległ zupełnej ruinie. Ręka złoczyńców wydarła tablice marmurowe z rozwalonych katakumb i grobowców, wszystkie pamiątki zniknęły, dziś już śladu po nim niema.

Za Czerniakowem, nad tém samem wybrzcem Wisły, leży wieś *Wilanów* z pysznym pałacem i ogrodem, dawne dziedzictwo króla Jana III, ze znakomitą galerią obrazów i liczną biblioteką. Zwycięzca muzulmanów, po ich strasznym pogromie i oswobodzeniu Wiednia w r. 1683, wybrał tę miejscowość na swoje siedlisko. Pałac

zbudował rękoma brańców tureckich, wziętych w niewolę w tej bitwie. Willanów był najmilszym ustroniem naszego bohatera: wiele w nim lip własną ręką zasadził, obok starodrzewów, które już zastał. Tu król Jan III życie zakończył.

Miejscowość ta jakkolwiek uroczą, z powodu oddalenia od Warszawy, rzadko mieszkańców jej tłumnie zgromadzała: pamiętam tylko spieszących jakby w procesyi Warszawian w r. 1821 ze wszystkich warstw społecznych do Willanowa, gdy Stanisław Kostka hr. Potocki minister oświecenia, dziedzic tej włości, słynny mówca umarł i zwłoki jego w dolnej sali były wystawione. Ma tu on wspaniałe grobowiec wraz z bratem swoim rozgłośnego imienia Ignacym Potockim ¹⁾.

W pobliżu przed Willanowem, na drodze z Warszawy po prawej ręce, znajduje się mała osada zwana dawniej *Rozkoszą*, a następnie *Ursynowem*, własność Juliana Ursyna Niemcewicza, gdzie sędziwy starzec po pracy szukał wytchnienia. Tu go odwiedził Juliusz Słowacki, wówczas wyrostek bawiący w Warszawie i szczegółowo opisał tak postać autora *Juna z Tęczyna*, jak gościnne przyjęcie jakiego doznał.

Niedaleko za Willanowem jest pyszny park *Natolin*, należący do niego, jakiego trudno znaleźć w całym kraju pod względem uroku miejscowości i starodrzewów.

Na nim kończą się w tej stronie najdalsze okolice Warszawy. Wracając do miasta, bliżej już wabił jej mieszkańców piękny ogród w Królikarni z gustownym pałacykiem, z którego widok na Willanów i Łazienki królewskie, a pod rogatkami prawie Mokotów, założony przez Izabellę z Czartoryskich Lubomirską, marszałkową wielką koronną, i z francuzka (*mon coteau*) nazwany. Ogród obszerny i pełen cienia w śród upałów letnich, był miłą przechadzką dla Warszawian.

W obrębie już samego miasta, leżą Łazienki królewskie, czarna miejscowość, o której jużesiny mówili.

Co spowodowało króla Stanisława Augusta znanego z miękkości charakteru, rozpustnego życia i lęklivego do boju, że postawił kamienny posąg jednemu z największych wojowników polskich, z pewnością niewiadomo; zdaje się że chciał pozyskać przez to współczucie narodu, które od czasów konfederacyi Barskiej coraz chłodło wydatniej.

Dzień 14 września 1788 był przeznaczony na uroczystość świętą odsłonięcia tego pomnika. Wystawiono amfiteatra dla licznej publiczności w około szranków, gdzie miał się popisywać konny *karu-*

¹⁾ Wszystkie w Willanowie pomniki i grobowce z napisami podałem szczegółowo w dziele mojem p. n. *Cmentarz Powązkowski* tom III. (Warszawa 1858 r.). Pamiątki historyczne, zabytki sztuki i galerye obrazów obejmuje wychodzące *Album Willanowskie*, w ozdobnej edycyi.

zel, z ochotników wybranych z lejbgwardyi konnej koronnej i paziowie królewscy. Po udatnych turniejach, w których młodzież miała pole pokazać i zręczność w jeździe i robieniu bronią, otwartym został teatr. Scena przedstawiała las, a w nim ołtarz, za którym ukazała się statua króla Jana.

Publiczność zebrana z dwóch się składała stronnictw: kontuszowców, i młodzi a panów wraz z królem zdudziemczałych. Wszyscy polonusy byli przy szablach: na widok postaci bohatera, cały las łazienkowski okrzykiem radosnym zabrzmiał. Przedstawiano *Kantatę*, napół pasterską, napół rycerską. Gdy pasterz Korydon, którego rolę grał Kaczkowski, znakomity śpiewak, wskazując na statwę oswobodziciela Wiednia, głosem dźwięcznym i donośnym przedeklamował następane *recitativo*:

„Alboż to nieznac z tój wspaniałej miny,
Potomka sławniej w ojczyźnie *Janiny*?
Ten rumak, co się pod nim żartkiem kołem toczy,
Ta stał glansowna, co mu pierś waleczną tłoczy;
Ten szyszak, co mu czoło poważne pokrywa,
I z lekkimi wiatrami pierzem poigrywa;
Postawę Sarmackiego *Alcyda* wydaje
Ten on ubiór, takowe kochał obyczaję,
By zwykając do trudów i wojennej pracy
Imię swe i ojczyzny wsławili Polacy!“

Skończyło się widowisko, opony spadły z kamiennego posągu i Jan III, nie w kontuszu i żupanie jak na scenie teatru, ale ukazał się w hełmie i rzymskim stroju, wśród świetnej illuminacji. Do północy jeszcze gwar napełniał park w Łazienkach, gdy się uciszyło wraz z poranną zorzą, młody, piętnastoletni Aleksander Sapieha, na podstawie kamiennj posągu te wiersze pełne prawdy ołówkiem napisał:

„Stanisław, co nas z sławy, z ujmą kraju zbawił,
Janowi Sobieskiemu statwę postawił:
Kosztłożył sto tysięcy, jabym dwakroćłożył,
By Stanisław skamieniał, a Jan trzeci ożył.“

Król miał zaraz przyniesiony sobie ten *panegiryk*: jak mu smakował, łatwo się domyślić. Mnóstwo osób żyło, co uczestniczyli w tój uroczystości łazienkowskiej, i w żywej ją pamięci przechowało. Na drodze od tego pomnika króla-bohatera, do Alei, przy samém wzniesieniu góry, jest źródło orzeźwiającej wody, ulubiony przez królowę Annę Jagiellonkę małżonkę Stefana Batorego, a siostrę Zygmunta Augusta. Z niego to świątobliwa ta niewiasta i matrona staropolskich cnót, czerpała pokrzepiający źródłowy napój. Zachowany na kamiennj kolumnie napis, wspomnienie jej zachowuje dotąd.

Podług tego posągu w rzymskim stroju króla Sobieskiego, wykonano na dużym arkuszu staloryt, który niesłychany miał pokup. W Warszawie nie było domu, czy zamożnego obywatela, czy warsztatu rzemieślnika na poddaszu, gdzieby w ramach za szkłem nie ujrzałeś tego sztychu. W całym kraju w najuboższym zaścianku szlacheckim, obok obrazów Matki Boskiej Częstochowskiej, Gidelskiej, Ostrobramskiej i wizerunków Zbawiciela, zawieszano go też na ścianie, i ojcowie dziatwie i wnukom podawali w pamięć wspomnienia o ukochanym królu *Sobku* i zwycięstwa pod Wiedniem.

Po drugiej stronie Wisły przedmieście Praga, w której za Jagiellonów były wielkie składy soli, i ztąd przysłowie: *Osolił by Pragę*, (które zapisał Salomon Rysiński w zbiorze swoim *przypowieści polskich* 1619 r.) po strasznym pożarze i zniszczeniu d. 4 listopada 1794 roku, już się podnieść z upadku nie mogło.

Po doznanej klęsce i pogorzeli, zostały na Pradze kościół i klasztor panien Bernardynek i wielki okazały kościół z klasztorem księży Bernardynów. Gdy zwycięzka armia Napoleona I weszła do Warszawy, i Pragę postanowiono ufortyfikować, z rozkazu marszałka Dawousty w r. 1807 oba te kościoły i klasztory zburzono, zostawiono tylko na gorące prośby obywateli pragskich kapliczkę, *Domkiem Loretańskim* zwaną. Pomimo upadku, Praga była ulubionym miejscem przechadzki dla mieszkańców Warszawy. Panowie majstrowie i czeladź ze wszystkich cechów schodzili się tu na skosztowanie smacznych miódów, których liczne składy tuż przy moście pływającym wabiły. Zamożniejsi obywatele, a nawet nieraz *elegancya* warszawska, przybywała do ogródków na sławne raki tuczone, szparagi i kurczęta. Ale najgromadniej lud warszawski zbierał się co niedziela i święta w ulubioną miejscowość na Saską-Kępę, do której wiodły dwie drogi: przez Pragę, albo też łódkami i krypami przez Wisłę. Pragnący odpoczynku w tej przechadzce szli łądem zawadzając o ogródki pragskie, dla pokrzepiania miodem nóg strudzonych: chcieli co rychłej zabawy wśród tej ustroni prawdziwie wiejskiej, z powiśla dosiadali łodzi, i przemykali po falach rzeki na drugie wybrzeże.

Wedle świadectwa Załuskiego, *Saska-Kępa* nazwę otrzymała za Augusta II; w czasie bowiem wojny z Karolem XII, kilka tysięcy wojsk saskich miało tu swój obóz. Gdy pokój zawitał, król ten, co się więcej lubił bawić, jak panować, dawał tu częste pohulanki w dobranym gronie swoich ulubieńców i pięknych pań, które bez względu na cześć własną biegly w jego objęcia.

W roku 1730, kiedy jeden z pokojowców zamkowych miał się zenić z córką majątnego kupca Warszawy, a swataniem tej pary, sam się August Mocny zajmował, urządził skrycie i niespodzianie wspaniały festyn na Saskiej-Kępie, ślub i królewską ucztę. Nigdy to ustronie niewidziało równego zbytku i przepychu, ani nie odbijało swoim echem takiej wrzawy radosnej! Niedaremne przeto z okresu panowania dwóch Sasów przechowało się przysłowie:

„Za króla Sasa,
Jédz, pij, a popuszczaj pasa.”

malujące dokładnie smutne bachanalia, po których niedługo straszna przyszła pokuta ¹⁾!

Czas zabawy na kępie zwykle zaczynał się o wczesnej godzinie poobiednej; ale wielu zwolenników cichój przechadzki wybierało się w gronie rodzinném już zaraz z poranku w święto lub w niedzielę; słuchali mszy świętej u *Trynitarzy* na Solcu, i ztąd prosto płynęli do Saskiej-Kępy, niosąc w węzełkach posiłek dla swego grona; lubiący zaś gwarne życie spieszyli około 2-ój lub 4-ój godziny z południa, bawiąc do północks.

Koloniści na tej kępie oczekiwali zawsze z utęsknieniem na upragnionych gości, bo dochód z nich ciągnęli znakomity. Spieniężali nabiak, swój wypiek chleba razowego, drób' i mięso, a przytém piwo i wódkę. Zbierało się Warszawian do dwóch i trzech tysięcy, co dorażu zaludniali Saską-Kępę napełniając ją radosną wrzawą. Karuzele i huśtawki, ciągle zajęte, wędrownie orkiestry i liczne katarynki pobudzały do zabawy: murawa czy piasek nie wstrzymywały ochoczych tancerzy od pełnych życia płaśów.

Przeważną liczbę gości stanowili tu rzemieślnicy warszawscy: przyzwoitość w obejściu i zabawie ściśle między niemi zachowaną była: lubili się podochocić, ale niecierpiano pijaństwa, a gdy jak wyrażano który *spil się jak bela*, wyprowadzano go w zaciszny zakątek na spoczynek wśród wstrętu obecnych, ażeby otrzeźwiał i widokiem swoim nie zachmurzał powszechnój radości.

Wśród tej zabawy gwarnój, krzykliwój, bystrzejszy spostrzegacz miał chwile przyjemne, podglądając sceny, jakie się odgrywały pomiędzy młodzieżą rozkochaną. W tańcu, przy przekąskach jużés mógł rozróżnić pary gruchające do siebie miłośnie. Żwawy czeladnik i dorodny z jakąś układnością nadskakiwał pannie majstrównie, jak z nią tylko płaśał, jak najlepsze kąski z elegancką grzecznością podawał, a rodzice gdy im przypadł chłopak do serca, z radością i uśmiechem spoglądali na te jego zalecanki. *Wale* i *krakowiak* ze śpiewkami były to jedyne a ulubione tańce wówczas gości od warsztatów.

Do najprzyjemniejszych wspomnień z Saskiej-Kępy należał powrót do Warszawy, łodzią czy krypą po Wiśle, w noc cichą, ciepłą i pogodną! Co to za rozkosz była po strudzeniu, zasiąść wygodnie ławkę drewnianą, w gronie ukochanych osób i po gładkiej jak zwierciadło toni wodnej przepływać! Księżyc na bezchmurnym lazurze w pełni czy na nowiu, odbijał się w tém zwierciadle, rozświecając

¹⁾ Wedle akt Warszawy, król August III zawarł w d. 1 października 1735 r. kontrakt z miastem, o dzierżawę na lat trzydzieści tej kępy i odtąd otrzymała nazwę *Saskiej*.

jasno całą okolicę. Wtedy była dobra sposobność do uściśnięcia rączki swojej bogdanki, do pozyskania jój wymownego spojrzenia i anielskiego uśmiechu, zwiastunów przyjaznych uczuć serca. Ta cisza, ten księżycowy wieczór, chłodnawe powietrze, przepachniałe ożywiającą wonią, dziwne wrażenie spokoju, swobody i szczęścia dawało! Każde oblicze opromienione duszną radością, miało wyraz obok tego rzewny i zamyślony.

Ale krótką była rozkoszna wędrówka, coraz się więcej zbliżały mury naszego miasta, a z téj strony właśnie Warszawa najwspanialej wygląda, na swoim wzgórzu piaszczystém. Stare mury zamkowe, wyniosłe wieże kościelne, wspinające gmachy i ścieśnione jak jaskółcze gniazda kamienice Starego-Miasta, wszystko składało się na uroczy a malowniczy krajobraz. Z łałem wysiadałeś z łodzi na wybrzeża, a w mieście spokój i cisza grobowa, bo to północna godzina którą głośno zegar zamkowy wybijał!

Zarówno z Pragi, jak z Saskiej-Kępy widnieją słynne w naszych dziejach *поля Grochowskie*, od czasów panowania Jana Kazimierza, kiedy na tych równinach, po stoczonej niepomysłnej bitwie, król ten cofnąć się musiał, i na nowy łup oddać swoją stolicę Szwedom. W roku 1809 na polach Grochowskich generał Sokolnicki odniósł świetne nad Austryakami zwycięstwo i w późniejszych latach zapisały się one na kartach historycznych.

Przedmieście Praga, a jeszcze więcej Saska-Kępa ulegała częściej powodzi, przy każdym wezbraniu Wisły, jako niżej położona, ale pomimo częstych klęsk z tego powodu, osadnicy na niej chętnie się trzymali, bo po zalewie, hojne zbierali zyski, które obficie straty poniesione opłacały. Dla mieszkańców tylko Warszawy, najsmutniejszą zawsze wieść bywała, że Saska-Kępa pod wodą: powódź bowiem każda pozbawiała ich jednej z najprzyjemniejszych przechadzek wiejskich. Jeżeli zalew z wczesną wiosną nadszedł, była nadzieja że w pogodne lato, *mada* wiślana wyschnie i miejscowość ta gotową będzie dla licznych gości; ale dotknięta nim Saska-Kępa wśród lata, dostępną dla nich już nie była i w innych stronach miasta szukać musieli odetchnienia swobodnie świeżém wiejskiém powietrzem.

XV.

E P I L O G.

Wydatniejsze rysy społeczności Warszawy.—Mieszkaństwo.—Pobożność.—Szambelani.—Legiony.—Zmiana szczęśliwa.—Taniość życia i mieszkania.—Professorowie Uniwersytetu Warszawskiego.—Ministrowie.—Pan Tomasz Morawski. Jego rachunek wydatków.—Szwaczki, haftarki i praczki warszawskie.—Szacunek dla kobiet.—Porucznik Stanisław i podporucznik Edmund.—Panna Róża.—Pojedynek.—Przeprosiny i wesele.—Paniczykowie sztabowi.—Powrót religijnego uczucia.—Dwaj bracia Niemirowie.—Miejsce urodzenia trzech mężów.—Roman Zmorski.—Mogiły.—Wspomnienia.

W zakończeniu naszych wspomnień o społeczności Warszawy w okresie trzydziesto-letnim biegnącego stulecia, nie możemy pominąć wydatnych rysów, jakie ją w téj dobie charakteryzowały.

Smutną i bolesną duchową spuściznę zostawił Stanisław Ponia-towski swemu narodowi!

Zepsucie obyczajów w najwyższych warstwach, pogardę ojczy-stego języka, jak zwyczajów i tradycyi własnej, zachwianie religii przodków i wstrętny materializm.

Wszystko odbiło się mniej w życiu ziemiańskim, po dworach szlachty w skromnej chudobie żyjącej, ale uwydatniało w murach stolicy i w łonie całej niemal arystokracji polskiej. Zbytek i marnotrawstwo, znikczemnienie moralne, oto jéj cechy główne przy bardzo szczupłych wyjątkach. Kara szła prędko za grzechy: miejsce prze-pychu zajęły ubóstwo i nędza!

Jakoż w ciągu panowania Stanisława Augusta poszły w ruinę panów polskich zamki i pałace w samej nawet Warszawie; olbrzymie majątki roztajały jak śnieg wiosenny przed promieniem słońca. Ale zepsucie moralne poszło jak zaraza na dwory zamożniejszej szlachty i te ginęły w naszych już oczach.

Ludzie bez czci i wiary przybierali nazwę filozofów, szydzili z tych, co chodzili do kościoła i spełniali obowiązki sumiennego chrześcijanina; bogate panie zawiane atmosferą *Stanisławowską*, w lekkomyślném życiu zapominały o obowiązkach żony i matki.

Lud pozostał wierny wierze swych ojców, szanował niewzruszenie zwyczaj i obyczaj przodków.

Mieszczanstwo Warszawy odznaczało się zawsze czerstwém zdrowiem narodowém, nie przyłgnęły do niego ani cudzoziemski oby-czaj, ani filozofia Woltera, której zasady klasa wyższa czcila, ani marnotrawstwo. Pracowici, oszczędni, pobożni, szli drogą życia uczciwie, ufni w Bożą opiekę. Tę wiarę swoją otwarcie uwydatniali w napisach na swoich domach, a pamiętam kilka takich w Warsza-wie i na Pradze.

Na froncie murowanej kamienicy albo facyatce, jak w dworku drewnianym, malowano *oko Opatrzności* w promieniach słonecznych, a pod nié m wiersz następujący:

„Dziękuję Boże Twojej Opatrzności,
A daj i temu, który mnie zazdrości.”

Po rozbiorze kraju, cały dwór królewski rozwiął się na cztery strony świata, a z niego pozostało najwięcej szambelanów. Mało z tych dygnitarzy jak dobrze zwano *drążkowych*, mieszkało w Warszawie, rozbiegli się po kraju, a wielu z nich, dzięki tytułowi, dostаточно żyli z łaski pracowitej szlachty, od której sposobem *honorowej pożyczki*, na wieczne nie oddanie, ciągle puste kieszenie napełniali. Taki smutny obraz a rzetelny staje nam przed oczyma, w ostatnich latach XVIII wieku.

Po rozejściu się armii Kościuszkowskiej w końcu 1794 roku, jeden z jego generałów, sławnej pamięci Henryk Dąbrowski, za zezwoleniem rządu Rzeczypospolitej Francuzkiej, zaczął tworzyć legion polskie.

Szczególniej ci, co odbywali kampanię w Hiszpanii, odznaczali się pobożnością, bo wielu z nich w niewoli zawdzięczało życie szkaplerzowi, które matki zawieszały na ich piersiach, to pacierzowi, który odmawiali. Hiszpanie zajadli i chciwi krwi francuzkiej, jako najezdniczej, w modlących się oficerach i żołnierzach polskich poznawali bratnich katolików; sztylet gotowy do utopienia w ich piersi, chowali do pochwy, broń nabitą do śmiertelnego strzału wycelowaną, brali na ramię.

Zbawienie duchowe młodego pokolenia przyszło od matek Polek, ziemianek, z dworów wiejskich i patrycyuszek Warszawy jak i miast większych. One to, przy ogniskach domowych przechowując prababek swych cnoty i pobożność, wychowywały w nich dziatwę swoją przy uszanowaniu i zwyczajów, wykarmione ich mlekiem młode pokolenia, chociaż chwilowo dawały się porwać prądom ku złej stronie, zawsze wracały na drogę prawości. One też zachowując cześć niewiasty, wdrażały w umysły młode, szacunek dla całej płci swojej, jako też i dla sędziwego wieku. Każdy schylał głowę przed siwizną, cenił jej powagę i rozum nabyty jeżeli nie nauką, to długich lat doświadczeniem. Mężka młodzież wychowywana wraz z płcią piękną, uczyła się od lat najmłodszych grzeczności i uprzejmiej posługi dla słabych swoich towarzyszek. Ztąd szła serdeczna miłość braci dla siostr, ztąd i uczucie dla krewniaczek powabnych lub sierot hodowanych pod jednym dachem, które wiodło na ślubny nieraz kobierzec.

Wojsacy z legionów włoskich a następnie z armii Księstwa Warszawskiego, chociaż nieraz ulegli wpływom niewiary i zapominali o pobożności wyniesionej z rodzinnego koła, należąc do licznych łóż masonskich, pomimo to poczuciem honoru chorągwi, utrzymywali wszystkie rysy szlachetne charakteru narodowego. Wróciwszy zaś do kraju w rodzinne gnieździe, gdy zamienili szablę na lemiesz, nie tylko stawali się wzorowymi gospodarzami, najlepszymi mężami i ojcami, ale byli wzorem dla czeladzi i wioski, żyjąc w zgodzie z kościołem, jako nieodrodni synowie przodków swoich.

Młodzię wcześniej się żeniła, rzadki wypadek, ażeby który z czwartym krzyżykiem stawał do ślubu; starzy kawalerowie byli celem przy-cinków i satyry tak mężczyzn jak kobiet, to téż pełno we wszystkich kościołach bywało obrzędów ślubnych tak przed adwentem, jak w za-pusty, a nawet w wielkim poście, w dzień Ś-go Józefa.

Taniość w Warszawie wszystkich potrzeb do przyzwoitego utrzymania, niemało się przyczyniała do pomyślności w rodzinnych kółkach, do zachęty, aby z wybraną towarzyszką na dalszą piel-grzymkę światową, rozpalić domowe ognisko i rozpocząć swobodne, niepodległe życie, opromienione marzeniami serc młodych, ogrzane uczuciem prawdziwej miłości.

Mieszkanie familijne bardzo przyzwoite można było dostać w pierwszych latach naszego stulecia od 200 do 300 złp.; podrożało nieco w okresie Księstwa Warszawskiego, ale tylko o kilkadziesiąt złotych rocznie; po utworzeniu Królestwa kongresowego, do bardzo kosztownych liczono takie, za które opłacano od 600 do 800 złp., ależ to były lokale obszerne, złożone od sześciu do ośmiu pokoi. Między r. 1816 a 1820 za mieszkanie na Starém-Mieście w rynku które zajmowała rodzina w przyjaźni żyjąca z rodzicami mojemu, pamiętam jak się uskarżała nieraz na drogość zajmowanego lokalu, a składał się on z dwóch sporych pokoi o czterech oknach od rynku, korytarza, kuchni i dwóch również obszernych od Wisły, ze ślicznym widokiem na przedmieście Pragę i dalekie zawiślańskie okolice. Płacili za to złotych polskich 360.

Funt mięsa kosztował groszy 5, później podniosła się (do roku 1830) cena do groszy siedmiu.

Pamiętam dobrze jak się moja matka gniewała na kucharkę, kiedy przyniosła piękną i dużą połędwicę za złp. dwa i groszy dwa-dzieścia. Chléb był również tani jak bułki a strucleki za trzy grosze z anyżem nigdy na przegryzkę; słynne „bułeczki siedleckie” z białości i wybornego smaku należały do zbytku, bo chociaż była to bułka spora, ale sztuka 5 groszy kosztowała. Drób wszelkiego rodzaju nie-słychanie tani: kurczęta od 6 do 10 groszy, a para dorosłych najwy-ziej złotówkę. Gęś dobra złp. 2 i kilka groszy; indyczka tyleż, a tu-czony indor strasznie drogi, bo od 3 do 4 złotych. Jarzyny, wło-szczyzny, słowem wszystkie tak zwane warzywa, owoce, również ta-nie; jabłko lub gruszka za trzy grosze kupiona, była zbytowym przysmakiem, zwykła bowiem cena, nigdy grosza nie przenosiła. Liczne ogrody samój Warszawy, obficie dostarczały owoców we wszy-stkich gatunkach i to wyborowych.

Nabiał, mąka, kasze, słonina i masło, jak ptastwo wodne i polne, zające i sarny, ryby i raki w również niskiej cenie, bo para kuropatw kosztowała najwyżej 2 złp., tyleż zając, a sarna i to rosły koziół złp. 12. Słowem wszystkie potrzeby do codziennie zastawia-nego stołu bardzo skromną sumkę wynosiły. Rodziny obywatelskie

liczące się do zamożniejszych w mieście, rzadko kiedy wydawały dziennie złp. 5 na śniadanie, obiad i przekąskę wieczorną, licząc w to i drogi cukier z kawą, a żywili od 8 do 12 osób.

Profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego brali rocznej pensji po 6,000 złp., urzędnik mający płacę złp. 4,000, liczył się do dobrze uposażonych. Najwyżsi dygnitarze jak ministrowie oświecenia, sprawiedliwości, spraw wewnętrznych i wojny mieli po 18,000 złp.

Jak wszystkie potrzeby do codziennego życia, tak ubiór, obuwie i t. p., światło (łojowe jedynie świece) w niskiej były cenie. Za sto złp. ubrałeś się wytwornie, a młody człowiek mający rocznego dochodu 800 do 1000 złp. żył sobie jak sułtan w Warszawie. Oto rachunek roczny jego utrzymania, jaki w papierach po moim przyjacielu Tomaszu Morawskim, znajduję z r. 1824 a należał do elegantów i cały karnawał przebawił wesoło, bo zawołany był tancerz. Miał wszystkiego procentu od summy po swojej matce złp. 900. Stosował się więc rocznie do tego dochodu. Owóż pomieniony rachunek:

Rocznie złp.

1. Mieszkanie (na 3-ciem piętrze na Krakowskiém Przedmieściu przedpokój i pokój od ulicy o 2-ch oknach.	140
2. Śniadanie (kawa z bułką).	70
3. Obiad (pod „Białym konikiem” na Bednarskiej ulicy, gospodarski, smaczny, złożony z 4-ch potraw po 20 gr.)	140
4. Fajka, (Drejkönig, Wirginia, czasem Sułtan).	36
5. Opał i światło.	30
6. Usługa.	36
7. Praczka.	40
8. Ubiór.	160
9. Rękawiczki na rok cały.	12
10. Obuwie (para butów 12 złp. podszycie 6).	36
Razem . . .	700

Pozostawało mu przeto aż nadto złp. 200 na wszelkie przyjemności i wybryki nawet młodego wieku. Ale te wybryki były zawsze miarkowane przyzwoitością, ażeby nigdy nie uchybić osobistej godności.

W pierwszych latach naszego stulecia i w czasach Księstwa Warszawskiego, było wiele wdów i sierot panien, po wojownikach naszych poległych na obcej ziemi. Jedyńm utrzymaniem ich było szycie bielizny, haft i pranie.

Obywatelki Warszawy przychodziły im najchętniej w pomoc, dając do szycia, lub wzywając do haftu na krosienkach; pranie bielizny miały od oficerów z armii polskiej i zamożniejszej młodzieży. Nie wahały się same młode i piękne sierotki od lat 15 do 20 odnosić do kwatery, bo ufały honorowi każdego, pewne że po jej stronie zaraz stanie odważny obrońca.

Jako szczerą prawdę zapisać tu muszę szlachetną stronę naszej młodzieży: nigdy nie było zwyczaju zaczepiać kobiety idącej na ulicy, chociażby w późniejszym wieczorze. Każdy, bez złej myśli chętny był na jej usługi: gdy deszcz, nawet nieznamom jej sobie podawał rękę i osłaniał parasolem odprowadzając na próg domu przy którym żegnał, a w podziękę odbierał grzeczny ukłon i miłe spojrzenie; gdy młode dziewczę zmuszone wyjść wieczorem na ulicę, ukazywało bojaźń czy przestрах, z równą uprzejmością znajdowało pomoc w pierwszym przechodniu, który miał sobie za szczęście zostać rycerzem poci pięknej, jak wówczas wyrażano.

Szwaczki i zajmujące się praniem, były to panny wykształcone z rodzin obywatelskich, córki legionistów, lub z armii Księstwa Warszawskiego, jakeśmi już wspomnieli. Nie zapomnę nigdy sceny, jakiej byłem świadkiem:

Przyszedłem na poranną gawędkę i fajkę do mego przyjaciela, porucznika Stanisława z 5-go pułku piechoty liniowej; stał z nim razem na kwaterze świeżo awansowany podporucznik Edmund, gładki paniczek. Kiedy gwarzymy i ćmimy fajki puszczając gęste kłęby dymu, otwierają się drzwi i z zawiniątkiem staje młode, może lat 16 lub 18 mające, śliczne i skromne dziewczę. Przynosiła bieliznę upraną Stanisławowi. Ten zaraz zerwał się z krzesła, fajkę odłożył, a zbliżając się do swego gościa, powitał całując w rękę i prosząc, aby spoczęła na blizkiej kanapie.

— Ma droga pani rachunek?—zapytał.

Podawała mu takowy, pięknie, kaligraficznie napisany.

Należało się blisko dziesięć złotych bo i z przeszłego miesiąca pozostało; Stanisław poszedł po należność do drugiego pokoju, gdy pan Edmund korzystając z tego, zbliżył się do dziewczęcia i zaczął przymilać. Porucznik to dostrzegł, nachmurzył czoło i zawołał grzmącym głosem:

— Co to jest? co to znaczy?

Poczem porywa go za ramię, odtrąca lwią siłą w drugi a daleki kąt pokoju, doręcza pieniądze, całuje w rękę, przeprasza za niegrzeczność swego kolegi i wyprowadza ją za progi swoje.

Pan Edmund oburzony, jeszcze do siebie nieprzyszedł z gniewu, kiedy porucznik wrócił i spoglądając na niego z iskrzącymi oczyma, zawołał drżąc całą:

— Czy wiesz ty! ty nicponiu, że to córka legionisty, co zginął pod Saragossą; że to sierota poczciwego gniazda: jej matka z domu zasłużonych obywateli krajowych! Smarkaczul musisz ją przeprosić na klęczkach!

— Poruczniku! pierwój musisz mi dać satysfakcją za znie wagę.

— Dobrze! dobrze! dziś po obiedzie, pojedziemy na Bielany. A jaką broń wybierasz?

— To do porucznika należy!—odrzekł pan Edmund.

— Więc wybieram broń najszlachetniejszą: pałasz! A teraz wy-
noś się z przed oczu moich, proszę cię o to; poszukaj sekundantów:
sam stanę z moimi o 5-ój godzinie.

Pan Edmund widząc że to nie przelewki i drażnić niepodobna
krzepkiego napoleonistę, wybiegł z kwatery, a Stanisław zapalił
fajkę i chodząc po pokoju, mówił ciągle zawsze gniewnym tonem:

— Co to się stało na świecie, do kroćset dyabłów, z tą młodzie-
żą waszą! Włożył błazen błyszczące szlify, to już myśli że mu wol-
no uchylać kobięcie. Już ja go *mores* nauczę, dam mu pamiątkę na
całe życie. Proszę cię, mój Władziu, bądź na Bielanach, w lasku od
strony Młocin.

Stawiłem się na oznaczoną godzinę, podporucznik umiał robić
pałaszem, ale Stanisław stary *wyga*, był rębacz zawołany: po kilku
złożeniach, wytrącił szablę Edmundowi z ręki i przez cały policzek
lewy, naznaczył mu głęboką kresę. Padł krwią zalany, ale w tej
chwili zwycięzca ochłonął z gniewu, przybiegł do niego, całował
i przepraszał; doktor obecny krew zatamował, odnieśliśmy go do jego
karetki. Leżał ze trzy tygodnie, Stanisław odwiedzał go codziennie
jak miał czas tylko; wrócił mu swoją przyjaźń i już nie groźbą, ale
prośbami wyjednał, że razem się udadzą do matki obrażonej panny
i tam uroczą się przeprosi, za lekkomyślność swoją.

— Stuchajno Władziu!—rzekł do mnie,—byłeś przytomny całej
tej *afery*, bądź więc obecny i zakończeniu.

Z chęcią na to przystałem.

O naznaczonej godzinie przybyłem do porucznika, gdzie już za-
stałem pana Edmunda z zagojoną blizną, ale głęboką bruzda, czer-
wono-siwawa, była widoczną na lewym policzku.

— A więc ruszajmy teraz do pani kapitanowej i jej pięknej Ró-
ży—przemówił Stanisław.

— Poszliśmy na rynek Starego-Miasta: w jednej kamienicy na
drugim piętrze z oknami na Piwną ulicę, w dwóch pokoikach mie-
szkała pani kapitanowa. Przybycie nasze nie zdziwiło bynajmniej
dostojnej matrony, powitała i prosiła siedzieć.

Panna Róża skraśniała prawdziwie jak kwiat róży i przytuliła
się by spłoszony gołąbek, do swój matki, widząc Edmunda pomieszane-
go, z głęboką kresą na twarzy.

— Nim zajmiemy miejsce, przyjęci gościnnie przez panią kapi-
tanową—przemówił dzwięcznym głosem Stanisław—pozwoli najprzód
pani, przedstawić sobie mego kolegę Edmunda i mego przyjaciela
Władysława akademika. Przechodzimy tu, łaskawa pani, przeprosić
pannę Różę, za małą nieprzyjemność, jaka ją spotkała w mojej kwa-
terze. Winowajca a mój kochany kolega....

Ale nie domówił już słów dalszych, gdy Edmund padł na kola-
na przed śliczną praczką, a całując w rękę jej poważną rodzicielkę,
pokornie prosił o przebaczenie. Uzyskał je łatwo, bo porucznik
wprzód przygotował wszystko skrycie a zęcnie: podsunął butelkę

starego węgryna i ciast taléř, tak że po słowach odpuszczenia grzechów, zasiedliśmy jak przyjaciele dawni.

Było to na wiosnę; przed adwentem odbyły się zaręczyny pięknej Róży z podporucznikiem Edmundem, a w zapusty następnego roku gody weselne, na których porucznik Stanisław był starszym drużbą. Służył on w kompanii ojca panny młodej i czczył go jak przyjaciela i swego opiekuna.

Paniczykowie ze sztabu księcia Józefa Poniatowskiego, odbierali często nauczkę, jak szanować należy niewiasty i dziewice polskie. Kula i pałasz leczyły ich z lekkomyślności po powrocie z Paryża, ukazując wielką różnicę jaka zachodziła pomiędzy *gryzłką* z nad Sekwany, a szwaczką i haftarką z nad Wisły. Spotykałeś tych *fircyków* często na kulach z przestrzelonemi nogami, to ze szkaradnem przez nos cięciem pałasza, to z krésami na czole, lub zwistemi rękami, co dopióro po krwawej rozprawie, nauczyli się więcéj cenić i szanować rodaczki swoje.

Chociaż wielka biéda była w kraju, a tém samém i w murach Warszawy, znoszono ją odważnie, bo przy taniości życia a skromnych potrzebach nie ciążyła zbytceźnie. Wszyscy stękali, ale pocieszali się starém przysłowiem: „*Lżéj nędznemu—nie samemu.*“

W wyższej jednakże klasie obywatelskiej i zamożniejszej, francuzczyzna przemagała: całe wychowanie córek ograniczało się na języku francuzkim i nauce gry na fortepianie oraz tańca. Brodziński nie daremnie napisał rzewny: *Żal za językiem polskim*, a Klementyna Tańska naznaczała karę pieniężną na swych zebraniach do puszki dla biédnych, za używanie francuzkiego języka lub przeplatania nim ojczystej mowy. Powoli złe to zmniejszało się coraz, a pojawienie się śpiewaka *Wiesława*, *Dziadów* i *ballad* Mickiewicza, było lekarstwem uzdrawiającém całą społeczność.

Trudno zbadać i wykazać jakimi drogami zwolna wracało religijne uczucie: jakie wpływy przeważnie oddziaływały na ten zwrót požądany. Ale poprawa moralna, zwrót myśli ku Bogu, szczéra modlitwa w kościele zaczyna się już w czasach Księztwa Warszawskiego i bez starania widocznego (bo prasa żadnego znaczenia nie miała), coraz się potężniej rozwija. Silniej niż w dobie legionów wydatnieje 1809 rok, w chwili krwawych walk z armią austryacką, przybiera więkzsze rozmiary w kampanii 1812 roku, aż w pierwszych latach Królestwa, nie warstwy ludowe, bo te pozostały jak były przed wiekiem pobożne i pracowite; ale w całej inteligencji miasta i najzamożniejszych rodach widzimy w tym kierunku szlachetne przeobrażenie.

Znikały rok za rokiem kontuszowé postacie w murach Warszawy ¹⁾.

¹⁾ Ostatni raz dwunastu kontuszowców razem widziałem w roku 1829 w *Krzesku* za Siedlcami. Na starém Podlasiu był starodawny dom słynny

Jeżeli w pojęciach o poezji, sztuce, badaniu dziejów i krytyce, nastąpił stanowczy a błogosławiony przewrót, po walce klasyków z romantykami i zwyciężtwie tych ostatnich, zarówno cała społeczność uczuła potrzebę szanowania ojczyznojęzyka, zwyczajów i tradycji przodków, słowem rozkwit w całej pełni narodowego życia; ażeby dojść do tego celu zwrócono uwagę na lud zapomniany długo, dla zbadania jego skarbów umysłowych, bez czego niemasz narodowości.

z gościnności dwóch rodzonych braci, znakomitych obywateli, Michała i Jana Niemirów. Któż z całego województwa nie znał tego dworu, kto o nim nie słyszał? Starszy wiekiem pan Michał skarbnik, jak go tytułowano, był wiernym typem owych ojców naszych, co otwartość i szczerłość, a gościnność i uprzejmość, uważali za potrzebę życia. W cichości i tajemnicy niósł on pomoc potrzebny, wspierał tych, co nieszczęściem podupadli i bliscy byli nędzy. Nikt za życia jego nie wiedział o tém, śmierć dopiero wyjawiała. Jan Niemira generał z r. 1794, poseł na sejm 1820 z powiatu Siedleckiego, odznaczał się w zawodzie obywatelskim. Obaj bracia kochali się miłością serdeczną, pełną czci wzajemnej; nie dzielili się nigdy znacznym majątkiem, wspólnie żyli i pracowali w nieprzerwaną zgodzie i harmonii. Jak serca jedne, tak i dach jeden mieli: jeżeli smutek zasępil ich oblicze, to chyba wyjazd lub choroba którego. Pan skarbnik był wyraźnym typem starych poważnych postaci Rzeczypospolitej, ubioru polskiego nie zrzucił, pan generał do przymiotów starszego brata, łączył ogładę i wychowanie XVIII wieku.

Na Sw. Jan i na Sw. Michał w dniu imienin obu braci, dwór ich napełniał się niezwykłym gwarem. Z najdalszych okolic, tłumnie obywatelstwo zjeżdżało się do Krzeska dla złożenia swych życzeń starym obyczajem; z pełnych piwnic nie brakło węgryzna, ani suto zastawionych stołów, a gościnność i uprzejmość solenizantów przykraszały dostatek.

Tu w ciągu roku, każdego dnia, przy stole, czekały gotowe nakrycia dla nieprzewidzianych gości, czyli jak nasi ojcowie mówili, dla *Zagórskich panów*. Pozostawali bezżenni, ażeby się nie rozdzielać z sobą. Kiedy w sędziwym wieku umarł pan skarbnik, od jego zgonu osmutniał boleśnie brat młodszy. Żył ale szukał oczyma sercem i cichym szeptem, téj sędziwej postaci ukochanego brata, po pustych komnatach dworu, który w mogile już spoczywał. Tak przebiédował lat kilka i zakończył życie w sierpniu 1852 r.

W roku 1829 pan generał wyprawiał imieniny na św. Michała bratu swemu, a jeden nad drugiego przesadzali się w prezentach i wystawności w te dnie uroczyste. W wielkiej sali przy kilku stołach w podkowę zastawionych, zasiadło jedenastu szlachty podlaskiej w kontuszach i żupanach, a większa ich połowa przy szablach; dwunastym, w polskim stroju był sam dostoyny gospodarz pan skarbnik Niemira. Patrząc na te poważne postacie, słuchając ich mowy, dykteryjek i *jowialnych* dowcipów, przenosiłem się myślą w dawne wieki pomyślności i sławy.

Okres to godny uwagi głębszego myśliciela, bo w nim po rok 1830 wyrobiły się wszystkie siły duchowe na dalsze w przyszłości lata, na dalsze koleje losu!

Miasto coraz się więcej wznosiło, wyrastały kamienice i gmachy, zniknęły dworki drewniane i ogrody. Wśród tego przeobrażenia dawnego grodu Mazowieckiego przypomnijmy, w których domach urodzili się trzej znakomici mężowie, na zaszczyt i chlubę naszego okresu. W roku 1786 dnia 22 marca urodził się Joachim Lelewel, w domu rodziców przy ulicy Długiej nr. 540 ¹⁾. W domu przy ulicy Aleksandrya pod nr. 2768 urodził się dnia 28 listopada 1812 roku Józef Ignacy Kraszewski. W domu pod nr. 2612 przy ulicy Garbarskiej, dnia 27 lutego 1822 roku urodził się Teofil Lenartowicz, z ojca Karola i Maryanny z Kwasiborskich.

Trzy to świetne gwiazdy na horyzoncie naszej literatury, łączące złotemi ogniwami czasy Księstwa Warszawskiego z okresem Brodzińskiego i Mickiewicza, przyświecają i obecnej epoce. Pierwszy patriarchy młodych badaczy na polu historycznym, drugi twórca powieści polskiej, zasłużony pracownik w gałęzi dziejów i literatury ojczyźnej; trzeci wdzięczny śpiewak wioskowy, czerpający wątek do swych cudownych poezji z pieśni, podań i fantazyi naszego ludu. Warszawa może się słusznie pochlubić tak dostojną działwą swoją.

Do ich grona doliczyć musimy Romana Zmorskiego, który się urodził w Warszawie w domu pod nr. 304 (nowy 12) przy ulicy Ślepój, 1824 roku, a więc we dwa lata po śpiewaku *Wiochny*.

Liczyłem już rok siedemnasty życia, gdy rodzice moi zaproszeni zostali dla trzymania do chrztu nowo narodzonego Romana. Przybyłem z nimi do pp. Zmorskich i pamiętam jak kołysałem to niemowlę, z oczętami pełnemi ognia, które wyrosło następnie na znakomitego poetę i prozaika. Po ukończeniu szkół w Warszawie, sam się dalej kształcił w nauce głównie języków i kilku narzeczy słowiańskich. W dwudziestym roku życia zaczął tułaczą wędrowkę po obcych ziemiach. Zwiedził prawie cały Zachód i Słowiańszczyznę. Jemu zawdzięczamy wzorowy przekład pieśni serbskich (1859 i 1860 r.), jak kilku *Sag* skandynawskich Oehlenslaegera; tłumaczył poezye Szylle-
ra i Getego. Z oryginalnych utworów wspomnieć należy szkic fantastyczny wierszem *Lesław* (z r. 1847) i *Wieża siedmiu wódzów, pieśń z podań* (1850 r.). Z prozy: *Domowe wspomnienia i powiastki* (1854 r.). Zbiór prac jego jakkolwiek niezupełny, wyszedł w Lipsku w dwóch tomach. Zbierał troskliwie podania ludowe w ciągłych swoich wędrowkach, które tak ukochał, że dla tego pociągu włóczęgi naukowej, uciekał od domowego ogniska, porzucając żonę i dzieci.

¹⁾ Dom ten przeszedł następnie na własność Joachima, działem przez rodziców uczynionym w dniu 10 września 1823 r., przed Janem Wincentym Bandtkiem. Tu mieszkał, tu pracował, tu go poznałem bliżej. Opuścił go na zawsze w dniu 8 września 1831 r.

Osiadłszy w Dreźnie, w samój sile męzkiego wieku zmarł samotny 1867 roku, gdzie i zwłoki jego pogrzebano niedaleko miejsca wiecznego spoczynku Kazimierza Brodzińskiego.

Zmorski należy do epoki po-Mickiewiczowskiego okresu, do rzędu pisarzy którzy się odznaczyli wzniosłym talentem. Po mistrzowsku władał ojczystym językiem i służyć może dzisiejszym za wzór godny do naśladowania.

Liczne zastępy mężów wielkich zasług mógłbym wyliczyć, którzy tu zgaśli i znaleźli wieczny spoczynek! Komu drogie są wspomnienia przeszłości własnego kraju, znajdzie ich imiona w kościołach naszego miasta, po cmentarzach parafialnych i w okolicach Warszawy: a jeszcze więcej bez pomników grobowych, bez napisów! Niknie nawet tradycya o miejscowościach, gdzie spoczęły ich zwłoki i nieraz przyjdzie archeologom obok pamiątek z epoki krzemienia, brązu i żelaza, odnaleźć kości nie jednego dostojnika pióra i obywatelskiego koła, które potrąci obojętnie, jako bezimienne i pospolite zabytki rozrzuconych mogił i dawnych zapomnianych cmentarzysk.

A jednych i drugich nie braknie staremu grodowi Mazowsza tak z Piastowych czasów jak okresu Jagiellońskiego i lat późniejszych do końca roku 1830. W téj dobie zamykamy nasze wspomnienia o Warszawie i jój społecznosci!

K O N I E C.



nr. 396